

The book cover features a detailed illustration of a rural landscape. The background shows a vast field under a sky with soft, golden clouds. In the foreground, there are various plants, including large green leaves with prominent veins, yellow flowers, and a sunflower. The overall color palette is warm, dominated by yellows, greens, and blues.

ANNA FRYCZKOWSKA

# SAGA O LUDZIACH ZIEMI

WPATRZENI  
W NIEBO

W  
ydawnic  
ab  
two

Anna Fryczkowska

**Wpatrzeni w niebo**  
**Saga o ludziach ziemi. T. 1**





Copyright © by Anna Fryczkowska, MMXXIII

Wydanie I

Warszawa MMXXIII

Niniejszy produkt objęty jest ochroną prawa autorskiego. Uzyskany dostęp upoważnia wyłącznie do prywatnego użytku osobę, która wykupiła prawo dostępu. Wydawca informuje, że wszelkie udostępnianie osobom trzecim, nieokreślonym adresatom lub w jakikolwiek inny sposób upowszechnianie, upublicznianie, kopiowanie oraz przetwarzanie w technikach cyfrowych lub podobnych – jest nielegalne i podlega właściwym sankcjom.

# Spis treści

Dedykacja

Motto

Część pierwsza. Rok 1816, koniec świata

Część druga. Rok 1826, świat się mości

Część trzecia. Rok 1829, nowoczesność puka do drzwi

Część czwarta. Rok 1831, walki i fermenty

Część piąta. Rok 1833, czas śmierci licznych, a niepotrzebnych

Część szósta. Rok 1834, czas zamieszania

Część siódma. Rok 1835, zmiany i nadzieje

Część ósma. Rok 1836 i następne, czas rozdarty

Część dziewiąta. Rok 1846, czas gniewu

Posłowie

Podziękowania

Strona redakcyjna

*Mojemu Tacie, Wojciechowi Józwiakowi, bez którego tej książki by nie  
było*

Z pamiętnika Mieczysława Józwiaka:

*Nazwisko moje brzmi „Józwiak”, a nie „Jóźwiak”, jak to zwykle ludzie przekręcali i przekręcają. Niech im to Bóg wybaczy.*

## Część pierwsza. Rok 1816, koniec świata

*Europa próbuje lizać rany po wojnach napoleońskich, kongres wiedeński właśnie ustalił nowy porządek świata, ale nie bacząc na porządki dokonane przez polityków, świat nadal próbuje się skończyć.*

*W północnej Europie słońce niemal na dobre znika za chmurami pyłu, zamiast błękitu nad głowami ludzi wiszą ochra i ugier, co w Londynie na kolejnych obrazach uwiecznia William Turner. W czerwcu nad Europę nadciągają burze śnieżne, z tym że na Węgrzech pada czerwony śnieg, a we Włoszech – brunatny. Potem zaczyna lać deszcz i nie przestaje, więc to, co mimo braku słońca jednak wyrosło, gnije na polach. Ceny żywności rosną, głodni ludzie się burzą, co i rusz wybuchają zamieszki.*

*Powietrze nabrzmiewa apokalipsą, więc niejaka Mary Shelley z przyjaciółmi chroni się w Szwajcarii, ale nadal sypia tam niespokojnie.*

*Podczas bezsennych nocy wymyśla stworzenie zwane „potworem Frankensteina”, a jeden z jej towarzyszy, John William Polidori – postać wampira, który nie ma zamiaru umierać. Już w sierpniu Europę dotykają przymrozki, a przerażeni ludzie modlą się, żeby świat jeszcze się jednak nie skończył. Mało kto podejrzewa, że wszystkie te niepokoje spowodował zeszłoroczny wybuch wulkanu w dalekiej Indonezji, który wysłał w atmosferę tysiące ton pyłu.*

*Kujawy trwają daleko od tego zamieszania, może słońca i ciepła sporo mniej, ale kto by się tym przejmował, skoro wkraczające wojska rosyjskie poza nowym językiem urzędowym przynoszą także epidemię. Z powodu zarazy umiera mnóstwo ludzi, w niektórych wsiach nie zostaje nikt*

*żywy, nie ma więc komu zbierać plonów z pańskich pól. Ten trudny rok zmierza ku końcowi, ale to wcale nie kres niespodzianek, bo tymczasem w listopadzie w okolicach Izbicy Kujawskiej...*

Hanka Józwiakowa

Chwilę po południu, akurat gdy myłam statki po obiedzie, w izbie nagle zrobiło się ciemniej. Odwróciłam się, spojrzałam w okno. W listopadzie niewiele jest słonecznych dni, niebo raczej woli mieć kolor niedawno ostrzonego noża, ale tu, w środku dnia, z tej szarości krok po kroku zrobiło się mroczno jak w nocy i wtedy zrozumiałam, że świat się kończy. Nie ja jedna. Od Jamiołów z naprzeciwka, od Golców zza płota zaczęły się nieść lamenty, zawodzenia i krzyki, dołączały kolejne chałupy. Chciałabym ciszy, pomyślałam. Teraz, u kresu, chciałabym ciszy. Zanim trąby anielskie się odezwą. Wyszłam z domu, ocierając dłonie w fartuch. Kolebiąc się ciężko z wielkim brzuchem, dotknęłam ramienia mojego męża. Stał, wpatrując się w niebo z przerażeniem.

- Co to się dzieje, Antoś?!
- Pan Bóg nam wszystkim światło w biały dzień zabrał.
- Cóżemy zrobili, że tak się na nas zagniewał?
- Nie tylko na nas, Hanka, całej wsi słońce schował.
- Chyba się modlić powinniśmy, czy jak? Może trzeba na kolana paść do tego końca świata?
- Umrzemy na stojąco – postanowił. – To nasza śmierć i możemy sobie wybrać, jak będzie wyglądać. Więc będziemy do niej stali, godnie jak w kościele. Klękniemy, głowy pochylimy, jak na podniesienie, dopiero gdy się Pan Nasz Jezus Chrystus pokaże.



Głowę pochylać? A jeśli na Jezusa popatrzę, to będzie grzech? Nie byłam pewna. Ale bardzo chciałam Jezusa zobaczyć, sprawdzić, do którego obrazka jest bardziej podobny – do tego w kościelnym ołtarzu czy do tego na drodze krzyżowej na ścianie z boku. Czy ciekawość jest grzechem głównym? Proboszcz w dawnej naszej parafii z wiary nas przed ślubem egzaminował, ale tego akurat nijak nie pamiętałam.

– Przynajmniej przed końcem jeszcze coś innego zobaczyliśmy poza tamtymi czworakami, parafią i polem dziedzica – pocieszałam Antosia, prostującego się obok mnie do tej śmierci. – Przynajmniej tyleśmy z życia skorzystali, żeśmy w nowym miejscu, w nowym domu zamieszkali, i wolności więcej przez parę miesięcy mieliśmy. Pożyliśmy, mniej kark zginając. Przynajmniej spróbowaliśmy innego losu, choć trochę.

Czułam, że powinnam płakać, ale jakoś mi nie szło. Stałam tylko, czując ciepło mężowskiego ramienia, rozglądając się po świecie, który zegnaliśmy w ciemnościach i wśród utyskiwań Jamiołowej, wrzasku Golcowej. Może ten następny świat będzie lepszy. Ten jednak wcale nie zdawał się taki zły i szkoda mi go trochę było.

Gdyby choć jeszcze chwilkę dłużej potrwał, zdążyłabym spojrzeć w oczy swojemu dziecku, ciekawe – chłopiec to czy dziewczynka, rodzić się przecież miało lada chwila. A potem świat mógłby potrwać choć jeszcze kilka niedziel do Godów, gdy śnieg pokryje wszystko na białutko, przez co wioska schludna się wyda, jak świeże, wyschłe na słońcu pranie. A potem świat mógłby jeszcze trwać kilka miesięcy do wiosny, gdy wszystko się zazieleni, rozbuja, rozkwitnie! Gdyby choć jeszcze kilka miesiączków, Panienko Najświętsza, gdyby to wszystko mogło jeszcze trochę potrwać,

żebym temu dzieciakowi, co się rozpycha w moim brzuchu, mogła pokazać, jak dokoła potrafi być pięknie, biało, zielono i słońcem spalone na przemian, gdyby choć jeszcze kilka miesiączków!

I gdy tak się gorączkowo modliłam, chyba jednak Mateczka Najświętsza się za nami do Pana Boga wstawiła, bo w tej dookolnej ciemności ujrzałam zniecka niteczkę światła. Ejże, pomyślałam, nie ma już światła, skończyło się, jak wszystko, jak i my zaraz się skończymy. Nitka jednak trwała, by powoli zmienić się w smużkę, a smużka w płonącą wstążeczkę, grubiała jak nadzieja w moim sercu. Już była świetlistym kręgiem wokół czarnego koła.

Może jeszcze będzie dobrze, pomyślał wtedy mój mąż.

– Może jeszcze będzie dobrze – powiedziałam i chwyciłam Antosia za rękę, teraz dopiero, bo gdy czekaliśmy na anielskie trąby, to jakoś nie wypadało. I staliśmy tak, i patrzyli, jak słońce znowu przyrasta po tych strasznych chwilach ciemności.

Wracało.

Golcowa dalej zawodziła, tylko że teraz na nieco weselszą nutę.

– A już bierzmy się żyć, skoro na zachętę światło nam Pan Bóg przywrócił – powiedziałam, bo pomyślałam, że czasu szkoda na rozpamiętywanie tego, co się nie stało.

Że w ogóle czasu szkoda, bo kto wie, ile jeszcze nam pisane.

Wraz z powrotem światła pospieszyliśmy na drogę i dalejże rozprawiać o końcu świata z sąsiadami. Wszyscy wylegli, chłopcy, baby, poruszeni, pomieszani.

Jamiołowa ciągle krzyczała:

– Jamiołowie Pańscy!

Wtórowała jej Golcowa:

– O Jezu, o Jezu!

Kowalowa wzdychała jak miech w kuźni jej męża:

– O Matko Przenajświętsza!

A inni się przekrzykiwali:

– Ciemno było jak w nocy!

– Jużem myślał, że trąby anielskie usłyszę!

– Jużem myślała, że po nas, jamiołowie Pańscy!

– A ja od razu wiedziałem, że światło wróci, bo jak inaczej?

– Może wiedźma jakaś słońce złośliwie przesłoniła?

– Może burza miała być, a przeszła bokiem?

– Jaka burza, noc w środku dnia nadeszła, sąsiedzie, takiej burzy nikt nigdy nie widział!

– Ale to nie wróci, sąsiedzi, prawda? Nie wróci ta ciemność przecież?

– O Jezu, Jezu!

– O Matko Przenajświętsza!

– Jamiołowie Pańscy!

– Ale po co to wszystko? – spytałam. Nikt mnie w zamieszaniu nie usłyszał, więc krzyknęłam na cały głos:

– Po co to wszystko?!

Antoś mnie za rękę złapał. Zamilkli.

– Ale co, sąsiadko?

Tyle się we mnie kłębiło, ale nie wiedziałam, jak rzecz wypowiedzieć. No bo jak to, Pan Bóg w swej nieskończonej mądrości postanowił zakończyć świat, a nagle, w pół kroku, się rozmyślił i pozwolił wszystkiemu trwać dalej?

– Po co ten koniec świata, skoro go nie było? – zachrypiałam, takem się przejęła.

Wszystkich jakby zatchnęło, umilkli.

– Jeden Pan Bóg wie – odezwał się wreszcie kowal.

Jeszcze chwilę wszyscy pomilczeli, ale zaraz zaczęło się znowu:

– O Jezu, o Jezu!

– O Matko Przenajświętsza!

– Ciemno było jak w nocy!

Tak mędrkowali i lamentowali, głośno i bez sensu, a ja patrzyłam na niebo z powrotem szare, bo i co z tego, że końca świata jeszcze nie będzie, gdy pytania mną szarpały. Antoś wziął mnie za rękę.

– Chodź, Hanka. Trzeba o to wszystko kogoś mądrzejszego spytać.

I ruszyliśmy, skrajem lasu, do plebanii – znajdującej się w miejscu zwanym „Pustynią”.

Wielebny chyba właśnie od obiadu wstał, gdy zaniepokojony waleniem w drzwi, usta ocierając, przyszedł nam otworzyć.

– A, to wyyy... – szukał w pamięci.

– Józwiakowie. Z Naczachowa.

– Miałem na końcu języka. Z czym przychodzicie? – Na ręce mi spojrzał, czy nie przyniosłam jajek, kurki czy choćby kobiałki ziemniaków. Wstyd mi się zrobiło, iść z pustymi rękami do plebana przecież nie wypada, ale zaraz znowu się wyprostowałam. Czymże jest bowiem koszyk jajek wobec końca świata?

– Świat się dziś kończył, dobrodzieju – zagał Antoś.

– Tak?

– Ciemności okryły ziemię, widzieliście? – dołączyłam.

– O zaćmieniu Słońca mówicie?

– Tak się głowie, co Pan Bóg chciał nam w ten sposób powiedzieć? – odezwał się Antoś, bo zawsze poważniej, gdy chłop plebana pyta, nie baba.

Wielebny się zacukał, zamyślił, w sobie pogrążył. Wreszcie rzekł:

– Pan Bóg nas ostrzega. Was wszystkich. Byście nie grzeszyli. Dał znak, że się na ludzi gniewa.

– Ale za co?

– Już wy wiecie za co. Za grzechy wasze.

– Jakie grzechy? – Nigdy nie śmiałam tak mówić do plebana, ale też nigdy w takim niepokoju, w takim uniesieniu z nim nie rozmawiałam, nigdy o tak ważnych rzeczach, które wydarzyły się przed chwilą, a nie przed wiekami. To przecież dzisiaj właśnie Pan Bóg dał nam znak swojej obecności tuż nad naszą wioską. Znak, którego nijak zrozumieć nie potrafiłam.

– Jakie grzechy, pytacie? Wszyscyśmy grzesznikami. Zróbcie rachunek sumienia, w piersi się uderzcie.

– Ale z tych starych grzechów jużem się wyświadczył, a nowych nijak jeszcze nie popełniłem – zbuntował się Antoś.

– No, gospodarzu, teraz grzeszycie pychą. Wszyscyśmy grzeszni. Żałujcie za to, żałujcie.

Antoś uderzył się w piersi, raz i drugi, zrobiłam to samo, skoro dobrodziej kazał, nic mi to jednak w głowie nie rozjaśniło. Mojemu mężowi chyba też nie, bo pytał dalej:

– A będzie jeszcze koniec świata?

– Będzie, tak mówi Pismo.

– A kiedy, dobrodziej? Bo pewnie trzeba by się przygotować. – Ach, jak go kochałam, tego mojego męża, który lubił być gotowy na wszystko. Pleban zerknął za siebie, do wnętrza plebanii, gdzie pewnie jakieś pieczone gołąbki mu stygły, i powiedział szybko:

– To jeden Pan Bóg wie. Zawsze musicie być gotowi. Módlcie się i za grzechy żałujcie!



Znowuśmy się w piersi uderzyli, tak wypadło. Wielebny odwrócił się, żeby wrócić do obiadu, a ja pociągnęłam Antosia za rękę.

Już prawie byliśmy przy furtce, gdy pleban zawołał z progu:

– Gospodarzu?

– Tak, dobrodzieju?

– Z was jest taki chłop pytający. To niedobrze, bardzo niedobrze.

Pokorę w sobie mieć musicie.

Antoś skłonił głowę, ja nie, skoro nie do mnie mówiono. Pochwaliliśmy Pana Boga i ruszyliśmy z powrotem do Naczachowa.

Pokora? Pierwsza rzecz, której się człowiek rodząc w wiejskiej chałupie uczy, to pokora. Grzechy? Modlimy się z Antosiem rano, z wieczora, w południe na Anioł Pański, pracujemy uczciwie, kłótni unikamy, pomagamy sąsiadom, spory rozstrzygać spieszymy, świętych szanujemy i co niedzielę chodzimy do kościoła, bośmy sobie postanowili, że chcemy żyć godnie i porządnie.

– Trzeba iść szybciej, bo ciemno nas tutaj złapie. – Antoś miał rację, już szarzało, tyle że nie z powodu końca świata, lecz dlatego, że dzień się kończył. Chwyciliśmy się za ręce i mocno przyspieszyliśmy kroku.

– Antoś, a jak ty myślisz? Ten koniec świata był tylko u nas, w Naczachowie?

– Na plebanii też przecież.

– Ale myślisz, że tylko u nas w parafii czy jeszcze gdzieś dalej? W naszej dawnej wsi? Na... Na świecie całym?

– Nie wiem, Hanuś. Może zawrócimy wielebnego spytać?

Ale mocniej mu rękę ścisnęłam i pociągnęłam za sobą. Po co zawracać? Pleban znowu każe w piersi się walić, z czego nic, poza

głuchym dudnieniem, nie przyjdzie.

– A czy to nie znaczy, że i pleban grzeszy? – spytałam. – Skoro i jemu ten znak się pokazał?

Antoś aż się przeżegnał na tę bezbożną myśl. Ja, po namyśle też. Lepiej Panu Bogu się nie narażać, gdy drzewa jawią się już mocno czarniawe na tle ołowianego nieba, a las tylko czyha, aż będziemy bezbronni. Ruszyliśmy szybciej.

Kilka lat wcześniej. Hanka od komornicy Jagnieszki

Z Antosia od Józwiaków zawsze był chłopak powolny. Zanim cokolwiek powiedział, dumał długo, bardzo długo, marszcząc czoło między odstającymi uszami.

– A Antoś myśli i myśli, i myśli! – śmiały się dzieciaki. Potrafiły to powtarzać przez kilka pacierzy, bo też i nikt nie myślał tak długo jak Antoś.

Nigdy się nie żalił, że mu dokuczają.

Nigdy się nie odszczekiwał.

Sam nikomu nie dokuczał. Myślał wolno, ale biegał szybko. Więc odbiegł czasem, żeby mieć spokój, i nikt go wtedy nie dogonił.

Wracał, kiedy chciał, wymyśliwszy.

I wtedy się okazywało, że co Antoś wymyślił, głupie nigdy nie było. A to zabawkę dziwną zrobił, z patyków i ze szmatki, inne nie latały na wietrze, a jego tak, wysoko. A to świstawkę ustrugał, inne piszczały i skrzeczały, a jego fiukała całkiem udatnie. A to wpadł na pomysł, gdzie kamulec wielki podeprzeć, by go podnieść i przetoczyć z pola, gdzie zawadzał, na miedzę, gdzie się przydawał do oznaczania granicy między łanami. Albo wymyślił, gdzie tamę na

strumieniu z kamieni postawić, żeby się głębiej zrobiło i żebyśmy mogli w południe podczas zniw popływać.

– A Antoś myśli i myśli, i myśli! – krzyczały nadal dzieciaki, ale już nie złośliwie, tylko czekając, co z tego myślenia wyjdzie.

Ja też byłam ciekawa, bardzo, najbardziej, dlatego krzyczałam najgłośniej. Ale dzieła Antosia podziwiałam z daleka, nie zagadywałam do niego, nie klepałam w plecy jak inni, bo mnie onieśmiał. I wcale nie dlatego, że był przyszłym parobkiem dworskim, najstarszym synem rataja, a ja tylko córką komornicy. Takimi różnicami akurat dzieciaki przejmowały się najmniej, gdy letnimi wieczorami wylegały na łąkę gromadzką bawić się i wrzeszczeć, z dużo większym zapalem niż podczas całodniowej harówki na pańskim albo swoim polu. Antoś onieśmiał mnie, bo taki był zmyślny. Tak się wtedy na wsi mawiało, bo „mądry” to o starym można powiedzieć, nie o dzieciaku przecież ledwie od ziemi odrosłym. A on był zmyślny, najzmyślniejszy ze wszystkich. To mnie najbardziej na świecie interesowało, co się tam u niego pod tym czołem wysokim między uszami odstającymi dzieje, że co i rusz na jakiś sprytny pomysł wpada, ale im bardziej mnie ciekawiło, tym mniej do niego miałam śmiałości zagadać, więc tylko z daleka popatrywałam.

Do czasu.

Zdarzyło się to tego wieczoru, gdy na gromadzkiej łące wśród kopek siana bawiliśmy się w chowanego, bo jak stały kopki, zawsze było chowanego. Szukać miał właśnie rudy Wicek, czekał z zamkniętymi oczami, aż się wszyscy pochowają, odmawiając jedno *Ojcze nasz* i jedno *Zdrowaś*, bo tak żeśmy czas odliczali przy tej zabawie. Każdy dzieciak już się ukryć zdążył, ja najbliżej Wicka, bo

wiedziałam, że poszukiwania zaczyna zawsze od najdalszych kopek, a gdy tam pójdzie, ja zaraz się zaklepię i wygram. Choć kryłam się blisko, biegłam jednak zawsze naokoło, żeby nikt mojego sposobu nie podpatrzył. „Szybka Hanka” – mówiły o mnie dzieciaki. Wszyscy już schować się zdążyli, tylko jeden Antoś od Józwiaków stał na środku, głowę przechylał i pewnie ciągle się zastanawiał, za którą kopką się ukryć. Wicek krzyknął, że zaraz oczy otwiera, a Antoś nadal stał. Wypadłam zza swojej kopki, za rękę go chwyciłam, pociągnęłam. W ostatniej chwili, akurat gdy Wicek krzyknął: „Szukam!”, Antoś wpadł w siano obok mnie i zamarł.

- Wymyśliłeś? – spytałam po dłuższej chwili.
- Chyba tak. Miałaś rację.
- Z czym?
- Że już się należało schować.

Wicek właśnie odszedł, żeby odnaleźć ukrytych najdalej, teraz właśnie miałam dobiec do wierzby i się zaklepać, że „raz, dwa, trzy, Hanka!”, i jak zwykle wygrać. Już się gramoliłam w górę, gdy zrozumiałam, że nie powinnam Antosia zostawiać w kopce, bo tak długo będzie rozważał, kiedy biec się zaklepać, że z kretesem przegra. Chwyciłam więc go od razu za rękę, żeby do wierzby za sobą pociągnąć, on też za rękę mnie ścisnął, ale wcale się nie podnosił. Z powrotem więc opadłam w kopkę i tak siedzieliśmy w przemożnym zapachu siana, a między naszymi dłońmi jakby ciepła rzeka przepływała, i nagle czemuś wydało mi się to ważniejsze niż wygrana.

- Wszyscy znaleźieni prócz Antka i Hanki! – wrzasnął Wicek.
- Hanki? – dziwili się wszyscy. – Hanka przecież zawsze pierwsza była.

– A Antoś od Józwiaków pewnie myśli.

– I myśli, i myśli, i myśli! – podchwyciły, zaśmiewając się, dzieciaki.

Wtedy Antoś, jakby się ze snu jakiego obudził, drgnął, spojrzął na mnie, potem na nasze dłonie splecione, ogrzane sobą wzajemnie. Puścił moją rękę, wygramolił się z kopki, stanął prosto obok, doskonale widoczny na tle ciemniejącego nieba.

– Raz, dwa, trzy, Antoś! – zaklepał go od razu Wicek.

Teraz już nie miałam szans wygrać, więc i ja wynurzyłam się z siana.

– Razem żeście siedzieli? Nic dziwnego, że tak cicho i tak długo. – Dzieciaki zaraz podchwyciły i zaczęły się prześmiewki. Na szczęście ciemno już się prawie zrobiło, więc na mojej twarzy nie było widać rumieńca, który właśnie grzał mi policzki. Miałam sto pomysłów, jak Wickowi odpyskować, ale co usta otworzyłam, to przypominała mi się ciepła rzeka między dłońmi i nie mówiłam nic, żeby tego wspomnienia prędkimi słowami nie przykryć.

Następnego wieczoru znowu poszłam na łąkę gromadzką, od razu za Antosiem się rozglądając, ale nigdzie go nie widziałam. Zabawa trwała, ale ani mi się wymyślać schowanek nie chciało, ani gonić, żeby się zaklepać jako pierwsza.

– Coś szybka Hanka dziś mało szybka – dogadał ktoś. Już się miałam odszczeknąć, gdy na tle ciągle jeszcze jasnego nieba zobaczyłam zbliżającą się chudą postać z dużymi uszami. Zaraz się odwróciłam, w drugą stronę spojrzałam, żeby nie wyszło, że to na niego czekałam przez cały wieczór.

– Antek ostatni przyszedł, to kryje! – krzyknęli wszyscy.



Twarz do wierzby przytulił, zaczął mamrotać pacierz, a mnie wmurowało w pół kroku, bo właśnie zrozumiałam, że Antoś już poznał mój sposób na chowanie się.

Ktoś syknął: „Hanka! Rusz się!”. Ktoś zachichotał, ktoś go uciszył. A ja stałam.

Antoś już do ostatniego „Amen” się zbliżał, a odmawiał pacierz powoli, solennie, nie jak inni, język z pośpiechu połykając, kiedy kucnęłam za pierwszą z brzegu kopką. I dopiero po chwili uświadomiłam sobie, że to ta sama, gdzieśmy się wczorajszego wieczoru za ręce trzymali. Co on sobie pomyśli? Że schowanka znaleźć nie umiem? Czy że wspomnień szukam?

Kiedy więc Antoś odwrócił się od wierzby, by zacząć się rozglądać, wstałam nagle zza kopki. I takeśmy na siebie patrzyli, zatopiliśmy się w patrzeniu na siebie, a słońce czerwieniło niebo, które pałało jak moje policzki.

– Te, Antek, zaklepujesz? – wrzasnął ktoś, chyba rudy Wicek.

– Raz, dwa, trzy, Wicek, za trzecią kopką z prawej! – Antoś zaraz popisał się zmyślnością, i znowu od wierzby się odwrócił, żeby spojrzeć na mnie, a ja, zamiast biec, szłam ku niemu, nie spuszczać z niego wzroku.

– A w co wy się bawicie? – zakrzyknęła któraś dziewczynka. – Zwariowaliście?

Antoś odwrócił się więc do wierzby.

– Raz, dwa... – zaczął.

– Trzy! – Doskoczyłam do pnia. – Hanka! Zaklepuję się!

Dopiero wtedy zobaczyłam, że zaklepując, dłoń Antosia przycisnęłam, a wtedy znowu pojawiła się między nami ta ciepła rzeka.

– Myślę, że... – zaczął Antoś, zagapił się na mnie, a wtedy ktoś inny się zaklepał, i kolejny, i kolejny.

Teraz Wicek krył, a myśmy, nie myśląc wiele, nie czekając do ostatniego „Amen”, zapadli w „naszą” kopkę. Niedługośmy się nią nacieszyli, bo Wicek poszedł do niej jak po sznurku i od razu nas znalazł.

Następnego dnia siano z gromadzkiej łąki zwieźliśmy, potem padać zaczęło, potem już ku żniwom się miało, więc skończyły się nasze zabawy w chowanego, ale przy różnych okazjach, na drodze, w kościele, przy rzece, często łapałam poważne i zamyślane spojrzenie Antosia. Dziwne to było dla mnie i niespotykane, dotychczas przecież szłam przez życie mało zauważana, bo kto by się przyglądał szybkiej Hance, córce komornicy Jagnieszki? Wiadomo, we wsi są ważni, ważniejsi i najmniej ważni, a już komornice ważne nie są wcale. A bo co taka komornica? Wiadomo, najgorsza biedota, ani chaty, ani ziemi, kątem u kogoś mieszka, w komorze albo i w sieni, a za kątem do spania i strawę ciężką pracą płaci, odrabiając za gospodarzy na pańskim, a potem i na ich polu, póki zdrowia starczy. Nam na razie starczało, tylko zdrowia nam starczało, tak po prawdzie. Poza gospodarzami niewiele kto uwagę na nas zwracał, na mnie, chudą dziewczyninę, która usiłowała zadbać o matulę, zgarbioną od pracy, z błękitnymi sznurami żył na łydkach, wiecznie zabieganą.

Tego jednak lata wszystko się nagle zmieniło, bo co prawda matula nadal przemykała po wiosce niewidzialna, ale na mnie, w tym moim szesnastym lecie życia, Antoś Józwiaków patrzeć zaczął, a zaraz po nim poczęli na mnie patrzeć wszyscy. Kobiety spoglądały na mnie zaskoczone, jakby mnie pierwszy raz widziały,

odwracały się potem smutne lub czemuś niezadowolone. Natomiast chłopcy, mężczyźni wcale się odwracać ode mnie nie chcieli, spojrzawszy raz, wzrok mocniej skupiali, żeby oczami wpijać się w moje ciało, w usta czy wycięcie koszuli, patrzyli na mnie z przodu, a i z tyłu, bo mnie to ich patwienie mocno w szyję, w tyłek, w łydki łaskotało, w tyłek najmocniej. Jeszcze niedawno przemykałam się przez wieś niezauważona, a teraz wszyscy wiedzieli, że idę, i wcale nie byłam pewna, czy mi się to podoba. Karbowy nagle zapamiętał, jak mam na imię i mnie pierwszej grabie dawał, a długo ich nie chciał z ręki wypuścić, i to nie podobało mi się w ogóle, ekonom wstrzymywał konia przy polu, ku mnie zerkał.

Niektórzy nie tylko patrzyli, bo na przykład syn naszych gospodarzy, siedemnastoletni Pietrek, osiłek już pod wężem, zawsze pierś czy plecy musnął mi niecierpliwą ręką, czasem na ścianę pchnął i przycisnął całym ciałem. Najpierw się przy tym śmiałam i otrząsałam, wystarczyło, lecz na krótko, potem się śmiałam i odpychałam go, śmiałam się, bo chciałam, żeby to były wygłupy podrostka, dlatego też matuli ani słowa o tym nie wspomniałam, bo od razu zaczęłaby się tym zamartwiać i nagle niecierpliwa ręka Pietrka pod moją koszulą stałaby się sprawą bardzo poważną. Gdy raz mnie, idącą za potrzebą, do ściany stodoły przyparł i mało się nie posikałam, próbując mu się wyrwać, poszłam do naszej komory zmienić spódnice, dobrze, że drugą miałam, a tamtą w wodzie namaczałam. Matula spytała, co się stało, skoro zaraz rano strój jak jakaś dziedziczka zmieniam. Schlapałam się, powiedziałam, gnojówką. Pociągnęła nosem i chyba uwierzyła, ale zaczęła mi się bardziej przyglądać, rzadziej samą puszczać z komory, i w końcu zauważyła to, czym tak bardzo nie chciałam jej martwić: Pietrek

przyparł mnie do drzwi i ręką pod spódnicą czegoś mi zaczął szukać, i znalazł, choć nogi zaciskałam. Gdy matula spojrzała, wycofał rękę, lecz dużo wolniej, niż bym chciała. Gdyśmy znalazły się z matulą same i ciągle otrząsałam się z obrzydzenia, matula stwierdziła:

– Mamy kłopot.

I dodała to, co sama wiedziałam: nie wolno mi syna gospodarzy zrazić, bo wtedy zaraz gospodarze każą nam się wynosić z komory. Dokąd wtedy pójdziemy? Wszyscy bogatsi we wsi mają już przecież swoje komornice, trzeba będzie za kij żebraczy chwycić.

– Miła mam być dla tego Pietrka? Naprawdę?

– Na tyle miła, żeby się nie obraził. Ale i nie za bardzo, żeby cię nie ukrzywdził, dzieciaka ci nie zrobił. Z tym trzeba bardzo uważać.

– To co mam robić?

– Trzeba będzie wydać cię za mąż – zdecydowała matula. – Im prędzej znikniesz stąd, tym lepiej. Czy jest we wsi ktoś, kogo sobie ulubiaś, a i on ci wzajemny? Bo i zmuszać bym cię za bardzo nie chciała, w życiu i tak niewiele radości mamy.

Wstyd mi było jakoś dziwnie, ale w końcu powiedziałam o Antosiu.

– Syn rataja? Parobczak z folwarku? – zdziwiła się matula. – Za wysokie progi na nasze nogi.

Bo rataje to zupełnie inna sprawa niż komornice! Wszystkie parobki dworskie miały przecież zawsze mieszkanie w czworakach, za pracę na pańskim dostawali mleko i zboże, czasem nawet groszy parę, gdy pan postanowił być łaskawszy. Mogli zbierać chrust w pańskim lesie, mogli sobie warzywo hodować przy czworakach i zwierzęta trzymać, dzięki temu nosili się godnie i nie głodowali, a w gorsze lata zawsze pan ich wspomógł, żeby sług nie tracić.

A poza tym rataje nie byli takimi sobie zwykłymi parobkami, co to do najbrudniejszych robót są brani, oni powozili wolim zaprzęgiem, a to już nie byle co! Więc dlatego matula dodała:

– Niżej się, córuś, rozejrzyj.

Kucnęłam.

– Co robisz?

– Niżej się rozglądam.

– Nie pyskuj, córuś. I nie żartuj z poważnych rzeczy. Ja życie znam, za wysoko nie ma co mierzyć, bo ból i zgryzota z tego tylko.

Ja jednak ciągle miałam przed oczami zamyślane spojrzenie Antosia i jego uszy śmieszne na tle ciemniejącego nieba, a w prawej dłoni ciągle jeszcze trwało wspomnienie ciepłej rzeki. Poza tym, i tego byłam pewna, z Antosia najzmyślniejszy chłopak we wsi jest, a ze mnie dziewczyna najbystrzejsza. Co też moglibyśmy razem wymyślić, gdybyśmy mieli okazję! A gdybyśmy mieli dużo tych okazji...

I dlatego właśnie stałam teraz po sumie pod kościołem i mówiłam do Antosia:

– Jeśli swatów do mnie nie pošlesz, głupi jednak będziesz. A jak się z tym spóźnisz, za innego pójdę.

Antoś nic nie odrzekł, zadumał się tylko, czoło zmarszczył, głowę przekrzywił, wpatrzył się we mnie, aż mi się nieswojo zrobiło, zaczerwienił się i odszedł. Zostałam jak ten dudek, co rzucił się na lisa. Może źle to powiedziałam? – zastanawiałam się. Może trzeba było innych słów użyć? Ale przecież miałam rację. Miałam rację, co on musiał w końcu zrozumieć. Tyle że u niego zawsze długo to trwało.



Matula z daleka tylko głową pokiwała i zaraz udała, że przykuca. Zrozumiałam. Ale usta zacisnęłam, bo się uparłam.

Tydzień trwało, bity tydzień, podczas którego Antosia nie oglądałam, bo nasze drogi się niechcący nie krzyżowały, sam do mnie nie przyszedł, a ja na chodzenie za nim miałam za dużo godności. Tydzień pracy, męskich spojrzeń, opędzania się od łap Pietrka i westchnień matuli. Aż nadeszła kolejna niedziela, kiedy weszliśmy z matulą do kościoła, nieco później niż reszta, dopiero po pieśni na rozpoczęcie, bo po śniadaniu naszych gospodarzy należało posprzątać, statki pomyć, brudną wodę wylać, świeżej nanieść, co swoje potrwać musiało. Ksiądz od ołtarza krzywe spojrzenie nam posłał, ale my po niedzielnemu przystrojone, tylko się wyprostowałyśmy i poszłyśmy tam, skąd wiejska biedota mszy słuchała. Spojrzałam na ławki, gdzie siedzieli parobki z rodzinami, rataje także, wiadomo, i kiedy te uszy zobaczyłam, te ramiona jeszcze niedawno szczupłe, a teraz rozrośnięte, te włosy niesforne, aż mi się słabo z przejęcia zrobiło. A Antoś, dziwnym uczuciem jakimś wiedziony, odwrócił się i zaraz mnie wzrokiem wyłuskał z tłumy. I znowu ciepła rzeka między nami przepłynęła, z oczu do oczu.

– Nie gap się. – Stuknęła mnie matulka.

Po mszy czekał na mnie, wiedziałam, że na mnie, bo stał trochę z boku i wpatrywał się w tłum wychodzących. Podeszłam. Zaczerwienił się.

– A dlaczego? – spytał tylko, jakby od mojego pytania nie minęło siedem dni, tylko kilka chwil.

– Nie widzisz, że oboje najbystrzejsi we wsi jesteśmy? Nie widzisz tego? Wiesz, ile moglibyśmy razem zdziałać? Dwie takie mądrale?

– Wiem, że jesteś bystrą dziewczyną – powiedział cicho.

– A skąd wiesz? – ucieszyłam się.

– Patrzę przecież na ciebie.

Teraz jednak w ziemię się wpatrywał, na twarzy mocno czerwony.

Postałam z nim jeszcze chwilę, czekając, żeby coś jeszcze powiedział, ale zamilkł, zatem do matuli odeszłam.

– I co? O rękę cię chyba nie poprosił?

Wzruszyłam ramionami. Nadzieja, z którą całą sumę przemodliłam, z którą z pochwały się ucieszyłam, gdzieś umknęła i zostawiła mnie pustą i smutną. Spojrzałam ku Antosiowi, czy jeszcze w ziemię się gapi, ale już go tam nie było.

I tak minął następny tydzień, matula coraz bardziej napierała, żebym coś postanowiła, ja coraz bardziej upierałam się, że jeśli nie ten rataja syn, to nikt, Antoś jednak milczał, a prędkie łapy Pietrka coraz częściej drogi do mnie szukały. Natarczywy się taki stał, że gdy któregoś ranka rękę mi pod koszulę wsadził, walnęłam go w gębę na odlew. Aż jęknął, ale paluchy zabrał, bo musiał się za twarz złapać. Zamarłam, że się gnojek obrazi, a my nie będziemy miały gdzie spać, ale tylko się roześmiał i powiedział, że jestem dzika jak ich kotka, przez co mu jeszcze przyjemniej, i rechocząc odszedł. Wiedziałam, że następnym razem będzie gorzej.

Znowu nadeszła niedziela, ale tym razem wlokłam się do kościoła zupełnie jak na pole, bez radości. Gdy wychodziłyśmy z naszej komory, matula jeszcze mnie w drzwiach zatrzymała.

– Warkocze popraw – rzuciła.

Nie miałam ochoty, sama więc powsadzała mi wypadające kosmyki, warkocze upięła i kwiatów w nie nawtykała.

– Im gorzej w sercu, tym godniej trzeba wyglądać. Wyprostuj się!  
Ani myślałam. Co za znaczenie mają warkocze, kwiatki, plecy proste, gdy życie mi się w gruzy wali?

W kościele widok Antosia z rodziną na ławce dla ratajów żalność taką we mnie wzbudził, że aż nosem pociągnęłam. Matula mnie za rękę złapała, głową pokręciła. Antoś nawet się na mnie nie obejrzał. I tyle zostało z ciepłej rzeki między naszymi dłońmi.

Po sumie zostałam w kościele i modliłam się długo, żeby mi Mateńka Najświętsza jakąś dobrą radę podsunęła albo przynajmniej tęsknotę z serca odjęła, a łzy z oczu płynęły same. Wreszcie otarłam twarz, wyprostowałam się, jak matula kazała, i wyszłam z kościoła, jako ostatnia chyba. I nagle zobaczyłam, że Antoś stoi tam, gdzie tydzień temu. Na mój widok drgnął, zaczerwienił się. Skręcić chciałam, żeby już obok niego nie przechodzić, niech sobie chłopak nie wyobraża, że córce komornicy brakuje godności, ale Antoś, nie myśląc długo, przyskoczył i drogę mi zastąpił.

– Przemyślałeś? – Nie odmówiłam sobie złościwości.

– Tak. I masz rację.

– Z czym?

– Że najbystrzejsi we wsi jesteśmy. I z tym drugim też masz rację.

– Z czym?

– Że głupi bym był, gdybym nie chciał swatów do ciebie słać.

Widziałam, że o parę kroków od nas matula zgaduje się z innymi komornicami, dziwnym trafem z tymi, które mają synów w odpowiednim wieku. Widziałam też, jak Pietrek, syn naszych gospodarzy, stoi u boku swojego ojca i jak rozmawiają obaj z innymi bogatszymi gospodarzami, widziałam, jak dzieci biegają,

jak pleban z dziedziczką rozmawiają, wszystko widziałam, tylko na Antosia nie patrzyłam. Drżałam.

– A nie jestem głupi, przecież wiesz, Hanka.

Dopiero teraz spojrzałam na niego.

– Mam nadzieję.

A i on teraz podniósł wzrok na mnie. I znowu zatopiłam się w tych oczach i tacyśmy stali, całkiem czerwoni, aż w końcu przerwałam ciszę.

– Ale czy twoi się zgodzą?

– Też się tego boję.

– I nic jeszcze z tym nie zrobiłeś?!

Już na mnie nie patrzył.

Matula dawała mi znaki, żebym do niej podeszła, ale ja nic, czekałam, aż Antoś odpowie.

– Będę myślał – rzucił w końcu, co wcale mi się nie spodobało, i każde z nas poszło w swoją stronę.

Matula przez resztę niedzieli marudziła.

– Po co sobie głowę ratajczykiem zawracasz? Jego ojciec z matką na córkę komornicy się nie zgodzą. A ja wam nie pozwolę bez błogosławieństwa jego rodziców się pobierać. Bo wtedy i mojego nie dostaniecie.

Cóż, od zawsze wiedziałam, że ślub to sprawa dużo poważniejsza niż ciepła rzeka płynąca między dłońmi. Poważniejsza, bo na całe życie.

– Syn Henrykowej w tym roku osiemnaście wiosen skończył – odpowiedziała matula. – Pewnie nawet dostanie od dziedzica kawałek gruntu, jeśli szybko się ze zdrową dziewczyną ożeni i będzie miał dzieci. Raz-dwa sobie jako taką chatkę postawicie,

z pańszczyzną we dwoje uradzicie, zaraz dzieci przyjdą, to was w pracy wspomogą. Chłopak postawny, pracowity, niepijący. Czego chcecie więcej?

W poniedziałek zeszłam więc na chwilę z pańskiego pastwiska, zostawiając krowiny na łasce boskiej i innych pastuchów, żeby na pańskim polu przyjrzeć się lepiej temu synowi Henrykowej. Postawny, istotnie. Pracowity, zapewne. Niepijący, być może. Spozstrzegawczy – na pewno, bo gdy mnie zauważył, rękę podniósł, zamachał. Uśmiechnęłam się krzywo, odwróciłam na pięcie i poszłam.

Ale daleko nie uszłam, bo mnie dognał.

– Witaj, Hanka.

Powiódł spojrzeniem po moim ciele, zatrzymując wzrok dłużej w wycięciu koszuli. Zebrałam ją palcami, odgrodziłam się przedramieniem od jego spojrzenia. Twarz miał okrągłą i gładką, oczka nieduże, czuprynę gęstą, dłonie wielkie i spracowane, młody był, ale zgarbiony od ciężkiej pracy, matula by pewnie powiedziała, że to dobrze wróży na przyszłość, pachniał ziemią i potem, co czułam aż za dobrze, bo stał blisko. Za blisko.

– Matula mówi, że szkoda pieniędzy na swatów, sami się zmówić i dogadać możemy.

Milczałam.

– A pieniądz przyda się przecież potem – dorzucił. Niby brzmiało rozsądnie, ale ciągle mi się gadać z nim nie chciało. Patrząc na niego też nie.

– Nasze matule już wszystko dogadały, ja po ślubie dostanę od pana ziemię w użytkowanie, może i dziesięć mórg, starczy na nas i na dzieci. – Teraz mi na biodra spojrział, ale już nie miałam wolnej



ręki, żeby się osłonić. – Pańszczyzny na początek mniej nam do odrabiania dadzą. Twoja matula mówi, że pracowita jesteś, silna. Dobrze nam będzie razem. A teraz odprowadzę cię do domu.

Nawet nie spytał, czybym chciała. Nie chciałam. Ale nic nie mówiłam, przecież niedługo będę z nim mieszkać, żur mu gotować, spać na jednym sienniku. I nijak już się przed nim nie odgradzę.

Pożegnał mnie na skraju wioski, przy Bożej Męce, dalej iść nie chciał, żeby mnie ludzie na języki nie wzięli.

No i nie było ratunku, nadziei też nie. Matule się zgadały, ja już nie protestowałam, choć cierpiałam. W sobotę mieliśmy iść z synem Henrykowej do ekonoma po pozwolenie na ślub. Kiedyś pozwolenia dawał dziedzic, ale teraz niedomagał i głowy do tego nie miał. Od niedzieli miały iść zapowiedzi, bo i na co tu czekać, gdy łapy Pietrka coraz bardziej się ku mnie wyciągają. Jak usłyszy zapowiedzi z ambony, może się powstrzyma, a potem już mnie tu nie będzie. W nocy z piątku na sobotę nie spałam, rano płakałam, po pracy się modliłam, nawet, żeby było uroczyściej, z tą modlitwą do kościoła pobiegłam. Tam z godzinę klęczałam, błagałam, najdłużej Najświętszą Panienkę, już ona coś o mężach wiedziała, ale nie ulżyła mi w troskach.

No a potem trzeba było warkocze poprawić i iść do ekonoma, gdzie się miała spotkać z synem Henrykowej (Wojtek, Wojtek mu jest, nie powinnam zapominać). Ekonom będzie nas o różne rzeczy pytał, a potem zgody udzieli, bo dlaczego miałby nie udzielić, tyle wiedziałam. Co tu robić, co tu robić, ciągle się zastanawiałam. A może iść przedtem, do nóg mu się rzucić, żeby potem, przy Wojtku, odmówił? To był dobry zamysł, najlepszy. Spróbuję czegokolwiek, żeby nie iść jak ta owieczka na rzeź. Lecę, pędzę. Pod

nogi ekonoma podjąć? Chyba tak. Popłakać się? Już teraz mi się płakać chciało. Już prawie dochodziłam do bramy czeladnej dworu, gdy pod murem ujrzałam sylwetkę mężczyzny. On mnie nie widział, bo w niebo się gapił, na jego odstających uszach zachód wygrywał różne kolory, makowy, nagietkowy, i po tych uszach poznałam, że to nie Wojtek. Podeszłam, dotknęłam jego ramienia. Patrzyła na mnie szczerą, opalona twarz między odstającymi uszami.

– Wymyśliłem – powiedział Antoś.

– Co?

– Wszyscy wierzą w znaki, prawda? Damy im znak.

– Ale jaki?

– Nie ma czasu na gadanie. Kiedy ten twój Wojtek ma tu być?

– To nie jest żaden mój Wojtek!

– Wchodzimy. I to ja będę mówił.

Nie chciałam na to pozwalać, przecież nie zdążę się już ekonomowi do stóp rzucić. Ale gdy Antoś złapał mnie za rękę i opłynęła mnie ciepła rzeka, zmiękłam od razu, zaufałam. Weszliśmy.

– Witajcie, panie ekonomie, my po pozwolenie na ślub – odezwał się Antoś od razu. Możliwe, że wtedy rozwarłam usta i możliwe, że tak stałam przez dłuższy czas, z zadziwienia.

– Jak cię zwał? – spytał ekonom.

– A Antoni Józwiak, syn rataja.

– A twoją dziewczuchę? – I przeniósł spojrzenie na mnie.

Zacisnęłam usta.

– Hanka. Hanka od komornicy Jagnieszki.

– Taką biedę bierzesz, ty, ratajów syn?

– Miłujemy się, wielmożny panie – odpowiedział Antoś.

I tak, przed okrągłą, czerwoną gębą ekonoma, w jego śmierdzącym fajką kantorku, usłyszałam to słowo od Antosia po raz pierwszy. Miłujemy się. Tak, to była prawda, którą chciałam żyć. I zaraz do tego życia nabrałam odwagi.

Ekonom na Antosia spojrzął, głową kiwnął, że zdalny do zeniaczki, potem wstał zza stołu, do mnie podszedł. Spuściłam wzrok, ale wziął mnie pod brodę, w oczy zajrzał, szczękę w dół ściągnął, na zęby spojrzął, kibici, biodrom się przypatrzył, choć dałabym głowę, że ostatnimi czasy już je dobrze zapamiętać zdołał, gdy na nas przy pracy patrzył. Nic jednak nie mówiłam, pozwolenie na ślub normalna sprawa, więc trzeba wytrzymać oglądanie. Nie puszczając mojej brody, ekonom spytał:

– A krwawisz regularnie?

Zmieszałam się, ale co miałam zrobić, jak pan pytał?

– Tak, panie.

– Nie kaszlesz?

– Nie, panie.

– Biedna, ale zdrowa jesteś.

– Tak, panie.

– Czyli rychło zdrowe dzieci porodzisz i będzie miał kto pracować na pańskim. I dobrze, że młodo za chłopą idziesz, lepiej młodo, niż dopiero jak cię ktoś popsuje. No, idźcie sobie, mam robotę. – W tyłek mnie klepnął jak swoją kobyłę. – Poślę kartkę do parafii, od jutra czekajcie zapowiedzi.

Wyszliśmy, Pana Boga pochwaliwszy jak należy, ale gdy tylko odeszliśmy na przyzwoitą odległość, napadłam na Antosia.

– Co myśmy właśnie zrobili?! Przecież zaraz się wszystko wyda.

– Jutro się wyda, gdy ksiądz w kościele zapowiedzi przeczyta. Wszyscy pomyślą, że to znak. Znak od Pana Boga, bo z ambony wygłoszony. Moi wierzą w znaki.

– Ale co ja teraz synowi Henrykowej powiem?

– Coś wymyślisz, wiem o tym. I nikomu ani słowa aż do zapowiedzi.

I poszedł, chuda sylwetka z wielkimi uszami na tle czerwieniejącego pod zachód nieba, a ja patrzyłam za nim.

W niedzielę na sumie wysiedzieć nie mogłam. Zapowiedzi pleban czytał zawsze na koniec, po tym całym długim łacińskim gadaniu i śpiewaniu, z tego gadania prawie nic dzisiaj nie słyszałam, bo w środku drżałam cała. Henrykowa ku matuli popatrywała, matula na nią, uradowane uśmiechały się do siebie, Wojtek ślepił na mnie z męskiego końca kościoła, tam, gdzie wiejska biedota stała. Wczoraj poczekałam na niego pod folwarczną bramą. Kiedy się zjawił z włosami na mokro przylizanymi, odezwałam się od razu.

– Za tydzień pójdźmy po pozwolenie, dzisiaj źle się czuję.

– Chora jesteś?

– Takie tam babskie sprawy, wiesz.

Nie wiedział, ale i nie dopytywał, babskie sprawy chłopów onieśmielają. Spytał tylko o jedno:

– Co ja matuli powiem?

– Bystry jesteś, coś wymyślisz.

Ucieszył się, że go nazwałam byстрыm, i poszedł do domu, pogwizdując, bo powiedziałam, że przy tych babskich dolegliwościach to lepiej, żeby mnie do domu nie odprowadzał. Głupio mi trochę było, bo chłopak był z niego dobry, starał się, włosy na mokro uczesał, do ekonoma się nie spóźnił, no i szanował

babskie dolegliwości. Głupio mi było, ale nie chciałam z tego powodu przeżyć z nim życia.

No i już nadszedł koniec łacińskiego gadania tyłem do nas, przodem do ołtarza. Teraz ksiądz na ambonę się wdrapał, księgę jakąś przytachał, spojrział na wiernych, księgę otworzył. Trzęsłam się. Palcem po stronicy powiódł, głową kiwnął, wyczytał:

– Antoni Józwiaków i Hanna od komornicy Jagnieszki: zapowiedzi pierwsze. – W kościele naraz cisza zapadła, a potem szum się podniósł, wielu od nas z wioski i z wioski Henrykowej już bowiem słyszało, że za Wojtka mam iść.

Matulka spojrzała na mnie zła i zadziwiona. Wzruszyłam ramionami. Henrykowa na nas popatrywała z daleka, Wojtek czoło zmarszczył. Jeszcześmy głowy pochylili na spirytus sanktus, jeszcześmy pieśń na pożegnanie zagrzmieni, śpiewałam długo, żeby odwlec trudne chwile, ale matulka już mnie do wyjścia ciągnęła.

– Hanka, masz z tym coś wspólnego? – spytała.

– Możliwe, że to znak od Pana Boga. – Jeszcze nie skończyłam tego mówić, a już wiedziałam, że nie brzmi to dobrze.

– Nawet mi takich rzeczy nie gadaj.

– Ekonom się pomylił.

– Ale dlaczego?!

– Bo tak Antoś wymyślił. A ja się zgodziłam. – Rzuciłam się na głęboką wodę. – Miłujemy się, matulku.

Matula usta zacisnęła, potem rozwarła, coś chciała powiedzieć, ale zaraz ciżba wychodząca z kościoła wyrzuciła z siebie Henrykową. Matulka kazała mi odejść, pewnie bała się mojej niewyparzonej gęby. Poszłam więc i już z daleka dostrzegłam, że będę musiała stawić czoła większej groźbie, bo tuż za rzędem

dziadów proszalnych stali: Antoś, jego matka z ojcem i jego dwóch młodszych braci. Wszyscy wpatrywali się we mnie, jakbym była krową, co weszła w szkodę. Odwzajemniłam im spojrzenie, głowy nie spuszczałam, choć drżałam cała. Stałam przed nimi i dopiero wtedy głowę skłoniłam.

– Pochwalony – powiedziałam do Antosia i do całej jego rodziny. Obiecałam sobie, że strachu ni konfuzji po mnie nie zobaczą.

– Pochwalony. Wiesz coś, Hanka, o tych zapowiedziach? Bo niektórzy mówią, że to znak – spytał od razu ojciec Antosia. – Znak od Pana Boga, że powinniście być razem.

Mów prawdę, pomyślał wtedy Antoś. Hanka, mów prawdę.

– Wiem. Byliśmy z Antosiem u ekonoma razem.

Ojciec Józwiak spojrział na Antosia, pokiwał głową.

– Nie zełgałaś.

Spojrział mi w oczy.

– Tak, prawdę mówię. – Wytrzymałam jego spojrzenie. Potem spojrzałam na matkę Antosia, patrzyła na mnie, jakbym była postawem podartego sukna na sprzedaż, jakbym była jałową niwą do obsiania. – Widzę, że niezbyt mi jesteście łaskawi, Józwiakowie. Wasze prawo. Ale ja na was patrzę z szacunkiem, bo Antosia miłuję, a on miłuje mnie. Przyszłam wam powiedzieć, że wbrew waszej woli nic robić nie będę, bo tak się nie godzi, a ja swój honor mam. Żegnaj, Antosiu.

Pocałowałam go w policzek, pierwszy raz w życiu go pocałowałam, skórę miał szorstką i chłodną, głowę przed Józwiakami skłoniłam i odeszłam do kościelnej bramy. Głowę miałam spuszczoną, ale zaraz uniosłam ją, wyprostowałam się i szłam dumna jak dziedziczka.

Płakać zaczęłam dopiero potem.

– Ratajczyk, co? – powiedział Pietrek gospodarzów, który przyłapał mnie w furtce. Dobrze, że zdążyłam oczy osuszyć. – Już cię swędzi, że się za mąż będziesz wydawać?

Ale z jakąś mniejszą śmiałością mnie podchodził, raczej dotykał mnie w ramiona i plecy, niż pod spódnicą szukał, nie pchał się za mną do komory. Schroniłam się więc tam i płakałam w siennik, aż matula wróciła.

– I co ja mam z tobą teraz począć? Powiedziałam Henrykowej i Wojtkowi, że ksiądz się musiał pomylić.

– Uwierzyli?

– Nie. Raczej nie, ale udają, że wierzą. Oni już wszystko zaplanowali, chcą cię, Hanuś.

– Matulko, nie pójdę za Wojtka.

– Dlaczego? Dobry, pracowity, uszanuje cię. I chce. Oboje dzieci komornic, będziecie sobie równi, nikt ci niczego nie wypomni, razem zapracujecie na dobro dla swoich dzieci.

Aż się wzdrygnęłam na te dzieci z Wojtkiem.

– Ale ja Antosia miłuję.

– Miłowanie odchodzi, mąż zostanie.

– Nie wiesz tego przecież, matulko.

I płakać zaczęła. Jak mogłam być tak okrutna? Czy to jej wina, że ojciec mój zaraz po ożenku życie stracił? Że go drzewo na dziedzicowej porębie przygniotło? Matula starała się mnie wyżywić, wychować najlepiej, jak potrafiła, choć całe życie do obcych na posługi chodziła, robiła wszystko, żeby mnie było lepiej na świecie, a ja jej mówię takie rzeczy. Przytuliłam ją, po plecach gładziłam, no ćśśś, no ćśśś, jak ona kiedyś w płaczu mnie uspokajała.



Wyplakała się, oczy, nos otarła.

– Dziecko, dziecko! Józwiakowie za nic się na taką synową nie zgodzą, Wojtka sobie zrazisz, a jak będziesz bez opieki, w łapy Pietrka wpadniesz i zaraz podzielisz mój los – komornica z dzieckiem. Nie chcę tego dla ciebie, córuś! Nie daj sobie tego zrobić! Posłuchaj matki!

Kogo słuchać? Matulki czy serca? Do tej pory jednym głosem mówiły.

Ubrałam się skromnie, warkocze na gładko przeplotłam, tę lepszą koszulę i niedzielną spódnicę wdziałam i pod koniec poniedziałku do Józwiaków zaszłam, do dworskich czworaków. Akurat na przyzbie siedzieli, wieczornym chłodem się cieszyli, nogom odpocząć dawali. Antoś stał z innymi parobczakami, poświstywali jakąś melodyjkę. Na mój widok od razu oderwał się od płota, przypadł do mnie.

– Hanka, co ty...

– Teraz ty mi pozwól działać.

Przeszłam obok niego, dygnęłam przed Józwiakami.

– Dobry wam wieczór.

– I tobie dobry, dziecko. Czego chcesz?

– Żebyście mnie wysłuchali.

Spojrzeli na siebie, potem na mnie. Kiwnęli głowami.

Nogi mi dygotały, w piersi dusiło, więc zaczęłam drżącym głosem, przełykając co chwila ślinę.

– Józwiakowie, ja wiem, że dobrze wybrana żona może rodzinę w górę podnieść, majątkiem, pracowitością, rodziną wreszcie, która

po ślubie staje się swoja, i od tej pory wspierać się z nimi należy, nie tak jak z tymi jednej krwi, to zrozumiałe, ale zawsze.

Pokiwali głowami, bo trudno się było nie zgodzić. A ja chciałam mówić rzeczy, z którymi będą się zgadzać, niech zobaczą, że myślimy podobnie, choć różnie żyjemy. Więc, już nieco spokojniejsza, ciągnęłam:

– Wiem, że nierozważnie wybrana żona może też i chłopaka, a za nim wszystkich jego bliskich, w dół pociągnąć, gdy nierobotna, gdy po wsi lata zamiast domu pilnować, a zwłaszcza gdy jej rodzina, zamiast w pracy pomagać, siedzi im na garnuszku. Dzieci tak źle dobranej pary mają gorzej, niż mieli oni sami, a tak się nie godzi, bo żyjemy po to, by nasze dzieci miały lepiej niż my, a wtedy może któreś prawnuki będą miały po prostu dobrze.

Znowu pokiwali głowami. Już mnie lubili. Już żeśmy się rozumieli.

– Może się wam wydaje, że nie nadaję się na synową. Matkę mam tylko i nawet jeśli się do waszej komory sprowadzi, to dużo nie zje, a dużo pomoże. Ale się nie sprowadzi, moja matulka dumna jest i całe życie sama sobie radzi. I mnie tego nauczyła. Pracować umiem i lubię, chcę, żeby moje dzieci miały lepiej niż ja. Ja w dół was nie pociągnę, ale całym życiem będę wam udowadniać, żeście słusznie nas pobłogosławili. – Ojciec Antosia już usta otwierał, żeby zaprotestować, więc zrozumiałam, że popełniłam błąd. – Gdybyście to kiedyś uczynili.

– A czemu ty się tak napierasz? Przy nadziei jesteś? – spytała matka Antosia.

Spojrzałam jej prosto w oczy.

– Nie. Nigdy z nikim się nie kładłam. Antosia miłuję, ale swój rozum mam i nie chcę losu matulki powtarzać. Chcę żyć godnie i zgodnie z Bożymi przykazaniami. Wiem, że takie życie moglibyśmy wieść z Antosiem.

– Mówili, że masz iść za syna Henrykowej, komornicy.

– Tak chce matulka. Ale ja tamtego nie kocham.

– Twoja matka woli dla ciebie innego męża niż nasz Antoś?

– A tak, bo szuka wśród równych sobie. Wśród tych, co wyżej, nie śmie.

Pochlebiałam im, to było widać.

Poczekać mi na przyzbie kazali i zaraz całą rodziną do swojej izby poszli, szeptać poczęli, ale chłop to jest takie stworzenie, co mu szept zaraz w głos się zmienia, dlatego wszystko przez okno słyszałam. A nie było to miłe, o nie.

– Wygadana ta twoja dziewczyna – powiedział wtedy ojciec Antosia. – Bardzo wygadana.

– Pokory nijakiej w sobie nie ma, jakby się dziedziczką rodziła – dorzuciła matula.

Gdybym była pokorna, pewnie by powiedzieli, że się poniżam, przez co z daleka na córkę komornicy wyglądam. Tak źle, i tak niedobrze.

No i teraz się zaczęło.

– Synuś, no co ty?! Żebraczkę chcesz brać?!

– Ta jej matka ledwie koniec z końcem wiąże. Teraz będziemy mieć obie na utrzymaniu.

– Po co ci dziewczucha z biedoty? Masz szansę wyżej pójść. Przecież Jadźka zawsze do ciebie słodkie oczy robiła.

Jadźka była córką młynarza, a młynarz – wiadomo, zawsze we wsi najbogatszy, tak jak i kowal. Związać się z młynarzem, to zapewnić rodzinie byt już na zawsze.

– Jadźka miła dziewczyna, ale to Hanke sobie upodobałem.

– Wiele jest we wsi piękniejszych. A na pewno zamożniejszych. A ona ma tyle, co na grzbiecie. A i to podarte.

– Wyście przed ślubem też bogata nie byli, matulko. – Antoś zamilkł na chwilę, potem dodał: – Jesteśmy zupełnie tacy sami jak wy. Ja, syn rataja. Hanka biedna z domu, ale mądra, sprytna, gospodarna. I byłoby mi z nią tak samo dobrze, jak wam z ojcem, wiem o tym.

– A przemyśleć tego nie musisz? – zachichotał Marcyś, Antosia brat.

– A ty cicho, bo nic z tego nie rozumiesz. Ożenię się z nią, tak czy siak. Pozwolicie czy nie. Powiedziałem.

W izbie Józwiaków zapadła cisza i nie była ona dobra, o nie.

Nie czekałam już na nic, wpadłam tam, głowę przed rodzicami Antosia pochyliłam, ale zaraz im w oczy spojrzałam i krzyknęłam:

– Bądźcie spokojni, Józwiakowie! Jeśli wy nas nie pobłogosławicie, to i moja matula też nam błogosławieństwa nie da, tak mi zapowiedziała. Szkoda, bardzo szkoda. Bo się miłujemy, a takie miłowanie często się na świecie nie zdarza. Bo podobni sobie z Antosiem jesteśmy i wiem, że mielibyśmy bystre, śmiałe dzieci. Ale wam się sprzeciwić nie chcę, mojej matulce też nie. Przeżyję życie w smutku, ale swój honor mam, i też jest dla mnie ważny. Antosiu, ja tak nie chcę. Nie będę oszukiwać, grozić też nikomu nie będę. Żegnajcie.

Chciałam wyjść godnie z izby, ale łzy mi się po twarzy puściły. Odwróciłam się więc szybko i wybiegłam, daleko jednak nie dotarłam, bo prawie w drzwiach zderzyłam się z folwarcznymi, którzy zebrali się opodal, widać z tych wieczornych nudów chcieli posłuchać historii o cudzym życiu. No, to mieli uciechę z mojego cierpienia i poniżenia.

Przeciskałam się między nimi, żeby pójść jak najdalej i jak najszybciej, gdy ktoś mnie dognał, za ramię chwycił, czystą szmatkę do ręki włożył. Otarłam nią łzy, spojrzałam. Matka Antosia. Patrzyła na mnie jak ksiądz, gdy ślepił w księgę z ogłoszeniami parafialnymi, czujnie i badawczo. Łzy mi dalej z oczu płynęły, starałam się je powstrzymać, ale i tak nie słuchały, robiły swoje. Znowu uniosłam szmatkę do twarzy, wytarłam.

– Wypiorę i odniosę – powiedziałam, gotowa przeciskać się między ludźmi.

– Poczekaj. Ty... Wiesz co, przyjdź z matulą. Pogadamy. Ja... Nic tam, przyjdźcie.

Nie rozumiałam. Wtedy przez ciżbę dotarł do nas ojciec Antosia.

– Przyjdź, Hanka, z matką. Zapowiedzi pierwsze już były, swatów słać nie ma sensu, ale parę rzeczy warto obgadać.

Nie umiałam uwierzyć, łzy też nie bardzo.

I wreszcie dotarł do nas Antoś.

– Hanuś, oni się zgadzają! Matula i ojciec nas pobłogosławią!

I zaraz mnie w ramiona chwycił, jak nie on, od razu, już nie zastanawiając się nad niczym, i pierwszy raz w życiu pocałowaliśmy się właśnie wtedy, na ludzi innych nie bacząc.

W posagu dostałam garść miedziaków, tuzin jaj, kawałek sera, poduszeczkę niedużą, co mi ją matula sama uszyła i wypchała, pewnie puchu gęsiego trochę gospodarzom naszym podebrała, wstążkę i wianuszek z kwiatów, który na zesłą Matkę Boską Zielną uplotła. Wszystko oblałam łzami, bo może dla innego byłoby to tyle co nic, ale dla mojego matczyska to majątek.

Ślub odbył się w ciszy i bez większego zamieszania, bo rodzice wspólnie uznali, że nie ma co się wykosztowywać na wesele, lepiej nam potem pomóc.

Gdy przenosiłam się do męża, matula moja kilka łez uroniła, a na następny dzień przyszła zobaczyć, jak się miewam. Teściowa się skrzywiła, widziałam, ale przecież matulka na chwilę tylko zajrzała upewnić się, że mi dobrze, i nie musiała się długo upewniać, bo uśmiech nie schodził mi z twarzy. Przytuliliśmy się i już musiała wychodzić, bo pracy u gospodarzy przecież po moim odejściu jej przybyło. A ja zaraz wpadłam po uszy w nowe, nieznane mi życie.

Brat Antosia, Marcyś, przeniósł się ze spaniem na siennik rozkładany na noc na podłodze, a ja trafiłam do męża na ławę, gdzieśmy spali wtuleni w siebie jak kurczęta w kojcu, z ciasnoty i uczucia, i nigdy nie było nam dość blisko. Uczyłam się nowego domu, nowych odgłosów, nowych zwyczajów, do ciasnoty przyzwyczajona, do pracy wprawiona, do miłości ciekawa, och, jak bardzo ciekawa. Uczyłam się nowych ludzi, nowych słów, nowych garnków, nowej podłogi, wspólnej dla czworaków kuchni, która mi nie zawadzała, bo przedtem też dzieliłyśmy piec z gospodarzami i na swoją kolej musiałyśmy czekać, tu tylko nikt nie śmiał mnie odpychać. Ale najszybciej, najmocniej i najchętniej uczyłam się w nocy Antosia, a on uczył się mnie.

Dopiero po tygodniu uświadomiłam sobie, że matuli od dawna nie widziałam. I jak się tylko obrobiłam, zaraz do niej pobiegłam.

Gdy wchodziłam do obejścia, gdzieśmy spędziły ostatnie lata, Pietrek mnie powitał krzywym uśmiechem, ale już nie śmiał na ścianę mnie pchać ani dotykać, skoro byłam poślubiona innemu, i to Antoś mógłby mieć pretensje o zaczepki. Wyminęłam drania bez słowa i weszłam do naszej komory. Patrząc, a tu matula leży na sienniku, oczy zamknięte, choć nie noc przecież jeszcze. Przypadłam do niej.

– Matulu, co ci?

Oczy otworzyła, przetarła trochę.

– A tak mnie jakoś wzięło. Zmęczona jestem.

– Jadłaś coś?

– Nie głodnam wcale.

– Kompotu się napijesz?

– Mam.

– Zupy? Z domu przyniosę.

– Mnie tam nic nie trzeba. Poleżeć tylko.

– Coś cię boli?

– Zmęczona jestem. Gospodyni pozwoliła, nic do jutra robić nie muszę. Jednak czasem nie tacy źli z nich ludzie.

– Zabiorę cię do nas.

– A gdzie mnie tam z wami wszystkimi. Tu zostanę.

Jagnieszka, komornica

Sparło mnie jakie dwa dni po tym, jak zobaczyłam, że moja Hanka dobrze z mężem, z teściami trafiła. Że zadowolona. Że lepiej jej tam będzie. Właśnie kopałam ziemniaki u gospodarzy, graczka



i w ziemię, rozgrzebać, wybierać, do płachty wrzucić, szybko, sprawnie, gdy zrozumiałam, że już nie muszę szybko, sprawnie, że już nic nie muszę, nie muszę kartofla czy dwóch za pazuchą chować, żeby dla Hanki na wieczór mieć, bo tylko ja będę głodna, nie muszę się z pracą spieszyć, bo tylko na mnie będą krzyczeć. Nie muszę już Hanki karmić ani odziewać, ogrzewać ani przed Pietrkiem chronić, sama się sobą zajmie, a jak nie sama, to zajmie się nią mąż i Józwiakowie. Nic nie muszę, zrozumiałam, a wtedy w bruzdę opadłam, motyczkę do siebie przytuliłam i spojrzałam w niebo, i długo tak chyba patrzyłam, bo już mi i wilgoć od ziemi weszła w spódnice, w koszulę, w plecy, w nogi, w ręce bezczynne jak nigdy, i czułam, jakbym w ziemię zaczęła wrastać.

– A co wam, Jagnieszko? – usłyszałam głos mojej gospodyni. – Co z wami, gdzie kartofle i dlaczego tak leżycie?

Nawet odpowiadać mi się nie chciało, ani drgnęłam, patrzyłam w niebo, co litościwie obłoczkiem przesuwano jak szmatką po stole. Przestraszona gospodyni nie zaczęła na mnie krzyczeć, tylko pomogła wstać, do komory zaprowadziła, i nawet przyniosła mi kompotu z kwaśnych jabłek w garnuszku.

Nie piłam jednak, bo już nic od życia nie chciałam, tylko patrzeć w niebo, ale że w komorze okienka nie było, to ległam i oczy zamknęłam, bo co tu w polepę ślepić.

Hanka Józwiakowa

Pobiegłam do siebie, znaczy do czworaków, wzięłam chleba, sera, żuru dla matuli, piwa pożywnego, wszystko jej zaniiosłam w garnuszkach pożyczonych od teściowej, bo swoich jeszcze się

żeśmy nie dorobili. Matula leżała z zamkniętymi oczami, ale gdy weszłam, powieki podniosła i powitała mnie uśmiechem.

– Oj, po co tego tyle? Wam się bardziej przyda.

– Zjedz coś.

– Kiedy nie mogę.

– To wypij chociaż.

Przytknęłam garnuszek z piwem do ust matuli, coś tam przełknęła, potem głową pokręciła.

– Nie mam siły. – Przymknęła oczy, by jeszcze na chwilę je rozewrzeć i dodać: – Weź mój siennik i garnki, żeby gospodarze na nich ręki nie położyli.

– Matulku, dlaczego mam ci siennik zabierać?

– Wspaniała z ciebie dziewczyna wyrosła i z męża twojego dobry jest człowiek, jego rodzice też porządni, dobrze wybrałaś. A ja teraz naprawdę muszę odpocząć.

I zasnęła jak zniwiarz po męczącym dniu na polu, siedziałam przy niej, za rękę ją trzymając. Na dworze zrobiło się już całkiem ciemno, gdy Pietrek drzwi otworzył i spytał, z tym ohydny uśmiechem, czy jednak z nim postanowiłam noc przepędzić. Nawet na niego nie spojrzałam. Stał chwilę, wreszcie wyszedł.

Wiedziałam, że gospodarze nie pozwolą matuli długo poleżeć, tylko zaraz z domu wyrzucą, żeby wziąć taką komornicę, która się w gospodarstwie przyda. Wezmę więc ją do nas, dam jej pospać i pojeść, dam jej pożyć, teraz ja o nią zadbam, jakoś się przecież zmieści, skoro się w izbie mieścimy wszyscy, teściowie, ich trójka młodszych i my, to przecież i dla jednej chudej komornicy miejsce się znajdzie. I sama się uśmiechnęłam do tych myśli, wiedziałam też,

że i matula się uśmiecha, i dobrze nam tak ze sobą było, w tych uśmiechach i marzeniach, że odpocznie.

Nagle w komorze dziwna cisza zapadła, nie od razu zrozumiałam dlaczego, bo przecież i przedtem hałasu nie było. Trzeba było jednak ze dwóch zdrowasiek, bym zauważyła, że to matula tak cichuśko leży, a ja nie słyszę jej oddechu, bo pod tym pięknym, spokojnym uśmiechem na ustach matula tchu już nie nabiera.

– Matulu! Matulu! – zawołałam. – Matulu, matulu! – darłam się, żeby mnie koniecznie usłyszała.

Gospodarze wpadli do izby, ten podły Pietrek też. Popatrzyli i już wiedzieli, bo gospodyni zaraz gromnicę przyniosła.

Matula odpoczywa, szeptałam to sobie jak różaniec przez kolejne dni, żeby uwierzyć i doznać pociechy, gdy już całkowitą sierotą zostałam. Wreszcie odpoczywa, chciałam napisać jej na grobie, gdybym pisać umiała, ale przecież nikt we wsi nie umiał. A nawet jakby kto potrafił, nie byłoby komu tego czytać. Wreszcie odpoczywa, mówiłam sąsiadom, Antosiewi mówiłam, jego rodzicom. Do dziś trudno mi wspominać tamte dni, niełatwe przecież, choć Antoś trwał u mego boku. Dlatego dość już o tym, dobrze?

Mój mąż właściwie od urodzenia wiedział, jak będzie wyglądać jego życie od początku aż do końca, tylko tego końca nie był pewien, kiedy nastąpi, bo tym już Pan Bóg ze świętymi rządzi. Wszystko inne było jednak z dawien dawna ustalone, przecież w doli parobka folwarcznego niespodzianek jest niewiele. Świat tak właśnie został przez Pana Boga stworzony i taki trwa, w odwiecznym porządku, że chłop na roli ma swoją dolę, komornica

swoją, parobek swoją, pan swoją, a zwierzęta swoją, i każdy powinien znać swoje miejsce.

Antoś wiedział więc, jak będzie wyglądał najbliższy rok, i kolejne, co i kiedy będzie musiał zrobić, gdzie będzie mieszkał, jak będzie żył. Tylko ja byłam w jego życiu niespodzianką, i to, że noce na wspólnym sienniku stały się ważniejsze niż dni. Ale ze mną, czy beze mnie, wiedział już, że do końca życia będzie mieszkał w czworakach przy folwarku, jak mieszkał jego ojciec i dziad, a kiedy nadejdzie poranek, on będzie pracować w pańskim polu, ja i inne kobiety – będziemy rodzić dzieci i zajmować się kuchnią, warzywnikiem, zwierzętami, cośmy je przy czworakach w komórkach trzymali, no i tym, co tam kobietom zwyczajne. I zawsze będziemy mieszkać w tych czworakach, gdzie po chrapaniu dobiegającym zza ściany Antoś umiał poznać każdego sąsiada, jeden świstał, druga chrumkała, trzeci grzmiał, zawsze wiedział, kiedy kto zasnął, bo się tych ludzi przez całe życie uczył. Zawsze mieliśmy mieszkać w tej wiosce, gdzie wszystkich znaliśmy od małego, gdzie o każdym wiedzieliśmy, z kogo się rodził i jakie ma powiedzonko, gdzie poznawaliśmy każdego po głosie czy z daleka po sylwetce albo chodzie. A w końcu mieliśmy umrzeć w tej samej izbie w czworakach, by po pustej nocy, gdy rodzina i sąsiedzi opłaczą zmarłego ułożonego na ławie, lec porankiem na przykościelnym cmentarzu. Tyle mój mąż wiedział od zawsze.

To wszystko wiedział także jego ojciec, od razu, gdy pokazano mu pierworodnego po rozwiązaniu. Ojciec mojego męża służył jako rataj w pańskim folwarku, obsługując dworski zaprzęg wołów, bo konie jeszcze wtedy bogaci dla przyjemności, a nie do pracy trzymali. Zajmował się wołami przy robotach w polu, woził też

różne rzeczy dla dziedzica, więc i Antoś, jako najstarszy z synów, miał się od ojca najpierw nauczyć tej pracy, potem przy niej pomagać, a na koniec ją przejąć.

Wiedział także, jak będzie żył nasz najstarszy syn, który właśnie zaczynał się kręcić w moim brzuchu, bo Antoś czuł, że to będzie syn, u Józwiaków w rodzinie zawsze chłopcy rodzili się pierwsi. Chłopak będzie żył dokładnie tak jak jego ojciec i dziad: woły, zaprzęg, pańskie pole, czworaki, żona, dzieci, zdarzyć się może, że nie wszystkie przeżyją, ale te, które przeżyją, znowu tak samo: woły, zaprzęg, pańskie pole, czworaki, ich dzieci tak samo, i tak po wszystkie dni aż do skończenia świata.

I wtedy, w pewną niedzielę, do wsi przyjechało tamtych dwóch.

Nieczęsto pojawiali się u nas obcy, nawet i przyjezdnych czy wędrowców zwykle się z widzenia znało, bo co roku ci sami wracali. Tak samo dziady wędrownie i Cyganie kotlarze, których to człowiek potrafił imionami nazwać, a dziwne mieli je i niezwykajne, na przykład Wasyl czy Roza. Ludzie na targu w miasteczku też tacy całkiem swojscy nie byli, ale większość znało się przynajmniej z widzenia i z grubsza wiedzieliśmy przynajmniej, kto z miasteczka, kto z jakiej wsi i czym handluje.

Ale ci dwaj byli zupełnie nowi. Obcy. Trochę z pańska ubrani, trochę z chłopska mówili. Dziwni. Przyjechali konno, w niedzielę po sumie, i od razu do karczmy kazali się prowadzić, aż kto żyw za nimi szedł i patrzył, czy z dobrym przyjechali, czy ze złym. Że jednak miny mieli pańskie, podejrzewaliśmy, że z nie najlepszym. Ciekawość i strach gnały nas do karczmy, więc w parę pacierzy zappełniła się izba przed szynkwasem u Żyda, nie to żeby każdy

chciał kupować cienkie piwo w niedzielne południe, ale żeby tamtych posłuchać, kto oni i po co tutaj.

Siedli przy najlepszym stole, jeść sobie dać Żydowi kazali i powiedzieli, że są robotnikami folwarcznymi z innego majątku. A gdzie ten majątek? Wcale nie tak daleko, ledwie o pół dnia drogi konno. A potem zaczęli prawić rzeczy niezwykłe, cośmy ich jak bajek słuchali. Że jest tam u nich wieś, gdzie nikt nie mieszka. A w tej wsi domy czekają na zasiedlenie, duże i ładne, wybrać można nawet. I jest dziedzic, który chłopów do pracy potrzebuje, bo jego ziemia czeka na żniwa. I że młodych tam potrzebują, najlepiej z rodzinami, z dziećmi, bo miejsca dużo, roboty dużo, potrzeba pilna. I ziemi można dla siebie dużo dostać.

– A pańszczyzny to wiele tamten wasz dziedzic wymaga? – zapytał jeden z naszych, któryś z odważniejszych.

Przybysze się zadumali.

– Dwa dni w tygodniu – strzelił jeden.

– Najwyżej trzy – dorzucił drugi.

– Na głowę?

– Na rodzinę – odpowiedział szybko pierwszy.

Wszyscy aż westchnęli, tak mało to było.

Drugi przybysz milczał.

– Na dużą rodzinę?

– Na każdą – rzekł pierwszy.

A drugi dorzucił:

– Z tym że jechać tam trzeba zaraz, w ciągu kilku dni najdalej. Żniwa przecież. Ktoś je musi zrobić. I to szybko.

– Tutaj też zaraz żniwa.

– Ale tu was dużo. A tam chłopów mało. Jedźcie czym prędzej, tam was lepszy los czeka.

Chętnie bym i dłużej tych pięknych opowieści posłuchała, ale musiałam do domu wrócić, obiad szykować. Zostawiłam więc Antosia, niech dowie się czegoś jeszcze, i do czworaków pogałam. Gdyśmy z teściową z trudem się dopchały do wspólnego paleniska w czworakach, już nie chciałam garnka zostawiać.

Po jakimś czasie mój Antoś wrócił z karczmy, ciężko za stołem zasiadł, jak i reszta rodziny. I tak siedzieli w milczeniu, we wspólną michę patrząc, tylko Marcyś, jak zawsze, gapił się we mnie, aż mi się, jak zawsze, nieswojo zrobiło, więc zaraz po garnek poszłam, żeby niedzielnie kraszony żur podać, kluski z koperkiem, kapustę na słoninie, zsiadłe mleko, obficie, bo święto.

– A bo, tatulu, do karczmy obcy przyszli... – zaczął Marcyś, ale ojciec go zaraz upomniał, że albo się je, albo ozorem słowa miele, więc przeżegnawszy się jak wszyscy, zabrał się do wiosłowania łyżką.

Po obiedzie postawiłam na stole w kubeczku poziomek trochę, które rano, po wodę idąc, zerwałam przy lesie, teściowa dorzuciła łyżkę śmietany, i czekałam.

– A bo w karczmie dzisiaj... – znowu zaczął Marcyś, ale ojciec go ręką uciszył, bo po niedzielnym obiedzie lubił sobie podrzemać, głowę na ścianę odchyliwszy.

Szepnęłam do Antosia, żeby może się ze mną przy niedzieli nad strumień przeszedł. Odchrząknął, poczekał, aż statki umyję i do osuszenia na ławie ustawię, a potem ruszyliśmy. Poziomek już nie było, widać wszyscy się o nich zwiedzieli, a Antoś szedł obok, milcząc. Wreszcie nie wytrzymałam:



– Antoś, przecież tam ziemię darmo dają! Domy dają! Na swoim byśmy byli!

Nic nie rzekł. Ale wiedziałam, że jego świat drży w posadach. Mój drżał. Bo jak to, my się tu w czworakach tłoczemy w tej naszej izbie, sienniki na dzień pod ścianą układamy, żeby było się gdzie ruszyć, z teściową do gotowania na swoją kolejkę przy piecu czekamy, a gdzie indziej całe domy stoją puste? Ja myślałam i Antoś myślał o tamtych domach, o ziemi czekającej na chłopów, o nowych miejscach, których nigdy nie oglądaliśmy i nigdy nie mieliśmy obejrzeć. Nigdy przecież żadne z nas nie odjechało od domu dalej niż na dziesięć wiorst, nigdy ani chęci, ani potrzeby nie mieliśmy, żeby znaleźć się dalej, ale teraz myślałam o innych krańcach wsi, innych krzyżach, innych spróchniałych wierzbach na rozstajach, a Antoś najwięcej myślał o ziemi, którą by do tylko naszego użytku dostał, miał już ją prawie przed oczami, tłustą i brązową.

– Pańszczyzny mało wymagają – odezwałam się w końcu. – Trzy dni na rodzinę, co to jest?

– Może to i prawda, ale nawet nie dopytamy, czy na pewno, bo już nie ma kogo.

– Jak to: nie ma kogo?

– A bo ludzie dziedzica wysłanników z karczmy przepędzili. Krzyczeli: chłopów nam przyjechaliście kraść? Nasze chłopstwo do naszej ziemi przynależy!

– Że niby nas ukraść nie dadzą?

– No tak.

– Całkiem jakbyśmy kurami czy kozami byli.

– No tak. A tamtych nikt już więcej nie widział. Nie ma się co zapalać.

– A wiesz, skąd byli?

– Od dziedzica z Izbicy.

– A jak tam dojść? Zdążyli powiedzieć?

– Zdążyli. Ale po co ci to?

– Dom swój byśmy mieli – kusiłam. – Nasz, tylko własny. Swoje palenisko, swoje garnki, gotowałam, kiedy bym chciała, i nikt by mnie od ognia nie odpychał. Skrzynię mogłabym mieć ze wszystkim swoim. Kredens może nawet. I izbę tylko dla nas. I Marcyś by nie podsłuchiwał, gdy my się... – I tu się chyba troszkę zaczerwieniłam.

– Podsłuchuje, smark?

– Aż oddech wstrzymuje.

– Latem w sadku mu spać każemy. Albo sami pójdziemy tam spać.

– A tam byśmy mieli swój dom, pomyśl, Antoś, całą izbę dla siebie. I komorę. Swój piec. Nikt by mi słoniny nie podebrał, com ją przez nieuwagę przy palenisku zostawiła.

– A ktoś zabrał? Dużo?

– Niedużo, ale zawsze nieprzyjemnie. Teraz na każdego z czworaków patrzę, czy się naszą słoniną nie pożywił. I swój ogródek byśmy mieli, nikt by kur przez nieuwagę za płotek nie wpuścił, żeby warzywo dziobały, nikt by mi się kopru, Antoś, kraść jak tutaj nie odważył, bo troszkę na bok od naszego zagonka wyrósł. Pola ponoć dużo mają dać. A pańszczyzny mniej wyznaczyć mają, trzy dni, prawda to? Swój dom, swoje obejście, swoje pole, swój warzywnik, swoja izba, wszystko dla nas, i nikt by nas w nocy nie podsłuchiwał, pomyśl tylko, Antoś.

Myślał, nic innego nie robił, tylko o tym myślał, widziałam to. Nie odzywał się jednak, zresztą już do domu wchodziliśmy. Zmierzchało, czas było nam spanie rozkładać, zaczynała się

wieczorna ciasnota i zamieszanie. Potem leżeliśmy obok siebie, wiedziałam jednak, że Antoś wcale nie zasnął, bo posapywał czujnie, ale i mnie nie dotykał, może bał się pytań, namawiania nie chciał. Ojciec już chrapał, matula też, bracia spali cichutko jak myszy, nawet pyskaty Marcyś dziś nie podsłuchiwał, bo w sen zapadł szybko i skutecznie, tylko mój mąż i ja nie. Prawie nie słyszałam folwarcznych odgłosów, tak, dziś nawet nie słyszałam, że ściany się trzęsą od wspólnego chrapania zmęczonych sąsiadów, bo myślałam, i on obok myślał, a od myślenia i strachu zasnąć nie mogliśmy.

Rano, zmarnowana po nieprzespanej nocy, poszłam do pańskiego siana, bo tam kobiety z czworaków z grabiami wezwali, Antoś pojechał w pański las z zaprzęgiem wozic pniaki, więc tylkośmy się w przejściu minęli, dałam mu chleb i ser owinięte w szmatkę. Grabiłam i rozrzuciałam, cały czas myślałam o tym, jak to jest dom i swoją wioskę porzucić, by wybrać się w świat nieznaną.

Pogadać mogliśmy dopiero wtedy, gdy dzień się kończył przy wtórze wieczornych odgłosów – trzasku garów, wrzasku dzieci, niejeden też kózkę w izbie trzymał, ta żywina też się u sąsiadów kręciła, pomekiwała, raciczkami stukała. Nie u nas, bo teściowie mieli tylko kurczęta w koszyku pod ławą, reszta naszych zwierząt mieszkała w komórce na podwórzu. Tego wieczora hałas był jeszcze większy, teściowie aż na przyzbę uciekli, bo bardziej niż zwykle garnkami, skopkami, miskami stukałam, specjalnie, żeby mój mąż odezwał się wreszcie. A ten nic. Marcyś, za stołem rozparty, śledził każdy mój ruch.

W końcu się odezwałam, od razu niemiło.

– A Antoś myśli i myśli, i myśli!

Marcyś śmiechem parsknął, aż go Antoś kułakiem w plecy upomniął.

– Co nagle, to po diable.

– Kogo nie boli, temu powoli!

– A ciebie co tu boli, Hanuś?

– A bo jeśli jechać stąd, to teraz, zaraz, zanim nowy dziedzic doliczy się, ilu ma parobków!

Nie musiał długo myśleć, od razu powinien wiedzieć, że mam rację. Pamiętaliśmy dobrze starego dziedzica, co to nigdy chłopom w oczy nie patrzył i mówił im nad głowami wysokim jak u kobiety głosem, ale też całkiem często zlecał parobkom chłopów za różne winy chłostać, bo lubił sobie na bicie patrzeć. Stary dziedzic jednak chorował długo i umarł niedawno, a do dworu zjechał teraz jakiś jego krewniak, z daleka, i dopiero zaczynał się rządzić. Wiele na razie o nim żeśmy nie wiedzieli.

– Może ten dziedzic będzie lepszy, skąd wiesz, Hanuś.

– Ale może być i gorszy, prawda?

– Tam, dokąd ludzi ciągną, dziedzic także może być gorszy. Poza tym tam byłabyś nowa i sama ze wszystkim, z dzieciątkiem w drodze też, a tu wszędzie ludzie życzliwi, albo chociaż znani, no i stara bieda, której jesteśmy zwyczajni. Tam nic byś nie wiedziała, bo przecież na pewno na targ się gdzie indziej jeździ, parafia inna, ksiądz inny, karbowy inny, dziedzic inny, ziemia inna, las inny, nawet pomyśleć straszno.

Chciał mnie wystraszyć, ale na każde „gdzie indziej” i „inny” chciało mi się tego jeszcze bardziej.

– A ja bym się nie wahał, jak Antek, tylko od razu bym na nowe poszedł – odezwał się Marcyś.

- A ciebie nikt o zdanie nie pyta.
- A ja tam pójdę.
- Nieżonatych nie prosili.
- To skoro tak, pójdę tam z Hanką. – I znowu mnie młodszy brat męża smagnął tym gorącym spojrzeniem.
- Idź ty się, młody, przewietrzyć, żeby głupot nie gadać. – Wypchnął Antoś go z domu.

Młody wyszedł, z progu jeszcze się na mnie oglądając.

- Antoś, a skoro tyle myślisz, to pomyśl także, że dziecko, co się nam niezadługo porodzi, lepiej by w życiu w nowym miejscu miało.
- Lepiej? Jak lepiej, bez rodziny?!
- No a jak? Trzy dni pańszczyzny, pomyśl. Tylko trzy dni na pańskim! I swoja własna ziemia!

Trzy dni na pańskim, trzy na swoim, jeden dzień dla Pana Boga to tak pięknie brzmiało, jak bajka mojej matulki, co już na cmentarzyku przy kościele leżała. To był taki porządek, co mnie kusił, to był świat pięknie poukładany na trzy, gdzie rodzinie oddawalibyśmy trzy dni pracy na swoim, dziedzicowi trzy dni pracy na pańskim, a niedzielę Panu Bogu, nic piękniejszego zdarzyć by mi się nie mogło, myślałam o tym i tęskniłam za tym.

Mój mąż poszedł przed czworaki, Marcyś już obok na trawie się ułożył, źdźbło ssał i gapiąc się w niebo, myślał o czymś usilnie, a Antoś dosiadł się do rodziców na przyzbę.

- Co z tą Hanką? Aż tu słychać, jak się tłucze – westchnął ojciec.
- Jechać chce na to nowe, co wysłannicy mówili.
- Już jej nie wystarcza nasza izba w czworakach?
- A co się dziewczynie dziwić? Ciasno jest, spokoju dla siebie nie mają – odezwała się matula.

Ojciec westchnął.

– Zawsze długo nad wszystkim myślałeś, Antoś, i dobrze. Ale teraz... Obyś przez to okazji nie stracił.

– Co też ojciec mówi?

– A mówię, że jak ci lepsze życie dają, to bierz.

– Pan nie pozwala.

– Przecież wiedzieć nie musi.

– A jeśli to skłamanie wszystko, tatulu? Bo kto by chłopu lepszą dolę za nic dawał?

– Wtedy wrócisz. Ale jeśli to prawda, grzech byłoby nie skorzystać.

– Jak wrócę, śmiać się ze mnie będą.

– I tak się z ciebie śmieją – odezwał się Marcyś.

– Bo co?! – warknął Antoś.

– Bo za dużo myślisz.

– A ty cicho, smarku, jak dorośli rozmawiają! – huknął na Marcysia ojciec. Pierwszy raz tak o Antosiu powiedział, że dorosły. – Tutaj nic więcej mieć nie będziecie. Do końca życia to samo, a może gorzej jeszcze, bo kto wie, jaki ten nowy dziedzic będzie. – Westchnął tak ciężko, że aż przykro na duszy się zrobiło. – Oj, Antoś. Tyle odwagi miałeś przy wybieraniu żony, a teraz całkiem cię moc odeszła?

– To Hanka miała odwagę – zaśmiał się Marcyś. – Antek tylko zrobił, co mu kazała.

Przesadzał. Ale dobrze, że tak gadał, może Antosia rozgniewa, a gniew wybije mojego męża z nadmiernych dumań. Ale Antoś się nie odezwał, tylko poszedł. Nie, nie do naszej izby, gdzie się przy garnkach nachylałam do okna, żeby ani słowa z ich rozmowy nie

uronić. On poszedł do warzywnika, między zagonki sąsiadów, ciasno obsadzone czym trzeba, i ten nasz skrawek, co nam karbowy przydzielił, gdzie kiełkowały posiane przeze mnie warzywa. I myślał sobie mój mąż, że przecież tego nie zostawimy, bo jak, nasiona od rodziców dostaliśmy, tyle pracy, kopania, pielenia, koper już wzeszedł, dużo go było, piękne, zielone wiechcie, dlatego ktoś nam ich kilka ukradł. A z warzywnika poszedł na pańską niwę. Rozległa była, końca nie widać, a on przecież nieraz do tego końca zaprzęgiem docierał i zawracał, docierał i zawracał. Ileż dni tu spędził, od świtu do nocy. Wołami w górę, wołami w dół, powoli, bo wół chodzi, nie spiesząc się, jak człowiek rozważny. Kiedyś to Antoś prowadził woły przy pysku, żeby równo szły, a jego ojciec sochę dociskał, potem nasz syn będzie woły prowadził, a mój mąż będzie sochę dociskał. Z nowości to może socha będzie, reszta po staremu, tu nasze życie będzie się toczyć, na dziedzicowym polu, od krańca do krańca, od urodzenia do śmierci, tak Antoś wtedy myślał.

Wreszcie wrócił do domu, w drzwiach stanął. Młodsze dzieciaki już spały, Marcyś strugał coś kozikiem przy resztkach światła z dworu. Matula na Antosia wzrok podniosła, ojciec także, na koniec ja także spojrzałam na niego znad szycia. Zanim się odezwał, już wiedziałam.

– Jedziemy – powiedział.

Trzeba było szybko, tyle wiedzieliśmy.

No i chwalić się nie można, to też rozumiałam.

Poza tym nie wiedziałam wiele. „Pół dnia drogi konno”, powiedzieli wysłannicy. Ale ile to będzie na piechotę? Bo przecież piechotą iść musimy, jakże inaczej?



– Wołu z dworskiej obory zabierzcie – rzucił Marcyś. – Wózek z dobytkiem wam pociągnie.

– Co ty gadasz, młody! Siódme: nie kradnij.

Przecież woły były pańskie. Wozy też. Wszystko było pańskie, nawet izba w czworakach, warzywnik, komórki na ptactwo niby nasze, a z pańskiego drewna postawione. Nasze tylko te dwie ręce mieliśmy, siennik, poduchę od teściowej.

– Sąsiadowi zabrać nic nie wolno, wiem przecież – tłumaczył się Marcyś. – Ale panu? Dziedzic i tak ma dużo wszystkiego, nawet nie zauważy. Ostatniego roku przecież zboża mniej za pracę żeśmy dostali.

– Nieurodzaj był.

– Ale dziedzic sam mniej nie jadł, tylko nam dał mniej, to coś nam jest winien. Bierz, Antek, pańskiego wołu, dziedzic pełną oborę ich ma, co mu zależy. Bierzcie, już was przecież nie znajdzie, jak stąd pójdziecie.

– A ty, smarku, głupot nie gadaj! – huknął ojciec na Marcysia. – Oni zarobią wołu, a my baty albo i co gorzej.

Rację miał ojciec jak zwykle.

– Baty i tak zarobimy, jak się karbowy spostrzeże, że mu parobek z żoną uciekł.

Ojciec znowu westchnął.

– Może się nie doliczy.

Ale i tak grozą powiało.

– Powiem rządcy, że ja się zaraz ożenię i lepszy będę od Antka – powiedział Marcyś. – Wołami też przecież powozić umiem, poradzę. Tylko tego mu nie powiem, że jak się ożenię, też do jakiejś innej wsi pójdę, na inny los. I wcale tyle, co Antek, dumał nie będę.

– Cicho, smarku!

Wtedy odezwałam się ja:

– Synów u was wielu, Józwiakowie, Marcyś już prawie dorosły, może karbowy nie będzie się na was mścił, żeśmy wieś opuścili. Marcyś przecie silny, z pracą poradzi.

Marcyś aż się wyprostował i uśmiech mu zaraz wykwitł na chudej twarzy.

– A że nikt ma nas nie widzieć, to lepiej pójdziemy piechotą, weźmiemy tyle, ile uniesiemy, zresztą i tak dużo nie mamy. Zawsze łatwiej w lesie będzie się schować, jakby co.

– Jakby co? – zmartwił się Marcyś.

– Przecież nie będą was gonić – powiedział ojciec. – Nie powinni. Żniwa jeszcze się nie zaczęły, z Marcysiem będę w pańskie chodził, zanim się doliczą, że was nie ma, już będziecie daleko. Poradzimy tutaj. O siebie się martwicie.

– Pół dnia drogi konno, to w dwa dni pieszo chyba dojdziemy, prawda? W trzy może? – spytał Antoś.

Nikt nie wiedział.

Spakowaliśmy w płótno pierzynę, poszwy od sienników (słoma się w nowym miejscu przecież znajdzie, słoma znajdzie się wszędzie). Spakowaliśmy poduszkę i stroje niedzielne od ślubu. Spakowaliśmy garnek jeden, co nam matula dała, i łyżki, które Antoś przed ślubem wystrugał. Kurę do koszyka wzięliśmy. Ziarna nam teściowa trochę dała, woreczek żyta i drugi pszenicy. Sporo też miedziaków dla nas wygrzebali, aż się wzruszyłam, dosypując je do tych, które w wianie od matuli dostałam.

– Dobrze, że od matuli skrzyni wyprawnej nie dostała, bo byśmy się nie zabrali – śmiałam się, owijając w szmatki chleb, słoninę, ser. – Dużo prościej, gdy tak mało mamy.

Pod wieczór poszłam na grób matuli i wróciłam zapłakana. Potem uściskaliśmy Józwiaków, mocno i na zapas. Spaliśmy małowiele, bo chcieliśmy ruszyć przed świtaniem, żeby się ze strachu nie rozmyślić, żeby dziedzic z karbowym nas nie zatrzymali, żeby żaden sąsiad się nie śmiał, że głupio robimy. Zerwaliśmy się jeszcze po ciemku, chłód był poranny, Antoś kapotę na siebie narzucił, ja chustę, chwyciliśmy nasze tobołki, to na plecy, to do rąk, i ruszyliśmy w drogę, według wskazówek, które nam tamci wysłannicy podali.

Ledwie dniało, gdyśmy szli przez wszystkie wsie, które znaleźliśmy, łącznie z parafialną, jeszcze w obejściach cisza i spokój były, gdyśmy patrzyli na z wolna jaśniejące na wschodzie niebo, i w tej ciszy właśnie dotarło do mnie, że oto na zawsze opuszczam swoje strony i że zaraz zacznie się ziemia nieznana. Wtedy zadrżałam.

Wchodziliśmy w nieznane coraz głębiej, co łatwe nie było. Bo niby wszystko było jak u nas, zboża, drzewa, zielska, ale już inaczej poukładane, już inaczej widziane. Inne wsie, inne Boże Męki, inne kościoły, inne mury dworów, inni ludzie, którym schodziliśmy z drogi, przed którymi chowaliśmy się po lasach i rowach, bo nic o nich przecież nie wiedzieliśmy i pierwszy raz w życiu ich widzieliśmy. Ciągle jednak byliśmy niepewni, czy chłopu tak wolno po świecie daleko chodzić, czy chłopu wolno lepszemu losu szukać, czy wolno mu pana zmieniać, czy ktoś nas zaraz nie zawróci i nie każe do naszych czworaków wracać. Aż mi ręce z tego drżały, aż tchu brakowało, a tobołki z dobytkiem ciążyły coraz bardziej. Kura

też się niespokojnie kręciła w koszyku i może by do domu zawróciła, gdyby nie miała łap spętanych.

W pewnej chwili Antoś się zatrzymał, tobołki odłożył, by obejrzeć się za siebie, gdzie zostało wszystko, co nasze, ukochane.

Znałam go dobrze.

– Idziemy dalej, Antoś. Idziemy dalej, skoro już tak daleko zaszliśmy.

Nie dałam mu pomyśleć, tylko chwyciłam i jego tobołki.

Gdy spaliśmy w lesie, grzałam go swoją odwagą.

Gdy szukaliśmy wioski obiecanej, nie traciłam nadziei.

Gdy schodziliśmy z drogi, by się przed jeźdźcami skryć, łapałam go w rowie za rękę i spódnicą koszyk z kurą nakrywałam, żeby się ptaszysko nie rozgdakało.

Gdyśmy błądzili, nie wiedząc, czyśmy za jakimś widziadłem zwodniczym nie pospieszyli, mówiłam: „Szukajcie, a znajdziecie”.

I wreszcie znaleźliśmy.

Jak poznaliśmy, że dotarliśmy na miejsce? Po ciszy. Cisza we wsi to rzecz niezwykajna, bo wioska zawsze pełna jest wrzasków dzieci, babskich śpiewów, pokrzykiwań mężczyzn, „pochwalonych”, rozbrzmiewających na drodze i w polu, z klepania kos, rąbania drewna, gęgania gęsi, piania kogutów, krowich ryków, psiego jazgotu, walenia siekierką o polana, tłuczenia kijankami o bieliznę w strumieniu. Tu było zupełnie cicho. Cicho i pusto. Z tym wysłannicy nie kłamali: w całej wsi nie było ani żywej duszy.

Siedliśmy z Antosiem na tobołkach pod Bożą Męką, zdrożeni, zakurzeni, niedospani, bo co to za spanie w obcym lesie, i rozglądaliśmy się dookoła. Wiedziałam, że musimy skądś wody

nabrać, by się po trudach dwudniowej podróży napić, ale nawet nie wiedziałam, gdzie tu strumień mają czy rzeczkę. Jedną dłoń położyłam na brzuchu, żeby uspokoić nasze dziecko, drugą chwyciłam męża za rękę i czekaliśmy. Jakoś tłumy osadników się tutaj nie pchały, z naszej wsi na razie tylko my daliśmy się namówić, srodze więc byłam swego niepełna.

– Jeśli do wieczora nikt nie przyjdzie, będziemy musieli jakąś chałupę na noc zająć. Jeśli to tutaj w ogóle, jeśli naprawdę nas chcą, jeśli słusznie żeśmy się w tę drogę długą wyprawili.

Wiedziałam, że Antoś chce jeszcze dodać: „A nie mówiłem”, ale zmilczał, gdy zobaczył, że mam łzy w oczach.

Chłodno było, choć już lato, może dlatego, że obco i nieswojo. Dookoła wszystko wydawało się inne niż w naszych stronach. Niby chałupy tak samo oblepione gliną i pobielone, ale już nie bokiem do drogi stały, jak u nas, lecz przodem, jakby koniecznie każda uparła się na przechodzących ślepić dwoma zakurzonymi okienkami, przez co obco na duszy się robiło. Na tutejszych chatach strzechy rzadko były słomiane, częściej z trzciny, pewnie dlatego, że dużo było mokradeł w okolicy. To zły znak, pomyślałam, ale zaraz głową potrząsnęłam i żeby niedobrą myśl odpędzić, wtuliłam się w męża. Tak trwaliśmy, czekając nie wiadomo na co.

Dopiero po wielu, wielu pacierzach pokazał się ktoś, kto konno jechał jak jakiś pan, ubrany był jednak bardziej jak bogaty chłop, w sukmanę i koszulę białą. Uśmiechnął się szeroko na nasz widok.

– Witam pierwszych osadników – powiedział. – Nareszcie. Ziemia pracy woła. Dom sobie wybierzcie i do roboty. Ja karbowym tutaj jestem.

Trochę lepiej zrobiło mi się na duszy, że jednak ktoś na nas czekał, Antoś też wyjaśniał.

– O, widzę, że gospodyni chyba przy nadziei, dobrze, dobrze, trzeba nam tu dzieci – dodał karbowy.

Troszkę się skuliłam, zasłoniłam brzuch.

– Jak się nazywa ta wieś? – zmieniłam temat. – Nasza wieś? – dodałam na próbę.

– Naczachowo.

– To my od dziś naczachowanie jesteśmy, Antoś! A czemu ta wieś taka pusta?

– A bo co tu się nie działo! Co się nie działo! – Zamachał rękami karbowy.

– Podobno wszyscy umarli. Możliwe to?

– A nie? Morowe powietrze przyszło, wszystkich wydusiło.

Aż mi tchu zabrakło, brzuch objęłam mocno ramionami.

– Co też wy mówicie? Morowe powietrze?

A więc tu tkwi haczyk – zrozumiałam nareszcie.

– Hanka, przyszliśmy do wsi, gdzie szaleje zaraza.

– Już dawno zarazy nie ma – uspokajał nas karbowy.

– To gdzie są ludzie?

– Dopiero przyjadą.

Wracamy, pomyślałam. Nie ma nad czym myśleć.

– Wracamy! – powiedział Antoś. Kiwnęłam głową, zaczęłam podnosić się z tobołków.

– Ależ co wy opowiadacie, gospodarzu! – Karbowy zsiadł z konia.

– Nie ma już zarazy! Nie ma już żadnej zarazy! Przecież dziedzic już nawet do dworu wrócił! Jakby był jeszcze mór, toby przecie nie wracał. A wrócił, więc nijakiego niebezpieczeństwa już nie ma.

I zaraz nam karbowy wyjaśnił, że parę niedziel temu, gdy przyszło tu morowe powietrze, przerażony srożącą się w okolicy śmiercią dziedzic z rodziną załadował wozy zapasami żywności i opału, kufry – ubraniami, klejnotami i pieniędzmi, bryczki i furmanki – sługami, bo nawet w zarazie musi ktoś robić wszystko to, czego panom nie wypada. I tym sposobem szlachetnie urodzeni oraz ich służba schronili się przed zarazą u księdza, na plebanii, obok kościółka, na odludziu zwanym „Pustynią”. Służba odganiała wszystkich podchodzących pod ogrodzenie, a państwo jedli, spali, bawili się i modlili, tak nam opowiadał karbowy. Wiadomo, z Panem Bogiem bezpiecznie, ale z zamkniętymi na klucz drzwiami jeszcze bezpieczniej. A wiele dni później, gdy lament chorujących i umierających w okolicy chłopów wreszcie ucichł, dziedzic otworzył wrota, by wrócić do rodzinnego majątku.

– Tyle że co to teraz za majątek! – ubolewał karbowy. – Bo pracować zupełnie nie ma komu!

– Nikt się z chłopów nie ostał? – Zadrżałam.

– W Naczachowie? Nikt. W okolicy – różnie.

Bo mór jakimś sposobem, z wiatrem pewnie, tak nam opowiadał karbowy, przenosił się od chałupy do chałupy, od domu do domu, od wsi do wsi. I zaraz chłop za chłopem zaczynał słabować, gorączkować, kasłać, krwią płuć, na szyi, pod pachami rosły im i pękały boleśnie wielkie pytocie, innym ręce czerniały, taka to była zaraza. Niektórzy zasypiali w bólu i już się nie budzili, a niektórzy umierali i bez łaski spania, umęczeni, kaszlący, z bryzgającymi ropą krostami.

Najpierw umierali starzy i dzieci, a potem już wszyscy, jeden za drugim, całymi chałupami. Ci, którzy sąsiadów pochowali, zaraz



sami zaczęli chorować, a później ich sąsiedzi, i sąsiedzi sąsiadów. Potem już i grzebać zmarłych nie było komu, więc karbowy przyjeżdżał do Naczachowa z folwarcznymi i, obciążony zwłoki kamieniami, topił je w stawie, tym przy bagnach, żeby śmierdzieć z chałup na całą okolicę nie zaczęły.

We wszystkich wsiach izbickiego majątku pomarło mrowie ludzi, opowiadał karbowy, ale już najgorzej w tej właśnie wsi, w Naczachowie, gdzie z dziewięćdziesięciu dusz przeżyło tylko dwoje dzieci, więcej nikt.

– Są tu jakieś dzieci? – zdziwił się Antoś. – Naprawdę? Bo tak cicho...

– Bo po tym wszystkim one zupełnie mówić przestały.

I dodał, że ta dwójka ciągle błąka się po opustoszałych domach, niepewna, gdzie przynależy. Bo że do wsi, to pewne, tu się przecież rodziła, ale do rodzin, do ludzi nie, bo tych już nie ma. Nikt nie wie, jak się nazywają, ile wiosen i lat sobie liczą, od kogo pochodzą, błąkają się tylko we dwójkę po chałupach, szukając nie wiadomo kogo. Karbowy poprosił więc kucharki dworskie, by co wieczór zostawiały mu resztki, przywozi je do Naczachowa i zostawia na progu jednej z chałup, bo przecież ma serce. Choć ma także swoje kłopoty, wcale nie małe.

Bo tymczasem w Naczachowie z łąk dworskich siano należałoby czym prędzej zwieźć, zanim zgnije, a co gorsza – pola coraz bardziej czekają żniw, zboże bowiem już wysokie i pełne, zaraz zacznie się kłosić. Dziedzic się troska, smutny jeździ, na pola swoje popatrując, na łąki niewesoło pozierając, dlatego karbowy wpadł na znakomity pomysł, co z tym zrobić, tak nam opowiadał, bardzo z siebie dumny,

że to on ludzi wysłał w różne strony i to właśnie dzięki jego niezwyklej przemyślności teraz tu stoimy i z nim rozmawiamy.

– To co, wybieriecie sobie chałupę czy ja mam coś wam znaleźć?

Karbowy popędzał, ale nie miałam zamiaru robić tego na łapu-capu, bo wybór domu to poważna sprawa, na resztę życia przecież. Ruszyłam więc w wieś, w Naczachowo, obejrzeć, co i jak, popatrzyć, gdzie lepiej, gdzie gorzej i gdzie chcemy się osiedlić. Niech już tam Antoś zajmie czymś karbowego, gdy ja będę domy oglądała. Kobieta i tak w domu więcej przebywa niż chłop, więc ja wybiorę, a on powie, czy dobrze.

Szłam i dziwowałam się, bo inaczej wszystko było w tym Naczachowie niż w naszych rodzinnych stronach. Wahałam się chwilę, lecz w końcu się odważyłam i weszłam do któregoś pustego obejścia. Gospodarstwo na oko ani bogate, ani biedne, no, może z tych biedniejszych jednak, bo komin nieco krzywo sterczał ze strzechy, chałupa niezbyt wielka, nawet nie byłam pewna, czy miejsce na komorę się w niej znalazło.

W środku pusto, dom bez ludzi wydał mi się jak sam worek od siennika, próżny, bezużyteczny. Już w sieni stał zapach stęchlizny, kurzu, łapcie z łyka rzucone na podłodze, kapota jakaś na kołku, siennik na klepisku, wgłębiony na środku, aż mi dreszcz po krzyżu przebiegł, że ktoś tam ostatnie chwile spędził. Wszystko inaczej niż u nas, bo ani pierzyny, ani poduchy, choć może połaszczyli się na nie ci, co po chałupach zmarłych grasowali. Okopcone gary przy czarniawym palenisku, jeśli był jakiś nowszy garnek, to zabrali, odrutowane gliniaki tylko zostały. Popiół niewygarnięty, klepisko wydeptane, tam bardziej, gdzie ludzie częściej chodzili. Tyle życia

po zmarłych się w środku kłębiło. Po żywych też, po tych, którzy po zarazie szukali tutaj dla siebie jedzenia, rzeczy. Po pierwszych smutek został w powietrzu i jakieś niedokończenie, po drugich – gniew i łapczywość. Ze skrzyni wyprawnej, widać za ciężkiej, by ją z domu wynieść, ktoś wywlókł i zabrał wszystko, znad pieca obciął półcie słoniny, tylko sznurki zostały, z komory – zapasy wyczyścił do cna. Zaraz przymknęłam ziejącą paszczę pustej skrzyni i poczułam się trochę lepiej, że w kawałku świata porządek przywróciłam, ale i tak śmiercią było czuć dookoła.

Wyszłam na podwórze. Tutaj na szczęście było spokojniej, choć – dziwna sprawa – śmiercią bardziej pachniało. Nie wiedziałam dlaczego, boć przecież śladów po cudzym umieraniu i po cudzej łapczywości było tu mniej niż zwykłego swojskiego bałaganu – skorupy garnków na stosie kamieni, górka gnoju porośnięta perzem, dołek za stodołą, gdzie ci, którzy już nie żyli, chodzili się załatwiać, wszystko już trawą, zielskiem zdążyło zarosnąć. Dziecięce szmatki w kąciuku ogródka, okrywające laleczkę z kopystki, której sokiem z jagód narysowano usta i oczy, u lalek jeszcze nos nie jest taki ważny, ale twarz przez to wydała mi się straszniejsza. Szlaczek z kamyczków. Dołek w piasku. Warzywo zagłuszone chwastem. Żadnych narzędzi, widać ktoś musiał je zabrać.

Podeszłam do zabudowań, otworzyłam drzwi obórki. Nagle smród śmierci nasilił się, przemagając zapach gnoju, a brzęczenie much uderzyło mnie w uszy z całą mocą, i już wiedziałam, skąd czuć zmarłym. Przy żłobie leżała biedna krowina, która dawno już widać zdechła z głodu nad pustym żłobem, niepotrzebna zwierzęca śmierć, z której żaden człowiek nie skorzystał, a przy niej nieżywe ciele, na szyi jeszcze miało zawiązaną czerwoną niteczkę od oczu uroczych,

która niewiele pomogła, niewiele też już była widoczna. Wyszłam z obejścia czym prędzej, niepewna, czy będę umiała w tej wsi pełnej śmierci mieszkać, wszystkiego niepewna.

Z drogi zobaczyłam pod Bożą Męką męża mojego, jak karbowego zagaduje, czekając, aż pomogę nam się zadomowić w tej wsi, więc zęby zacisnęłam i ruszyłam dalej. Tyleśmy niepewności pokonali, tyle drogi, tyle krycia się po lasach i rowach, nie mogliśmy teraz się wycofać, a karbowy, żywy i zdrowy, najlepszym był dowodem na to, że morowe powietrze już dawno stąd wiatr przewiał.

Bałam się, że w kolejnych obejściach jeszcze straszniejsze rzeczy niż w pierwszym mogę zobaczyć, ale przecież musiałam znaleźć dla nas dom, i to najlepszy. Więc ruszyłam dalej, już ostrożniej. Wiedziałam, że mogę omijać biedne chałupiny. Nie o taki przecież dom nam chodziło, gdzie od razu z podwórza włązi się do okopconej izby z paleniskiem na środku, i nawet komina brak, bo dym ucieka przez szpary w dachu, i – choć minęło już wiele niedziel od czasu, gdy ogień się tu palił, wciąż czuć dymem. Skupiłam się więc na bogatszych chałupach. Patrzyłam, czy jest sień, komora, izba, czy palenisko porządnie obudowano kamieniami i gliną, czy przez dach wychodzi komin jak trzeba. Znajdowałam chałupy z dwiema izbami i takie, gdzie nawet komora miała okno, a sienniki leżały na wyrkach czy nawet łózkach, nikt ich nie zrabował, może trudno było je wynieść przez wąskie drzwi. U nas, w starej wsi, w każdym domu z sieni wchodziło się do izby, a dopiero stamtąd do komory, u wszystkich tak było. Tutaj inaczej – to z sieni się wchodziło i do komory, i do izby. Bardzo mnie zdziwiło, że można budować i żyć inaczej niż wszyscy. Ale potem, gdy weszłam do trzeciej i czwartej chałupy, zrozumiałam, że i „inaczej”, i „wszyscy” oznacza tutaj

zupełnie co innego, i znowu poczułam się obco. Ale to uczucie wcale mi się nie spodobało, więc potrząsnęłam głową i śpiewać na całe gardło zaczęłam, bo od tej pory miała to być moja wieś, niech więc cała usłyszy, że nowe życie się dla niej zaczęło.

– Tamten dom chcemy. Pod lasem – powiedziałam, gdy wróciłam do męża i karbowego, a mówiłam to z pewnym lękiem, bo tamto obejście duże było i zasobne, takie w naszej dawnej wsi mieli tylko najzamożniejsi. Chata z dwiema izbami, z komorą, paleniskiem i kominem, ściany świeżo oblepione gliną. Duża, bo przecież zaraz doczekamy się mnóstwa dzieci. Na skraju wsi, tam będziemy mieć spokój i ciszę, czego w czworakach nigdy zaznać nie było można. Obok warzywnik, sadek, akurat kwitł, osobna obórka z drewna postawiona. Stodołę tylko i płot trzeba będzie dobudować, ale przecież z tym sobie poradzimy.

– Niech wam będzie. – Karbowy zgodził się nieoczekiwanie łatwo, a mnie zaraz duma rozparła, że na mniejszym nie poprzestałam.

– A drewna na budynki i sprzęty dostaniemy? – spytałam jeszcze, choć mnie Antoś w bok trącał, że przesadzam.

– Niech wam będzie. – Karbowy kiwnął głową.

– A kto w tamtym domu przed nami mieszkał?

– A kto by spamiętał? Teraz wy jesteście – odparł karbowy. Zaraz pomyślałam, że skoro jako jeden z niewielu w okolicy przeżył, to powinien przecież pamiętać o tych, którym się nie udało. Już otwierałam usta, żeby mu to powiedzieć, gdy Antoś za rękę mnie chwycił, głową pokręcił, żebym nam kłopotów w nowym miejscu pyskowaniem nie narobiła.

Więc zmilczałam.

Nasz nowy dom stał prawie pusty, bo wiele rzeczy nawywozili chłopi z okolicznych wsi, którzy najjeżdżali na gospodarstwa po zmarłych i zabierali, co popadło.

– To i mniej mycia będzie – cieszyłam się. – Zobacz, ile tu miejsca! Tylko dla nas!

I śpiewałam na cały głos, wypychając słomą sienniki, wymiatając pajęczyny, szorując piaskiem, co się da, okadzając izby wiechciem z ziół, żeby wypchnąć z nich dusze zmarłych.

– Dobrze zaopiekujemy się waszym domem – mamrotałam, machając silnie woniejącym pękiem tłącej się szaławii, którą znalazłam w warzywniku. – Waszą ziemią się z sercem zaopiekujemy, wracajcie w zaświaty. Już tu znowu nastali gospodarze, dobrzy ludzie. Już wam tu nie ma czego szukać! Odpocznijcie!

Okadziłam dom, obejście, wszędzie zaczęło pachnieć ziołowym dymem, a nie opuszczeniem, i już czułam się na swoim, garnki rozstawiałam, rozścielałam słomę, cośmy od karbowego dostali. Gorzej z Antosiem. On ciągle przyglądał się śladom ludzkich palców na glinianych ścianach i wydeptanym miejscom na glinianym klepisku.

– Pomyśl, Hanka, tylko tyle zostało po tych, co tu kiedyś pracowali, jedli, spali. Pomyśl, tylko tyle! A i to zaraz zdeptamy, wyczyścimy, usuniemy.

– To wolisz w brudzie mieszkać? – spytałam.

– Przecież nie o tym mówię. – I znowu się zamyślił.

Naraz, na progu domu, zobaczyliśmy przycupniętą dwójkę dzieci. Bose, obdarte, brudne, rozkudłane, nieduże, chude, wielkookie, na

każdy gest się kuliły, jakby się chciały schować w sobie w środku, nie bardzo nawet widać było chłopcy to czy dziewczynki.

– To muszą być te dzieci, co zostały po zarazie – domyśliłam się.

Ciepłego wypić im dałam, a potem jeszcze trochę kaszy, co ja właśnie gotowałam dla nas. Zjadły łapczywie, rękami, i kucnęły w kącie, milcząc i śledząc wielkimi oczyskami każdy nasz ruch. Bałam się jednak je w domu trzymać, jeszcze choroba przez nie wróci do wsi. Wygoniłam je więc za próg, a że Antoś na miejscu nie mógł usiedzieć, kazałam i jemu wyjść z domu i nie przeszkadzać.

W Naczachowie jedno było takie samo, jak w naszych rodzinnych stronach: Boże Męki na rozstajach, na początku i na końcu wsi, to nam się od razu spodobało. Reszta jednak wyglądała zupełnie inaczej. Tam łąk i lasów było mniej, więcej pól uprawnych, tutaj wieś jakby niedawno wyrwano puszczy – z jednej strony okalały ją bagna, z drugiej – na pasmach wzgórz rósł las pełen starych drzew, które przesłaniały światło i bodły niebo mnóstwem gałęzi. W naszych rodzinnych stronach gospodarze grodzili się krzewami kolczastymi, tu niektóre obejścia w ogóle grodzone nie były, jak to, które wybrałam, inne za to miały płoty wyplatane z chrustu. Tam się po wodę chodziło do rzeczki, tu można ją było brać zewsząd – z glinianek, ze strugi, było tego dużo, bo wszędzie dookoła mokro. Tam mieliśmy kościółek we wsi, więc trzy razy dziennie słyszeliśmy dzwony, przez co człowiek wiedział, że wstać należy, że czas na południowy odpoczynek czy na wieczorny Anioł Pański, tu kościół był daleko, więc nasz czas odmierzało tylko słońce.

Pierwsze, czego dowiedzieliśmy się o okolicy, jeszcze od karbowego, to gdzie nie należy chodzić: na bagna, w których już



niejeden się utopił, a zwłaszcza w okolicy Mokrego Dołka, gdzie wrzucali ciała zmarłych podczas zarazy.

– Niby trupy kamieniami przywalone, ale ostrożność zachować warto – ostrzegał karbowy.

– Straszą?

– Ja tam nie sprawdzałem, a i wam nie radzę.

Antoś więc ominął staw szerokim łukiem, a za nim dzieci ofiar moru, ciągle o dziesięć kroków z tyłu, wpatrzone w jego łydki. Szanował takie przestrogi, bo i w naszej rodzinnej wsi były miejsca, które należało omijać, a gdy już człowiek musiał przejść mimo, należało wzrok odwrócić i przeżegnać się, trzy razy najlepiej. Zrobił to więc, a dzieci morowiaków wówczas głowami skinęły.

## Janek i Janka

Nowi gospodarze niewiele z naszej ziemi pojmowali, nic prawie, a przecież mokradła, lasy, zwierzęta, duchy, strachy i boginki napierały na nich zewsząd, a oni nic, myśleli, że Mokry Dołek najgroźniejszy, gdy przecież tam tylko ojce nasze i matki leżały, gdzie by one chciały i nam zagrozić.

A tymczasem nasza wioska trwała od dawna, więc każdy kamień, każda dróżka, każde drzewo zdążyły dorobić się swojej historii, bo ludzie umarli, ale miejsca trwały, a przy miejscach trwały duchy. Nowi gospodarze nie mieli więc pojęcia, że najbardziej niebezpieczny we wsi nie jest wcale Mokry Dołek, gdzie w dno stawu wsiakali nasi ojcowie i matki, z ulgą, bo na zawsze skończyli z codzienną harówką na pańskim, lecz tamten świerk na skraju lasu, gdzie się niegdyś obwiesił starzec, gdy mu wóz stopę zmiażdżył i kowal musiał ją siekierą odjąć, bo się psuć zaczęła. Zamiast żyć bez

nogi, starzec wolał nie żyć wcale, a na swój koniec wybrał właśnie tamten świerk, który gałęzie miał nisko, więc i bez nogi sobie z umieraniem poradził. Portki zarzucił na gałąź i na nogawce się obwiesił, a wszyscy się dziwili, że twarz miał po śmierci pogodną. Taką pogodną, że zaraz w następnym miesiącu jedna młódka postanowiła też świerkowe zapomnienie wypróbować i ona dla odmiany obwiesiła się na sznurze drewnianych koralików na czerwono malowanych, które od umiłowanego dostała, i nad tymi koralami, które jej się w szyję wpiły tak mocno, że ją z nimi pochowano, minę miała całkiem zadowoloną. A świerk kusił dalej, to znaczy nie sam świerk, lecz śmierć, która się w świerku ukryła, miała stamtąd, że da odpocznienie, że u niej lepiej niż po żywej stronie. O tym mamieniu wiedzieliśmy, bo opowiadał o nim pijak, który z wieszaniem na świerku trochę źle wymierzył, więc tylko szyję obtarł powrozem i tyłek sobie potłukł, spadając.

Ktoś by powiedział, że lepiej ten świerk ściąć, bezpieczniej będzie, ale nie było to takie proste, bo raz że świerk w dziedzicowym lesie rósł, a dwa – że gdyby się go ścięło, śmierć grasowałaby po lesie swobodnie, tak zaś – zaszyła się w jednym miejscu i wystarczyło je omijać, żeby człowiek miał się dobrze. To wszystko próbowaliśmy gospodarzowi wytłumaczyć, co łatwe nie było, skoro mówić zapomnieliśmy.

Świerk śmiertelny był najgorszy, ale przecież złe wszędzie zagnieździć się zdoła, wytrwałe jest bowiem i nieustraszone jak chwasty. Była choćby ta miedza na dziedzicowym polu, gdzie kiedyś dziewczucha dzieciaka w południe cichuśko powiła i tam w chwastach zostawiła, a małe w nocy z chłodu pomarło i długo buczało na tej miedzy, ciepła i matki szukając. Teraz już płaczu słychać nie było,

bo wiele wody od tamtej pory w strudze upłynęło, ale jeszcze gdy człowiek tamtędy przechodził, fala trupiego chłodu w twarz uderzała, aż tchu brakło, lepiej więc było tą miedzą nie chodzić.

Albo wierzba przy gromadzkiej łące, co to ją koniecznie należało omijać z lewej, przez dziada wędrownego, który przy wierzbie raz siadł i umarł, a ludzie go dopiero na trzeci dzień znaleźli i pochowali na siedząco, bo się go wyprostować nie dało. Może przez to właśnie dziad ciągle nie pojmował, że już nie żyje, więc stale żywych przy wierzbie tarnosił, do ucha im chrypiał, a i niejednego uderzył. Co i raz ktoś posiniaczony stamtąd wracał i potem się dziwował, skąd te sińce nagle u niego, a że dziad umarł z prawej, o pień się opierając, dla bezpieczeństwa mijać wierzbę z drugiej strony należało.

Jako że o gospodarza, o gospodynię nieświadomych się martwiliśmy, sami po okolicy krążyliśmy, kłanialiśmy się w pas śmiertelnemu świerkowi, rozmawialiśmy z martwym dzieciakiem na miedzy, z dziadem, co nie wiedział, że od dawna nie żyje, gadaliśmy ze wszystkimi stworami, co się po lasach, po bagnach gniezdzą, i namawialiśmy, by dali nowym spokój, przecież nic o naszej ziemi nie wiedzą.

Hanka Józwiakowa

Nowy dziedzic nie mieszkał w naszej wsi, ale sporo dalej, w Izbicy, doceniliśmy więc, że i on zjechał do naszego Naczachowa pierwszych osadników obejrzeć. Ten dziedzic patrzył w oczy, nawet „Pochwalony, gospodarzu” odpowiedział na nasze pozdrowienie, choć, rozmawiając z nami, z konia nie zsiadł.

Nowy pan przydzielił nam niespełna dziesięć mórg. W jednym kawałku, więc łatwiejsze do obrobienia, Antoś miał tylko nadzieję, że ziemia niekamienista i piachu mało, ale nikt nas o wybór nie pytał. Za ten kawałek mieliśmy teraz pracować na pańskim codziennie, ale kiedy już ludzie do wsi się zjadą, tylko trzy razy w tygodniu, od świtu do zmierzchu. Ucieszyliśmy się z trzech dni, bo u naszego starego dziedzica niejedna rodzina na pańszczyźnie i kilkanaście dniówek w tygodniu musiała odrabiać, gdy u kogo było więcej dorastających dzieci.

Nowy dziedzic zaznaczył też, że mamy obowiązek doprowadzić do dorosłości potomstwo, które nas zastąpi, kiedy postarzejemy się tak, że nie będziemy już mogli pracować. Tak nam pan powtórzył, jakbyśmy sami nie wiedzieli, że lepiej mieć dzieci niż ich nie mieć. Ale doceniliśmy, że we własnej osobie postanowił nas o tym wszystkim powiadomić, choć z konia nie zsiadając, ale zawsze. Wyższy był na tym koniu sporo, więc musieliśmy głowy zadzierać, ale odpowiadaliśmy panu spojrzeniem. Ludźmi w końcu wszyscy jesteśmy, myślałam, myślał Antoś, który cieszył się, że nie ma tu obok ojca, żeby w potylicę grzmotnął i kazał patrzeć w ziemię, gdy z możniejszym się rozmawia. Czapkę tylko Antoś zdjął, ale to już z grzeczności.

– A z której wsi uciekliście? – spytał dziedzic.

– Z daleka, wielmożny panie.

– A czemu?

– Po nowe, lepsze życie.

Pan na to aż głową pokręcił.

Przez to wszystko mój mąż w nocy przewracał się na sienniku obok mnie, niepewny, czy dziedzic, głową kręcąc, dziwił się tylko,

że chłop podjął taką odważną decyzję, czy też w ten sposób chciał powiedzieć, że życie w nowym miejscu może i nowe będzie, ale wcale nie lepsze.

– Śpij wreszcie – prosiłam. – Do świtu niedaleko, nie odpoczniesz.

Ale nie mógł spać, ja też nie mogłam, gdy patrzyłam na inne niż zawsze ściany, inną niż zawsze powałę i inne niż zawsze okna. W sieni pokasywały dzieci morowiaków.

– Chore może i one? – zmartwiłam się.

– A nie, mówią, że kto przeżył morowe powietrze, już nie zachoruje – odparł Antoś, ale z głosu wymiarkowałam, że nie do końca w to wierzy. Co mieliśmy jednak zrobić? Wyrzucić te biedactwa z domu? Trwały więc w sieni, w pół drogi między domostwem a dworem, ciepło było na szczęście, słomy dużo dostały i derkę. Trwały tak, ciągle nieme, ciągle bezimienne, teraz akurat głośno kaszłące.

Usnęliśmy, gdy już szarzało.

I wtedy mojemu mężowi przyśnił się ojciec, któregośmy kilka dni temu w czworakach zostawili. Ojciec głowę chylił przed ekonomem, klęczał przed nim bez koszuli, a plecy mu parobek różgą smagał. Skądś Antoś wiedział, że to za nas ojciec karę odbiera, dlatego, że nam z majątku pomógł uciec. Chciał krzyknąć: „Przebaczcie, tatulu!”, ale głosu z siebie we śnie wydać nie umiał, patrzył tylko na nabiegającą krwią kratę na plecach swojego rodzica. „Ból mój za wasze szczęście oddaję” – powiedział do Antosia tatulo, a potem, strudzony bólem, głowę zwiesił jak Chrystus na krzyżu. Mój mąż obudził się szary na twarzy i potwornie zmęczony, od razu się przeżegnał, nie do końca pewien, czy do Boga, czy do ojca się modli.

W zmartwychwstającej wiosce na razie tylko my Józwiakowie mieszkaliśmy, co trochę mnie niepokoiło. Ponoć wkrótce mieli zjechać inni ludzie, tak mówili dziedzic z karbowym, ale nie wiedziałam, czy im wierzyć. Teraz byliśmy sami, sami w pańskim polu, na pańskiej łące, sami we wsi, która ciągle pachniała śmiercią i pustką, choć lato wokół szalało, rodziło maliny i poziomki, zieleniło łąki i lasy, pstrzyło kolorowym kwieciem każdy wolny skrawek. Po podwórzach pustych obejść włóczyły się kuny i tchórze, lisy i sarny, jeże i bażanty, przyzwyczajone, że od dawna nikt im nie przeszkadza. Z każdym dniem coraz bardziej bezczelne chodziły pańskim krokiem po obejściach, po sadach, po warzywnikach. Komary, rodzące się na mokradłach, uciechę miały z naszego przyjazdu i nas nie odstępowały, więc drapaliśmy się z Antosiem bez ustanku. Nasz nowy dom nie był ogrodzony, więc obudziwszy się o świtaniu, zaraz przez okno sprawdzałam, jakiego zwierza dziś gościimy. Gdy zobaczyłam kunę czy lisa, cieszyłam się, że naszą jedyną kurkę w kuchni trzymamy, a innego drobiu jeszcze nie mamy. Czasem bieda lepsza, myślałam, bo im mniej masz, tym mniej stracić możesz. I patrzysz na kunę jak na zwinne zwierzątko, a nie jak na zagrożenie dla dobytku.

W pańskim polu niewiele we dwójkę zdziałać byliśmy w stanie, ale żyto szczęśliwie mogło poczekać na żęcie jeszcze parę dni, aż inni zjadą, i już na pewno trzeba będzie chwycić za sierpy. Na razie więc zajęliśmy się sianem, sporo za późno, bo już dawno wyschło i zmokło po kilkanaście razy, teraz wiatr je rozrzucał, więc było grabienia a grabienia. Karbowy dosłał nam z dworu dwóch parobków, bo łąka pańska była wielka, a pogoda niepewna, i tak we czwórkę grabiliśmy i wrzucaliśmy na wóz. Gdy ułożyliśmy na wozie

spora kopiec, zamieniliśmy się z Antosiem, teraz ja wspierałam się na wóz, by uklepywać tam siano, a mąż z dołu i parobcy dorzucali kolejne porcje. Ach, jak lubiłam pracować w sianie! Pachniało jak dzieciństwo, jak ciepłe letnie noce, jak czas, gdyśmy się z Antosiem poznali, i z tej błogości wdychałam zapach całą sobą, aż oczy przymknęłam, aż na grabiach się wsparłam, twarz ku słońcu wyciągnęłam i w woniach i wspomnieniach się pławiłam.

– Babo, tu się pracuje! – wrzasnął jeden z parobków. – Nie na to tu was sprowadzili, żebyś się leniła na wozie!

– Lenić to się mogłaś tam, skądś przyjechała! Do roboty! – dodał drugi.

Od razu błogość mnie odeszła, głowę spuściłam, grabiami ruszyłam, by siano uklepać. Parobki z dołu patrzyły na mnie z dziwną wrogością, której nie pojmowałam, bo przecież chyba nie za tę chwilę, przez którą życiem się cieszyłam.

– Ja tylko... – Uśmiechnęłam się, usiłując złowić wzrok jednego lub drugiego, rozchmurzyć ich, ale nie, bo twarze mieli zacięte, skrzywione, złe. Za co?

W naszych stronach, jako komornica, zawsze uważałam parobków za ważniejszych. Tak już świat urządzono, że jedni wyżej stali od innych, więcej mieli i mogli.

Ale ja z tego urzędnika świata wyszłam i boczkiem się przemknęłam, gdy z komornicy zostałam żoną dworskiego parobka, rataja, Antosia mojego. Jeszcze się tam, jako ratajowa, dobrze umościć nie zdążyłam, gdy już w drogę ruszyliśmy i po dotarciu do Naczachowa staliśmy się bogatymi gospodarzami. I byliśmy nimi już od trzech dni, co tam, że w pustej wsi. Dom wraz z ziemią dostaliśmy za odwagę, ucieczkę po nocy ze wsi i dwa dni wędrówki,



podczas której co i rusz kryliśmy się w rowach. Tym sposobem jednak teraz byliśmy możniejsi od parobków dworskich, mieszkaliśmy na swoim i mieliśmy swoje pole. Dlatego źli byli. Na Antosia, na mnie.

Przecież nie na mnie, powtarzałam sobie, gdy rzucali we mnie naręczami siana tak, bym w twarz dostała, bym się zachwiała i upadła w siano, nie na mnie źli, tylko na tę dolę chłopską parszywą, że gdzie się urodzisz, tam musisz tkwić. Już mnie i słońce, i siano cieszyć przestały, aż tu, na wozie, czułam wrogość folwarcznych, kłuły mnie wrogie spojrzenia, starałam się więc patrzeć gdzieś dalej, w bezpieczniejsze rejony, gdzie nie otaczał mnie gniew, na który nie zasłużyłam.

Janek i Janka

Boginki leśne do nas przemówiły, że przeżyjemy morowe powietrze, przeżyć mieliśmy, by nieść dalej opowieść o Naczachowie, bo wiadomo, wieść o chłopach istnieje tylko w ludzkiej pamięci, tylko panowie wszystko muszą w księgach zapisywać, my pamiętamy i opowiadamy. I tak miało być też z nami, tylko zapomnieliśmy poprosić, by boginki nam po wszystkim mowę przywróciły, którą nam litościwie zabrały, gdy ze zgrozy nie umieliśmy znaleźć żadnych słów na wsi umieranie. Dlatego też wieść o dawnym Naczachowie żyła w nas, ale nie umieliśmy jej nikomu przekazać, dlatego wiedzieliśmy, że wieść potrzebuje nowej opowieści i pewnie właśnie dlatego zaczęli zjeżdżać się nowi ludzie.

Hanka Józwiakowa

I nagle z góry, z wozu i sterty siana, zobaczyłam wchodzącą do wsi gromadę chłopstwa, wszyscy nieznajomi, obcy. Najpierw poczułam strach, ale gdy przyjrzałam się lepiej – przyszła nadzieja, bo było ich tam dużo, chłopcy, baby, starsze i młodsze, i dzieci mrowie, a wszyscy dźwigali mocno wypchane tobołki.

– Sąsiedzi przyszli! – wrzasnęłam i z wozu zeskoczyłam, aż dopiero sobie przypomniałam, że skakać może raczej przy nadziei nie powinnam, ale co tam, byłam ciekawa nowych ludzi. Zaraz żeśmy pospieszili ku nim z Antosiem, a i parobki za nami poszły, zawsze nowi ludzie to we wsi uciecha.

Szybkośmy się dowiedzieli, że przybyły do nas aż trzy rodziny z jednej wioski, o dzień drogi stąd, co to im dziedzic umarł, a oni postanowili gdzie indziej szczęścia szukać, bo u siebie niezbyt wiele go mieli. Tu liczyli na lepszy los i z nadzieją wypytywali, czy go znajdą w Naczachowie. Z tymi trzema rodzinami zabrał się i niejaki Wicek, chłopak do wzięcia, nieduży, ale barczysty, liczył, że gdy tu dom i gospodarkę dostanie, łatwiej mu będzie o posażną żonę. Karbowy im także pozwolił wybrać domy.

Wszyscy brali te bliżej strugi, żeby krócej wodę nosić, te z kominami i oknami, żeby bogato było, no i wszystkie obok siebie, żeby w razie potrzeby się wspierać, jako że wszyscy byli krajanami. Wickowi kazali zająć którąś z mniejszych chałup, ale pyskował, że nie po to taki świat drogi przemierzył w poszukiwaniu lepszego losu, żeby się i tu gnieść w ciasnej chatynce, on chce być gospodarzem pełną gębą. Łaził więc po wsi, szukał, aż w końcu wybrał chatę trochę dalej od wszystkich, tuż przy skrzyżowaniu dróg, z jedną izbą, ale dużą, z komorą, z pięknym obejściem

i miejscem na nowe budynki. Widać niegłupi z niego był chłopak. Karbowy się zgodził, bo na razie godził się na wszystko.

Utarło się, że jako pierwsi we wsi, chodzimy z Antosiem do wszystkich nowych, niesiemy im słomę na sienniki, dobre słowo, no i pański przykaz, żeby od razu, gdy kto wybierze dom, szedł w pole, w pańskie pole, bo roboty mnóstwo, a ludzi mało. To znaczy niby coraz więcej, ale zdatnych niewielu, bo zjechało z nimi dzieciaków a dzieciaków. Za parę lat będzie z nich może wyręka, jeśli przeżyją.

Pierwszy raz w życiu mieliśmy dokoła nie same znajome twarze, tylko obcych, pierwszy raz w życiu musieliśmy się uczyć tylu nowych imion naraz, a nie po jednym, w miarę narodzin. Nowo przybyli mówili też inaczej, inne słowa, inne melodie, zrozumieć dało radę, ale zawsze dziwnie, gdy kto kartofle zwie pyrami, gdy kto choiny chojakami lub chojkami zwie, gdy kto mokradła bagniskiem zwać woli. Ale że nowe rodziny trzymały się razem, a i nas szybko wciągnęły w swoje sprawy, więc zaraz się z nimi poczuliśmy w Naczachowie dużo mniej obco. Ciepłej na duszy się robiło, kiedy ich głowy pochylone nad pańską pszenicą widziałam. Antosiowi do gustu najbardziej przypadł niejaki Bartek, co się u siebie pańską pasieką zajmował, i tu także planował ule w swoim sadku ustawić. Starszy był od mojego męża trochę, za dużo nie gadał, tylko od razu do roboty się pochylił i z sierpem szedł miarowo. Nie za wolno, żeby karbowy nie krzyczał, ale i nie za szybko, akurat, żeby nikogo tempem nie zawstydząć i żeby kobiety za nim snopy wiązać spokojnie nadążały. W południe tenże Bartek w niebo spojrział, czoło pod kapeluszem słomianym otarł i siadł na miedzy bez słowa. Zaraz i Antoś obok usiadł, wyczuwszy pokrewną duszę, i w milczeniu

każdy siorbał swój żur. W końcu Bartek otarł usta, odchrząknął i spytał:

- Dobry pan tutaj?
- A ujdzie.
- A karbowy?
- Na razie łaskawy.
- Dobrześmy trafili, mówicie?
- Nie najgorzej chyba, jeśli Pan Bóg pozwoli.
- Niech będzie jego wola.

I tym sposobem już całkiem dużo Antoś o Bartku się dowiedział: w Boga wierzy, człowiek z niego spokojny, rozejrzeć się lubi, a jęzorem bez potrzeby nie miele. Skoro zamilkli, przestałam podsłuchiwać, za to dosiadłam się do żony Bartka i poczęłyśmy obgadywać całe swoje życie. I zaraz się dowiedziałam, że swoi nazywają bartnika „Suchym Bartkiem”, czego nie zrozumiałam, aż kobiecina wyjaśniła mi, że ją nazywają „Mokrą Olesią”, bo zawsze na końcu nosa kapka jej wisi. Przyjrzałam się, rzeczywiście wisiała, a ona zaśmiała się i rękawem nos otarła. Przywieźli tu gromadkę dzieci i matkę, starą Oleśkę, żyłastą i barczystą jak chłop, która podobno lubi się popisywać, że snopków więcej niż chłop podniesie, u baby taka siła to rzecz niepowszednia. No i ta właśnie stara Oleśka z Kubą cieślą, któremu ciotką jest i który też do Naczachowa przyjechał, często do lasu chadzają, by sarenkę czy zająca złowić. Zaraz też Mokra Olesia spytała, jak bardzo dziedzic tu swoich lasów pilnuje, nie wiedziałam jednak, poza tym wolałam nie wchodzić w taką rozmowę.

Tenże Kuba, cieśla i kłusownik, przyjechał tutaj z żoną Kaśką i ich trójką dzieci. Razem z nimi zjechała do Naczachowa także rodzina

Władka, chłopca w latach, ale żonatego z młodką, sporo ode mnie młodszą, ale już z dwójką dzieci, co się jednego dnia urodziły, bliźniaki na to mówili. W koszyku je ułożyli na miedzy, Władkowa co i rusz chodziła je karmić, wielką pierś spod płóciennej koszuli wyciągając, a jej starszawy mąż gapił się na nią maślanym spojrzeniem.

Wszystkie te trzy rodziny, i ten młody, Wicek, uciekli, gdy im umarł pan. Wysłannicy skorzystali z zamętu, jęli objeżdżać ich wioskę jeszcze przed pańskim pogrzebem, żeby chłopów namówić na przenosiny do Naczachowa. I, po prawdzie, długo kusić nie musieli. A dlaczego? Bo za wesoło nie mieli, biednie, jak już pańszczyznę odrobili, to i do darmochoy musieli często chodzić, żeby kijów nie dostać. Pola nieraz dziedzic i jego goście trutowali im przy okazji polowań. Jak chłopci chcieli coś za straty dostać, to czasem jaki grosz im rzucili, a czasem ich psami poszczuli, zależnie od humoru we dworze, więc zawsze strach było upominać się o swoje. Wiedzieli wszakże wszyscy, że jak stary dziedzic umrze, to będzie jeszcze gorzej, bo z jego synalka już całkiem było diablisko. Nie dość, że jadąc konno, lubił sobie skrócić drogę przez chłopskie pole, to jeszcze koniem natarł dla zabawy na dziecko czy szpicrutą człowieka sięgnął, a potem się z tego śmiał, a śmiech miał iście diabelski. Kiedy więc do wsi dojechali posłańcy z Naczachowa, zaraz się prawie połowa rodzin zgadała, no i zabrała się z nimi, a że do pakowania wiele nie mieli, to i szybko poszło. Panicz może ich teraz szuka, jeśli już się doliczył, że mu trzy chłopskie rodziny ubyło.

– Ale przecież nie znajdzie, prawda, że nas tutaj nie znajdzie? – upewniała się Mokra Olesia, więc potwierdziłam, że chyba nie,

skoro i nas tu nie znaleziono.

Po tamtych trzech rodzinach pojawili się kolejni nowi, tacy chudzi, że gdy szli drogą do wsi, cień rzucali nie grubszy niż źdźbła żyta. Ich dzieciaki uda miały od kolan cieńsze, ramionka delikatniejsze od łokci, rodzice ich ledwie leżli, a starzec, którego pod rękę prowadzili, mało się nie rozsypał.

– Patrzcie, jakie golce przyszły – powiedział któryś i zaraz się ich Golcami zwać poczęło.

Myślałam, że się o to obrażą, ale gdy tylko Golcowa się o tym dowiedziała, niespodziewanie się ucieszyła.

– A w starej wsi też tak na nas mówili!

Dzieciaki Golców zaraz wszystkie niedojrzałe gruszki pierdziuszki z gruszy na miedzy obrały, a potem kucwały za stodołą z obolałymi brzuchami. Jak tylko się wyprostowały, szczaw i mlecze z łąki wyżarły, koniczynki wyssały, wybierały poziomki do ostatniej. I ta pokaźna gromadka osiedliła się w chałupie obok nas, naszymi sąsiadami się stając. Żałowałam, że nie Suchy Bartek z Mokłą Olesią wybrali sobie ten dom, Golce mniej godni byli, naznaczeni biedą, znękanie jakieś nosili wiecznie w oczach, ale że sąsiedzi rzecz święta, postanowiłam im być pomocą i oparciem i nie narzekać, że akurat tacy nam się trafili.

Nie tylko tym się wyróżnialiśmy, że byliśmy tutaj pierwsi, ale też i tym, że to u nas zamieszkały ostatnie dzieci dawnych mieszkańców. No i jako jedyni przynieśliśmy ze sobą nazwisko. To już było coś – nowi sąsiedzi w Naczachowie dziwowali się, bo u nich nazwiska nosili tylko dziedzice. Bo i po co komu nazwisko, jak się człowiek całe życie ze swojej wsi nie rusza? I u nas w starej wsi każdy wiedział, kto kim jest, w Naczachowie jednak wszystko trzeba

było ustalać od początku. Kto cieśla, kto z końca wsi, kto bartnik, kto głupi, kto mocny, kto goły, a kto chromy, wszystkiego trzeba się było dowiedzieć i nikt nam w tym nie pomagał. Zbieraliśmy się więc pod Bożą Męką, wszyscy tutaj nowi, i przekrzykiwali w tej gorączce, żeby wyrozumieć, kto jest kim, a ja byłam z tych, co krzyczeli najgłośniej, bo ani nie umiałam, ani nie chciałam inaczej.

Pyskata jest, myślał Antoś, i dobrze. Moja żona nie da sobie w kaszę dmuchać, tak myślał. Choć wiem, że zastanawiał się także, co myśli sobie o tych krzykach dziecko u mnie w brzuchu, czy nie boi się, że na świecie za mało ciszy.

I tak wszyscyśmy zniwowali od świtu do ciemności, a i w ciemnościach jeszcze zostawaliśmy na polu, gdy księżyc przyświecał, a solidnie przyświecał, jakby panu sprzyjał. Pańskie nie pańskie, grzech zboże na polu zostawiać. Chłopy żęli sierpami, myśmy wiązały snopki, podbierały i wiązały, podbierały i wiązały, aż grzbiet z bólu pękał, aż palce krwawiły.

Pan na razie łaskawy był, pomocny, co dzień konno przyjeżdżał, w pole do nas zaglądał, parobków z folwarku do pomocy przysyłał, ci sarkali, że z chłopami muszą robić, nawet więc do nich nie podchodziłam, ale karbowy pilnował, żeby się nie obijali. Nas też pilnował, ale na razie każdy z nas chciał się wykazać, przed panem i karbowym popisać, że gorliwi, że zasługujemy na nowe domy, na pola.

Karbowy, rad z tego, powtarzał:

– Z lasu pańskiego bez obaw korzystajcie, żeby sobie sprzęty konieczne zrobić, budynki potrzebne dostawić, wielmożny pan pozwala.



Pewnie, że korzystalibyśmy, ale czasu przecież nie było, pańskie pola wołały pracy, ale i chłopskie, te z nadzieją, chciały uwagi, niektóre jeszcze zmarli zdążyli obsiać, żywi będą z nich zbierać. Więc sprzętów na razie nowych zrobić nie było czasu i mieliśmy tyle, ileśmy przywieźli, a spaliśmy na sienniku rzuconym wprost na klepisko, trochę zagubieni, bo życie stało się zupełnie inne, a trochę zadowoleni, bo dobrześmy zrobili i teraz już na pewno będzie coraz lepiej. Jeśli Pan Bóg pozwoli oczywiście.

Z początku myślałam nawet, żeby z któregoś z pustych domów jakieś łóżko czy chociaż wyrko ściągnąć, póki jeszcze można, poszłam nawet coś wybrać, ale popatrzyłam i aż się wzdrygnęłam, że jednak nie chcę po martwych spać, żeby mi się nie swoje sny śniły, nie, wołałam śnić własne, pełne ostatnio szczęścia i rumianych dzieci. Łóżka zresztą wkrótce z pustych chat zniknęły, widziałam, jak po zmierzchu Golcowie je niosą do swojej chałupy. I dobrze, od dzieciaków ich wiedziałam, że u siebie w starej wsi spali pokotem na słomie, a do syta najadali się najwyżej ze dwa razy na tydzień, niech im tu będzie lepiej.

Stara Oleśka sama sobie dopowiedziała, że skoro możemy korzystać z drewna z pańskiego lasu, to i nie zaszkodzi, jak zajaczka jednego z drugim ułowi, i zaraz poczęła zakładać sidła, aż musiałam do niej chodzić i prosić, żeby dalej od drogi, bo jeszcze dzieciak jaki się złapie. Sidła przeniosła, a i zajaczka nam przyniosła na przeprosiny, więc się jej odwdzięczyłam kilkoma jajkami i takeśmy się we wsi dorabiali chłopskiej gromady.

Jakoś już po pszenicznych żniwach furmanką zjechała do nas kolejna rodzina. Zjechali, nie przyszli, jak my wszyscy, wóz ciągnął im wół dobrze odżywiony, krowa odpasiona za nim szła, w klatce

wiklinowej gęś gęgała i gdakało kilka kurek. Nowi byli w wieku całkiem dojrzałym, kilka córek mieli mocno podrośniętych i wydawali się zamożniejsi niż my wszyscy, więc nie wiedzieć czemu od razu pomyślałam, że wcale do Naczachowa nie pasują. Tym bardziej że zaraz poczeli łązić po wiosce, pytać o wszystko, chałupy dla siebie szukać, zaglądać, czy gdzie nie lepsze zajęte niż te, co zostały. Antoś sarkał, że się tak szarogęszą, a nawet do roboty na pańskie jeszcze iść nie zdążyli, ja nic nie mówiłam, bo nie chciałam zaczynać znajomości od kłótni, kiedy jednak kobieta weszła do nas do chałupy nieproszona i zaczęła się po izbie rozglądać, stanęłam przed nią, drogę jej zagrodziłam. Dała krok w bok i wykrzyknęła:

– Jamiołowie Pańscy! Jak tu u was pięknie!

To mnie trochę udobruchało.

– Miła i czysta z was gospodyni, powiedzcie, czy zadowoleni będziecie, jak się osiedlimy po drugiej stronie drogi? Obórka tam przyjemna stoi, kurniczek jest, akurat nam się nada, a chałupę poprawimy trochę. Zadowoleni będziecie z takich sąsiadów?

I co można było odpowiedzieć na takie pytanie? Ale wcale nie czekała na odpowiedź, mówiła dalej:

– Bo musicie wiedzieć, gospodyni, żeśmy się wcale przenosić nie planowali, bo i po co, żyliśmy jak u Pana Boga za piecem, kiedy przyjechał nasz dziedzic i powiedział, że mojego Jędrzeja do waszego pana w karty przegrał i że do innej wsi mamy się przenosić. Com ja się napłakała, jamiołowie Pańscy, com ja się naprosiła, że nie chcemy, że po co, że jak to na dojrzałe lata po świecie się błąkać, że łaski pana wielmożnego upraszam, ale odpowiedział, że dług karciany rzecz święta. I niech się cieszę, że

wszystko dobro nam z chałupy zabrać pozwala, bo kto inny by przynajmniej wołu zatrzymał. Tośmy już nie czekali, aż przemyśli, żeby i krowę nam odebrać, tylkośmy z papierem od pana w drogę ruszyli i jesteśmy. A macie może słomy na sienniki? Bo podobno wszystkim innym dawaliście, i zakwasu na chleb żeście dawali, to i my prosimy, po sąsiedzku nam się należy.

Co było robić, słomę dałam, zakwas dałam, z dobrym słowem trudniej mi poszło, ale w zamian posłałam Antosia, żeby im drzwi w kurniku poprawił, bo ktoś już im wyrwał i pewnie spalił w piecu, podejrzewałam jak zwykle Golcową. I nowi, we wsi najbogatsi, zamieszkali po drugiej stronie drogi, po skosie trochę od nas. Zaraz żeśmy ich „Jamiołami” zwać poczęli, bo gospodyni lubiła krzyżeć: „Jamiołowie Pańscy!”, kiedy się czymś zadziwiła, ucieszyła lub zmartwiła, czyli zawsze. Nie za mądra była, we wszystko wierzyła od razu i wszystkim się przejmowała, córki sztorcowała od rana do wieczora, bo „wychować dziewczęta trzeba w pracowitości i Bożej bojaźni”. Mąż jej Jędrzej się zwał, ale zaraz i na niego „Jamioł” zaczęli mówić. Małomówny był jak nikt, bardziej od Suchego Bartka, bardziej nawet od mojego Antosia, więc nikt o nim nie wiedział, głupi czy nie, skoro ciągiem milczał, ale chyba ze szczerem głupi nie był, bo się w pańskim polu zawsze umiał oszczędzać, i to tak sprytnie, że karbowy nigdy nic nie zauważył.

I takich to mieliśmy sąsiadów.

Już było po żniwach pańskiego żyta i pszenicy, owsiane mieliśmy zaraz zaczynać, gdy do wsi ściągnęli kolejni osadnicy. Wtedy jeszcze nie podejrzewaliśmy, jak ważna ta rodzina kiedyś się stanie dla nas, Józwiaków, na razie patrzyliśmy na nich jak wszyscy, z ciekawością

i nieufnością niejaka. Byli to ogromny chłop z trzema synami na schwał, z malušką córeczką, co pewnie niedawno nauczyła się chodzić, i z niedużą żoną. Nie wiadomo było, jak porodziła takich olbrzymów, bo sama blada jakaś była i kaszląca. Przy piersi dziecko trzymała, rumiane i pucate, wyglądało, jakby resztki sił z niej wysysało. Ale z chłopaków pożytek w polu będzie, ucieszyliśmy się, z nimi raz-dwa z owsem skończymy.

– Kowal jestem – powiedział wielki chłop, który nie wie, czemu przyszedł z tym do mojego Antosia. – Muszę mieć chałupę u rozstajów, żeby obok kuźnię wybudować.

– Dlaczego u rozstajów?

– Bo kiedyś tam stanie karczma, ludzie konia do podkucia zostawią i do karczmy pójdą. A karczmarz mi za to wdzięczny będzie. A wdzięczność więcej od gotowizny warta.

Brzmiało to niegłupio, czym kowal mnie zaskoczył. A gdy tak tłumaczył, czego potrzebuje, trzech jego synków, niewysokich, ale krzepkich, choć tak na oko po dziesięć, dwanaście może lat mających, pod boki się wzięło, i słowom ojca zza jego pleców potakiwało.

Sęk w tym, że w miejscu w sam raz na kuźnię stosownym już się osiedlić zdążył właśnie ten Wicek, młodziak bez żony, co to nie chciał się zgodzić na mniejszą chałupę.

– Pierwszy byłem, już się obrządziłem i się stąd nie ruszę – zapowiedział. – Kowal nie kowal, pierwszeństwo święta rzecz.

Ogromny wóz kowala stanął mu jednak pod chałupą i nie chciał odjechać, a obok stanęli synalkowie i groźnie na Wicka i dom jego popatrywali.

Za moją radą kowal poszedł do karbowego prosić o rozsądzenie sprawy.

– Pracować macie, a nie o domy wojować – powiedział karbowy.  
– Nic mnie to nie obchodzi, ja mam żniwa na głowie, nie mnie takimi figlami się zajmować.

Kowal zatem wziął sprawy w swoje ręce. Wszedł do chałupy, Wicka za kapotę chwycił i razem z rzeczami, z pomocą trzech swych synalków, na wozie poukładał. Zaraz wywieźli Wicka do pustego domu opodal, jego rzeczy zwalili w sieni, drzwi za sobą zamknęli, dobrze, że kijem nie podparli. Krewki Wicek zaraz jednak wrócił pod swoje obejście i rozgłośnie zaczął protestować. Ucichł, gdy kowal podparł się pod boki i chwycił młot, a synalkowie za kijami poczęli się rozglądać. Młody poszedł więc po pomoc, jakimś trafem właśnie w moim Antosiu upatrując nadziei. W moim ukochanym mężu, młodzieńcu lat dwudziestu, synu rataja z majątku w Wielkopolsce, niewiele od Wicka starszym.

– Jak się kowale nie wyprowadzą, to ich spalę. Pierwszy byłem! Pierwszy ten dom zająłem! – krzyczał Wicek.

– Sprawa nie jest prosta. – Antoś jak zwykle się zamyślił. – Bo jak spalisz, nie będziesz miał gdzie wracać.

– Jak ja nie mam, to niech i oni nie mają!

– Gorzej, że niechcący wieś całą nam spalić możesz.

– To co mam robić, mówcie!

– Tu się o dwa dobra rozchodzi. Jedno to twoje prawo do zajęcia wybranego domu, skoro pierwszy tam byłeś.

– Tak właśnie!

– Drugie to prawo wsi, żeby kowal w dogodnym miejscu miał kuźnię, wtedy wszyscy na tym skorzystamy.

- Siłą mnie wyrzucił! Za drzwi wystawił! Sagana nie oddał!
- Sagan musi zwrócić niechybnie.
- Sam sagan? Ja swój dom chcę z powrotem!

Kowala trudniej wysiudać z miejsca, zresztą czy mądrze robić sobie wroga z największego mocarza we wsi, a zwłaszcza z jego trzech potomków? Bardzo byłoby to niepolityczne, tak myślał Antoś, i ja tak myślałam. Nad młodym Wickiem łatwiej byłoby zapanować, tyle że sprawiedliwość co innego mówiła: prawo pierwszego jest najsilniejsze.

– Pozwól, że przemyślę sprawę – powiedział Antoś, a ja zaprosiłam młodego, by tymczasem z nami obiad zjadł. Zaszliśmy do chałupy, żuru nalałam w miskę, łyżki położyłam, na stół wyszorowany pacnęłam łyżką klusek, skwarkami z rynienki polałam, czym na chwilę Wicka ułagodziłam, choć co mu się odniesiona zniewaga przypomniawszy, to pokrzykiwał z pełnymi ustami:

– Ja pierwszy byłem! Nigdzie się przenosił nie będę! Moje święte prawo!

Ale z każdym kęsem cichł i łagodniał, pomrukiwał tylko z zadowolenia, już więcej pomlaskiwał, niż krzyczał. Kiedy się uspokoił, łatwiej było z nim rozmawiać, więc Antoś zaczął tłumaczyć, że wroga z kowala, jednego z najważniejszych ludzi we wsi przecież, ani z jego rodziny nikt by mieć nie chciał. Wicek kiwał głową, nie wdając się chwilowo w rozmowę, skupiony na jedzeniu, a Antoś klarował, że życie z wrogiem we wsi nie jest łatwe, na każdym kroku człowiek musi się pilnować. Wiedziałam, że Antoś sobie z Wickiem poradzi, zresztą przy babie chłop zawsze większego

chojraka struga. Ja teraz mogłam zrobić co innego, więc na pięcie się zakręciwszy, wyszłam z domu.

Wróciłam dopiero pod wieczór, uśmiechnięta i zadowolona.

– Gdzieżeś była? Nic nie powiedziałaś, martwiłem się – zeżlił się trochę Antoś.

– Byłam u kowalowej.

– I co?

– Przemiała z niej kobieta, tylko życiem mocno sterana. Jakimś cudem wszystko tam w garści trzyma.

– Nie o to pytam.

– Przecież wiem, Antoś, o co pytasz. Poszłam się rozeznać, kto tam w domu rządzi.

– Wiadomo, kto rządzi. Zawsze mąż, tak od wieków było, jest i będzie.

Spojrzałam mojemu mężowi w oczy.

– Oni się ledwie mieszczą w tej chałupie. Kowal o ten akurat dom wojował i wywojował, ale ciasno im tam, te jego chłopaczki zaraz ściany rozniosą. No to poszłyśmy z kowalową szukać czegoś większego.

– Tak po prostu?

– Powiedziała jej, że znam parę sporych chałup z porządną komorą, dla nich dużo sposobniejszych.

– A skąd ty wiesz, że są takie?

– Wiem i tyle. Kowalowa wrogów we wsi mieć nie chce, ale jak kto się jej mężowi sprzeciwia, on zaraz się burzy i do walki staje. Kowalowa mówi, że z jej mężem trzeba inaczej, nie sprzeciwiać się, tylko sposobem.

– No i jakście na niego sposób znalazły?



– Taki, że z drugiej strony rozdroża stoi większy dom, na ich potrzeby dogodniejszy. Niewiele dalej niż ten, co go wybrali.

– I wystarczyło jej to powiedzieć?

– Oj, mężu, to nie takie proste, żeby człowieka do czegoś przekonać. Więc najpierw pokazałam kowalowej inny dom, dalej od rozdroża, ile w nim miejsca, jak wygodnie. Zachwyciła się, zatęskniła za większym, ale, powiedziała, dom jest za daleko od rozjazdu i jej mąż na to nie przystanie. Więc gdy już miała w sobie tęsknotę za czymś większym, zaprowadziłam ją we właściwe miejsce.

– I dała się namówić?

– Wcale jej nie namawiałam. Powiedziałam, że sami rozważamy się tam przenieść. Wtedy ona powiedziała, że u nich już dużo dzieci, a u nas dopiero jedno w drodze, więc im by się bardziej przydało. Długo mi tak tłumaczyła, aż w końcu dałam się jej przekonać. Kowalowa weźmie tam męża jutro z rana, gdy się dzisiaj wszyscy przez noc wygniotą na kupie w tej ciasnocie z jedną izbą. Kowal wtedy łatwiej zrozumie, że warto się przenieść teraz, póki puste stoi, a nie liczyć, że ten ciasny dom kiedyś powiększy.

– Kowal nie nabierze się na takie babskie podstępny – zapewnił mnie Antoś. Ale gdy następnego dnia pod wieczór wracaliśmy z pola, zobaczyliśmy, jak kowal z trzema synalkami pakują swoje rzeczy na wóz, a chuda kowalowa z pucatym dzieciątkiem przy piersi dozoruje ładowanie, dogadując, cicho może, ale skutecznie, by na garnki uważali, bo jej potłuką. Przywitaliśmy się grzecznie, pochwaliliśmy wybór nowego domu i roztropność w decyzjach. Antoś ręce sobie z kowalem uścisnęli, jak gospodarz z gospodarzem,

myśmy się z kowalową uśmiechnęły do siebie i rozstaliśmy się w zgodzie oraz we wzajemnym zadowoleniu.

A potem zaszliśmy do Wicka i powiedzieliśmy mu, że może wracać na swoje. Zdziwił się, ucieszył i pochwalił, że mądry z Antosia gospodarz, że rozsądzać spory umie i że dobrze do niego po radę iść, a we mnie serce urosło, że takiego mam godnego męża.

W następną niedzielę, gdy wchodziliśmy do kościoła, akurat kowalowa obróciła się ku tyłowi. Kowalowie, choć ledwie pierwszy tydzień byli we wsi, to już rozsiedli się w pierwszej ławce, gdzie zawsze siadywali najgodniejsi – młynarze i najbogatsi chłopci z okolicy. Kowalowa ze swojego miejsca głowę przed nami skłoniła, a potem coś swojemu potężnemu mężowi do ucha szepnęła. Ten zaraz się z ławki zerwał i ruszył do drzwi. Chwycił Antosia pod rękę i podprowadził na sam przód, gdzie kazał się przesunąć wszystkim w pierwszej ławce, byśmy i my się zmieścili.

Antoś zawahał się, w dawnej naszej parafii ratajów nigdy w kościele do przodu nie proszono, w środku im zwyczaj nakazywał siedzieć. Syknęłam mu jednak do ucha, by się nie opierał. Proszę – idziemy, nikt przecież nie wie, gdzieśmy w dawnym kościele siadywali. Zaraz się wyprostowałam, barwną chustę i kwiaty we włosach poprawiwszy, żeby wyglądać dostojniej, i rozsiadłam się, gdzie nas poproszono. Potem chyłkiem wzrokiem po tyłach powiodłam, z dumą, ale i grzecznie przed ludźmi z tyłu głowę skłoniłam. Wtedy i Antoś usadowił się obok, po czym ukradkiem złapał mnie za rękę, na chwilę, bo w kościele nie bardzo wypadało, ale wiedziałam, że chce poczuć tę naszą wspólną moc, której sobie wzajemnie przydawaliśmy.

A i dobrze, że tam siedliśmy, bo zaraz na początku ksiądz ogłosił, że to msza za dusze zmarłych podczas moru mieszkańców Naczachowa, którą to mszę Antoni i Hanna Józwiakowie opłacili. Drgnęłam, bo nic mi Antoś o tym nie powiedział, że kilka groszy przeznaczył na uczczenie pamięci tych, którzy tu byli przed nami. Gdyby mnie zawczasu o to spytał, pewnie bym mu to odradziła, bo grosz wolny zawsze w domu się przyda. Teraz jednak, gdy się po kościele rozejrzałam, zobaczyłam, że już nie tylko kowalowa przed nami głowę skłania, ale i wielu z obecnych.

Od tamtej pory już zawsze w pierwszej ławce miejsce na nas czekało, w tym niewielkim, drewnianym kościółku, zbudowanym w miejscu zwanym „Pustynią”, i tam też siadaliśmy, obok kowala, młynarza z drugiej wsi i paru jeszcze znamienitszych chłopów z okolicy. Skoro zaś tam zasiadaliśmy, to i staraliśmy się wysoko głowy trzymać. A tak już na świecie było, że im kto godniej się zachowywał, tym bardziej go szanowano. To wtedy właśnie zaczęłam się jeszcze prościej nosić i nikt by nie powiedział, że jako komornica kiedyś zginałam kark przed wszystkimi, bo każdy był ode mnie możniejszy. Żeby rodzice Antosia mogli mnie teraz taką godną zobaczyć, dopiero by się zdziwili. Ale i może też trochę by się ucieszyli.

Janek i Janka

Dzień w dzień wskazywaliśmy gospodarzowi kościół na Pustyni, a on patrzył, gdzie rękami machamy, z każdym kolejnym dniem nieco bardziej rozeźlony, bo nijak nie rozumiał, o co nam idzie. Długo mu zajęło, zanim pojął: kościół pokazujemy. Zrozumiał dobrze, ale tylko trochę, bo nie o mszę nam chodziło, skorośmy

tamtego Boga nijak nie rozumieli, chodziło nam o pamięć, chcieliśmy tylko, żeby ksiądz wszystkim nowo przybyłym przypomniął z najważniejszego miejsca w kościele o umarłej wiosce. I stało się, jak chcieliśmy, i od tamtej pory postanowiliśmy gospodarza naszego jeszcze bardziej z wdzięczności pilnować.

Hanka Józwiakowa

Tamtego dnia, dnia zaćmienia Słońca, gdy Pan Bóg jednak nad nami się zlitował i sprawił, że na świecie znowu zrobiło się jasno, gdy już z Pustyni od księdza wróciliśmy, zaraz łuczywo zapaliłam i zaczęłam się krzątać po domu. W zapamiętaniu czyściłam wszystko do białości, jakby goście mieli zaraz przyjechać. Antosia zawsze przerażało, gdym tak czyściła w zapamiętaniu, poszedł więc do sąsiadów pod koniec dnia o końcu świata pogadać. A ja poczułam, że jeszcze powinnam wymienić słomę w sienniku, potem posypałam klepisko czystym piaskiem, poduszkę wytrzepałam, wywietrzyłam derki, gdy nagle nadszedł pierwszy ból. Jeszcze wyprałam szmatki po czyszczeniu, jeszcze rozwiesiłam je przy palenisku, gdy nadszedł drugi. Wiedziałam od kobiet, że boleć może z przodu, z tyłu albo dookoła. Mnie bolało dookoła i to tak, jakby ktoś żelazną obręcz mi na żywocie zaciskał. Ustawało na dłuższy czas, a kiedy już o bólu zapominałam, znowu brzuch zaczynał mi twardnieć.

Trudny dzień niedoszłego końca świata miał się zatem okazać tym dniem, gdy powitamy nowe życie, tak od razu pomyślałam, a potem już nic nie myślałam, bo znowu zaboląło. Do Golców miałam ledwie parę kroków, po drodze znowu mnie złapało, pochyliłam się, jęknęłam, biodrami pobujałam, przeszło. Skąd wiedziałam, że tak trzeba robić? Może święta Anna, moja patronka, mnie natchnęła,

może duchy matuli, babki i prababki się mną zaopiekowały, tak czy siak, doszłam do Golcowej i powiedziałam, że już, że się zaczyna. Położyła mi dłonie na brzuchu, pomacała.

– Dobrze leży, główką w dół – powiedziała. – Nie bójcie się, sąsiadko. Jak Matka Boska dopuści, to szczęśliwie urodzisz. Już tyle razy dzieci na świat wydałam, że wiem wszystko, co i jak, pomogę ci przecież. I wszystkich czternaścioro żywych urodziłam, jeśli umierały, to potem dopiero. Matka Najświętsza dała, Bóg wziął, a i tak ośmioro nam zostawił, a i ja sama żyję przecież, czego i tobie życzę. Wracajcie, Hanka, do siebie, nie siadajcie, nie kładźcie się, im bardziej boli, tym bardziej chodzić trzeba, dreptać musisz, cały czas dreptać, po domu, po podwórzu, wtedy poród będzie krótszy i łatwiejszy. Ja zaraz przyjdę, pobieram tylko, co potrzebne.

Wróciłam więc do siebie i chodziłam po obejściu, jeszcze drewna naniosłam, żeby w chałupie nie zabrakło, jeszcze kurom zadałam, bo później już nie będę miała do tego głowy, jeszcze podwórze zagrabiłam, żeby wstydu nie było, a potem weszłam do domu, jeszcze do ognia dorzuciłam, żeby do rodzenia było ciepło, aż przyszła Golcowa, szmatki rozkładać poczęła i ziółka jakieś, a potem zaczęły się schodzić gospodynie z całej wsi, wszystkie, które już rodziły. Tych dziewczyn, co nie rodziły, wpuszcząć nie miałyśmy zamiaru, żeby nie przestraszyły się kobiecej doli.

Pierwsza przyszła kowalowa, z którąśmy się bardzo lubiły od pierwszych jej chwil we wsi, chuda, ale silna, zawsze cicha, ale sprytna, jakoś sobie radę dawała ze swoim mężem siłaczem, krzepkimi synalkami i córeczką małą, ale wrzaskliwą. Przyniosła dziesięć jajek, twarogu gomółeczkę, a na pożyczkę nożyce owczarskie, skarb wielki, którym pepowinę dużo łatwiej niż nożem

przecinać, bo u kowalów w domu zawsze o żelazne narzędzia prościej było.

Potem z miarką mąki w darze weszła Władkowa.

– Tej nocy pierwsze dziecko w Naczachowie rodzone będzie – powiedziała uroczyście i za rękę mnie ścisnęła. Młodsza była ode mnie, a już z dwójką dzieci, obojgiem u piersi, bo w jednym wieku były. Taki ten Władek do dzieci robienia podwójny, dowcipkowali ludzie, Władek Podwójny, powtarzali, jeszcze niewiele o sobie wiedzieliśmy, skorośmy dopiero od paru miesiączków się znali, a już próbowaliśmy o innych dowcipkować i przezwiska wymyślać.

Potem z płótnami na powijaki dla dziecka wpadły obie Olesie.

– Jakby co, to już i córce mojej niejedno z brzucha wypchnęłam, to i tobie pomogę. – Stara Oleśka zatarła żyłaste dłonie. – Wygniotę brzuch pięściami jak należy, dziecko jak z procy wystrzeli.

Na koniec weszły Kartoflana Kaśka, która od kaszy zawsze kartofle jeść wolała, pewnie dlatego dla mnie kaszy woreczek przyniosła, i z osełeczką masła Jamiołkowa z naprzeciwka.

Golcowa położyć mi się kazała, rękę mi pod spódnicę wsadziła i patrzyła, czy długo jeszcze potrwa, co bolało, naprawdę, a jeszcze bardziej zabolalo, jak masła z osełki od Jamiołkowej wzięła i zaczęła mi tam smarować, naciskając mocno. Aż mi łzy z oczu pociekły, ale nie jęknęłam, bo dziecko wyczekiwane rodzę, więc radość we mnie być powinna, wargi zgryzłam z bólu, ale dźwięku nie wydałam.

– Dzielna dziewczyna z ciebie, dzielna. Będzie dobrze – powiedziała Golcowa. – Potrwać to trochę musi, zawsze trwa, u każdej, przy pierwszym zwłaszcza, ale u wszystkich nas, cośmy tutaj, dobrze się skończyło.

Zaraz też uznała, że czas mi wódki dać, specjalnej z korzeniami, którą muszę wypić na bólu złagodzenie. Zanim mi flaszkę podała (trzy łyżki koniecznie, ale maleńkie!), sama sprawdziła, czy gorzałeczka mocy nie straciła.

– Mocna, jucha! – ucieszyła się. I ja pociągnęłam, trzy razy, jak kazała, a od mocy faktycznie mnie zatkało, i ciepło rozeszło mi się po ciele, a ból wydał mi się mniej straszny.

A potem wszystkie się rozsiadły i poczęły radzić, jak tu mi jeszcze w rodzeniu pomóc, a czasu dużo na to miały, bo choć bóle mną miotały, to jednak ciągle nie przychodziły za często, więc były pewne, że do rana mi się z tym rodzeniem zejdzie. Do ognia dorzucały, z chałupy mi wychodzić zabroniły, póki się nie skończy, w domu zawsze bezpieczniej ode złego, powtarzały, a kobieta rodząca stanowi łakomy kąsek dla złych stworzeń.

– Jakich stworzeń, jamiołowie Pańscy?

– A toć nawet nie wypada o żadnych takich stworach przy rodzącej mówić – odparła zaraz Golcowa.

A tamte głowami pokiwały i dalejże o różnych porodach opowiadać, swoich i cudzych, co zdało im się dużo bezpieczniejszą rzeczą. Tylko że i tego słuchać nie chciałam, bo najciekawsze były te najdziwniejsze porody, a ja chciałam mieć najnormalniejszy. Właśnie Władkowa opowiadała o swoim podwójnym rodzeniu, co to jak już córkę z siebie wypchnęła, znowu bóli dostała, gdy na łożysko wszystkie czekały, to drugie dziecko z niej wyskoczyło, chłopak tym razem. A ja nagle zrozumiałam, czego mi brakuje, i zapytałam:

– Gdzie mój Antoś?

– A niech siedzi, gdzie chce, rodzenie to nie jest męska sprawa – pocieszyła mnie Golcowa, ale coraz bardziej martwiłam się o tego



mojego męża, wzdychałam, gdzie on, i o nim myślałam zamiast zająć się czekaniem na nowe życie.

Antoś wszedł do domu dopiero podczas długiej i zawikłanej opowieści Jamiołowej o jej licznych porodach. Gdy cały ten babiniec zobaczył, aż się cofnął.

– Rodzić będę – wyjaśniłam.

Ucieszył się.

– Dobry dzień na rodzenie!

Niby dlaczego? – chciałam spytać, ale tylko jęknęłam, bo znowu nadchodziło. Tym razem bolało mocniej i dłużej, a ja stałam się przez to zwierzęciem, kotką, krową, suką w bólach, Antoś przestał się cieszyć jak głupi do sera, patrzył tylko na mnie przerażony, gdy jęczałam, ciałem bujałam.

Przeszkadzało mi to jego patrzenie.

– Wyjdźże! – rozkazałam.

– Zróbcie coś, Golcowo, Hanę boli!

– Wyjdźcie, gospodarzu – poparła mnie Golcowa.

– Moja to chałupa!

– I wasza to żona. Ale rodzenie to nie jest męska sprawa. Tyleście po chałupach chodzili, to i teraz idźcie do mojego Golca, gorzałeczki mu weźcie, posiedźcie se, a my się tu wszystkim zajmiemy.

– Ale jak to?

– Przeszkadzasz mi, Antoś – jęknęłam i znowu się zwinęłam w sobie.

– Hanuś, ale co ty...

– Wyjdź! – wrzasnęłam.

Wyszedł wreszcie, oglądając się na mnie, z troską na twarzy, a ja o jego trosce myśleć nie chciałam, teraz cała musiałam się skupić na

swoim zadaniu. Umęczona już strasznie tymi bólami byłam, trzymałam się tylko jednej myśli: dziecko, które rodzi się w dzień odwołanego końca świata, będzie dzieckiem niezwykłym, może o to Antosiowi chodziło.

Golcowa znowu mi rękę pod spódnicę wsadziła, ale w bólu ją odepchnęłam, aż się na ścianę zatoczyła.

– Hanka, daj sobie pomoc.

– Kiedy boli!

– U nas w starej wsi rodzące się po izbie prowadziły, a co próg mijają, musiała po nim mocno tupać – powiedziała Stara Oleśka.

– E tam, dziwnie się u was robiło. U nas się dookoła stołu prowadziły, a przy bólach musiała na swoim miejscu stanąć i czoło o blat wesprzeć, to pomagało, tak i ja urodziłam – rzekła Władkowa.

– Opowiadacie, baby. U nas się skrzynie, beczki otwierały, żeby się i rodząca otworzyła, bo przecie jeszcze zamknięta – odezwała się Jamiołkowa. – Macie tu, Hanka, jaki kufer do otworzenia?

– Garnek odkryjcie – jęknęłam.

– Ale i po izbie pochodzić trzeba – nalegała Stara Oleśka.

– I dookoła stołu! – upierała się Władkowa.

Przeszkadzały mi ich słowa, głosy mi ich przeszkadzały, drażniły ich kłótnie i przekomarzanki, chciałam wejść w siebie, do środka, dziecko rękami obwinąć i wypchnąć z siebie, bo czułam, że już czas na to, a one mnie tutaj w izbie trzymały i nie umiały się dogadać. Znowu jęknęłam, czołem o ścianę się wsparłam, biodrami zabijałam, by przepędzić ból, ale wracał, coraz mocniejszymi falami.

Dzieci morowiaków przyłazły skądś, by kucnąć jak zawsze między sienią a izbą i patrzeć, jak krzyż sobie masuje, jęcząc.

A przecież wydawało mi się, że wykurzyłam płonąca szafwią wszystkie duchy z chałupy, a tymczasem dwa karmię, aż im się policzki wypełniły, zrozumiałam nagle i z tego powodu zgroza mnie zdjęła nad moim twardniejącym na kamień brzuchem.

– Do sieni! – rozkazałam.

– Do sieni! – zawtórowały mi baby. – To nie dla dzieciaków miejsce!

Ale zaraz zgęłam się tak i kucnęłam, czując coś mocno dziwnego, że zapomniałam o morowych dzieciach, o mężu na podwórzu, o przegadujących się babach, nawet o dzisiejszym końcu świata. Gdy sobie przypomniałam, dostrzegłam, że morowe dzieci nigdzie nie poszły, bo z obu stron podtrzymują mnie ich maleńkie, chłodne rączki.

I wtedy poczułam, że mogę urodzić bezpiecznie.

Mój mąż stał wtedy na podwórzu, patrząc to na oświetlone od paleniska i łuczywa okno w chałupie, to w księżyc, czy i on nagle zniknąć nie zacznie. I gdy tak ślepił do naszej chałupy, wydało mu się nagle, że przez bab głosy słyszy coś dziwnego. Zdaje mi się, z tych nerwów tak pomyślał, na dziecko jeszcze za wcześnie, to pewne.

I znowu usłyszał dziwne dźwięki, nie były to baby, nie były to też moje jęki, zresztą głosy nie dochodziły z domu, lecz z lasu. I wreszcie zrozumiał: wilki! Wilki w lesie wyją! Mrozy zaraz, śnieg zaraz, pomyślał, a wtedy głodne drapieżce podejną pod wieś jedzenia szukać, a nasze obejście pierwsze przecież, to od nas zaczną.

I wtedy postanowił, że tak tego nie zostawi. Nasz dom musiał być bezpieczny, zwłaszcza teraz, gdyśmy stawali się rodziną.

Z domu słyszał uspokajające głosy kobiet i jęki, coraz silniejsze jęki, z lasu wycie i wbijał w ziemię żerdzie, kolejne i kolejne, coraz gęściej, by przez nie przeplatać cieńsze, wiklinowe i leszczynowe gałązki. Między żerdziami wbijał dodatkowo w ziemię kołki, bo przecież wilki potrafią się podkopać. Co jakiś czas odchodził kilka kroków do tyłu, żeby podziwiać swoje rosnące dzieło: mocny płot, któremu żaden wilk nie da rady, płot, który ochroni rodzinę, naszą rodzinę, która z roku na rok będzie coraz większa. Kiedy łuczywo wbite w ziemię zaczynało dogasać, odpalał kolejne i, modląc się pod nosem, wbijał, przeplatał, wbijał, przeplatał. „Niech maleństwo urodzi się szczęśliwie”, mamrotał, starając się nie słyszeć jęków, a potem już nawet i krzyków, wydawanych głosem takim, jakbym to nie ja krzyczała, lecz zwierzę jakieś, w boleściach konające. Nawet wilki od tego umilkły.

Płacz dziecka rozległ się, gdy już świtało, a płot stał mocny i gotowy, oprzeć się o niego było można i całkowicie mu zaufać. Płacz brzmiał silny i zdecydowany, dobry znak. Gdy Antoś wpadł do izby, Golcowa akurat dzieciaka zawijała w powijaki, sztywno, żeby wzmocnić mu plecki, żeby się rączkami nie podrapało.

– Syn – powiedziała. – Zdrowy.

I podała mojemu mężowi zawiniątko. Patrzył na buźkę, mocno do starej twarzy jego ojca podobną, i próbował powstrzymać łzy.

– Szczepan – powiedział, wiedziałam, że tym imieniem chce ojca swojego uhonorować. – Szczepan Józwiak nam się dzisiaj narodził, w tym niezwykłym dniu końca świata. Niech żyje szczęśliwie.

– W zdrowiu i dostatku. – Spocona, wyczerpana, szczęśliwa, uśmiechnęłam się do niego.

Baby podrzemywały w kątkach, zakrwawione szmatki płonęły w piecu, a morowe dzieci podeszły do Antosia, żeby obejrzyć nowego naczachowianina. Przeraziłam się, ale zaraz przypomniało mi się, jak podtrzymywana ich drobnymi rączkami, wypchnęłam z siebie syna, i pomyślałam, że chcę im to wynagrodzić.

– Janek i Janka – powiedziałam. – Nazwijmy ich Janek i Janka.

– Morowiaki – dorzucił Antoś. – Od morowego powietrza. Janek i Janka Morowiaki. Nie mają nic, niech chociaż nazwiskiem się pocieszą.

Tamtego trudnego dnia nazwaliśmy trzy istnienia. A potem odpoczęliśmy, trochę zadziwieni, że świat się wcale jednak nie skończył, tylko tak bardzo zaczął.

## Janek i Janka

Nowe imiona nam nadali, a inne były niż stare, ale o starych chcieliśmy zapomnieć, bo do starego świata należały i jak stary świat bolały, a teraz nowe przyszło, nowi ludzie, nowe zwyczaje i nowe dziecko, i tego wszystkiego strzec musieliśmy. Na szczęście do gospodarza może coś wreszcie dotarło, bo tamtej trudnej nocy ogrodził domostwo, a wiadomo, że złe za płot bez zaproszenia nie wejdzie. Dobrze, że ogrodził, bo teraz było o jedną małą osobę do pilnowania więcej.

## Część druga. Rok 1826, świat się mości

*Fryderyk Chopin nudzi się w uzdrowisku Duszniki-Zdrój. Adam Mickiewicz na zesłaniu w Rosji nie nudzi się wcale, bo właśnie napisał Sonety krymskie, zyskując pewność, że znalazł się o krok bliżej sławy.*

*Francuz Joseph Nicéphore Niépce nie zyskuje sławy, choć właśnie wykonał pierwszą w historii świata fotografię, gdy po latach prób i ośmiu godzinach naświetlania utrwalił na ołowiowej płycie czarno-biały wizerunek starego chłopskiego podwórza w Chalon-sur-Saône, które będzie można dzięki temu już zawsze oglądać.*

*Izbica Kujawska i jej okolice, a więc i Naczachowo, od jedenastu lat znajdują się pod władaniem cara Mikołaja I Romanowa, co chłopów jednak wcale nie obchodzi – w końcu car jest daleko, a dziedzic blisko.*

*Dziedzic nazywa się Augustyn Szubicki, w majątek się wzenił nie tak dawno, resztę dokupił i w swoim kawałku świata postanawia wprowadzić nowe porządki.*

Hanka Józwiakowa

Nowy dziedzic był całkiem inny niż poprzedni. Poprzedni wcale z dworu nie wychodził, ludzi wolał do nas wysyłać. Oglądaliśmy go tylko w kościele, a i to nie bardzo, bo przy ołtarzu za kolumną siedział i jeno jego trzewiki lśniące widzieliśmy i skrawek sukni dziedziczki. A gdy mu się kto w bryczce jadącemu na gościńcu pokłonił, odwracał głowę i udawał, że nie widzi. Widział jednak, bo jeśli chłop czapki nie zdjął, w pasie się nie zgiał, baciskiem dostawał

od stangreta i czapka spadała sama, a i człowiek się z bólu zginał, taki był z niego pan.

Za to nowy dziedzic dziwnie lubił z ludźmi pogadać. Bywało, że na wieś przyjeżdżał i nawet w karczmie z chłopami usiadł, postawił gorzałkę, bo i chciał zrozumieć, co myślą, taki był z niego dziwny pan. Wąsy miał, laskę, choć nie chromał, taką tylko do ozdoby, ze złotą główką. Ile to pieniędzy trzeba mieć, by prawą, ważniejszą rękę zajmować czymś, co nie jest do niczego potrzebne? – dumalam. Wiedziałam jedno: sami nigdy tyle mieć nie będziemy. Ale nowy dziedzic przede wszystkim chciał nam wytłumaczyć, co sam myśli i planuje, a ciągle planował coś nowego, bo usilnie chciał świat poukładać po swojemu. Gdy wjeżdżał na swoim siwku do Naczachowa, zawsze się bałam, że znowu z czymś nowym wyskoczy. I wyskakiwał.

Mniej żyta siać, więcej kartofli sadzić.

Bagna osuszyć.

Las wykarczować.

Bród mostem zastąpić.

Nowy pałac zbudować.

Takie właśnie miał pomysły, o których świat nie słyszał. A ostatnio nieraz przyjeżdżał do Antosia, jako do sołtysa, i prosił, żeby chłopom przetłumaczył – prosta droga od Lubrańca do Izbicy przyniesie wszystkim korzyść, musimy więc zbudować ją jak najszybciej.

Droga od Lubrańca do Izbicy od zawsze kręciła się i zawracała wśród oczek wodnych, mokradeł i pól, tu zawinęła, tam przesmyknęła między kępami drzew, tu ją zmyło, tam wydrążyło, kapryśna była jak chłopskie szczęście i błotnista jak sumienie



karbowego. Często koła furmanek i wozów się w niej zapadały, czasem i czekać trzeba było, aż chłop okoliczny z wołem podejdzie i pomoże wóz wyciągnąć. Dlatego też taki Jaśko, co mieszkał najbliżej kapryśnej drogi, dobrze sobie z niej żył, bo zawsze jakiś pieniądz mu wpadł za pożyczenie wołu i wyciągnięcie wozu. A że z błota żył, dlatego dla śmiechu wszyscy na niego wołaliśmy „Jasiek Błotnicki”, albo i „dziedzic Błotnicki”, żeby jeszcze śmieszniej było, uważając jednak, żeby prawdziwy dziedzic tego nie usłyszał. Gdy jednak lunął większy deszcz, to nawet wół Błotnickiego nie pomagał, bo drogę zalewało ze szczeniem, wszystkim więc było wiadomo: kiedy pada, do Lubrańca się nie jeździ. Prześmiewaliśmy się też, że chłopci z Lubrańca za błotem mieszkają. Lubranieccy tak samo o izbickich mówili, bo zawsze zależy, kto z której strony na sprawę patrzy.

– Nie może tak być, że gdy tylko trochę deszczu spadnie, trakt robi się nieprzejezdny! – powtarzał dziedzic. – Mamy już dziewiętnasty wiek! Świat szybko idzie do przodu, musimy za nim nadążyć!

Nowa droga miała iść prosto jak strzełił po usypanej grobli, utwardzona kamieniami i wygodna w podróży. A że nikt z nas nie rozumiał, o co chodzi dziedzicowi, bo nikt tutaj tak nie budował, prosto, zupełnie nie patrząc, jak ziemia się pod stopami układa, zniecierpliwiony dziedzic ściągnął do budowy robotników z dalekich stron.

Przyjechali, dziwnie ubrani, dziwnie mówiący, i trzymali się ze sobą.

– Niemce przyjechali – mówili ludzie. – W naszym języku nieme Niemce. Po swojemu szwargoczą, po swojemu budować będą, obcy

naszą ziemię najechali.

I budowali po obcemu. Żadnych objaśnień, żadnych protestów nie słuchali, że tu może pole czyjeś, że żytko zasiane, że pod wierzbą straszy, tylko wierzbę wycinali, usypywali piach, ziemię z kamieniami, umacniali, szwargotali po swojemu i szli z drogą naprzód, kroili ziemię jak chleb nożem, prosto i bez szacunku, jak nikt do tej pory nie robił, bo myśmy ziemię szanowali, a oni sprawiali, że musiała im się poddać. Bywało więc, że czasem ktoś Niemcom na złość zrobił, łopatę ukradł czy piach w nocy z przyzmy rozsypał, ale wtedy pan żołnierzy sprowadził, żeby obcy mieli do pracy spokój. I sam, osobiście, dzień w dzień budowę nadzorował.

– Czemu ci chłopci narzekają? Czemu protestują? – dziwił się dziedzic. – Przecież wprowadzam wam nowoczesność do wsi, zagraniczne metody.

– Ano narzekają, że na drogę zabiera im się pola i łąki – tłumaczył Antoś, bo już się zdążył od ludzi nasłuchać.

– Dam im w użytkowanie inne pola. To nie ich przecież, tylko moje. Jedne zabiorę, drugie dam.

– Ale tamto już było obsiane.

– Dam i ziarna na nowy zasiew – mówił pan.

Dawał. Ale ludzie sarkali, bo jeszcze tak nigdy nie było, że gościniec od pola ważniejszy, a obcy przyjezdny od swojaka.

– Zmiany są nieuniknione – mawiał pan. – Burzycie się, ale z nową drogą i wam żyć będzie łatwiej. Szybciej na jarmark dojedziecie. Do kościoła.

– Ale ja sobie nie szkodowałem, że za długo jadę – burzyli się ludzie z Augustynowa, z Pasieki, z Wiktorowa, co to im grunty jedne zabierano, inne wymieniano. – Ale szkoduję sobie, że przez drogi

budowę żytko za późno w tym roku zasieję, przez co nie wzrośnie, przez co plon będzie marny, przez co głodować znowu będziem. – Tak sobie ludzie przepowiadali swoje niedole i gniew w nich narastał. – Pańskie wymysły. Akurat w porze siewu.

– Na budowę nigdy nie ma dobrej pory – odgryzał się dziedzic. – Jakbym do żniw z budową czekał, tobym nic w tym roku wybudować nie zdążył.

Byliśmy zaskoczeni, że pan się chłopstwu tłumaczy. Ale lubił to robić, siadał w karczmie i przemawiał:

– Nowe idzie. Nowoczesność. Praca u podstaw. Jak zmienić kraj, gdy większość ludzi tych zmian nie rozumie? A już chłopci to w ogóle. Ciemnota, mówią niektórzy szlachcice. Ale ja myślę, że nie mają racji. Bo trzeba tłumaczyć. Trzeba, żeby wszyscy lepiej żyli, chłopci też, to i kraj w siłę wzrośnie. Praca organiczna – powtarzał dziedzic i palec wskazujący do góry unosił, żeby ważniej było.

Praca u podstaw? A więc nowy pan także szanuje pracę, chwalił dziedzica Antoś i zapowiadał, że nowy dziedzic może oznaczać dla nas odmianę losu na lepsze. W ogóle się z nim nie zgadzałam.

– Nowa droga i wszystkim będzie lepiej? Akurat o wszystkich dziedzicowi chodzi! O dobro własne zabiega i tyle. Pałac sobie w Lubrańcu wybudował, więc wytyczył nową drogę, żeby do parafii w Izbicy mieć lepszy dojazd. Jemu wygodniej będzie na pewno! A o naszej wygodzie gada, żebyśmy się nie burzyli. Ale niech sobie dziedzic nie myśli, że my się damy na te piękne słówka nabierać.

– A ja ci mówię, że ten dziedzic lepszy niż poprzedni, dobry po prostu.

– Dobry? Dla swoich może. Pan zawsze chłopem gardzi.

– Szanuje nas.

- Kiedy mu pożyteczni jesteśmy.
- Rozmawia.
- Bo buntów się boi. Zabierz mnie na które z dziedzicem spotkanie, już ja sobie z nim porozmawiam.
- Baby na spotkania z dziedzicem nie chodzą. Tylko gospodarze.
- W ciszy posiedzę.
- Ty w ciszy? Zaraz pyskować zaczniesz.
- Bo tylko tobie mądrzyć się wypada?
- Ja akurat mało mówię, słucham więcej. Bo dziedzic ciekawie gada.
- I przytakujesz.
- A co mam nie przytakiwać, skoro mądrze prawi?
- Ech, Antoś, Antoś!

Sarkaliśmy na siebie, sarkali, Szczepan wtedy się niepokoił, nie lubił, jak się przegadujemy, w końcu jednak zawsześmy się jakoś pogodzili i pocałowali na zgodę. Byłam pyskata, a gdy Antoś się ze mną poprzepychał w rozmowie, sam się czuł wyraźniejszy. On był ostrożny, ja to w nim lubiłam. I razem jakoś przez życie ciągnęliśmy, tylko czasem po wybojach.

Niedziele lubiłam najbardziej, nie tylko dlatego, że pan nie śmiał nas wtedy do obowiązku wzywać, nie tylko dlatego, że szliśmy całą wioską przez las do kościoła, ale i dlatego, że organów w kościele posłuchać mogła i zaśpiewać z całej duszy. Potem hurmą z kościoła wracaliśmy, zadowoleni, że nas tyle, że obowiązek spełniony, że dzień odpoczynku się po bożemu zaczął, że już coś zjeść można. Po powrocie Szczepan przepadał na chwilę z dziećmiaki wsi, ja śniadanie szykowałam, Antoś uroczyście obchodził gospodarstwo,

patrzył na wołu i krowy w oborze, mieliśmy już dwie, na świnki w chlewiku, na kury i kaczki w kurniku, na warzywnik, z dala, bo to już bardzo kobiece miejsce było, na zboże w komorze, na stóg siana tuż za obejściem i na te dwa stogi słomy obok, było tego trochę, wszystko dzięki naszej pracy i pomysłu. Mój mąż sprawdzał, czy wszystko jest na swoim miejscu, i cieszył się dostatkiem, czekając, aż go na jedzenie zawołam. W niedzielę zawsze jadaliśmy bardziej syto, zupy gęstsze, mocniej kraszone, kapustę ze skwarkami, prażuchy ziemniaczane, kogucika czasem, wtedy i rosół był, i mięso, a – bywało – nawet i placek upiekłam w sobotę w piecu chlebowym, słodki od miodu, z owocami, jakie akurat w sadku albo i w lesie wyrosły. Potem mojego męża senność ogarniała z tej sytości, więc podrzemywał, siedząc na przyzbie, śnił trochę, trochę dumał i czekał na mnie, a ja zmywałam garnki, łyżki, miski i stół. Spokojnie się robiło, bo Szczepan znowu biegł gdzieś w wioskę, Janek z Janką siadywali czasem obok, a czasem też gdzieś łazili, a mój mąż czekał, aż do niego dołączę, tak, to był nasz ulubiony czas, gdy mogliśmy w spokoju posiedzieć, o gospodarce pogawędzić, o życiu, o synu i o sąsiadach, czasem nawet z tej spokojności po szklaneczce araku wychyliliśmy, żeby jeszcze bardziej błogo na duszy się zrobiło, i nawet nam wrzaski Jamiołowej z naprzeciwnika i popłakiwanie Golcowych dzieci nie przeszkadzały.

Często, gdy siadłam obok, Antoś głowę mi na kolanach kładł, wtedy już wiedziałam, że swędzenie od wszy go męczy i pomocy oczekuje. Zaraz zaczynałam cierpliwie przebierać palcami mężowskie włosy, kosmyk po kosmyku, paznokciami usuwałam robactwo, bardziej czując niż widząc, gdzie jest potrzeba, mąż aż wzdychał z ukontentowania. Zawsze to na parę dni jakaś ulga była,

a i sama czynność dla obojga nas była przyjemna, pieszczota taka dziwnie jakoś na duszę pomagała i na zażyłość między nami. Potem swój warkocz rozpinałam i rozplatałam, Antoś uwielbiał ten moment, gdy włosy spływały mi do pasa, a ja stałam w tej powodzi i patrzyłam na niego. Trzydzieści wiosen i lat na karku, ale włosy ciągle ciemne i lśniące miałam jak skrzydełka żuka. Wiele dziewczyn ścinało warkocz po ślubie, zwyczaj taki, no i wygodniej, a pod chustką i tak wszystko jedno, co się nosi, ja jednak lubiłam swoje włosy, a jeszcze bardziej kochał je Antoś. Kładłam głowę na jego kolanach, a wtedy on zaczynał szukać robaczków w moich włosach, i co z tego, że szło mu mniej zgrabnie, bo palce miał sztywniejsze od ciężkiej pracy, skoro i tak lubiłam te chwile, bardzo lubiłam też z głową na jego kolanach leżeć. Potem już Szczepan ściągał do domu na wieczerzę, a ja się podnosiłam z uchem gorącym od mężowskich kolan naprędce, włosy w warkocz splatając, potem zwijając go w obwarzanek i spinając szpilkami, żeby zmieścił się pod chustką, i mieścił się, ale z trudem.

Antoś nie tak dawno temu kupił mi kościany grzebień i lubił mnie czesać, gdy włosy iskrzyły się i strzelały, zwłaszcza przed burzą. Burzy, wiadomo, bali się wszyscy, wtedyśmy zapalali gromnicę, zamykali okna, żeby nie wleciał przez nie piorun, i modliliśmy się, żeby Matka Najświętsza osłoniła swoim płaszczem dom, zabudowania, drzewa w sadzie, wioskę całą. Ale zwykłe ulewy kochałam, kiedy nie grzmiało, tylko potoki wody leciały z nieba, by płynąć potem gościńcem i podwórkami. Wychodziłam wtedy na dwór i czekałam, aż woda z nieba przemoczy mnie na wskroś, to było wygodniejsze niż wodę ze strugi nosić, grzać, płukać. Tak wolałam, myć włosy w ulewie, czułam się wtedy dzika i wolna.

– Rozchorujesz się – narzekał Antoś, gdy wracałam, przemoczona, łykając spływającą po policzkach wodę. – A poza tym, sołtysowo, wam tak nie wypada.

Ale zaraz potem brał mnie w ramiona, jeśli Szczepan nie patrzył.

I znowu, przy następnym deszczu, wystawiałam się na wodę jak drzewa, jak malwy, jak trawy, chłonełam ulewę nie tylko włosami, ale i całą skórą, w cieniutkim gielezku, oblepiającym przez wodę ciało jak druga skóra, a na nim wiły się ciemne bicze kosmyków, które mokre sięgały mi aż do kolan.

Szczepan się wtedy wstydził.

– Może raczej w sadku, a nie na podwórku postój, matulku?

Dlaczego w sadku, wiedziałam, bo tam mało kto mógł mnie zauważyć. Więc niech mu będzie, w ulewę biegłam właśnie tam. Tak to człowiek w rzadkich chwilach wolności jednak poddaje się w niewolę tym, których kocha, synowi na przykład. Bo w innych chwilach niewolony jest przez tych, których zdecydowanie nie lubi. Nienawidzi może nawet.

Czy jednak nienawidziłam dziedzica i ekonoma? A jak można nienawidzić zimy, przednówka, głodu? Nieważne, czy się je lubi, czy nie – i tak powracają. Dziedzic z ekonomem byli właśnie jak niedziela czy głód na przednówku: pojawiali się regularnie, starałam się nie zwracać na nich większej uwagi, niż było trzeba, robić swoje i na nich nie patrzeć. Czasem jednak musiałam. Najbardziej nie lubiłam sobotnich wieczorów, gdy ekonom czytał z papierów, kto i ile pańszczyzny odpracował, komu ile zostało, kto się z czym spóźnił, i wyznaczał, co i kiedy odrobić trzeba. Ekonom pojawił się zresztą w majątku niedawno, zastąpił starego karbowego, z którym od początku mieliśmy nie najgorsze układy. Stary karbowy



zaznaczał dniówki na kiju, wycinał tam karby za odrobione dni czy dostarczone wozy siana, potem kij przełupywał wzdłuż, żebyśmy i my mieli dowód na wykonane prace. Jeśli któryś chłop naciął potajemnie swoją połowę kija, od razu się sprawdzało na kiju u karbowego i oszust dostawał baty za fałszowanie pańszczyzny. Nam co prawda się nigdy nie zdarzyło sfalszować kija, ale innym naczachowianom niestety tak, Jamioł obrywał najczęściej, a każdy raz na cudzych plecach bolał mnie, jakby trafiał w moje własne.

Teraz wszystko się zmieniło. Nowy ekonom umiał pisać, więc notował w specjalnej księdze, co się od kogo należy. Zawsze mi się wydawało, że coś tam źle zapisuje, bo choć ciągle chodziliśmy na pańskie, nieustająco zalegaliśmy z pańszczyzną. Te trzy dni tygodniowo, na które się umawialiśmy, przyjeżdżając tutaj, dawno przestały panu wystarczać, już ich i pięć, i sześć bywało. Komu przeszkadzały karby? Ale pan, gdy prezentował nam nowego ekonomę, oznajmił, że czasy nadeszły nowe, że już nie czas pod biurem wiązki kijów w wiadrach trzymać, tylko księgi należy prowadzić, jak w nowoczesnym świecie się praktykuje. No i na to wynaleziono pismo, by go używać. I ani słowa o tym, że co chłopu z pisania pańskiego przyjdzie, skoro i tak przeczytać nie potrafi.

Jakoś właśnie wtedy zaczęło mi się wydawać, że już z Antosiem z pańskiego nie schodzimy, że tkwimy tam, dzień w dzień, od świtu do zmierzchu, który latem, jak wiadomo, późno nadchodzi. A kiedy czas na swoje pole? Na warzywnik? Na wody przyniesienie ze strugi? Albo na pójście tam z kobietami, by na kamieniach ubrania wyprać? A kto miał drewna nazbierać, chrustu z lasu, żeby było czym palić? Szczepan z każdej pasionki przynosił mi kosz szyszek, ale tych używałam tylko na rozpałkę, do podsycania ognia nadawały

się marnie, bo tylko błysnęły i zaraz spłonęły, do tego torf był lepszy, a ktoś go też ukopać musiał. A kiedy chleb upiec? Taki chleb to przecież nie sam się robi, najpierw ziarna w domowych żarnach musiałam na mąkę zmiażdżyć, dla oszczędności nie zawsze do młyna jeździliśmy, potem – no dobrze, zaczyn sam rośnie, ale wyrobić ciasto trzeba dokładnie i z miłością. W piecu chlebowym za domem napalić, dobrze go wygrzać, sprawdzić placuszką z mąki i wody, czy już rozgrzane dostatecznie, gdy placuszek zbrązowieje prawie od razu, czas bochny na łopacie do pieca wsuwać. Placuszek zawsze dla Szczepana zostawiałam, ja tylko skubałam okruszynkę, drugą za próg rzucałam, dla kraśniaków, tych małych duszków, co to, gdy uszanowane, dobrobyt gospodarstwu przynosiły. Zawsze też o kraśniakach pamiętałam przy udoju i co wieczór miseczkę mleka im wystawiałam.

Dobrze, że Szczepan urósł, stał się silny, krzepki i poważny, część ciężarów z pańszczyzny mógł na siebie wziąć, gorzej, że gdy ekonom zobaczył, jaki z niego chłopak na schwał, od razu znowu podniósł nam obowiązek o jeden dzień tygodniowo.

– Z dużym synem uradzicie – powiedział. I dodał: – Trzeba było mieć więcej dzieci. Inni mają, wtedy pańszczyzna się równiej na rodzinę rozkłada.

Na te słowa łzy mi w oczach stanęły, bo przecież chciałam mieć więcej, tak strasznie chciałam, marzyliśmy o dużej rodzinie, śniłam dużą rodzinę, ale jakoś nam nie wychodziło. Co mi się te biedne, pomarłe dzieci przypomniały, to smutniałam, a gdy smutniałam, zaraz zła się robiłam, nie wiadomo na kogo. Przecież nie na Boże zrządzenia, no i nie na Antosia, bo co on temu winien? Może na siebie byłam zła najbardziej. Ale co z tego, że na siebie, skoro to

Antosiowi się obrywało, bo w takim napadzie złości potrafiłam mu przygadać ostro i huknąć trochę bez przyczyny, i powyrzekać, waląc garami głośno i nieprzychylnie.

Mój Antoś jednak kłócić się nie lubił, w awantury się nie wdawał, starał się je raczej zażegnać, nie czekając, aż zagniewam się jeszcze bardziej. No i miał swoje sposoby. Gdy widział mnie taką złą, zaraz przyskakiwał, starając się zajrzeć mi w oczy, a potem odzywał się śpiewką w te słowa:

*Czerwone jabłuszko przekrojone na krzyż,  
Czemu ty, kobieto, krzywo na mnie patrzysz?*

A mnie na twarz skrzywioną mimowolny uśmiech się cisnął. Zaraz zapominałam o trzaskaniu garami, chwytalam się pod boki i jak nie huknęłam inną piosneczką, troszkę może i złośliwą, zważywszy na to, ile Antoni wniósł do naszego małżeństwa, a ile ja, ale śmieszna przynajmniej:

*Dwoje wołu i wóz siana  
Cały posag Kujawiana!  
Antoni nie czekał długo, by mi odśpiewać:  
Cztery syry, dzbon maślonki  
Cały posag Kujawionki!*

I tak sobie wyśpiewywaliśmy zamiast się kłócić, i tak się przepychaliśmy piosnkami zamiast sobie do oczu skakać, i tak dzięki temu mojemu chłopu, słońcu mojego życia, złość cała ode mnie odchodziła, cały smutek i tęsknota za tym, co bez przyjscia odeszło.

A potem przez kilka dni żyliśmy zgodnie obok siebie.

Na szczęście takie dziecko jak Szczepan to pociecha, bo może i jednego mieliśmy, ale za to jakiego! Niewysoki, ale silny, płowe włosy zagarniał na odstające jak u Antosia uszy, których trochę się chyba wstydził. Pogadać umiał i ze starymi, i z młodymi, wszystkich ciekaw, nie pouczał, zadawał tylko pytania, ale takie, że niektórym w pięty szło, gdy próbowali odpowiedzieć. Ale on pytał nie po to, by kogoś zgnębić, lecz żeby samemu się czegoś dowiedzieć. Wielu żyło bez stawiania pytań, a gdy czegoś nie rozumieli, szli po prostu krok dalej. Szczepan jednak zawsze drążył, póki nie zrozumiał.

– A ksiądz? – pytał zaraz po wyjściu z kościoła. – Skąd ksiądz wie to wszystko, co mówi?

– Bo uczył się na księdza – odpowiadałam.

– A to na każdego można się wyuczyć? Na kowala można, na księdza można, to może i na dziedzica można?

Milczałam, więc drążył dalej:

– A czy Adam i Ewa byli chłopami czy dziedzicami?

Nie wyśmiewałam syna nigdy za te pytania, lecz po zastanowieniu się odpowiadałam:

– Chyba chłopami, skoro w skromnym odzieniu chodzili, no i zajmowali się ogrodem rajskim.

Pierwsi ludzie, jak i my, byli chłopami, to była myśl krzepiąca jak micha kraszonego żuru w południe.

– W takim razie skąd się wzięli panowie, skoro Pan Bóg ich nie stworzył?

Wzruszałam ramionami. Wiadomo, panowie byli zawsze. Choć skoro nie od Pana Boga pochodzili, to może od tego drugiego, złego,

takie niepokorne myśli po tych Szczepanowych pytaniach przychodziły mi do głowy.

– Księdza może spytam – postanawiał Szczepan.

I pytał. Do zakrystii szedł i wielebnego pytaniami zarzucał, aż tamten dzieciaka kazał nam zabierać. Pewnie to właśnie po tych rozmowach ze Szczepanem ksiądz tydzień później na kazaniu zaczął tłumaczyć wszystkim, że:

Trzeba w pokorze nieść swój krzyż, to po pierwsze.

Porządek świata jest stały, to po drugie.

Losu nikt sobie nie wybiera, to po trzecie. Człowiek się z nim rodzi, tam, gdzie Pan Bóg zarządzi.

I tak panowie rodzą się panami, a chłopci – chłopami. Co więcej: panowie i chłopci są zupełnie różnej krwi, niepodobni sobie, jak psy i orły. Bo przed wiekami panowie byli starożytnym, mężnym rodem Sarmatów, czyli rycerzy, a chłopci – plemieniem nikczemnych Plebejów, którzy zawsze tym Sarmatom służyli w znoju i trudzie. I tak już zostało. Dlatego jedni zawsze będą rządzić, a inni – służyć. Inaczej być nie może, bo co od dawna istnieje, istnieć musi zawsze, a w dawnych czasach właśnie tak Pan Bóg zdecydował, a Jemu sprzeciwiać się nie wolno.

– Adam i Ewa byli więc Plebejami – podsumował Szczepan po drodze do domu. – Nie rycerzami przecież, skoro w ogrodzie mieszkali i owoce zrywali.

– Tak by wychodziło – przytaknęłam.

– Skąd się w takim razie wzięli szlachetni Sarmaci?

I w koło Macieju, te same pytania, tak uparte, że, obok dumy, czułam również przestach, że dzieciak, zbyt dociekliwy, biedy sobie w końcu jęzorem napyta.

– Ze mną możesz rozmawiać o wszystkim – powtarzałam mu. – O czym tylko chcesz. Jednego cię mamy, zawsze odpowiem, pomogę. Tatula też pytaj do woli. Ale wiedz, że nie z każdym możesz o wszystkim gadać!

– Matulu, przecież wiem!

– Wiesz?

– A jakże! Dlatego ekonomowi mówię: „Witajcie, Jaśnie Panie”, a tatulkowi: „Pochwalony, kochany ojciec”. Wiem, że z każdym należy inaczej, bo świat jest różny i trzeba się do niego zmieniać.

I takie z niego było dziecko. Niezwykłe. Wiedziałam to od pierwszej chwili.

## Szczepan Józwiak

Od dziesięciu wiosen i lat mieszkałam na tym świecie, a jeszcze się o nim wszystkiego nie dowiedziałem. Gorzej, codziennie pojawiały się nowe pytania. Mordowałem nimi matulkę, trapiłem ojca, zanudzałem plebana, ale ciągle było mi mało. Byli jednak na szczęście tacy, którzy lubili ze mną pogadać.

– Chodź no, Szczepan! Pójdź tu, chłopysiu! – wezwał mnie do płotu stary Golec, który już zupełnie wyglądał jak jamiołek przy Panajezusowej szopce, tak mu się głowa na cienkiej szyjce trzęsała.

– A co, sąsiedzie?

– Ja w sprawie państwa i chłopstwa. – Stary widać nieraz podsłuchiwał przez płot moje z rodzicami rozmowy. A mnie nieswojo się zrobiło, bo nie były one przeznaczone dla obcych. – Ja to wszystko inaczej słyszał.

– Inaczej, niż wielebny mówił?

– Ano tak. Bo musisz wiedzieć, chłopysiu, że to całe nasze chłopstwo wzięło się z miłości.

– Jak to?

– A bo słyszałeś o Adamie i Ewie?

– Pewnie.

– Oni się bardzo kochali i z tej miłości porodziło im się dużo dziecioków.

– A nie Kain i Abel im się porodzili?

– Oni też. Ale prawdę mówiąc, tych dziecioków Adam z Ewą mieli więcej. Dużo, dużo więcej. Tyle ich było, że Ewa ani odziać całej tej ciżby, ani wykarmić nie nadążała, łąziły wszystkie głodne, zasmarkane i w dziurawych łachach po okolicy.

To zupełnie jak u Golców, pomyślałem, ale nic nie powiedziałem, bo stary Golec ciągnął:

– I zdarzyło się, że przyszedł do Ewy w gościnę Pan Bóg, a ona się zawstydziała, że tyle maluchów nieodzianych po obejściu biega, więc te najbardziej ukochane dziecioki pochowała w sianie i plewach. Tym sposobem Panu Bogu tylko te nieschowane pokazała, bo jeśli Pan Bóg się na nie zeźli, tych mniej będzie szkoda. Pan Bóg zobaczył dzieci, ucieszył się, że ich nie za dużo i że zaszczytów dla nich starczy, porozdawał im więc urzędy, ziemię i majątki, a każde z nich obdarował obficie. Potem, zadowolony, że o wszystkie dzieci zadbał, poszedł z powrotem do nieba odpocząć, bo się mocno spracował. Wtedy Ewa kazała pochowanym dzieciokom, tym najbardziej ukochanym, z ukrycia powychodzić. Powyłąziły, a ona przytuliła je i po kromce chleba im dała, ze szczerego matczynego serca, bo tyle, co Pan Bóg dać im nie mogła.

– I z tych w sianie schowanych chłopstwo się wzięło.

- Tak jak mówisz, chłopysiu. A z tamtych obdarowanych, co to Ewa ich mniej kochała – dziedzice.
- Wszystko przez matkę.
- A ty miarkuj słowa, chłopysiu!
- Wszystko przez miłość.
- Nadal miarkuj.
- Możemy być dumni, że Ewa Adamowa nas bardziej kochała.
- I tak mów, chłopysiu. Tak właśnie sobie powtarzaj. Bo to tylko prawda.

Miałem dziesięć wiosen i lat, a już wiedziałem od Janki i Janka, że świat zaczyna się od bagien (nie chodzić!), a kończy na puszczy (też nie chodzić!). Nigdy nie byłem dalej od domu niż w kościółku na Pustyni, ale o Naczachowie wiedziałem wszystko.

Matula jest chuda i ciepła, pachnie chlebem.

Tatulo jest twardy i chłodnawy, pachnie ziemią.

Janek i Janka wiedzą wszystko, pachną ziołami z bagien.

Inne dzieci mają rodzeństwo, Golcowie najwięcej, ja też, ale tamci braciszki i siostrzyczki biegają po wsi, a moi śpią sobie spokojnie na cmentarzu na Pustyni, bo wszyscy umarli zaraz po urodzeniu albo się martwo urodzili i nie wolno matuli o nich pytać, bo zaraz ma łzy w oczach.

Wszyscy muszą pracować, dzieci też, bo inaczej nie będą mieli co jeść.

Czasem i tak bywa głodno.

Ale pracować muszą wszyscy, nawet Jamioł, choć ciągle na ból w plecach narzeka, poza starym dziadkiem Golcem, bo już stary i ręce mu się trzęsą, i poza Jankiem i Janką, ta para nieduża,



skulona, nigdy nie musi iść w pole, za to może chodzić wszędzie tam, gdzie mnie nie wolno, na przykład na bagna. Gdy wracają stamtąd, mają twarze fioletowe od jagód, niosą trochę i dla mnie, porozgniataanych w kieszeniach, a pachną mchem, przygodą i ziemią zakazaną. Łazili bez strachu po bagnach, chodzili nawet nad Mokry Dołek, całkiem nawet często, żeby zobaczyć swoich zmarłych. Wiedzieli przecież, że w stawie pokazują się pochowani tam morowiacy, trzeba tylko cichutko podejść, żeby ich nie spłoszyć. Janek z Janką to umieli.

– Skąd wiesz? – pytała matulka. – Przecież nie gadają, to ci nie powiedzą.

Skądś wiedziałem przecież.

Nie byłem tylko pewien, co bym zrobił, jakbym i ja takiego umarlaka zobaczył.

– Kijem przez łeb! – pokrzykiwała Zośka od kowalów. Była to dziewczucha ze wszystkich dzieciaków najodważniejsza, choć sierota bez matki, co to przy porodzie parę wiosen i lat temu życie oddała, a i dziecko nie przeżyło, bo głowę wielką niczym cielak miało. Zośka jednak wydawała się wcale tego braku nie odczuwać, miała przecież ojca mocarza i braci we wsi najsilniejszych, a z nich wszystkich ona w gębie najmocniejsza. Nie tylko na pastwisku rządziła, i w swoim domu ponoć też wszystkim rozkazywała, a tej komornicy, co im po śmierci matki gospodarstwo prowadziła, nieraz napyskowała, nic się nie bała.

Kijem przez łeb? Wydawało mi się to bardzo odważne, może nawet za bardzo, bo ja bym morowemu umarlakowi raczej grzecznie powiedział, że niech mnie nie krzywdzi, bo bardzo kocham Jankę

i Janka, którzy jako jedyni morowe powietrze przeżyli i teraz opiekują się naszą wioską.

Janek i Janka pomieszkiwali to w tym, to w tamtym gospodarstwie, ale czułem się najbezpieczniej, gdy spali u nas, latem w sionce albo w stodole, zimą w kuchni, na sienniku przynoszonym na noc. Gdy nie mogłem zasnąć, siadałem obok ich pościania i słuchałem spokojnego posapywania. Nie chrapali, to ojciec chrapał, gdy się zmęczył harówką na pańskim, mamusia wzdychała z przepracowania, ale Janek i Janka oddychali przez sen cichutko i miarowo, tak jak deszcz kapie. I tak samo jak deszcz mnie uspokajali.

W nocy. Bo w dzień nie mogłem być spokojny, musiałem być czujny. Żeby wół mnie nie zdeptał. Żeby Zośka kowalów w głowę nie przygrzmociła, gdy się zagapiłem. Żeby powóz dziedzica mnie nie rozjechał. Żebym dokładnie zbierał za rodzicami kłosa w żniwa i żadnego nie opuścił, bo inaczej ekonom krzyczał i batem wymachiwał. Na ojca krzyczał, co było jeszcze gorsze, niż gdyby krzyczał na mnie.

Na wiele z tych spraw nie było rady, ale postanowiłem zaradzić przynajmniej tam, gdzie mogłem. Któregoś dnia więc zebrałem się na odwagę i pod wieczór zaszedłem do Zośki. Miałem trochę do przejścia, bo kowal mieszkał z drugiego końca wsi, już za rozdrożem. Szedłem tam, a jakby wiatr mnie odpychał, wędrowałem, a w brzuchu łopotał mi strach straszliwy, bo bałem się tego dziewczyska, wielkiego i prędkiego w rękach. Wreszcie dotarłem.

– A ty tu czego? – Stała w drzwiach, kijaszek w garści nie wiadomo po co ściskając.

Groźna była jak i jej ojciec, wielki czarny stwór w skórzanym fartuchu, jak i jej bracia, też ogromni, czarni i wiecznie w kuźni. Ona najmniejsza, bez młota i fartucha, ale równie zadzierzysta.

– Życie jest groźne – powiedziałem to, co sobie całą drogę przygotowywałem. – Od ekonoma można oberwać, od morowiaka z Mokrego Dołka, od ojca, od mamusi ścierką, od Woliska, jak nogę zdepcze. To chociaż od ciebie bym nie chciał.

Z przyzwyczajenia zamierzyła się na mnie kijaszkiem. Przymknąłem oczy, ale przecież się nie uchyliłem.

Gdy podniosłem powieki, już kij opuściła.

– No dobra – powiedziała. – Jak tam sobie chcesz.

I tak, zaczawszy od Zośki, jałem zmieniać świat.

Od tamtej pory Zośka kowalów ciągle przystawała pod naszym domem i że niby nic ziółka zbierała, lebiode na zupę, coś tam podśpiewywała groźnie i popatrywała na mnie przez płot, a ja się bałem, że przemyślała wszystko i jednak chce mnie kijem palnąć. Ze trzy dni tak się z tym wozilem, strach zjadał mnie od środka, osłabiał mnie strasznie, więc gdy któregoś popołudnia znowu Zośkę zobaczyłem za płotem, wyprostowałem się i ruszyłem w jej stronę. Tym razem nie trzymała kija w ręku, ale co z tego, skoro ramiona miała mocniejsze może nawet niż Sucha Oleśka, a na pewno bardziej niż moja mamusia. Ale szedłem ku niej, ze strachem w brzuchu, jak zwyk-le, bałem się, ale otworzyłem furtkę ze skobla i dałem jeszcze trzy kroki.

– Jestem – powiedziałem i niech dziewczucha robi, co chce.

– Nareszcie – ucieszyła się nieoczekiwanie Zośka. – Lecimy!

I ruszyła biegiem, nie chciała mnie skrzywdzić, tylko żebym do niej dołączył, więc pobiegłem za nią, galopowaliśmy co sił po wsi, krzycząc strasznie, po płotach patykami przejeżdżaliśmy, tak pięknie to brzmiało, gdy krzyczeliśmy do rytmu, a wściekły hałas nas unosił.

Zaraz okna, drzwi w chałupach otwierać się zaczęły, gospodynie wypadały na podwórza, krzyczały:

– Jamiołowie Pańscy, co tu się dzieje!

– Nie drzyjcie się tak!

– Dzieciaka mi obudzicie! – Bo zawsze, wszędzie, w każdym prawie domu, był jakiś dzieciak w kołysce.

A myśmy przez całą wieś galopowali jak dziedzicowy koń i wreszcie stanęliśmy pod Bożą Męką na końcu, ciężko dysząc ze zmęczenia i patrząc, ile się przez nas we wsi stało. Psy szczekały jak oszalałe, dzieci się darły, a gospodynie, złe jak osy, przy furtkach stały i pięściami nam wygrażały.

A wszystkośmy sami, we dwójkę, sprawili.

Niedzielę lubiłem najbardziej z całego tygodnia, nie tylko dlatego, że w pole iść nikt nie kazał. Lubiłem z samego rana ruszać z całą wsią do kościoła, gdy wszyscyśmy sunęli silną grupą szarym gościńcem obok czarnego lasu, poza tymi, co siły na to nie mieli, jako to stary Golec i Wickowe dziecko, co je boginki, gdy było małe, na chore zamieniły. I poza Jankiem i Janką, którzy do kościoła nie chodzili nigdy, choć nieraz ich o to prosiłem. Jeszcze niedawno szedłem za rękę między mamą a tatą, teraz już z wiejskimi dzieciakami, zwykle gdzieś blisko Zośki, ostatnio zawsze starałem się być blisko Zośki, Zośka wszystkiemu dodawała rozmachu.

Gdyśmy szli do kościoła zimą, jeszcze ciemno było. Dlatego ludzie świecili pochodniami, pohukiwali, żeby odstraszyć zwierzynę, duchy i boginki, łapali się za ręce, klepali po plecach i pospółu czuli się silni. Zimą trudniej było wymiarkować, kiedy wyjść, bo długo było ciemno, a dzwonów kościelnych w Naczachowie usłyszeć się nie dało, za daleko. Utało się więc, że pierwsi ruszają ci od kowalów, po drodze dołączają ludzie z kolejnych obejść, na końcu my, od kilku pacierzy czekający przy furtce, i taką hurmą wędrowaliśmy do kościółka na Pustyni. Gdy już dochodziliśmy do kościoła, na gościńcu mijał nas bryczką dziedzic z dziedziczką i dziedziczkami w środku. Choć raz w tygodniu widok pana nas cieszył, bo znaczyło to, że ani się na mszę nie spóźnimy, ani też za długo na nią czekać nie będziemy. Gdyśmy wychodzili z domu latem, słońce stało dwa palce nad lasem, było już jasno i przestronnie, sam marsz był dla mnie ważniejszy niż potem stanie obok rodziców w sali rozświetlonej świecami i patrzenie na księdza w barwnych szatkach, który tyłem do ludzi coś mamrotał obcymi słowami do Pana Boga. Wtedy myśl sama mi uciekała z kościoła wypełnionego szarym dymem z kadzidła, by powędrować na łąkę albo do lasu. Ciągle miałem wrażenie, że Pan Bóg lepiej wygląda w zieleni niż w kościele, gdzie dziwne obrazy ślepiły na mnie ze ścian, ciągle mi się wydawało, że więcej go czułem, gdy do kościoła szliśmy, patrząc na świat przez niego stworzony, niż gdyśmy do niego doszli. A kiedy myśl bujała gdzieś na dworze, przymykałem oczy, a Zośka wzdychała, że tak pięknie się modłę, z przymkniętymi oczami, i czy przypadkiem księdzem nie chcę zostać. Czasem myślałem, że bym chciał, bo ciekaw byłem, jak to jest obcymi słowami mówić, tak pięknie obcymi, że sam Pan Bóg cię słucha, no i dziedzic także.

## Janek i Janka

Najdziwniejsze było, że do kościoła, gdzie rządzili święci i ludzie, cała wioska musiała przez las przejść, gdzie całkiem inne siły panowały, i tak raz w tygodniu chodzili, złe kusząc. Baliśmy się o nich, więc raz do roku, w tym czasie gdy noc jest najdłuższa, zawsze jakiego kuraka czy kaczuszkę łapaliśmy, łepkę ukręciliśmy i do lasu nieśliśmy, żeby zwierzaki i duchy przebłągać, żeby się nasyciły i nie nękały ludzi przez las co tydzień do kościoła idących. Gospodynie dziwiły się potem, że gdzie się kurak podział, kunę albo lisa winiły, a my zadowoleni byliśmy, że kolejne bezpieczne wyprawy do kościoła ludziom z Naczachowa wybłagaliśmy.

## Szczepan Józwiak

Nie wiem, czy zostanę księdzem. Bo tak mi się wydaje, że Pana Boga jest więcej w lesie niż w kościele – powiedziałem Zośce, gdyśmy pewnego razu, wracając przez las po mszy, zostali z tyłu.

– Naprawdę, Szczepan? – A ton miała tak zachwycony, że odważyłem się chwycić ją za rękę, i chwilę szliśmy razem, zanim się ode mnie odsunęła.

– Naprawdę.

– No to pokaż mi tego Pana Boga. Chcę go wreszcie zobaczyć.

– W kościele nie widziałaś?

– Jezusa widziałam, ma niebieskie oczy, brodę i włosy długie. Ale Pana Boga tam na obrazkach nie ma. Pokaż mi go.

– Niby gdzie?

– W lesie przecież. Sam mówiłeś.

– Ale... – Moi zawsze mówili, żeby nigdy z gościńca do lasu nie zbaczać.

Moi jednak już daleko od nas byli, za zakrętem drogi, niewidoczni.

– Boisz się? – zakpiła Zośka.

Ruszyłem za nią.

Przedzieraliśmy się przez zarośla, im dalej od drogi, tym gęstsze, a Zośka kazała sobie tłumaczyć, że niby jestem taki mądry, więc niech opowiem jej o sosnach, dębach, jałowcach, pniakach obrośniętych mchem z jednej strony, wzorach kornika w drewnie, skomplikowanych jak literki w księgach ekonoma. Miałem mówić o zwierzętach, ptakach i ludziach. Zatrzymywałem się więc i opowiadałem, co od ojca, od Janki i Janka wiedziałem, opowiadałem jej wszystko, co wiedziałem i więcej jeszcze, bo gdy patrzyła na mnie zachwyconymi oczami, chciałem nie przestawać mówić, a przez to zapominałem, że idziemy tam, dokąd nie wolno. Opowiadałem więc, że każde zwierzę ma swój rozum. Jedne chcą mieć imiona, i te mieszkają z człowiekiem, jak Krasula, Mećka, Kurta, Wolisko czy Kiciuś. Trzeba je szanować, bo od nich zależą losy gospodarstwa. Kurta pilnuje dzielnie domu i obejścia, Kiciuś tępi myszy, Wolisko ciągnie sochę i wóz, a Krasula z Mećką dają mleko i rodzą cielęta. Ich wszystkich trzeba uszanować, szanować należy każdą kurę, każdego prosiaka, każdą kaczunię, bo wszystkie żyją po coś. Natomiast innym zwierzętom, tym niegospodarskim, imion nadawać nie wolno, bo wtedy się je przywoła do siebie. Najlepiej w ogóle o nich nie mówić, wystarczy „złe z lasu”, wtedy nie usłyszą, że o nich mowa i nie przyjdą. O niektórych można „pies

z lasu” powiedzieć, o innych „michałek” albo „miś”, wtedy bestia nie zrozumie, że o nią chodzi i nie przyjdzie do nas.

– Jak mamy nie mówić? – spytała Zośka z dziwnym błyskiem w oku.

– W ogóle o nich nie mówić.

– Ale jak mam nie mówić? Bo żebym wiedziała. Niedźwiedź?

– Cicho, Zośka!

– Niedźwiedź? – krzyczała, krztusząc się ze śmiechu, gdy jej usta dłonią zatykałem. – Niedźwiedź?!

– Nie mów tak! Bo go przywołasz!

A ona dalej wykrztuszała „niedźwiedź” przez moje palce i zaśmiewała się przy tym, jakby nikogo i niczego się nigdy nie bała.

– Michałek! – zagłuszałem ją, by zwierz nie usłyszał, aż wyrwała mi się i wybuchła grzmiącym śmiechem, trochę podobnym do śmiechu jej ojca, a słyhać ją pewnie było w samych krańcach puszczy, gdzie kryły się stworzenia nigdy przez człowieka niewidziane. Zły na nią byłem jak nie wiem, bo z wielu rzeczy kpić można, ale na pewno nie ze złego w lesie, czy ona tego nie rozumie?

– Gdzie ten Pan Bóg? – Zaraz dopytywać zaczęła. – Mówiłeś, że tu będzie, a ja go nie widzę. Coraz mniej widzę, tak w ogóle.

Ja też coraz mniej widziałem, drzewa wokół coraz wyższe były, aż ciemno dookoła się przez to robiło, choć przecie i południe jeszcze nie nadeszło. Czasem sobie ręką machałem, w którą stronę Naczachowo, ale po pewnym czasie już nie byłem pewien, czy dobrze macham. Nigdy tak głęboko w las jeszcze nie wszedł, jeśli chodziłem, to na obrzeża, z matulą, tam, gdzie brzoźki rosły, żeby spuszczać z jeszcze bezlistnych drzewek oskołę, a za nami, krok



w krok, chodzili wtedy Janek z Janką, pilnując naszych dróg i śladów.

– Doisz drzewa, matulku – śmiałem się wtedy.

Sok brzozowy rzadki, słodkawy, pachniał nadchodzącą wiosną, Janek i Janka zawsze wiedzieli, z których brzózek najwięcej go będzie. Gdy się go dużo wypilo, sycił. Na krótko jednak, bo szybko znowu zaczynało w dołku gnieść i jeść się chciało. Starłem się jednak nie mówić o tym mamusi, bo zaraz płakała, że jedno dziecko tylko mają, a i jego czasem nie dają rady wykarmić.

Ach, jakbym się teraz tego soku napił, ale późną wiosną brzóz już doić się nie dawało. Zresztą tu, w głębi lasu, ponure dęby i graby rosły, nie wesołe brzózki, jeżyny się naszych łydek czepiały, jagodziny je smagały.

Aż wziąłem Zośkę za rękę z tej niespokojności.

– Boisz się? – spytała. Wiedziałem, że nie wolno mi odpowiedzieć prawdy, bo mnie za tchórza weźmie. Ale i jeśli skłamię, to nim będę, bo się prawdy wyrzeknę.

– Boję się – wyznałem więc odważnie.

I przez to wszystko mi się przypomniało, że las jest pełen istot złośliwych, szkodliwych, odrażających, bo niestworzonych przez Pana Boga, i dlatego las i bagna Janek z Janką kazali mi omijać, dlatego rodzice mówili, że tylko we wsi jestem bezpieczny, bo w niej na obu krańcach Boże Męki stoją, odstraszać diablęta, boginki i inne złe duchy, które dzięki temu zostają na rubieżach. Ale teraz sami byliśmy na rubieżach. Przeżegnałem się, trzy razy dla pewności, niepewny jednak, czy bez patrzenia na krzyż żegnanie jakimukolwiek złemu zaradzi. Coś dookoła skrzypiało, u góry, z boku, szeleściło. Chciałem poczuć, że gdzieś blisko jest tu Pan Bóg,

i pewnie był, skoro był wszędzie, ale wcale tego nie czułem. Jakiś skowyt do nas dobiegł, chichot może? Jeszcze odległy, ale jakby się przybliżał.

– Opowiedz mi coś – poprosiła Zośka drżącym głosem, co mnie przeraziło jeszcze bardziej, bo myślałem, że chociaż ona się nie boi. Szukałem słów, szukałem myśli, ale od wszystkich płakać mi się chciało, bo ci, którzy mi je przekazali, byli daleko. Zresztą co tej wariatce opowiedzieć, przecież znowu krzyczeć zaczniesz, że niedźwiedź, i na samą myśl o niedźwiedziu zadrżałem. Ale jest tu tyle przyjemniejszych zwierząt, które po imieniu można nazywać, przypominałem sobie, i już wiedziałem, co Zośce opowiem. Bo jeśli chodzi o zwierzęta leśne, to bez strachu o zajęcach można mówić, o ptaszkach niedużych, o wiewiórkach, czasem, jak się którąś zлови, zjeść można, ale nikomu lepiej o tym nie mówić, bo jeszcze do pana dotrze, że było kłusowane. A co panu po takiej wiewiórcy? Nawet by smaku nie poczuł, skoro oni tam we dworze całe świnie jedzą, całe woły wielkie.

– Akurat! – prychnęła Zośka.

– Prawda to święta! Dziedzice jedzą mięso codziennie!

– A skąd wiesz?

– A od Janki i Janka.

– Przecież oni we dworze nigdy nie byli, to skąd wiedzą?

– A wiedzą.

– Przecież oni nic nie gadają, to niby jak ci powiedzieli?

Nie byłem pewien, ale przecież dużo od nich wiedziałem, a już najczęściej mówili, żeby do lasu bez nich nie chodzić. Znowu płakać mi się zachciało, mocno więc tylko Zośkę za rękę ścisnąłem i patrzyłem na nią, żeby dookoła się nie rozglądać i za dużo nie

zobaczyć. Janek z Janką zawsze prosili, żebym do świerka, tego rozległego, z niskimi gałęziami, za żadne skarby się nie zbliżał, a teraz kątem oka widziałem, że dziwnym trafem przy samym tym zakazanym świerku żeśmy się znaleźli. Wokół coś szeleściło, coraz bardziej, coraz bliżej nas łamały się gałązki, zadrżałem, Zośka przywarła do mnie.

I wtedy zobaczyliśmy Jankę z Jankiem.

Myślałem, że mi się zdaje, ale naraz i Zośka ich zobaczyła, zaczęła rękami machać, że tutaj, podbiegli, Janek za łachy mnie złapał, zaczął ciągnąć, Janka Zośce na ramieniu dłoń położyła, a pyskata kowalówna dała się jej prowadzić jak nikomu przedtem.

Gdyśmy wreszcie do drogi wrócili, prowadzeni wcale nie prostą trasą przez Morawiaków, Zośka rękę Janki odepchnęła i, zła jak nie wiem, na siebie, na mnie, może na tego Pana Boga, który w lesie był mniej widoczny, wlokła się obok mnie do Naczachowa, a ja nie puszczałem dłoni Janka, a z drugiej strony Janka mnie chwyciła, i tak szliśmy, bezpieczni. Kiedy zobaczyłem wreszcie naszą Bożą Mękę naczachowską, łzy mi w oczach stanęły i trzy razy się z ulgą przeżegnałem.

W naszej furtce czekała matulka, zła czemuś i smutna.

– Do lasu chodziłeś.

Janek z Janką do niej przypadli, przytulili ją, ale i tak zaczęła krzyczeć:

– Miałeś zabronione! Tam morowiacy straszą! Utopić się można!

– Do Mokrego Dołka przecież nie chodziliśmy – odezwała się Zośka, której znowu wrócił animusz.

– I całe szczęście!

– A wy nie możecie ciągle dzieciaka przy sobie trzymać! Przecież już duży z niego chłop!

Od tych słów naprawdę poczułem się ogromny. Matuli jednak się takie mówienie nie spodobało.

– I czego się, smarkulo, wtrącasz?

– Bo inne dzieciaki normalnie do lasu biegają, a tylko Szczepan nie może.

– Nasze to dziecko, nie twoje.

– Jeszcze bym takiego dużego miała! – zaśmiała się Zośka.

– Zmykaj do domu, mała, żeby twój się o ciebie dłużej nie martwili! A z tobą, Szczepan, ojciec sobie porozmawia.

– Szczepan, nie daj się! – podjudzała mnie Zośka, odchodząc.

Powłokłem się przez podwórze do domu.

Ojciec stał przy oknie, czoło zmarszczone, brwi nastroszone, wyglądał teraz jak wielu innych ojców, co to z synami nie rozmawiają, tylko ich rzemieniem siekają. Mojemu nigdy się to nie zdarzyło, choć rzemień do bicia wisiał, jak trzeba, na ścianie w kuchni. Ojciec smutno i ze złością na mnie spojrzał. Milczał groźnie.

– No co?! Wszyscy do lasu mogą, tylko ja nie.

– Wiesz, jak matka się o ciebie bała?!

– Ale dlaczego?

– Może dlatego, że inne dzieci nam pomarły i ciebie jednego mamy.

– Jakbyście mieli więcej dzieci, to mnie by nie było wcale szkoda?

Ojciec nic nie odpowiedział, dziwnie tylko chrząknął, raz i drugi, jakby się dusił czy co. Spojrzałem na niego z lękiem. Głowę odwracał, ramiona mu drgały. Powstrzymywał śmiech.

– Oj, Szczepan, Szczepan, zawsze kota ogonem wykręcisz!

Potem poszedł do matuli na podwórze i coś długo gadali.

– Możesz chodzić do lasu, jeśli się nam opowiesz – oznajmił mi wieczorem. – Ale albo z nami, albo z Janką i Jankiem. Z samą Zośką nie. W ogóle z Zośką najlepiej nie. Powiedziałem.

## Janek i Janka

Boga w lesie Szczepan szukał? A gdzie tam w lesie Bóg, z góry może najwyżej patrzeć, o ile coś przez drzew gęstwinę zoczy. W lesie rządzą przecież boginki, które mają nieposłusznym, jak i Szczepana z tą Zośką pyską omamiły, w las ich wciągnęły, że sami wyjść nie potrafili, do świerku śmiertelnego za karę przywiodły. Tu, w domu, wszyscyśmy z siebie wychodzili z niepokoju o pierwsze dziecko w Naczachowie rodzone. Są tacy, co tylko w Boga wierzą, w boginki wcale, tym się zawsze dziwimy, bo przecie kto kiedy Boga widział, tymczasem każdy, kto nocą do lasu poszedł, boginki słyszał, no bo skąd te trzaski, skrzypienia i pohukiwania, skąd w twarz ostrzegawcze muśnięcia, skąd chichoty w odleglejszych drzewnych zakątkach, kto w lesie nogę podstawi czy pod dziurę złośliwie prowadzi, to wszystko boginki, wiadomo. Niejeden nawet je widział, zielone panny piękne, jeśli dla kogo chcą być miłe, albo zielone staruchy z cycami do pasa, kiedy postanawiają prawdziwie się pokazać. I jak wszystkie stworzenia, także boginki uszanować należy, dlatego w lesie trzeba chodzić po ścieżkach już wydeptanych przez człowieka, z nich nie zbaczać, bo inaczej boginki w takie błędy wyprowadzają, że można i siedem razy dookoła przejść, nie wiedząc nadal, gdzie się trafiło. Dlatego niektórzy z lasu wcale nie wracają, znajdują ich po kilku dniach

albo w ogóle nie znajdują, dobrze, żeśmy Szczepana naszego znaleźli i jego pyską Zośkę.

Hanka Józwiakowa

Nie lubiłam zostawiać z Morawiakami naszego Szczepana, gdy był mały, choć w końcu się z tym oswoiłam, bo przy nich cichł i spokojniał, razem z nimi w niebo spoglądał. Ale dalej nie mogłam się temu nadziwić. Janek z Janką mocno cudaczeni byli, drugich takich w parafii nie widziałam, ani w tej, ani w dawnej. Nieobecni spojrzeniem, zamierali, a to na progu, a to na przyzbie, albo zgarbieni przemykali gdzieś pod płotem i nawet spytać nie można było, dokąd idą. To znaczy można było spytać, ale przecież nie odpowiedzieli. Nie tylko, że słowem się nigdy nie odezwali, gestem też nie odpowiadali, patrzyli tylko, czasem na ciebie, czasem gdzieś obok, czasem w niebo. Ta para zresztą wiele rzeczy robiła inaczej niż wszyscy. Do pańszczyzny nie chodzili, nikt tego zresztą od nich nie wymagał, żadnej pracy się od nich nikt nie spodziewał, bo nigdy nie wyrosli i ciągle na dzieciaki wyglądali, trochę może tylko na twarzy pomarszczone. Do kościoła też nigdy nie poszli, choć namawiałam. Głowami kiwali, jakby rozumieli, więc szykowałam dla nich jakieś lepsze koszuliny, ale gdy czas w niedzielę nadszedł, ani drgnęli. Przedkładałam znowu, że Pan Bóg, że ludzie, że pleban, że będą gadać, ale gdy kończyłam, znowu ani się nie ruszyli. W końcu przestałam napierać, bo za dużo mnie to szarpanie kosztowało. Chcą być poganami? Trudno, zrobiłam, co mogłam, teraz to nie mój grzech.

Czasem mi plecy drętwiały albo swędziały, obracałam się i masz! Akurat Morawiaki się we mnie wgapiają z tymi zastygniętymi

minami zmarłych na twarzach. Tylko się drapałam i zaraz schodziłam im z oczu. Dlatego oddychałam swobodnie, gdy do kogo innego się przenosili mieszkać. A potem znowu – któregoś wieczoru stawali w naszej sieni i cichuśko czekali, aż im się da słomy do spania, a ja znowu drętwiałam, że obce do domu wpuszczam. Antosiovi się żaliłam, nie rozumiał, powtarzał, że dobrze mieć Morawiaków w domu, bo „głodnych nakarmić na rodzinę błogosławieństwo przynosi”, zresztą oni nigdy dużo nie jedli, nawet gdy latem było wszystkiego w bród. Ale ja w nich żadnego błogosławieństwa nie widziałam.

Dlatego za każdym razem, gdy przychodziły na mnie bóle rodzenia, wysyłałam Morawiaków precz z domu, żeby mnie nie rozpraszała. Ale to nie pomagało, bo każde kolejne dziecko rodziło mi się nieżywe, zieloniutki, biedne takie, wymoczone. Wtedy Janek z Janką wracali do nas, przytulali mnie, a ja drżałam ze strachu, smutku i niespełnienia i patrzyłam na małego Szczepana, że cudem się uchował, i mówiłam tej dwójce, żeby jego przynajmniej upilnowali. No i upilnowali, jakimś psim śwędem w lesie to oni ich znaleźli tamtej niedzieli, choć pół wsi w poszukiwaniach pohukiwało po gościńcu, a kowal to już najgłośniejszy, i nic, nikt dzieciaków nie znalazł, a Janek z Janką tak. Wtedy postanowiłam do tych dziwnych bezbożników bardziej się przyzwyczaić, żeby zacisnę, a się przyzwyczaję, nie może być inaczej, bo tak właśnie będzie sprawiedliwie.

Szczepan Józwiak

Ojciec z matulką pozwolili, więc od tamtej pory łąziłam do lasu niemal co niedziela, tym chętniej, że Zośka zawsze jakoś do mnie

dołączyła. Za nami podążali Janek z Janką, jak dwa pieski nieduże, pilnujące. Jak kawałek domu, zabrany ze sobą w drogę, co mi się podobało. Z tyłu szli, wpatrywali nam się w plecy, czasem podbiegli i kazali wybrać inną ścieżkę, słuchałem ich, bo wiedziałem, że rozumieją więcej niż my, choć Zośka się na nich wściekała, ale po tamtej niedzieli w lesie jednak mniej niż kiedyś. A ja dalej opowiadałem jej wszystko, co wiem, bo jakimś cudem wiedziałem strasznie dużo. Na przykład, że dla zwierząt z obejścia trzeba być grzecznym. Jeśli się jest dla nich niedobrym, Wolisko ma prawo kopnąć, a krowa dać mniej mleka, odpłacając pięknym za nadobne. Gdy się zdarzy Krasuli po kościstym tyłku witką przywalić, bo w szkodę idzie, zaraz trzeba ją przeprosić i wytłumaczyć, że to dla jej dobra. Zanim się kurę zabije, trzeba jej podziękować i za jajka, które dawała, i za rosół, który się na niej ugotuje. A potem jeszcze iść do kurnika i powiedzieć:

– A o was będę dbał dalej – żeby reszta wiedziała, że ich godzina jeszcze nie nadeszła.

– Skąd to wszystko wiesz?

– A od Janki i Janka.

– Akurat! Przecież oni nie gadają. Ja tam myślę, że wszystko to wiesz od ojca.

Ale przecież to nie ojciec mi powiedział, że gdy Waluś od Golców skradł Jamiołowej garnek z żurem, to pszczoły od nich z pasieki odleciały, do Jamiołowej właśnie. Golce przyszły potem po pszczoły z workiem i dymiącą szmatą, ale nijak rój nie dał się im z powrotem do barci zagonić, do złodzieja pszczoły przecież nie pójdą, takie są zmyślne te maleństwa. Umieją miód robić, ciasne domki z wosku sobie budować, to co to dla nich złodzieja od uczciwego człowieka



odróżnić? A potem nie dość, że Waluś garnek musiał zwracać, przepraszać, że żur wyżarł, to jeszcze Golce pszczoł się pozbawiły ze słomianego ula, przez co ludzie zaczęli na nich jeszcze bardziej podejrzliwie patrzeć, i jak co we wsi zniknęło, zawsze u nich szukać. Więc tego wszystkiego ojciec mi nie opowiedział, bo nie lubił plotek, rzadko ich słuchał i nigdy nie powtarzał. Skąd więc wiedziałem to wszystko? Wiadomo, od Janka i Janki!

Gdy pszczoły z gospodarstwa uciekły, był to niechybny znak, że ktoś nabroił, ale z bocianem znak jeszcze wyraźniejszy, bo u złego człowieka bocian nigdy gniazda po raz drugi nie założy. U złego człowieka to nawet jaskółki w oborze gniazd lepić nie chcą. A jaskółki w oborze ważne, bo kto ma żreć muchy, których zawsze w nadmiarze? I tak złemu człowiekowi mniej życie sprzyja, więc warto być dobrym, tak Zośce tłumaczyłem, choć już chyba sama to rozumiała, skoro mnie już nie biła, innych też rzadziej tłukła.

Do nas, do Józwiaków, jaskółki wracały co roku. Przylatywały na wiosnę z cudzych krajów, wlatywały do stodoły i widząc próżne sęsiaki, zdumione świergotać zaczynały:

*Jak my wędrowały, były pełne stodoły,  
a teraz próżne, kto tu gospodarzył?*

A na to im bezczelne wróble złodzieje, skacząc po belce:

*A to ja, a to ja, a to ja!*

Słyszałem te ich rozmowy dobrze od czasu, gdy Janka i Janek mowę ptasią mi wytłumaczyli.

Pszczół tylko w obejściu nie trzymaliśmy, bo matula – bywało – puchła po uządleniu. Ale to nie znaczyło, że jest zła, mamusia jest dobra, tego byliśmy pewni. Siedziałem obok nich na przyzbie, skulony jak oni, Janek z jednej strony, Janka z drugiej, patrzyłem, jak oboje zadzierają głowy i patrzą w niebo, a w oczach mają wszystko. Czasem chciałem ich wypytać, ile mają lat, kim byli ich rodzice, co widzieli, gdy jeszcze mnie nie było na świecie, no i jak to było, gdy morowe powietrze do wsi przyszło, nie pytałem jednak. Godziłem się powoli z tym, że pewnych rzeczy nigdy się o nich nie dowiem, wystarczało mi, że świat mi tłumaczyli, że zawsze są gdzieś blisko, dwie sieroty odwieczne, dwoje opiekunów na zawsze.

## Część trzecia. Rok 1829, nowoczesność puka do drzwi

*W Wiedniu niejaki Cyrill Demian, budowniczy organów, zgłasza z dwoma synami wniosek o opatentowanie akordeonu. W Mount Vernon w Stanach Zjednoczonych William Austin Burt kończy prace nad konstrukcją maszyny do pisania. W Paryżu w zbiorowym grobie zostaje pochowany Jean-Baptiste de Lamarck, twórca pierwszej teorii ewolucji, solidarnie wyśmianej przez naukowców. W Weimarze prapremierę Fausta Goethego śledzą z widowni, między innymi, Fryderyk Chopin oraz Adam Mickiewicz. W Watykanie papież Pius VIII niepokoi się postępującą laicyzacją życia publicznego, atakami na Kościół oraz demoralizacją młodzieży, czemu daje wyraz w swojej encyklice. Świat jednak mimo to idzie w swoją stronę. Natomiast w Naczachowie i we wsiach okolicznych ciągle włada miłośnik nowoczesności, dziedzic Augustyn Słubicki.*

Hanka Józwiakowa

Stała u nas jedna pusta, niezajęta po morowiakach chałupa, rozkradziona już niemal do imentu, bo skoro próżna stoi, to niech się przynajmniej na coś przyda. Że była trochę dalej od reszty wsi, po drugiej stronie drogi, mocno popod lasem, dzieciaki często tam przesiadywały, gadały, całusy sobie kradły, zimą po ciemku albo z wyniesionym z którejś chałupy płonącym łuczywem, cośmy zwalczali, bo we wsi o pożar nietrudno. Tak się ta pusta chałupa

młodym przydawała, że prawie nic z niej już nie zostało, kiedy ekonom przydzielił tam mieszkanie jakiejś nowej osadniczce, kobiecie bez męża, z niedużą ponoć córką. Jeszcześmy nie wiedzieli, jak te dwie mocno nasz świat poprzestawiają, a przecież już się taki uładzony wydawał, uporządkowany jak komora na jesieni po urodzajnym lecie. Na razie wcale nie byłam z nowych zadowolona.

– A bo co taka kobiecina na polu zwojuje? W pańszczyźnie nic przecież nie pomoże. Chłop jaki by przyjechał z synami, może nam by wszystkim na pańskim było wtedy krócej i lżej – narzekałam, a Golcowa przyznawała mi rację. Jamiołowa dorzucała swoje: „Jamiołowie Pańscy, święte słowa, sąsiadko!”.

A pracy na pańskim było niemało, bo nowy dziedzic pomysłów miał mnóstwo. Na przykład niedawno kazał nam karczować puszcę, gdy w polu mniej roboty mieliśmy. Karczować, łatwo powiedzieć. Ściąć drzewo nie sztuka, każdy chłop to wszak umie, ale już pniak wykopać – trudu i sił wiele trzeba, silnych mężczyzn, łopat, no i zaprzęgu, konia czy wołu, konia lepiej, żeby wszystko z ziemi z korzeniami wyrwać. A bez usunięcia pniaków nie szło przygotować ziemi pod siew. Pan wyraźnie szukał miejsca na nowe pola, nie tylko lasu się pozbywał, ale i z bagnami walczył, to drugie jednak szło mu niesporo. Bo ile by furmanek ziemi nie kazał na mokradła wysypać, to dalej błocko wciągało wszystko i wypluwało, co chciało, na przykład stare kości albo gliniane skorupy.

Uznałam jednak, że – użyteczną czy nie – sprawiedliwie wypadałoby nowo przybyłą o dziwnym imieniu Malinicha powitać tak, jak przed laty z Antosiem witaliśmy tu wszystkich. No i przy okazji rozeznam się, kto zacz. Żeby się lepiej pokazać, zaniosę nowej słomy na siennik i zakwasu na chleb, wiadomo, te dwie rzeczy

każdemu się zawsze w domu przydadzą, a mój zakwas nie ma sobie równych.

Osadniczka kręciła się po podwórku pod czujnym spojrzeniem dzieciaków, które z całej wsi się zbiegły popatrzeć na nową. Zrazu wydała mi się młoda, bo ruszała się lekko, jak dziewczyna nieprzygięta jeszcze latami pracy na pańskim i swoim. Zupełnie inaczej niż reszta kobiet we wsi, nie nosiła także chustki, tylko włosy upinała w węzeł. Gdy jednak odwróciła się na moje „Witajcie”, zobaczyłam, że całą ogorzałą twarz ma pokrytą siateczką zmarszczek, wtedy zrozumiałam, że to kobieta w latach, choć w jakich latach, nie do końca byłam pewna.

Umiała się znaleźć, od razu poprosiła do domu, dzieciaki zaraz bużki do okien przysunęły, wejść do środka bez zaproszenia nowej jednak nie śmiały. Zaprosiła, jak jaka pani, tymczasem w domu... Potworność! Sprzęty popalone, połamane, ściany wysmarowane Bóg raczy wiedzieć czym, porysowane na nich zwierzątka, ludziki, podłoga usłana śmieciem, słomą, sianem, błotem, usiąść nawet nie bardzo na czym. „Na rzyci”, przypomniały mi się słowa matuli, i tak, bo nic innego do siedzenia tu nie było. Co te dzieciaki tu wyprawiały? Gziły się, to pewne, na słomie leżącej na klepisku, wygniecionej, poplamionej, wolałam nie wiedzieć czym. Czy Szczepan także tu przychodził? Duży był już z niego chłopak, na trzynastą wiosnę mu szło, więc może? Dziwnie było o tym myśleć. Nowa się krzątała, coś czyściła, coś zmiatała, niewiele to jednak pomagało, choć siły i żywotności miała za dwie.

– Oj, sąsiadko! – Aż westchnęłam ze współczucia, że w taką biedę popadła w naszym Naczachowie. I szybko zaczęłam mówić, że drzwi

można zbić, stół nadpalony naprawić, czyste płótno na sienniki dać, zamieść, wapnem pobielić.

Malinicha uśmiechnęła się, przy oczach pojawiły jej się pajęczynki kresek, mocno wypracowane, przez co widać było, że uśmiecha się często.

– Nie narzekam. Początki zawsze są przecież trudne. Będzie lepiej.

I w tym momencie poczułam się dużo różniej, choć nic przecież się na lepsze nie zmieniło, poza odrobiną nadziei w duszy od uśmiechu Malinichy.

– A mąż kiedy za wami przyjedzie?

– Oby nie przyjeżdżał. Bo dawno umarł, biedaczysko – zaśmiała się Malinicha.

Przeraziłam się i zaraz przeżegnałam, bo żartowanie ze zmarłych, którzy z grobów wychodzą, nie jest dobre o żadnej godzinie, a pod wieczór zwłaszcza.

Nieswojo mi było, ale grzeczność miała swoje prawa, więc gawędziłam dalej.

– Co was tu sprowadza?

– Lepszego losu szukamy.

Zmartwiłam się, bo nijakiego lepszego losu jej nie wróżyłam, samotnej kobiecie z córką w zrujnowanej chałupie. Co ona może tu robić, poza harowaniem na pańskim do upadłego? Chyba że na komornicę do kogoś się zgodzi. I zupełnie jakby Malinicha usłyszała moje myśli, bo zaraz się odezwała:

– Sołtysowa może powie we wsi, że leczyć ludzi potrafię i po tom tu przyjechała. Dzieci też umiem na świat przyjmować, jakby kto pytał, niech sołtysowa rozpowie. Macie jaką babkę od porodów we wsi?

– Zawsześmy po Golcową posyłali, o tam mieszka.

Malinicha trochę pomarkotniała.

– To i dobrze. Ale i ja chorobę niejedną wyleczę, dzieciaka od kaszlu wyratuję, od krost, od gęby spuchniętej. Rany leczyć umiem, przemieszczenia kości, pytocie.

Mądrzejsza była ta Malinicha, niż myślałam, bo jak kto leczyć umie, to i jajka, i słoninę, a nawet groszy parę mu przyniosą.

Naraz z Malinichy zabudowań rozległo się muczenie.

– O, i krowę macie?

– Dwie. Kiedy poletko mi dziedzic przydzielili, w komplecie będziemy. Dam sobie radę.

– Przyślę tu męża i syna, niech zbiją stół i naprawią drzwi – obiecałam, ale już z mniejszą serdecznością, bo wcale ta kobiecina taka biedna nie była. I zaraz się zaczęłam zastanawiać, co mi to przeszkadza. Że kobieta samodzielna jak chłop i do tego wcale niebiedna? A co w tym złego?

Do domu wróciłam cała przejęta, znowu do nowej przekonana.

– I wyobraźcie sobie, nic na ten dom ogołocony nie narzeka. A przecież wstyd trochę dla wioski, bo ludzie nawet drzwi wyrwali, że o stole nie wspomnę. Śpiewa, zamiata, pomogłam jej sienniki wypchać, tamte trzeba będzie spalić. Pomożesz im z drzwiami, Antoś, bo jak to tak, sołtys ma się nowymi nie zaopiekować? Szczepan, co wyście, młodzi, wyprawiali w tamtej chałupinie? Cud, że jeszcze stoi.

Szczepan tylko głowę spuścił, zaczerwienił się.

Dziwnie było myśleć, że powoli robi się dorosły.

Szczepan Józwiak

Matula tak o nich opowiadała, że bardzo byłem ciekaw nowych sąsiadek. Kobieta z córką, to ci dopiero, całkiem obce, nowe, miały w naszej wsi zamieszkać! I nie ja jeden ciekaw ich byłem, bo na podwórku u nowych tłoczyły się już wszystkie naczachowskie dzieciaki, które akurat w polu czy na pasionce nie były, a i baby jedna po drugiej zaczęły się do nowej schodzić. Że niby serdecznie witają, a to jajek niosły, a to marchewki młodej, a to szczawiu na zupe, a tak naprawdę z ciekawości wszystkie szły, bo nieczęsto się widuje ludzi zupełnie sobie nieznanych.

A nowa była dziwna. Z daleka nawet na dziedziczkę wyglądała, suknię miała nie naszą, tylko jakąś w pasie wąską i długą trochę, i włosy nie pod chustką, a związane, z czego jej kosmyki wypadały z tyłu i bokami. Z bliska dopiero widać było, że twarz ma po chłopsku ogorzałą i ręce mocno zniszczone, nie jak dziedziczka, która ręce zawsze w rękawiczkach chowała. Twarz Malinicha miała surową, kiedy na mnie spojrzała, zaraz pomyślałem: „Baba Jaga” i aż się cofnąłem. Ale potem się uśmiechnęła, twarz jej się pomarszczyła i rozjaśniła, więc trochę się przestałem lękać.

Baby, tłocząc się, na nową i jej rzeczy popatrywały, do chałupy zaglądały.

– Jamiołowie Pańscy! – krzyczała Jamiołowa. – Aleście chałupę wzięły zrujnowaną!

– A są tu inne wolne?

– A gdzie tam!

– To i wybrzydzać nie będę.

Ojciec zrzucił deski na podwórko i zapowiedział, że drzwi zbijemy najpierw, a deskami, co zostaną, stół naprawimy.



Dzieciaki popatrywały z otwartymi buziami, to na niego, to na gospodynię.

– Dziękuję wam, sołtysie – powiedziała Malinicha.

Ojciec schylił się po pierwszą deskę i aż jęknął.

– Co jest?

– A w krzyżu mnie boli.

– Boście się, sołtysie, przedźwigali pewnie – odezwała się zaraz Golcowa.

Malinicha spytała:

– Sołtysie, a boli tylko, gdy się schylacie czy jak leżycie także? I w którym miejscu? Pokażcie ręką.

Ojciec aż się zdziwił, że obca kobieta o takie rzeczy pyta. Zaraz nasrożył się, brwi zmarszczył, że co mu się baba wtrąca. Dzieciaki zachichotały, aż spojrzałem na nie groźnie, że z tatula mojego śmiać się nie wolno. Cofnęły się, co było dla mnie nowiną, że i mnie się ktoś przestraszyć może.

– A wy cicho, skoro człowiek cierpi – skarciła dzieciaki Malinicha, a one dały kolejnych kilka kroków do tyłu. To najmniejsze, od Wicka, nawet się rozplakało, starsza siostra poczęła je uciszać. Wtedy tatulo, który nade wszystko nie lubił płaczu, cmoknął ze zniecierpliwieniem.

– A wy zobaczcie, czy was w domu nie ma! – polecił. – I to zaraz!

Dzieciarnia umknęła i już tylko z daleka, zza resztek płotu, na nas ślepiła.

– Powiedzcie, sołtysie, gdzie boli, a może pomogę – powiedziała Malinicha.

– A gdzie tam, na przedźwiganie nikt i nic nie pomoże – zaczęła się mądrzyć Golcowa.

– Czasem jednak można coś poradzić – odparła Malinicha. – Choćby ziółek na ból uwarzyć. A ziółka warzyć umiem, w poprzedniej wsi nazywali mnie „znachorką”.

– Ja też się na chorobach znam nie najgorzej – Golcowa aż pod boki się wzięła – i wszystkich tu we wsi lecę. I mówię wam, gospodyni, że na przedźwiganie leku nie ma. Dlatego tylu ludzi się na nie skarży. Nie tylko sołtys, ale i sąsiad drugi, Jamioł na przykład.

– A ja bym powiedziała, że leczyć to można. Bo ciepłe do pleców przykładać należy, spać na twardym i nie dźwigać.

– Jeśli to dla was lek, to ja już nic nie powiem – odpyskowała jej zaraz Golcowa. – Bo sąsiadka może powie, jak tu nie dźwigać, gdy na pańskim dzień w dzień trzeba robić? I co ekonomowi sołtys ma powiedzieć? Że zamiast dźwigać, wolałby sobie na twardym pospać?

Nagle, w okienku chałupy, zauważyłem niewielką, białą twarzyczkę, a zaraz potem zza drzwi wyjrzała chuderława dziewczynina, wielkooka i z mnóstwem włosów upiętych jak u matki. Spojrzała na mnie, przyjrzała mi się od góry do dołu, i dopiero wtedy się uśmiechnęła. Zęby miała wielkie i białe.

Pomachałem do niej.

– A to córka wasza? – zainteresowała się Golcowa.

– A tak – powiedziała dziewczyna. – Zwą mnie Isia. Isia od znachorki.

Głos miała niski i mocny, zupełnie jakby pożyczyła go od jakiej dziedziczki.

– Od znachorki? To jeszcze nie jest powiedziane, kto tu jest od znachorki, a kto nie. Bo to mnie jako babkę od chorób znają tu wszyscy.

Isia jednak nie patrzyła na nią, tylko na mnie, jedyne dziecko w zasięgu wzroku. Podeszła do mnie.

– A ty kto jesteś?

– Szczepan. Szczepan Józwiak. Z tatulem przyszliśmy drzwi wam naprawiać.

Jeśli się zdziwiła, że mam nazwisko, nie okazała tego.

Potem dopiero zrozumiałem, że Isia nie dziwi się niczemu. Każdy przejazd świata witała tym samym rozwarciem i tak ogromnych oczu. Patrzyła i już po chwili rozumiała.

Wtedy poczułem się wystarczająco ośmielony, by spytać, skąd przyjechała. Półgłosem, bo nie chciałem, żeby każde nasze słowo Golcowa komentowała.

– Z daleka.

– Ile dni pańszczyzny będziecie odrabiać?

– Zobaczymy, co pan każe – powiedziała, niezbyt zaciekawiona pańszczyzną, a bardziej tym, co dookoła. Przyglądała się tatulowi, babom, mnie wreszcie, a przy tym milczała, zupełnie inaczej niż dziewczyny, które przy mnie albo bez przerwy gadały, albo chichotały. Wiatr tarosił jej loki, co wypadły ze zwiniętego wężła, i te uwolnione muskały mnie po czole, po policzkach. Odsunąłem się od niej, ale po chwili znowu postąpiłem krok do przodu, bo to było miłe łaskotanie. Ojciec przed chałupą dalej obradował z Malinichą, a baby słuchały.

– Zresztą, jak się tak przypatrzyłam, to widzę, że wy nie tylko przedźwigani, sołtysie, ale już przemierzeni jesteście – stwierdziła znachorka.

– To znaczy?

– To nic nie znaczy – warknęła Golcowa.

– Przemierzeni? – nie zrażała się Malinicha. – To znaczy, że jesteście w tył wychyleni ponad miarę. To od tego dźwigania. Teraz boli, ale jeszcze gorzej będzie bolało.

– Widać taka chłopa dola, że wszystko boli i boleć będzie – westchnął ojciec. – Od pracy się nie ucieknie.

– Słusznie sołtys prawi – zawtórowała mu Golcowa, a baby pokiwały głowami.

– Do warzywnika szłam, pójdiesz ze mną? – spytała Isia, więc zaraz skreśliśmy za chałupę, gdzie zamiast warzywnika rósł gąszcz badyli.

– Malinicha? Skąd takie imię u twojej matuli? – spytałem. – Świętej Malinichy przecież nie ma. Znaczy, ja o niej nie słyszałem.

Isia wzruszyła ramionami i aż przystanęła, żeby odpowiedzieć na to ważne pytanie.

– Skąd imię? A bo zdarzyło się tak kiedyś, tam, gdzieśmy przedtem mieszkały, że mama upiekła placek z malinami i zaniosała do dworu, żeby państwo posmakowali. A dziedzicowi placek tak się spodobał, że przez tamto lato ciągle kolejne placki chciał od mamy, jeden za drugim, jeden za drugim. Ludzie właśnie wtedy zaczęli tak na nią mówić.

– Płacił jej za to czy tak wyjadał, co upiekła, a dla was nic nie zostawało?

– Nie pamiętam. To było jeszcze przed moim urodzeniem.

– A potem już mu nie piekła?

– Potem już i jeść nie chciał. Ale łaskaw był dla nas potem, krowinę podarował.

– Za placki? – Opowieść Isi brzmiała mi jak bajędy starego Golca, co to ostatnio coraz mniej z sensem mówił. Gdy kto podszedł

i klepnął go w plecy, stary zaczynał bajać, czasem ciekawie, częściej bez ładu, ale od razu i bez przerwy.

– Ano za placki, bo wielce dobre były.

– Jadłaś je potem?

– Takich nigdy nie, bo już takich malin nie było, mąki takiej lekuchnej ani miodu tak złotego, tak mamusia mówiła, to i dziedzic przestał na nie przyjeżdżać. Ale inne jadłam. I dobre były.

Pokręciłem głową, bo mi w tej opowieści nic nie pasowało, ale też może niegrzecznie nową we wsi dziewczynę tak pytaniami zarzucać. „Jak czasem pytać zaczniesz, to zupełnie jakby kto w brzuchu dziurę pazurem wierceł”, wzdychała czasem poirytowana matula, gdy pytania mi się mnożyły jedne z drugich, jakby z jaja od razu się dorosła kura wylęła i nowe jajo składała, by się z niego zaraz coś znowu wylęło, aż czasem, gdy zamilkłem i odchrząknąłem, przerażony byłem, ile pytań zdążyłem wypowiedzieć i jak niewiele przy tym odpowiedzi uzyskałem.

– Siadajcie, sołtysie – dobiegł nas tymczasem głos Malinichy. Wyjrzałem zza węgła i zobaczyłem, że ojciec rozgląda się za krzesłem. – Nie, nie na krzesło. Na ziemi siadajcie, sołtysie.

– Na ziemi?! – zdziwiły się baby.

– Co wy wymyślacie? – wzbraniał się tatulo.

– Mogę wam, sołtysie, na to przemierzenie pomóc od razu. Jeśli mnie posłuchacie.

Wiedziałem, że ojciec nie słucha kobiet, może mamusi trochę, więc obcej tym bardziej się nie podporządkuje, a na pewno nie wtedy, gdy tłum bab popatruje, a za płotem dzieciaki się chichrają. Malinicha jednak nie wiedziała, kogo słucha mój tatulo, więc na zachętę sama się rozsiadła na ziemi ze zgiętymi kolanami.

– Tu siadajcie, sołtysie. – Pacnęła w ziemię u swych stóp.

– Ale...

– A chcecie, żeby boleć przestało?

– Akurat coś ta nowa pomoże! – powątpiewała Golcowa. – Nie siadajcie, sołtysie! Nie siadajcie!

Ojciec Golcowej wyjątkowo nie lubił, więc mając do wyboru – słuchać nowej, która wydawała się niegłupia, i Golcowej, której nikt o mądrość nie podejrzewał, zdecydował, że usiądzie przy stopach Malinichy. I siedział tam, sztywny, faktycznie w tył przechylony.

– Oprzyjcie się wygodnie o moje kolana – poleciała Malinicha.

– Kiedy mówię, że nie mogę!

– Tyle, ile możecie.

Ojciec, czerwony na twarzy z tej złości i skrzywiony, że głupka z siebie przed babami i nową robi, wsparł się o łydki Malinichy, postękując.

– Ręce na piersi skrzyżujcie.

– A co, już trupem jestem?

Baby zachichotały, tatulo jednak ręce skrzyżował, a wtedy Malinicha chwyciła go za dłonie i pociągnęła do tyłu, jednocześnie napierając mu na grzbiet kolanami. Chrupnięcie usłyszeliśmy aż tutaj, a wrzask ojca musieli słyszeć aż na trzeciej wsi. Baby jęknęły.

– No i masz! – triumfowała Golcowa.

– Jamiołowie Pańscy!

Już chciałem biec, żeby ojca ratować, ale Isia chwyciła mnie za ramię.

– Tak właśnie się leczy przemierzenie. Już nieraz to widziałam.

Zrazu nie uwierzyłem jej, ale już po chwili patrzyłem, jak ojciec głową kręci, jak się przegina, z niewyraźną miną.

– Nie boli – oznajmił zdziwiony.

Baby zaszumiały, zaskoczone. Isia taka zadowolona była, że aż mnie za rękę złapała. Skórę miała chłodną i chropowatą, palce silne, aż dreszczów od ich uścisku dostałem.

Malinicha wstała pierwsza, rękę ojcu podała, żeby pomóc mu się podnieść. Wyprostował się bez bólu i aż się z tej radości przeciągnął.

– Jakiś czas nie będzie bolało, sołtysie, chyba że się znowu przedźwigacie – oznajmiła Malinicha.

– I co wtedy?

– Ziół wam dam na ulgę w bólu, wtedy trochę los i ciało oszukacie. A przed zimą przyjdźcie, to znowu wam plecy nastawię. Potem wyleżeć się musicie na równym, ubitym sienniku i nic nie dźwigać, wtedy na wiosnę lepiej będzie. Lepiej tak niż całkiem się oberwać.

– Bo na oberwanie już nikt nic nie poradzi – odezwała się Golcowa, żeby honor swój ratować.

– Tak właśnie, jak sąsiadka mówi. Na oberwanie poradzić się nie da – przyznała jej rację Malinicha, a Golcowa się rozpromieniła.

Ciekawiło mnie to wszystko strasznie, i czary, jakich dokonała Malinicha, i to, że stałem obok dziwnej, pachnącej macierzanką Isi, jej rozlatane loki uparcie łaskotały mnie w twarz, a jej dłoń wcale się nie rozgrzewała.

– Jak tak mnie łupało w plecach, myślałem czasem, że wiosny nie dożyję – dorzucił ojciec, a głos całkiem miał już wesoły.

– Nie mówcie tak, sołtysie, bo zły los skusicie. Tylko czeka, aż mu przystęp do siebie damy. Lepiej powtarzać sobie: pożyję tyle, żeby i wnuki piastować. Lepiej drzwi dobremu otwierać niż złemu.

Dziwne rzeczy mówiła Malinicha, a ojciec tylko głową pokręcił na te pouczenia, ale się już nie sprzeciwiał.

– Dostałem ziółka na krzyża bolenie – tłumaczył już w domu ojciec matuli. – A kiedy dźwigam worek czy beczkę, mówi ta Malinicha, zawsze mam nogi zginać. Znaczy tak jak baba kucać. Będą się chłopcy śmiać, gdy tak będę worki podnosił.

– Bardziej się śmiechu cudzego boisz czy własnego bólu?

Ojciec nic nie odrzekł, choć byłem bardzo ciekaw odpowiedzi.

Przez okno zobaczyliśmy, jak do Malinichy Jamiołowa męża prowadzi, na leczenie zapewne.

Następnego dnia Isia przyszła na wiejskie pastwisko. Pasienie krów to była ważna praca, bo należało pilnować bydełka, żeby nie weszło na czyjeś pole albo na cudzą łąkę, ale by jadło trawę z pastwiska lub nieużytków, i się dobrze najadło. Ale była to praca przyjemna, bośmy się z dziewczynami i chłopakami umawiali na pasienie krów, i gdyśmy upalikowali krowy, gdyśmy kozy w jedno miejsce zagnali, świnki w drugie, gąski w trzecie, jeśli komu i świnki, i gąski paść nakazano, mogliśmy zajmować się czym innym. Tego akurat dnia zabieraliśmy się do gry w żonę i męża. Gra ta była przez wszystkich ulubiona, bo i pożartować przy niej było można, i poprzepychać się, pobiegać i pokrzyczeć, a przede wszystkim z dziewczynami podotykać. Grało się tak, że najpierw wybieraliśmy żonę i męża, a reszta ustawiała się wkoło, trzymając się za ręce. W środku siadała żona, z wierzchu koła biegał mąż z różgą w ręku i dopytywał:

– Czy jest moja żona w domu?

– Ni ma.

– Czy jest moja żona w domu?



– Ni ma.

Dopiero ostatni z kręgu mówił, że jest, i wpuszczał męża do środka. A on wtedy zaczynał gonić żonę z różgą, pokrzykując:

– A toś ty taka! A tak to się rozsiadujesz! A toś ty statków nie pomyła! A toś ty chleba nie upiekła!

I tak krzyczał, co wymyślił albo co po wsi podsłuchał, niejeden tak gospodarz w domu wykrzykiwał przecież, a myśmy się wszyscy, łącznie z żoną, pokładali od śmiechu. W końcu żonie udawało się uciec na zewnątrz koła, co nie było łatwe, bo jedni ją chcieli wypuścić, ręce podnosili, ale wtedy drudzy opuszczali, i tak szukała przejścia, by uciec mężowi z różgą. Gdy się jej udało wreszcie wymknąć, męża żeśmy w kole zatrzymywali, a żona, już bezpieczna, mogła z zewnątrz do niego wykrzykiwać:

– A toś ty taki zgniły! A w polu nie chcesz siał, tylko w garnku! A zamiast w polu orać, wolisz orać za piecem!

Kiedy tak krzyczała, mąż próbował się wydostać z koła i zaraz, gdy mu się udało, do żony przyskakiwał. Znowu szukała schronienia w kole, a jeśli jej się nie udało, łapał ją i różgą udawał, że bije, a najczęściej łapał, łechtął i kradł całusy, a wszyscy się zaśmiewali, pokrzykiwali i przepychali. Potem poprzedni mąż wybierał nową żonę, poprzednia żona nowego męża, i teraz kolejna dwójka się wyzywała i przed sobą uciekała. Mogliśmy tak godzinami, co jakiś czas tylko przepalikowując krowy. Zośka zawsze wybierała w tej grze mnie, a ja ją, to już wszyscy we wsi wiedzieli, choć dziewczyny się pchały, żebym czasem i inną do koła wciągnął, ale jakoś nie bardzo chciałem, z Zośką najlepiej nam się krzyczało i najwięcej śmiechu było.

Gdyśmy się tak zabawiali, naraz podeszła Isia. Stała o parę kroków obok i patrzyła na nas, a oczy jarzyły jej się jak dwie świece przy ołtarzu. Swoich krów ze sobą nie miała, tak mi się najpierw zdało, aż zobaczyłem, jak zaraz za nią nadchodzi na pastwisko rude krówsko z białą gwiazdką na czole, powolne i łagodne, a za nim drugie, rudolaciate, i zaczynają skubać trawę, wcale też nie mają zamiaru wchodzić w szkodę, choć Isia nawet nie próbowała ich palikować. Malinicha nawet krowy miała niezwykajne. Bawić się z nami też Isia chyba nie chciała, bo zamiast spytać, czy może do koła dołączyć, stała tylko i patrzyła, aż nam się przez to krzyczeń odechciało. Żona zamarła w środku, mąż z różgą na zewnątrz kręgu, cała reszta także gapiała się na Isię, na jej trochę za krótką koszulę, na jej długą, ciasno owiniętą w pasie zapaskę, nikt tutaj się tak nie nosił, na jej włosy, nie w warkocze splecione, lecz w kłęb taki na karku, z którego wymykały się kosmyki, przez co wyglądała jak dmuchawiec.

Gdyśmy się tak na nią gapili, pomachała nam ręką. Już się zastanawialiśmy, czy jej do koła nie przyjąć, ale wtedy ona usiadła niedaleko swoich krów, zerkając na nas spod zwisających kosmyków, i wcale nie wyglądało, żeby chciała do zabawy przystąpić.

– A ty kto? – wrzasnęła Zośka. – Mówże, dziewczyno, kto ty jesteś!

– A Isia.

– A jaka Isia?

– Od znachorki.

– Od Malinichy?

– Tak właśnie.

– Tak myślałam. Chodź no się bawić!

– Może za chwilę.

Zośka powstała nad nią chwilę, ale Isia wcale nie miała zamiaru się z trawy podnosić, uśmiechała się tylko do nas miło, trawki głaskała w cichości. Więc po jakimś czasie wróciliśmy do śmiechów, wyzwisk i przepychanek przy mężu i żonie, głośniej jeszcze krzycząc i częściej się śmiejąc, żeby nowa zobaczyła, ile traci. Widziała wszystko, bo na nas zerkiała, ale wcale nie wyglądała, jakby coś traciła, przeciwnie, trwała z delikatnym uśmiechem, przez co Janek z Janką nagle mi na myśl przyszli. Wtedy pomyślałem, że Isia, z tą innością i delikatnością, nijak nie poradzi sobie wśród rozbrykanych podrostków z Naczachowa, i postanowiłem pilnować, żeby jej nie urazili, nie skrzywdzili prędkim słowem czy rozbrykaną pięścią. Dlatego też wyszedłem z kręgu, ruszyłem do Isi i usadowiłem się blisko niej, żeby w razie czego służyć jej pomocą. Spojrzała na mnie i tyle mi wystarczyło: poczułem się nagrodzony.

– Te, Szczepan! Te, uszatek! Wracaj do nas, bo zabawa czeka! – wrzasnęła zaraz Zośka.

– Może za chwilę.

– Będiesz żałował! – Zośka nieprzyjaźnie na nas zerkać zaczęła. – Te, nowa, ruszysz się wreszcie?! Iśka, chodźże, a nie siedź jak jakaś kura na grzędzie!

– Cichaj, Zośka, ona ma matkę czarownicę! – uciszali ją niektórzy.

– Ale ja się nikogo nie boję! – odkrzyknęła kowalówna, ale zaraz przestała Isię do zabawy namawiać, za to pobiegła do reszty dzieciarów i hałasowała ze wszystkich najgłośniej.

Od tamtego czasu dzieciarnia i młodzież okrążyły Isię łukiem, nie dokuczały jej, ale i nie zagadywały, spode łba się tylko przyglądały,

co też ta nowa będzie robić. A Isia niezbyt lubiła biegać, wołała siedzieć i patrzeć, jak inni dokazują. Była zupełnie inna niż Zośka, która rządziła, pokrzykiwała, a i pchnąć, gdy trzeba było, potrafiła. Isia na nikogo nie krzyczała, ale i sobie rozkazywać nie pozwalała. Nikt by zresztą się nie ważył, bo zawsze zostawała z boku, osobna, ale czujna. Zośka już do niej nie zagadywała, do mnie też przestała, bo z powodu Isi i ja wkrótce znalazłem się trochę z boku. Nie żałowałem, bo nagle uznałem, że już jestem za dorosły na te krzyki, przepychanki i durnoty.

Dlatego też wcale często zdarzało się, że gnaliśmy z Isią krowy na inne pastwisko niż reszta dzieciaków, a tam siedzieliśmy z bydełkiem, skubiąc szczaw i pogryzając coś, co Isia zwała manną z nieba, a co było po prostu białymi, mączystymi kwiatkami, które troszeczkę syciły głód, a przynajmniej zmieniały smak w ustach. Uczyła mnie także ssać koniczynę, wyrywaliśmy z niej maleńkie kwiatki i ciamkali ich końce, po żurze w południe wydawały się całkiem słodkie, natomiast na czczo – ledwie słodkawe.

– Żywimy się tym, co pszczoły – mówiła i bzyczała, a ja się śmiałem.

A potem kładliśmy się na łące i krzyczeli w niebo, najgłośniej, jak umieliśmy:

– Dziękujemy!

I dobrze mi przez to było na świecie.

Hanka Józwiakowa

Kiedy Malinicha pierwszy raz miała iść na bagniska, zaszła do mnie, do chałupy, żebym z nią puściła naszych Janka i Jankę. Mieli jej pokazać, któredy po lesie, po mokradłach chodzić można. Puściłam,

co miałam nie puścić, i tak łazili, dokąd chcieli, a z Malinichą chcieli. I tak chodzili we trójkę, ona zielska zbierała, oni ją ze złych miejsc zaraz cofali, i szybko się od nich wyuczyła wszystkich szlaków, potem już sama z kępy na kępę skakała, odnajdywała ścieżki wydeptane przez zwierzęta lepiej niż my, jakby się tu rodziła, a nie ledwie od kilku niedziel mieszkała.

Dopiero od niej się dowiedziałam, że jedne zioła zbiera się raniutko przy rosie, inne w południe, gdy je słońce wygrzeje, znowu inne pod wieczór, gdy odżywiają po upalnym dniu, a są i takie, które zbiera się przy świetle księżyca, trzeba wtedy, nie bojąc się, do lasu z łuczywem iść i zerwać, co należy. A wszystko to wola Boża, bo przecież to właśnie Pan Bóg wymyślił zioła na wszystko: na kaszel i na ciężki oddech, na kolki i na inne bóle, na przedźwiganie i na pytocie, straszną, śmiertelną chorobę, przy której człowiek pokrywa się krwawymi krostami. Były zioła na ciąży podtrzymanie i na ciąży spędzenie, na uspokojenie i na wyrwanie człowieka z nadmiernego spokoju, na sranie i na brak srania. Były nawet zioła na miłość, ale te nie zawsze działały. Na przykład lubczyk: zadziała wtedy, gdy choć trochę ochoty na miłość w człowieku jest, natomiast jeśli nie ma jej wcale, to i lubczyk nie pomoże, o tym Malinicha uprzedzała dziewczuchy z całą szczerością. Ale one zdawały się na to nie zważać, i po zmierzchu, trochę po kryjomu, do jej chaty ciągnęły, z woreczkami ziół wychodziły.

Ale mnie także ciągnęło do Malinichy. Co tylko miałam trochę czasu, szłam do niej, pomagałam ziółka zrywać, siekać albo obrywać z gałązek, a potem jedne zalewać gorzałką, inne suszyć, jeszcze inne układać w glinianych garnuszkach i zalewać olejem albo

podgrzanym smalcem, a o wszystkim umiała opowiedzieć, co i dlaczego.

– A skąd to wiesz, Malinicho?

– Od babki.

– A ona?

– Pewnie od swojej się nauczyła. Ludzie znali nas, z całej okolicy się schodzili, nigdyśmy głodne nie bywały.

– To dlaczegoście tam nie zostały?

– Długo by opowiadać – mówiła Malinicha, co oznaczało, że w ogóle wspominać nie ma zamiaru.

I takie to były z nią rozmowy, słowa gładko się wymieniało, aż dochodziło się do ściany, gdy Malinicha milkła lub o czym innym zaczynała gadać. Czasem po takiej pogawędce przez kilka dni jej nie odwiedzałam, nieswojo się z nią poczuwszy, ale potem znowu, w tym kieracie: struga–pole–dom–warzywniak zaczynałam tęsknić za czymś więcej, a tego „więcej” przy Maliniszce było mnóstwo. I znowu pukałam do jej drzwi.

Szczepan Józwiak

Matula bardzo się do Malinichy garnęła, przesiadywały razem u niej w chałupie i warzyły jakieś dziwne napary, gorzkawe i pachnące zakazanymi miejscami na bagnach. A potem matula poiła nimi mnie, żebym rósł duży i silny, żebym był zdrowy, żebym dorósł i zmężniał, tak obiecywała Malinicha, więc zatykałem nos i wypijałem.

Piłem te zioła posłusznie też dlatego, że wiedziałem od ludzi, od Zośki, od Janki i Janka: z czarownicami trzeba ostrożnie. Gdy się bowiem taką zezłości, potrafi zaszkodzić, na przykład kołtun czy

inną chorobę zadać. Tak, kołtun to straszliwa choroba i wielkie nieszczęście, wielu na to cierpi, co dowodzi, że czarownice nie próżnują. Nieraz na jarmarku widywałem ludzi z kołtunem, wyglądali, jakby im druga, owłosiona głowa nad pierwszą wyrosła, taka sama albo i większa nawet, a u niektórych zdawało się wręcz, jakby im coś tam na głowie zupełnie nowego ożyło i kiwało się w takt kroków. No i wiadomo było, że skoro już kołtun komuś wyrósł, to przepadło, trzeba z tym żyć, nie wolno obciąć, bo wtedy nie tylko kołtun, ale i człowiek umiera. A wszystko to od czarownic powstawało. Na szczęście Maliniszę nikt się jeszcze w Naczachowie nie naraził, bo kołtun na nikim się nie pojawił, żadnej też krowie mleka nie zdążyła odebrać ani choroby porządnej zesłać, ani na zwierzęta, ani na ludzi. U nas, jak zawsze, ludzie słabowali, ze starości, z przepracowania, z zimna. Staralem się więc, jak wszyscy, szanować Malinichę, ale na wszelki wypadek obchodzić ją z daleka, jak najszerszym łukiem, bo strzeżonego Pan Bóg strzeże.

## Janek i Janka

Malinicha rozumiała wiele, choć była obca. Jeśli miętę czy pokrzywę zrywała, to pod nosem mamrocząc, przepraszała, że kończy życie zielsku, i tłumaczyła, że nie pójdzie na zmarnowanie, lecz zdrowie ludzkie wspomogę. Wiedziała, że szacunek musi być wszędzie, że szanować trzeba każde drzewo, nie wolno szarpać na nim gałęzi, a gdy musisz je ściąć, przeproś przedtem i podziękuj mu. Albo jabłoń w sadku – ta chętniej rodzi owoce, gdy obierać gąsienice żerujące na liściach i gdy, z szacunku dla niej, dla jej owoców rodzenia, zakopywać w ziemi przedwcześnie spadłe, robaczywe jabłka, tak zadbana jabłoń będzie wdzięczna, to wszystko

wiedzieliśmy, i Malinicha też wiedziała. Dbać także trzeba o kapustę, jak która zgnije na polu, zaraz należy ją wyrwać i zakopać daleko, żeby nie dawała innym głowom złego przykładu, nawet o suche gałęzie dbać należy, obłamywać je tylko, gdy do ognia ich potrzebujesz, a tak pozwolić im trwać na drzewie, bo albo się sarna o nie poczochna, albo pająk na nich pajęczyne osnuje, bo wszystko, nawet sucha gałąź, jest po coś, więc przed wszystkim trzeba głowę skłaniać.

Dlatego oboje cały czas z pochylonymi głowami chodziliśmy. Chyba że akurat w niebo trzeba było patrzeć.

### Szczepan Józwiak

Młócka to był trudny czas, odkąd urosłem na tyle, bym i ja do niej chodził, zawsze mi na myśl swędzenie przywodził. Plewy z młóconych kłosów, choćbyśmy szczelnie się ubrali, zawsze się dostawały pod koszulę albo portki, kleiły się do pleców, ud, piersi, właziły do ust, gardła i kroku, waliliśmy więc cepami w zboże i się drapaliśmy, waliliśmy i się otrząsaliśmy, młóciliśmy i się pociliśmy, a do potu plewy przyklejały się jeszcze chętniej, nawet w nocy wszystko nas swędziało.

Tego roku do młócki w pańskiej stodole przyszły także Isia z Malinichą, ale – jak we wszystkim, co robiły – i tu miały swój sposób, inny niż wszyscy. Zanim chwyciły za wialnię, którą się plewy od ziarna oddmuchiwało, zawiązały sobie chustkami usta. Wszyscy zrazu na to podejrzliwie patrzyli, bo co to za dziwny obyczaj, i jak tu oddychać, ale choć drapały się jak wszyscy, to jednak plewami nie popluwały, szybko więc kolejni zaczęli sobie twarze obwiązywać, przez co nagle młócka okazała się łatwiejsza,



bo lepiej było się pod chustką pocić niż co chwila plewy odkasływać. Co śmieszniejsze, teraz, pod tymi chustkami, ekonom nie umiał rozróżnić, które z nas jest które, więc – zamiast wzdychać ze znoju – śmialiśmy się, gdy ekonom do mojego ojca powiedział „Janie”. Ekonom więc, zły jak osa, zaczął wołać do wszystkich:

– Ej, ty tam!

A wtedy mogliśmy udawać, że nie o nas chodzi, i dalej było śmiesznie.

I tak najbardziej znojny po żniwach czas roku, czyli młócka dziedzicowego zboża, stał się dzięki Malinisze z Isią dużo weselszy. Złapałem się nawet na tym, że szedłem do roboty w pańskiej stodole z chęcią, a nie ociągając się, jak co dzień. Znowu będzie wesoło, myślałem. Znowu z ekonoma pozartujemy. Ciekawe dlaczego, gdy człowiek się śmieje, łatwiej znieść trud? – zastanowiłem się zaraz, i postanowiłem spytać o to Isię, gdyśmy w południe rozsiedli się z garnczkami, we dwójkę, jak zawsze, daleko od reszty robotników.

– A jak myślisz? – odpowiedziała.

Zastanowiłem się, jak myślę.

– Pan Bóg po to wynalazł śmiech, żeby ludziom życie uprzyjemnić.

Pokiwała poważnie głową, a ja poczułem się bardzo mądry. Podczas tych przerw rozmawialiśmy z Isią bardzo dużo, tym spokojniej, że Zośka na nas spode łba nie zerkąła, bo kowal i kowalczyki do młócki nie chodzili, swoje zajęcia w kuźni mając. Popatrywałem wtedy na przykład na ekonoma i zaraz chciałem wiedzieć:

– Ekonom to pan czy chłop? Bo pańszczyzny nie odrabia, ale pana musi przecież słuchać. Chłop to więc czy pan?

– Coś pomiędzy może – rzuciła Isia. Przez to właśnie później na ekonomu mówiliśmy „Pomiędzy” i za każdym razem śmiać nam się chciało.

– Mówią, że pan może z chłopem zrobić wszystko i kara mu za to nie grozi, prawda? Czy więc chłop jest bardziej człowiekiem, bo zwykły z niego śmiertelnik, a pan jest ważniejszy niż człowiek? A może to pan jednak jest człowiekiem, w takim razie chłop to coś mniej?

– Ja jestem człowiekiem – odpowiadała mi na to roztropnie Isia. – Ty nie?

– Ty człowiekiem? – Śmiałem się. – Dziewczyną przecież jesteś.

– To z kim wy dzieci macie? Z nieludźmi? Co ty, Szczepan, za głupoty opowiadasz.

Głupio mi było, że ją zdenerwowałem, na szczęście jednak, zaraz, gdyśmy przełknęli ostatnie kęsy, ekonom nakazał za cepy chwytać.

– „Pomiędzy” do roboty wzywa – szepnąłem. Zachichotała.

A ja począłem ojcu mojemu się przypatrywać, jak sobie z dźwiganiem worków z ziarnem poczyna. Już nie stękał, widać zadziałały Malinichowe ziółka od bólu. A podnosząc ciężar, starał się kucać, jednak zawsze się najpierw rozglądał, czy nikt na niego nie patrzy.

Wtedy po raz pierwszy w życiu zrozumiałem, że ojciec bywa czasem śmieszny i słaby.

Niekiedy może nawet nie mieć racji.

Wtedy chyba ostatecznie stałem się dorosły.

## Część czwarta. Rok 1831, walki i fermenty

*W Wirginii w Ameryce Północnej wybucha krwawe powstanie czarnych niewolników pod przywództwem Nata Turnera, szybko jednak zostaje zdławione. Turner ukrywa się jeszcze przez jakiś czas, stając się legendą niewolników i koszmarem sennym plantatorów.*

*W Królestwie Polskim trwa powstanie, nazwane później „listopadowym”. Wobec tego, że szala zwycięstwa zdecydowanie przechyla się na rosyjską stronę, w sejmie Królestwa Polskiego posłowie zastanawiają się, jak włączyć do powstania chłopów. Jan Olrych Szaniecki wnosi projekt ustawy o powołaniu pospolitego ruszenia, chłopów ma zachęcić do walki projekt zniesienia pańszczyzny, sam*

*Szaniecki w swych majątkach już kilka lat temu zastąpił pańszczyzną czynszami i nawet nadał swym chłopom nazwiska. Inni posłowie jednak traktują tę propozycję jak niebezpieczną ciekawostkę i postanawiają o niej więcej nie dyskutować. W Watykanie wybrany zostaje nowy papież, który, przybrawszy imię Grzegorza XVI, szybko potępia w encyklice powstanie listopadowe za to, że bezprawnie chce obalić legalną władzę cara. Nasi szlachcice starają się o tym nie myśleć. Naczachowem nadal włada kochający nowoczesność dziedzic Augustyn Słubicki.*

Szczepan Józwiak

Na wysokość już przerosłem i Jankę, i Janka. Gdyby Janek się wyprostował, może byśmy byli jeszcze równi wzrostem, ale że zawsze chodził skulony, do ziemi schylony, widziałem teraz bez

trudu czubek jego głowy, łysą kropeczkę pośrodku ciemnych włosów, która jeszcze w zeszłym roku dla mnie nie istniała. Głos też mi się zmieniał, wąs sypał, dziewczuchy zaczynały się za mną oglądać, a ja za nimi, zdarzyło się, że nawet na śliczną dziedziczkę popatrywałem w kościele, na to jak w talii jest wążutka, a niżej i wyżej okrągłutka, śniłem czasem, że trzymam dłonie na tym jej przewężeniu, że wodzę dłońmi wyżej i niżej, a jest to bardzo przyjemne. Budziłem się wtedy przerażony i stęskniony, sam nie wiedziałem za czym, bo przecież nie za dziedziczką, na jawie po prawdzie wcale jej nie lubiłem. Za Isią? Za Zośką może? Po takich snach przez dzień cały chodziłem w dziwnej gorączce i myślałem o nich obu. Przy Zośce świat robił się groźny i rzucał wyzwania, przy Isi stawał się spokojniejszy i prostszy, choć wszystkie sprawy jej dotyczące były tajemnicze i niejasne.

Na przykład zupełnie nie miałem pojęcia, ile ma wiosen i lat. Czasem mi się wydawało, że tyle co ja, bo przecież wzrostem mi prawie dorównywała, czasem, że sporo mniej, tak niewinnie patrzyła na świat, a czasem, gdy już się odezwała, że sporo, sporo więcej. Ona sama nie była pewna, ile liczy sobie wiosen.

– Wystarczająco dużo – odpowiadała czasem.

– Wystarczająco dużo na co?

– Na wszystko. – I uśmiechała się tymi wielkimi zębami, a mnie, zupełnie bez sensu, jakoś robiło się wtedy lepiej na duszy.

Do kościoła szły z Malinichą obok siebie, trochę za wszystkimi. Niesporo mi było Isię od matki odciągać, więc tylko oglądałem się, czy nadążają. Nawet bym kroku spowolnił i posłuchał, o czym gawędzą Isia z Malinichą, ale wtedy Zośka sama do mnie

podchodziła, chwyciła za rękę, mocno, zdecydowanie i do przodu ciągnęła, do reszty młodych.

Szedłem, już się nie oglądając na Isię, myśląc o niej tylko.

Ale już wracać – wracałem z Isią, bo zawsze miałem z nią do pogadania, gdy się przyjrzałem dziedzicowi i dziedziczce siedzącym przy ołtarzu w kościele.

– A jakby chłopą przebrać za pana, do dworu sprowadzić, służbą otoczyć, mięsem codziennie karmić, to przemieni się w pana? I czy od razu, czy po jakimś czasie?

Isia nigdy nie wyśmiała mojego pytania, jak by zapewne uczyniła Zośka. Po zastanowieniu odpowiedziała:

– Suknia człowieka w nikogo innego nie zmieni. Jak założysz moją kieckę, to się dziewczuchą nie staniesz. Tak i w pana od samego stroju się nie przemienisz.

– Ale jak dłużej pochodzę w twojej spódnicy, zacznę zachowywać się jak dziewczyna. W wiatr kieckę będę do nóg przyciskać, będę biegać inaczej i siadać inaczej, tak jak wy robicie.

– Możesz bardziej wyglądać jak kobieta, ale się nią nie staniesz.

– Bo ciała mamy inne. A z dziedzicem mamy takie same. Chyba takie same, prawda? To ja za tydzień księdza spytam, czy chłop może zostać dziedzicem – powiedziałem.

– Możesz spytać. Tylko po co?

– Jak to po co? Ksiądz przecież najmądrszy we wsi.

– Może i tak. Ale ja ci powiem, że ksiądz wielu rzeczy nie wie.

– Jak to?

– A wie, jak świnkę karmić? Wie, jak krowę palikować?

– Na pewno wie.

– Ale tego nie robi.

– Bo nie musi.

– Też byś nie robił, jakbyś nie musiał?

Nigdy się nad tym nie zastanawiałem. Zawsze przecież i umiałem, i musiałem.

– A zupę z lebiody ksiądz uwarzy? – spytała Isia.

– Zupa to kobieca rzecz.

– W takim razie ksiądz wie mniej niż niejedna kobieta.

Aż mi krew do głowy napłynęła na tę zuchwałość. I już jej chciałem tę niegrzeczność wobec plebana wytknąć, gdy nagle coś zrozumiałem.

– Mój ojciec też zupy warzyć nie umie.

– A ty umiesz?

Wzruszyłem ramionami.

– To się naucz, lepiej wiedzieć więcej niż nie wiedzieć. Nawet jak przygotować zupę z lebiody.

Takie rzeczy mi Isia mówiła, a potem długo o nich myślałem. Czasem mi się nawet śniła, w zapachu jałowca i macierzanki.

Ten dziwny chłop przyjechał nie wiadomo skąd i od razu, że gdzie sołtys, i prowadźcie.

A tak się stało, że sołtysem od lat wielu był w Naczachowie mój ojciec. Ludzie go cenili za uczciwość i rozwagę, a ekonom, czasem nawet i dziedzic, wysłuchali. Więc zaprowadzono przybysza do mojego ojca, do chałupy, ludzie się zwiedzieli, zaraz się zeszli, żeby posłuchać. Ja też chciałem wiedzieć, z czym chłop ze świata przyjeżdża. Bo chłop to był, w sukmanie i wysokich butach, chłop jak swój, ale dumniejszy jakiś, może nie tak zgarbiony, inaczej niż my mówiący, nie po wiejsku. No i te buty jeszcze, nowe, błyszczące,

jak na niego zrobione... Zaraz też prawić zaczął, że jeździ tak po wsiach i powiadamia wieśniaków, że powstanie wybuchło.

– Jakże znowuż powstanie? Kościuszkę przecież świętej pamięci. – Chłopi zaczęli z wędrowca pokpiwać.

– Powstanie narodowe przeciw carowi. Trwa już od kilku miesięcy, dziwne, że nie wiecie. I czas do niego dołączyć. Gdy każdy Polak to zrobi, wygramy, pospolite ruszenie Polskę oswobodzi spod cara. Chłopi też powinni do powstania przystąpić, miłość do ojczyzny okazać, walcząc o nią.

– Za Kościuszki żeśmy walczyli i żeśmy przegrali.

– Teraz mamy lepszych dowódców.

– Niż Kościuszkę? Nie ma takich.

– Ojczyzna w potrzebie.

– A jak pójdziemy, kto w polu robić będzie?

– Obiecuję zniesienie pańszczyzny w zamian za udział w powstaniu.

– Kto obiecuje?

– Niech zniosą! – podniosły się głosy. – Na rodzinę sześćoosobową mamy piętnaście dniówek w tygodniu na pańskim! Na swoim z pracą nie nastarczamy! Niech zniosą!

– Akurat zniosą. Kościuszkę też obiecywał. I co? No co, chłopcy? Znieśli?

– Akurat zniosą pańszczyznę. A kto na dziedzica robić będzie? – podsumował któryś z naszych.

Pańszczyzna ciążyła wszystkim. Dla naszej rodziny już i do sześciu dni w tygodniu dochodziła, latem wzrastała nawet do ośmiu, a troje nas tylko było. A jak żniwa były, to nikt nie wyliczał, ile na pańskim siedzi, robić trzeba było, aż się zrobiło, co z tego, że na

własnym spłachetku przejrzałe zboże się osypywało, gdy na dziedzicowym najpierw mus było skończyć.

A w tym roku, z powodu suszy, zboże dojrzewało szybciej.

– Jak panowie zniosą pańszczyznę, wtedy pójdziemy za nich walczyć.

– Nie za nich przecież walczycie! Za Polskę! Za wolną Polskę! Gdy wygracie, zniosą pańszczyznę. Obiecali – głosił przybyły.

– Kto obiecywał? Bo na przykład nasz dziedzic nic o tym nie mówił.

– Wodzowie obiecują.

– Kościuszko też różne rzeczy obiecywał i co z tego?

Kręciliśmy tylko głowami, że dlaczego sam dziedzic nie powie nam o tej pańszczyźnie? Dlaczego opowiada o tym jakiś obcy w sukmanie? Bo to pewnikiem nieprawda, chcą nas tylko do boju wysłać za panów i tyle, niech walczą chłopcy, niech giną, jak zawsze. A co tam komu taki chłop?

– Co on gada! Pańszczyzna istniała od zawsze – rzucił półgłosem do mnie ojciec.

– Za Adama i Ewy też? – spytałem.

– Nie mędrkuj, synu. Odkąd panowie nastali, jest pańszczyzna. Musi chłop na pańskim pracować, bo jak inaczej panowie by się wyżywili? Swoje pola obrobili? Tymi rączkami białymi? Mało ich zresztą przecież, a ziemi mają dużo.

– Ale mówią, że ten Kościuszko chciał znieść pańszczyznę – zapaliłem się. – W takim razie co by wtedy się stało z panami?

– Już on pewnie miał jakiś pomysł. I kiedyś może taki wódz nastanie, który sposób znajdzie i w doli nam ulży, ale na razie robić swoje należy i o nijakich wojnach nie myśleć.



Nowo przybyły zdierał gardło, że ojczyznę trzeba oswobodzić, że Polska pod butem zaborcy jęczy, ale chłopci zaraz go zagłuszali, że o żadnych butach zaborcy nic nie wiedzą, bo sami, o, bosy chodzą, no i nie chcą za panów ginąć. W ogóle nie chcą ginąć, tylko żyć, choć życie trudne. Żadna wojna czy tam powstanie im niepotrzebne. Dobrze jest, jak jest. To znaczy źle jest, ale przecież przynajmniej wiadomo jak. A nie że wojna i ginąć trzeba.

– Ojczyzna was woła w potrzebie! – zdierał gardło przybysz.

– Ojczyzna to ziemia nasza, która na razie orki po żniwach woła – odpowiadał mu mój ojciec, a gdy on mówił, reszta z szacunku milkła. – Ziemia woła pracy. Na swoim i na pańskim. Orać trzeba, młócić trzeba, a nie wojować! Nie wiadomo gdzie, nie wiadomo z kim, nie wiadomo po co.

Przybysz zamilkł, coś w głowie, w ustach przeżuwał. Wreszcie odezwał się znowu, głośniej, bo chłopci całkiem już głośno mruclili i sarkali:

– Szlachta za was walczy, życie, zdrowie traci. A wy, tchórze, bezpiecznie tu sobie siedzicie.

– Szlachta młócić nie musi, a jeść chce.

– Polska woła.

– Ziemia też.

– Polska.

– Ziemia.

Aż w końcu chłopci zakasali rękawy, popluli w garście dla kurażu i wsadzili tego buntującego chłopca nie chłopca, nieco wierzgającego, na furmankę. Wywieźli go aż na trzecią wieś, i tam postawili pod Bożą Męką, niech przemyśli, a do nich nie wraca.

– Ojczyzna na was czeka! – jeszcze wołał stamtąd, ale że był już od wsi daleko, nawet nam się odpowiadać nie chciało.

Mieliśmy przecież co robić.

Tamten obcy już się we wsi więcej nie pokazał, przywiesił tylko na drzewie kartkę, gwoździem przybił. Ludzie zaraz zabrali gwoźdź, zawsze się przyda, a kartka pomknęła gdzieś z wiatrem, zresztą i tak nikt we wsi nie umiał czytać.

O przybyśzu w sukmanie ludzie długo jeszcze we wsi gadali. Tatulo nawet spytał ekonoma o to zniesienie pańszczyzny, ale urzędnik go zaraz wyśmiał, że co za bzdury i że widać robić mu się nie chce, więc tatulo się wstydu najadł. Ale ledwie to wszystko zauważyłem, bo akurat bardzo usilnie myślałem o czymś zupełnie innym. Zdarzyło się bowiem, że jakoś tak właśnie wtedy po raz pierwszy zobaczyłem Zośkę nagą.

Szedłem pod wieczór nad Mokry Dołek, bo coś mnie po wsi nosiło, czegoś chciałem i sam nie wiedziałem czego, to choć powypatruję morowiaków, tak postanowiłem, porzucam kamieniami w miejsce, gdzie się mogą wyroić, podrażnię ich, bo dlaczego nie, więc tam właśnie szedłem, choć wiedziałem, że to niebezpieczne, dlatego właśnie szedłem, że to wiedziałem.

I szedłem tak przez wieś, w niepokoju jakimś, który we mnie buzował, sam nie wiedziałem dlaczego, a gdy znalazłem się już obok chałupy kowala, zobaczyłem, że Zośka, pochylona nad miską, myje się w kuchni tuż przy oknie. Okienko niby niewielkie, ale dobrze przecież widziałem wszystko, i więcej jeszcze. A Zośka, gdy mnie zobaczyła za płotem, ani się nie zasłoniła, ani nie odwróciła, przeciwnie, wyprostowała się jeszcze i patrzyła na mnie,

triumfująca, a jasne włosy spływały jej falami po obu stronach nagich piersi.

Stałem bez sensu i wpatrywałem się w nią jak wryty pod tym oknem, ze stopą na wpeł uniesioną do kolejnego kroku, gapiłem się na nią, a ona na mnie. Aż wreszcie uniosła dłoń, żeby do mnie pomachać, uśmiechając się leciutko, a usta miała, co zauważyłem dopiero teraz, czerwone, jaśniejące, jak pierwsza poziomka na krzaczku.

Potem wyobrażałem sobie, co mogłem wtedy zrobić. Mogłem i ja do niej pomachać. Wejść do chałupy i wziąć ją w ramiona. Rzucić w jej okno kamieniem, niech się tak bezwstydnica nie zachowuje. Wyciąć hołubca na zakurzonej drodze, krzyząc: „Zośka, jesteś najpiękniejsza!!!”. Tak, mogłem zrobić pod jej oknem mnóstwo rzeczy, a zrobiłem to jedno, czego robić nie powinienem: uciekłem. Teraz dopiero będzie jej do śmiechu, wiedziałem o tym. Teraz dopiero pyskate dziewczuszyko będzie mi dokuczać. Powinienem jej więc unikać i zrazu tak robiłem, potem jednak zacząłem specjalnie chodzić tam, gdzie wiedziałem, że będzie Zośka; na pańskie pole, na gromadzkie pastwisko, gdzie cała młodzież siedziała, na łąkę, szedłem tam, prosto na nią, i patrzyłem jej w oczy, tak bardzo nie chciałem się bać.

I wtedy, nieoczekiwanie, to ona zaczęła się płoszyć. Spuszczała wzrok, pochylała głowę, aż jej drgały jasne warkocze jak dwa grube węże, a ja ciągle zapomnieć nie umiałem, jak rozplecione spływają po jej nagiej skórze. Ona się płoszyła, a ja, pierwszy raz w życiu, czułem się silny. Chodziłem za nią i patrzyłem, jak jej policzki czerwienieją, kosmyk jasny na czoło spada, patrzyłem na jej zwichrowany przedziałek, na mocne ramiona, na zadzierzyste

kosmyki wysmykujące się z warkoczy i chciałem jeszcze, więcej i mocniej.

Ale tylko patrzyłem.

## Zośka od kowalów

Może i Szczepan nie był najsilniejszy, może i nie biegał za krowami najszybciej, może i miał uszy wielkie prawie jak łopianowe liście, ale był ze wszystkich naczachowskich dzieciaków najzmyślniejszy. Jak coś powiedział, to klękajcie narody. Ja rzadko umiałam się odezwać, więc gdy słów mi brakło, puszczałam w ruch pięści, jak moi bracia, no i jak mój ojciec, kowal, najsilniejszy w okolicy. Szczepan za to zawsze znajdował najwłaściwsze słowa, a wtedy słuchać bym go mogła i słuchać. I słuchałam, ale niech uszatek sobie nie myśli, że za nim biegam. Dlatego też często musiałam się sama gdzieś wypuścić, żeby wiedział, że doskonale sobie bez niego radzę. Dlatego i z tą małą Isią pozwalałam mu chodzić, dziwaczną, jak i jej matka, bo nie chciałam go przymuszać, wołałam, żeby wracał do mnie z własnej woli. I wracał przecież, w okna nam zaglądał, aż się nasza komornica śmiała, że kawaler znowu się koło obejścia kręci.

– Niechże Marta takich głupot nie gada! – Niby się obruszałam, ale byłam zadowolona, że Szczepan tak się mną interesuje.

Jakoś właśnie wtedy z wojaczki wrócił dziedzica krewniak, żeby w izbickim dworze dojsć do siebie, z ran wydobrzeć. Wojował przeciw zaborcy, w powstaniu, tak powiedział ksiądz w kościele, dla ojczyzny stracił nogę, w udzie mu ją ucieli, patriocie cześć należną oddać powinniśmy. Teraz, blady jak śmierć na chorągwi, ledwie kuśtykał, opierając się na kulach, które mu jakiś cieśla wystrugał. Na koniu już się bez nogi utrzymać nie umiał, więc bryczką jeździł

po okolicy, całymi dniami, w tę i we w tę, do Naczachowa też wcale często zaglądał, tak go nosiło. Wuj dziedzic miał go przyuczyć do pracy w majątku, tak ludzie mówili, ale kaleka niczego na razie się nie uczył, natomiast, co tu ukrywać, wypatrywał dziewczyn.

Czasem jego blade, poważne spojrzenie spoczywało i na mnie, wielu na mnie wtedy popatrywało, ale to panicz był, więc i przyjemność z jego podziwu miałam podwójną. Prostowałam się wtedy, warkocz skubałam, koszulę na piersiach obciągałam, nieważne, czy w polu byłam, czy na łące z grabiami. A niech paniczyk popatrzy, skoro dotknąć nie może.

Teraz już nie byłam pewna, dlaczego myślałam, że nie może. Pewnie dlatego, że bez nogi wyglądał tak bezbrinnie, a z tą błądzącością tak niewinnie.

– Chodź no tutaj! – zawołał, znowu na objeździe bryczką po okolicy, gdy akurat szłam skrajem lasu, żeby jeżyn pozbierać, a tak naprawdę chciałam po drodze przejść obok chałupy Józwiaków i rzucić okiem, czy Szczepana gdzieś nie zobaczę i nie pokpinkuję sobie z nim trochę.

– Ja? – Rozejrzałam się zdziwiona.

– A kto? Chodź no tutaj. – Panicz pomachał ręką. – Chcesz się przejechać bryczką?

Nie byłam pewna, co zrobić. Gdyby kazał, wiadomo, słuchać trzeba. Ale on tylko pytał.

Rozejrzałam się, ale nie było u kogo zasięgnąć rady. Nawet gdybym zawołała, nikt by we wsi nie usłyszał, za daleko przecież. Koń przy bryczce prychał, niecierpliwie kopytem grzebał. Córka kowala byłam, ale czemuś bałam się koni, we wsi zresztą wszyscy wołów używali, konie zawsze były pańskie.

Panicz twarz miał żalowaną, jak ten kocina na przyzbie, ale starał się uśmiechnąć zuchowato pod rzadkim, młodzieńczym wąsikiem. Prawą nogawkę miał od kolana pustą. Szkoda mi się go zrobiło.

– Piękna z ciebie dziewczyna – powiedział, gdy wdrapałam się do niego na bryczkę. Stałam na górze, i co tu dalej robić – nie wiedziałam. Stać? Usiąść? Ale wtedy bryczka się zachwiała i opadłam na siedzenie obok panicza. Można tak w ogóle? Obok pana siedzieć? Nie byłam pewna.

Panicz jednak nic nie powiedział, cmoknął tylko na konia, ruszyliśmy. Na szczęście w stronę lasu, i tak tam przecież szłam. Patrzył jednak bardziej na mnie niż przed siebie.

– A tobie jak na imię?

– Zośka.

– A lat ile, Zośka, sobie liczysz?

– Ojciec mówią, że szesnaście.

– A ty co mówisz?

– Ja przecież nie pamiętam, kiedy się rodziłam.

Zaśmiał się, pochylił ku mnie.

– A ja, widzisz, mam dwadzieścia lat i już na wojnie byłem.

– I nogę pan stracił.

– Może i nogi nie mam, ale mężczyzną nadal jestem.

Wtedy zrobił coś, czego się zupełnie nie spodziewałam: przełożył lejce do jednej ręki, a drugą złapał mnie za brodę i wziął się do całowania. Gdyby odważył się na to któryś z wiejskich chłopaków, zaraz bym go w gębę palnęła, a potem w dołek poprawiła. Ale to pan był z dworu, nie wiejski chłopak, więc jak tu bić takiego? Kalekę w dodatku?

Jakoś niesporo mi z tym było. Gdyby to Szczepan robił, może nie miałabym nic przeciwko. Ale ten kocina ze dworu? Nędzny jakiś, pachnący czymś dziwnym, nieswój?

Cofnęłam się od niego na sam skraj ławki. Puścił mnie, bo tak daleko nie sięgał. Usta rękawem otarłam.

– Sama na wóz do mnie weszłaś. – I znowu się do mnie przysunął niezgrabnym ruchem, bo bez nogi było mu trudniej.

Już się nie miałam gdzie odsuwać, więc wstałam, żeby zejść z bryczki.

– Pan zatrzyma konia może.

Zatrzymał, puścił lejce. Ale tylko po to, by mi rękę włożyć pod spódnicę. Cofnęłam się. Zahaczył mnie kulą, przyciągnął, aż na niego opadłam, całą sobą. Pachniał inaczej niż ludzie ze wsi, a w miejscu, gdzie powinien mieć prawe kolano, ziała pustka. Za to ręce miał bardzo zwinne. Za bardzo. Uciekać, myślałam. W gębę mu dać i wiać. Ale jak to, chłopka ma panicza bić?

Gdy usłyszałam kląskanie podków o gościniec, pomyślałam, że jestem uratowana. Obróciłam się. Co za szczęście! Akurat Ćwiartas, jeden z moich braci, co to go tak nazywali, bo dwoma cięciami tasaka potrafił martwego świniaka na ćwiartki podzielić, konia do dworu odprowadzał po podkuciu. Koń przystanął tuż koło nas, a Ćwiartas, na oklep siedzący na końskim grzbiecie, nic nie mówił, tylko patrzył. Na panicza. Na mnie. Wtedy paniczyk odsunął się ode mnie, wyprostował, skinął głową mojemu bratu.

Nareszcie wiedziałam, co zrobić. Zaraz zeskoczyłam z wozu, wygładziłam spódnicę, poprawiłam koszulę i zaczęłam żałować, że jednak nie palnęłam paniczyka w łeb. I co z tego, że pewnie kazałby mnie wysmagać batem, jak Walusia od Golców, gdy go przyłapali na

kradzieży jabłek z pańskiego sadu, ale przynajmniej usta by mnie tak nie paliły z obrzydzenia. Tylko plecy. Z bólu.

Paniczyk zaciął konia i pojechał.

Spojrzałam na brata.

– Nie chciałam wcale.

– Zmusił cię?

– A żebyś wiedział.

– Do wejścia na bryczkę też?

– A idźże wreszcie do dworu z tym koniem!

– A ty do domu wracaj, ale może jednak nie daj sobie po drodze dzieciaka zrobić.

Już i jeżyn mi się odechciało, i wszystkiego w ogóle. Już tylko schować się chciałam, gdy panicz mnie tak potraktował, jakbym nie człowiekiem była, tylko kociątkiem, które można głaskać po całym ciele, a gdy się wyrywa, przytrzymać i głaskać dalej.

Tamci odjechali w stronę dworu, panicz na bryczce wolniej, Ćwiartas szybciej, a ja stałam na gościńcu i czułam się brudna. Będę musiała przejść przez całą wieś, zanim u siebie w domu się schronię, będę musiała przejść obok wszystkich domów. No już, Zośka, dość, noga za nogą, dasz radę, powtarzałam sobie. No już, Zośka! I wtedy zobaczyłam, że za swoim płotem, najgęściej z wikliny wplecionym, najwyższym w całej wsi, stoi Szczepan i patrzy, jak nadchodzę.

– Płaczesz? – spytał.

– A skąd!

I wtedy łzy puściły mi się na całego.

Szczepan wyszedł za furtkę, wziął mnie za rękę i szybko poprowadził za swoje obejście. Usadził w sadku na kamieniu, otarł



łyzy rękawem. A ja, nieoczekiwanie, dla niego i dla siebie także, wtuliłam twarz w jego koszulę.

Pachniał, jak trzeba. Jak słoma, siano, jak praca.

Położył mi rękę na plecach.

I teraz, nareszcie, w tej bliskości poczułam się dobrze.

Wieczorem, gdy tylko zjedliśmy wieczorny żur z kartoflami, zaczęła się w domu awantura. Zawsze głodni, pochłanialiśmy zupę szybko i w ciszy, ojciec zaczął więc dopiero, gdy przełknął ostatnią łyżkę i porządnie zagryzł chlebem.

– Młody panicz, ten kaleka, co go dziedzic z miasta sprowadził, tylko patrzy, którą by wziąć i wszyscy o tym wiedzą, tylko ty, Zośka, jakoś nie. Nie wiesz, że lepiej nie łązić samej? Inne dziewczyny ze wsi wiedzą, że się trzeba pilnować, po dwie, po trzy chodzą, tylko nasza Zośka jak pani po drodze się przechadza.

– Tak, bo to nie moja wina.

– A czyja?

– Kazał wejść na wóz, to weszłam. Sam ojciec mówił, żeby dziedzica słuchać. I paniczów.

– Ale i swój rozum trzeba mieć. A myślałaś, że po co cię na wóz prosi?

– Nie myślałam.

– No właśnie. Nie myślisz. A gdy dzieciaka ci zrobi, będzie kłopot. Dla ciebie i dla rodziny.

Na to odezwała się nasza komornica, Marta, która na ławie przy piecu właśnie statki po wieczerzy myła.

– Ale, kowalu, ludzie mówią, że kiedyś, jak której dziewczynie ze wsi dziedzic dzieciaka zrobił, dawał jej potem krowę i parę mórąg

ziemi. To może źle by z tym nie było.

– Niechże Marta głupot nie gada! – wrzasnął ojciec. – Źle nam Marta życzy?

– A gdzie tam! Ja przecież tylko... – I pochyliła się nad cebrzykiem.

– Nie damy Zośki na zmarnowanie! Nie damy na zmarnowanie kalece, paniczowi, to nawet nie dziedzic przecież, tylko krewniak jakiś! Upilnujemy jej, skoro sama się upilnować nie umie, głupia dziewczucha! I niech Marta też jej samej z domu nie puszcza! Ani w domu samej nie zostawia! Zośka, słuchaj, jakby pan do domu zajrzał, od razu do kuźni, do nas biegnij! Przed nim przecież uciekniesz, kuternogą.

Więc przestałam chodzić do lasu na jeżyny. Przestałam chodzić na pastwisko, a ojciec zapłacił Golcowym chłopakom, żeby to oni nasze krowy na pasionkę brali. Przestałam chodzić wieczorem pod Bożą Mękę, przestałam chodzić gdziekolwiek sama, tylko w domu z Martą siedziałam, a jeśli wychodziłam, to tylko z nią, do kurnika, do warzywnika, po wodę do strugi, wszędzie razem, jak ten pisklak głupi za kwoką, jak ta krowa ze spętanymi nogami. W pole czasem iść musiałam, ale wtedy chodziłam tylko u boku ojca i braci. Przed panicza spojrzeniem trudno jednak było uciec. Gdyśmy orali rżysko, stawał obok bryczką i patrzył na mnie. Na wycięcie mojej koszuli, na spódnicę, co się na biodrach opina, na moje usta, na piersi, patrzył tak, jak ojciec wybierający kurę na święto, żeby rosół był jak najtłustszy.

– Co się tak prężysz? Do roboty! – warczał na mnie ojciec, dalej od panicza popychał. Więc związywałam koszulę mocniej pod szyją i pochylałam się nad sochą.

Panicz siedział w bryczce i patrzył na mnie, a jego spojrzenie gorzej parzyło niż rozgrzany pogrzebacz.

Któregoś upalnego wieczoru ojciec, choć zdrożony strasznie po całym dniu w kuźni, poszedł w wieś. Gdy wrócił, oznajmił jeszcze głośniej niż zwykle:

- Szykuj się, Zośka. Swaty jutro przyjdą.
- A od kogo?
- Ucieszysz się.
- Powiedźcie, tatulu!
- Przecież mówię, że będziesz zadowolona!

Już się cieszyłam! Może i Szczepan ździebko młodszy, ale to przecież dobrze, wychowam go sobie. A jest taki bystry, że świetnie sobie z życiem poradzimy, dostatek rodzinny będzie rósł. Ale się cieszyłam, jakbym jakiś podarek od ojca dostała! Wyjdę za mąż, więc panicz już raczej jeździł za mną nie będzie, no i tylko Szczepan będzie mnie dotykał w te wszystkie miejsca, co chłopakom nie wolno, bardzo tego chciałam.

Tyle że ojciec wcale nie miał na myśli Szczepana, o nie.

Młynarz mieszkający o dwie wsie dalej, nad strumieniem zdążającym do rzeki Zgłowiączki, wdowiec, z młynem i zawsze pełnym spichlerzem, który głodu nigdy nie zaznał, zdał się mojemu ojcu partią o wiele lepszą, może też i dlatego, że obaj byli w zbliżonym wieku. Młynarz widać czuł się do mnie mocno zachęcony, bo już w czwartek przysłał w swaty organistę z Pustyni. Byłam w rozpacz, płakać i krzycheć mi się chciało, więc mnie bracia w drugiej izbie zamknęli, a Ćwiartas trzymał mi wielką łapę na ustach, żebym nic przez drzwi nie przygadała.

Ojciec poprosił swata do stołu i zaczęli sprawę omawiać, jak należy. Że jest u nas jałówka na sprzedanie, czyli niby ja, i czy ojciec chce ją z domu wydać. Chciał. Teraz zaczęli rozmawiać o cenie, czyli niby o moim wianie. Ależ bym organiście odpaliła, że nic z tego, bo za takiego starego nie pójdę, jednak nic powiedzieć nie mogłam, bo mnie bracia z drugiej izby wypuścić nie chcieli. Pozwolili wyjść dopiero wtedy, gdy już ojciec z organistą ustalili, że jałówka silna jest, młoda i piękna, więc tymi właśnie zaletami według ojca wynagradza, że posagu za dużego nie będzie. Ojciec przecież nie może mi dać za dużo, skoro mam jeszcze trzech braci. Co więc wniosę w wianie? Konie młynarzowi podkuwane, darmo, w naszej kuźni. Sprzęty z młyna przez kowala reperowane. Koła wozów młynarza żelazem obijane w miarę potrzeby. Organista, wcześniej przez młynarza widać pouczony, zgodził się na wszystko, bo i wcale to mało nie było. Kiedy ustalili, co i jak, organista wódkę z sakwy wyciągnął i kazał jałówkę, znaczy młodą, wołać, bo obyczaj nakazywał teraz całej rodzinie ze swatem usiąść i razem z nim na przybicie umowy się napić.

– Pójdiesz za młynarza? – spyta zaraz ojciec.

– A czy ja wiem? – odpowiem, jak obyczaj nakazuje, a wtedy organista będzie wiedział, że wszyscyśmy już do zgody doszli.

– Daj no, Zośka, szklanki – rozkazał zadowolony ojciec. – Czas nam poświętować.

Ale ani drgnęłam, stałam tylko przy piecu i nieżyczliwie na nich popatrywałam.

– Dawaj szkło, Zośka! I siadaj!

– Zgody na ślub we mnie nie ma, więc gorzałki pić z wami nie będę. – Wzruszyłam ramionami.

Ojciec poczerwieniał, organista zmarszczył siwe brwi jak dwie myszy do czoła przyczepione, a komornica nasza ruszyła do kredensu tym swoim cichuśkim krokiem, żeby szklaneczki wyjąć i na talerzu do stołu zanieść. A więc i ona była przeciwko mnie.

– Siadaj mi tu natychmiast! – Ojciec był wściekły. Gdyby organisty z nami nie było, już by na mnie pasa wyciągał. Ale gdyby organisty z nami nie było, mocno bym wrzeszczała.

– Nie usiądę, tatulu. Nie zgadzam się na ten ślub.

– Widzę, że panna nieco inna niż ją młynarzowi zachwalano... – Organista wyraźnie się zaniepokoił. I dobrze, pomyślałam. I dobrze. Żadna ze mnie grzeczna jałówka, raczej krowa bodząca, niech młynarz wie o tym, niech się zniechęci.

– Młode zawsze rogate i nie wie, czego chce. Dorośnie, to i się całkiem ustatkuje. No, swacie, wypijmy, bo ojcowska zgoda rzecz najważniejsza, poparcie moich synów też jest. A poza tym wiecie przecież, że małżeństwa nakłaniane za pomocą kija są potem najszcześniejsze.

– Kijem, kijem chce mnie ojciec do łoża starucha napędzać? Jakby matula żyła, toby na to nie pozwoliła!

– Twoja matula? I ją jej ojciec kijem do mojego łoża zapędził, i proszę, iluśmy synów się silnych dochowali. No, wasze i młynarza zdrowie!

I przepili do siebie, nie zwracając na mnie więcej uwagi.

Wyszłam, drzwiami łupnęłam i obiecałam sobie, że za młynarza nie pójdę, choćby nie wiem co.

Ojciec znalazł mnie w szopie, gdy już organista poszedł.

– Wstydu nam narobiłaś, córko. – Chrząknął. – Ale organista człowiek dyskretny, więc może nie będzie o nas plotkował.

- Ja za starego nie chcę! – krzyknęłam.
- Nie taki on stary! Młodszy nawet trochę ode mnie.
- Dla mnie za stary. Ja Szczepanowi Józwiaków ślubować bym chciała!
- Gołodupca do rodziny sprowadzać nie będziemy – mruknął ojciec.
- Nie gołodupiec, Szczepan przecież sołtysa syn.
- Ale młodziak, młodszy od ciebie, ledwie mu się wąs zaczął sypać. I ziemi za dużo nie mają, niespełna dziesięć mórg. Groszem też nie śmierdzą.
- My wcale więcej ziemi nie mamy, a jest nas więcej!
- Ale kuźnię mamy i pieniądza dużo dzięki temu wolnego. A Józwiakowie? Całymi dniami harują, żeby się obrobić z pańszczyzną, na swoje nie mają za wiele czasu. Jakbyś wyszła za Szczepana, musielibyśmy im pomagać, pieniędzy dawać, jeszcze czego! Wybij to sobie z głowy! Za młynarza pójdziesz, godny on i bogaty.
- Nie chcę za starego iść!
- Stary, ale stateczny. Przy nim głodu nie zaznasz. Cała rodzina moc na takim mężu skorzysta, bo przecież wiadomo: kowal i młynarz – dwa rzemiosła we wsi niezbędne, dlatego też obaj we wsi najbogatsi. Kowal i młynarz – od tamtej pory zawsze razem, w jednej rodzinie. Nie burz się, Zośka. No co, dobrze z nami będzie? No, córuś? Tatulo chce dla ciebie dobrze, uwierz.
- I już ramiona roztwierał, żeby mnie przytulić, tatulo mój, wielki jak niedźwiedź i tak samo włochaty. Pocałowałam go w obrośnięty policzek i posłusznie wróciłam do domu.

W nocy prawie nie spałam, czekałam świtu. Jeszcze po ciemku wyczołgałam się z łóżka, wszyscy chrapali, ojciec najgłośniej, nawet komornica cichusieńko posapywała na posłaniu za piecem. A ja spakowałam w węzełek jedzenia ile wlezie, garnuszek, żeby sobie wody nabierać, derkę, żeby wilka od spania w lesie nie dostać. Kraciastą chustkę na plecy narzuciłam, drzwi za sobą cichusko, jak nie ja, zamknęłam, i ruszyłam w drogę. Szybko, szybciućko, do Izbicy, tam, gdzieśmy na jarmarki jeździli, duża to miejscowość i ludna, największa, jaką w życiu widziałam. Tam przecież coś sobie znajdę, siłę mam, pracy się nie boję, a może i gdzieś dalej uda się pójść, świat podobno jest dużo większy niż to, cośmy znali, gdzieś sobie miejsce znajdę, a jak się tam umoszczę, to i po Szczepana poślę, wszystko będzie dobrze.

Byle przez las przejść, byle tylko tamtędy się przedrzeć, ciemno jeszcze było, nieprzyjemnie, księżyc świecił tyle co nic. A ja, po tym, jak ześmy ze Szczepanem kilka wiosen temu w lesie się zgubili i cudem odnaleźli, rzadko chodziłam do lasu sama, na skraj najwyżej, ale jeśli głębiej, to zawsze z nim, no i z tą parą jego brudnych dziwaków, Morowiaków, którzy wyglądali, jakby ich kto ulepił z mchu. Teraz, gdy weszłam na szarzejący w ciemnościach gościniec, a z obu stron stały, szumiały, szeleściły czarne masy drzew, poczułam się mocno nieswojo. Dla dodania odwagi i zagłuszenia szelestów zaczęłam poświstywać, zrobiło mi się jakby lepiej, więc zaśpiewałam pełną piersią, niech leśne boginki zobaczą, że nic a nic się ich nie boję. I rzeczywiście, szelestów już z lasu żadnych nie słyszałam, szłam szybko, coraz szybciej i czułam się wolna. Ze Szczepanem się coś załatwi, kiedyś, niedługo, gdy już będę sama decydować o sobie, tak postanowiłam. Ze wszystkim się

załatwi, nigdy tak nie było, żeby jakoś nie było. Nagle coś z boku huknęło, aż podskoczyłam. Co się dzieje?! Znowu huknęło. Boginki? One chyba nie mają z czego strzelać, pomyślałam i zaczęłam biec. Znowu strzał, po nim nawoływanie, męskie głosy, brzęczenie, walenie kijami o kije. Aha, nagonka. Polowanie, zrozumiałam, to dziedzic wyjechał na polowanie o świcie, nic strasznego, nie na mnie polują przecież, na gościńcu powinnam być bezpieczna, dziki i sarny raczej po lesie się kryją.

– A ty dokąd idziesz taka samiutka? – spytał głos, który chyba skądś znałam.

Przy drodze, trochę tylko w krzakach schowany, ledwie w szarości świtu widoczny, siedział na krześle krewniak dziedzica, tamten, co wtedy mnie na wóz zwabił, od którego wszystko się zaczęło. Dubeltówkę przy nodze trzymał, w drugiej ręce laseczkę. Krzesło w lesie, z nogami wbitymi w mech, i obok drewniana noga wystająca z pańskich spodni, to tak dziwnie wyglądało, aż mi się śmiać zachciało, a na krześle on, z tymi wąsikami, w ubraniu strojnym. Popatrzył mi w oczy, ale potem jego spojrzenie zjechało gdzie indziej. Otuliłam się chustą, ale nie bałam się specjalnie, przecież kuternodze dam radę uciec.

– A tam idę, dokąd muszę, wielmożny panie. Szczęść Boże. – Odwróciłam się i szybciutko znowu ruszyłam gościńcem w stronę Izbicy, ale zaraz posłyszałam za sobą jakieś stukanie. Odwróciłam się, a tu krewniak dziedzica już nie na krześle się rozpieął, lecz kicał za mną na tej drewnianej nodze i całkiem dobrze mu szło po równym.

– Poczekaj, poczekaj, dziewczyno!



Udałam, że nie słyszę, przeszłam szybko przez gościniec i zapadłam w las po drugiej stronie, tu już mu tak łatwo nie będzie biegać na tym kikucie. Ruszyłam tam, gdzie krzaki gęściej rosły, już stukanie po gościńcu umilkło, wyjrzałam, stał, rozglądał się za mną. Dobrze ci tak, obrzydliwcu, już nigdy mnie nie znajdziesz. I naraz w lesie huknął strzał, echo zadrgało, ale chyba daleko byli z tym strzelaniem, nikt mnie z sarną nie pomyli. Zbliżało się jednak co innego, brzęczenie, walenie kijami o kij, nagonka była coraz bliżej, przeganiali zwierzynę z krzaków, żeby dziedzicowi pod lufę weszła, ale gdzie w tym wszystkim ja się podzieję? Na gościńcu jurny kuternoga, w krzakach chłopcy z nagonki, tyle dobrego, że z tego wszystkiego całkiem zapomniałam o boginkach.

– A popatrzcie tu, chłopaki, jaką zem łanię ułowił! – Za mną z gęstwy wynurzył się naganiacz i zaraz mnie ucapił. Za nim, brzęcząc, stukając, podeszła ku nam reszta, kręgiem nas otoczyła. Czułam się nieswojo, zwłaszcza że ten pierwszy w objęciach mnie trzymał i wypuścić nie chciał, choć się wyrywałam.

– Co tu robisz, piękna sarenko? – spytał. Nie znałam go. Powiodłam wzrokiem po tych, którzy nas otaczali, szukając znajomych twarzy, ale nikogo z Naczachowa nie było, kilku znałam jedynie z widzenia, z kościoła, może z jarmarków, nawet nie wiedziałam, jak ich zwać.

– Puść mnie! – Grzmotnęłabym go pięścią, ale trzymał mnie mocno, więc na moją szarpaninę tylko się roześmiał.

– Skoro sama do lasu w polowanie chodzisz, to chcesz być upolowana, prawda?

– Nie przez ciebie – odszczeknęłam się zaraz i znowu zaczęłam się szarpać.

Poprawił chwyt i starał się ukraść mi buziaka, śmierział gorzałką i głodem. W ostatniej chwili się uchyliłam, więc tylko w kącik ust mnie musnął mokrymi wargami, obrzydlistwo. Reszta zaklaskała.

– To nie sarenka, to wściekła lisica. Chłopy, wiecie, jak ją uspokoić?

– Wiemy! Wiemy!

– Podziel się nią, Kazik, niech i my mamy z tej sarenki trochę radości! – zakrzyknął któryś.

Kazik ukradł mi jeszcze jednego buziaka, tym razem postanowił przytrzymać mi brodę drugą ręką, więc rozluźnił chwyt. Wyślizgnęłam mu się i rzuciłam do ucieczki, ale spódnica czepiała się krzaków, tobołek biec przeszkadzał, upuściłam go, kieckę rękami zebrałam i ruszyłam szybciej, o ile dawało się ruszać szybciej w gęstym lesie. Ruszyli za mną, brzęcząc, stukając i zaśmiewając się w głos.

– Od lewej, od lewej ją bierz!

– Stefek, przyspiesz!

– Z boku ją zajdźcie!

Najwyraźniej dziedzic rano dał się nagonce napić, a śniadania pożałował, podchmieleni więc byli i drapieżni, tym bardziej że jeden chciał się przed drugim popisać, wiedziałam, że mężczyźni są w takich chwilach najgorsi. Przyjdzie mi tu cnotę stracić, pomyślałam, widać, było mi pisane stracić cnotę z kimś obrzydliwym, jak nie młynarz, to któryś z tej nagonki. Dałam większego susa, żeby się od nich odsadzić. No i masz, w ciernie jakieś natrafiłam, zwolniłam, zaraz któryś mi się szczupakiem pod nogi rzucił, wywróciłam się, drugi na mnie usiadł, waliłam pięściami, więc przytrzymał mi ręce.

Reszta podchodziła coraz bliżej, kołem.

– Ale bryka ta borsuczycyca!

– Dzikuskę żeśmy złowili!

– Może to boginka?

Szukałam w twarzy tego, który siedział na mnie, odrobiny ludzkiego współczucia, ale tylko mrugnął do mnie i zarechotał. Twarz jego wydała mi się znajoma, ale nie byłam pewna skąd. Kapotę miał na biało przyprószoną. Tak, był ubrudzony mąką. Pochylił się do mnie, a wtedy mu w twarz wysyczałam:

– Słyszysz we młynie, prawda?

– No i co z tego?

– A to, zem młynarza narzeczona!

Zaraz gębę ode mnie odsunął.

– Akurat!

– Chcesz sprawdzić? Pana swojego spytać?

– On nie pan, on chłop – pyskował jeszcze, ale zgramolił się ze mnie. I ja się podniosłam szybciotko, otrzepałam się, spojrzałam na niego.

– Niech mi tu się coś stanie, to da ci młynarz, oj, da! I robotę we młynie stracisz, już moja w tym głowa!

– Dajcie jej spokój, chłopaki. Znam ją.

– No i co z tego?! Stefanek, co ty?!

– Sama się prosi, jeśli po lesie po ciemku chodzi!

– Gdzie nagonka?! – wrzasnął ktoś niedaleko, a głos miał pański.

– Ani grosza za taką robotę nie dostaniecie!

– Gdzie kowalówna?! – wrzasnął kuzyn dziedzica z drogi.

Znowu się rzuciłam do ucieczki. Złapało mnie jednak stalowe ramię parobka z młyna.

– Ej, ty, jak ci tam, puszczaj mnie zaraz! – syknęłam.

– Jeszcze czego. Dałby mi młynarz, że ci samej po lesie chodzić pozwalam.

Za odprowadzenie mnie Stefanek dostał od młynarza więcej pieniędzy, niż zarobiłby na nagonce. Jego młynarz wynagrodził, a na mnie zmarszczył krzaczaste brwi, że gdzieś łąkę po nocy. Coś nałgałam w odpowiedzi, że po ziółka na urodę poszłam, co je o świcie trzeba zbierać. Wtedy ucieszył się, że urodę chciałam jeszcze poprawić, po ramieniu mnie pogłaskał, aż się wzdygnęłam.

– Oj, dziewucho, mądre to nie było. Ale przy mnie zmądrzejesz.

Już nic nie gadałam, bo i po co. Co na włochate łapska młynarza spojrzęłam, to aż mnie trzęsło. W dzień chlebem i mięsem karmić mnie będzie, w nocy będzie mnie tymi łapskami obracał. Obrzydlistwo.

Młynarz furmankę kazał zaprząć i elegancko mnie do domu odwiózł. A tam tatulo w żadne ziółka na urodę nie uwierzył, znał mnie przecież. Zaraz kazał, żeby przez cały dzień pilnował mnie któryś z braci, a w nocy zamykali mnie w komórce, na klucz, żebym im znowu nie uciekła.

Czasem przychodził tam do mnie pogawędzić.

– Córko, ja wszystko rozumiem. Wy, dziewczuchy, jesteście jak te konie nieujeżdżone. Ani pożytku z takich nie ma, ani one szczęścia z życia nie mają. Trzeba je okiełznać, robią się potulne, żyją spokojnie, szczęśliwie.

– A pytałeś kiedy, tatulu, taką kobyłę, czy szczęśliwa?

– Ależ ty pyskata jesteś, Zośka, cud, że ten młynarz cię chciał. Ale matulka twoja taka sama była, wypisz wymaluj.

- Jaka?
- Pyskata, nieusłuchana.
- Matulka?! Przecież ona była cichutka. Tylko kasłała głośno.
- Przed ślubem wcale taka nie była.
- Pyskowała?
- Jeszcze jak! A ja od tego tylko chętniejszy do zeniaczki byłem.

Tak to jest z tymi dziewczuchami, że nie wiedzą, co dla nich dobre. I ty kiedyś zadowolona będziesz, żeś ojca posłuchała.

- Zadowolona była? Matula?
- A jaka? Głodowała kiedyś przy mnie? A wyście głodni chodzili?
- Głodni to nie.
- No widzisz.
- Tatulu!
- Tatulo wie, co dla ciebie lepsze! Jesteś pyskata po matuli, Zośka, ale i ty z czasem ucichniesz.

Uch, jak mnie wściekał ten tatulo. Wrzeszczałam, waliłam nocami w drzwi komórki, to się bracia z ojcem przenieśli spać do stodoły, żeby tego nie słyszeć. Przestałam więc walić, bo po co, spałam, spałam jak najdłużej i śnił mi się Szczepan, to były piękne sny, ale w dzień znowu się zaczynało. Zawsze któryś z braci łąził o trzy kroki za mną.

- Ćwiartas, braciszku, wypuść mnie! Nie chcę za młynarza iść.
- Tatulo kazali cię pilnować, Zośka.
- Ćwiartas, zawsze dla ciebie dobra byłam.
- Bo to i twoja, babska sprawa dobrą dla chłopów być, ale i ojca słuchać. Trzeba w życiu kogoś słuchać.
- Nie trzeba!
- Zmądrzejesz, Zośka. Jeszcze mi podziękujesz.

– Nie podziękuję!

Wtedy zaczął młotem w kowadło walić, kolejne pogrzebaczce, ruszty wyrabiać i ani słyszał moje krzyki. Ale czujny był, jucha, tylko dwa kroczki w bok dałam, zaraz groźnie spoglądał, a jeśli dałam trzeci, rzucał się ku mnie i siłą na zydłu sadzał. Nienawidziłam ich wszystkich, braci, tatula, nawet naszej cichej komornicy, która ani słowa w mojej obronie nie powiedziała. Nienawidziłam świata i siebie w tym świecie, zamkniętej, zniewolonej, krzyczałam, nikt mnie ani nie słuchał. Gdy swat przyszedł z młynarzem po raz trzeci, siadłam z nimi wódki się napić, a wszyscy się zgodzili, że ślub za trzy niedziele, jak tylko pleban wygłosi zapowiedzi. Tylko zęby zacisnęłam i modliłam się do matuli mojej o cud.

A potem już się i modlić przestałam.

Szczepan Józwiak

Przez trzy tygodnie zapowiedzi Zośka niemal nie wychodziła z domu, tyle ją widywałem, co w drodze do kościoła, zawsze ściśle otoczoną braćmi. Nie dopuszczali do niej nikogo, na mnie też wilkiem spoglądali. Ja w ogóle na Zośkę nie chciałem patrzeć, bo bolało. Niby nic się między nami nie stało, a tęskniłem za nią mocno. Nawet gdy siedziałem obok Isi, ciągle o Zośce myślałem, o Zośce i o starym młynarzu.

W noc przed ślubem Zośki łąziłem po domu, nawet słuchanie spokojnego posapywania Janki i Janka nie pomagało mi zasnąć, nawet patrzenie na księżyc wschodzący nad lasem nie koło, kręciłem się po chałupie, to kompotu popiłem, to kaszy skubnąłem, to do okna podszedłem.

– Nie tup, synuś, spać się chce! – jęknęła matula z łóżka. Wyszedłem więc z domu na podwórze, gdzie starałem się myśleć wyłącznie o tym, dlaczego księżyc, inaczej niż słońce, świeci, ale nie grzeje.

I nagle, w księżycowym świetle, ujrzałem za płotem jakąś postać. Umarlak jaki wypęził z Mokrego Dołka? Diabeł Rokita odszedł za daleko od swojej wierzby? A może Isia ma do mnie jakiś interes?

Nie, to nie była męska ani diabła sylwetka, nie była to też chudziutka, długa figurka Isi. Ta sylwetka była silna, okrągła, miała długie, rozpuszczone włosy i trwała nieustępliwie w ciemnościach, jakby na mnie czekała. Chwilami, gdy księżyc chował się za chmurami, znikwała, a potem znowu ją widziałem, w białej koszulinie, z włosami rozpuszczonymi, falującymi, jakby prosto z łóżka wyszła. Jakby po tamtej kąpieli przy oknie tylko koszulę narzuciła na siebie.

Zośka.

Nie podchodziła, czekała, a mnie ciągnęło do niej jak falę do brzegu.

I już byłem obok.

Wtulila się we mnie, jak wtedy, w sadku, jak wtedy miała mokre oczy, ale zaraz podniosła głowę, dostała ustami do moich ust, miękkie je miała i słone.

Nie byłem pewien, co się dzieje.

– Nie chcę, żeby młynarz był pierwszy – szepnęła tylko. – A tatulo komórki nie domknął.

Już coś miałem odpowiedzieć, ale zaraz zamknęła mi usta całowaniem.

– Nie gadaj tyle.

Wtedy po raz drugi zobaczyłem Zośkę nagą.

Gdy Zośka brała ślub, siedziałem nad strugą, gapiąc się w wodę. Isia przykucnęła obok. Nie potrafiłem jej o Zośce opowiadać, nie potrafiłem opowiadać o niej nikomu, ale przecież o niczym innym ostatnio nie myślałem, milczałem. Nie wiedziałem, co bardziej boli: czy to, że mogłem coś zrobić, ale przegapiłem, czy też to, że nie mogłem zrobić nic. No dobrze, i ja mogłem swaty posłać, ale wtedy każdy by mnie wyśmiał, od swata poczynając: piętnastolatek, co prosi o rękę bogatszej i starszej od niego kowalówny?

Siedziałem nad wodą, smutny i zły, bo wszystko albo kiedyś oglądałem z Zośką, więc bolało, albo było pańskie, więc drażniło. Isia tylko wzdychała cichutko.

Zośka teraz będzie bogatą młynarzową, zamieszka aż na drugiej wsi, będzie młyn prowadzić u boku starego męża, co to wyhodował sobie duże włosy w nosie i w uszach, urodzi mu dzieci, zawsze syta i w cieple. Nigdy też już nie złapie mnie za rękę w drodze do kościoła, nigdy nie przyjdzie do mnie zapłakana i nigdy więcej nie pójdziemy razem do lasu.

Nigdy już nie zobaczę jej nagiej.

Dziura w sercu bolała, pełna tego, co się już nigdy nie wydarzy.

Przez to wszystko ostatnio dużo płakałem, choć rodzice twierdzili, że chłopakowi nie przystoi, więc przy nich się powstrzymywałem, przy Isi też, ale przy Janku i Jance akurat się nie wstydzilem. Gdy płakałem, i oni mieli łzy w oczach, a wtedy smutek rozpuszczał się w większej ilości wody. Płakałem i opowiadałem o swojej niedoli, o niedoli Zośki, o natrętnym paniczu, o tym, jak cały czas się waham, czyby kuternogi za to wszystko przynajmniej z bryczki nie



zrzucić, przecież już się z powrotem nie wdrapie. Na polu rzucałem paniczowi tylko nienawistne spojrzenia spod czapki, ale tamten ani zauważył, bo tylko wypatrywał oczy za dziewczynami, gdy trudziły się spocone i spalone słońcem.

Aż któregoś dnia Janek i Janka przyszli w pole, czego nigdy nie robili, ale teraz siedli na miedzy, niedaleko bryczki panicza, i poczęli się w niego wpatrywać, a oczy mieli jeszcze bardziej niż zwykle wielkie i świetliste. Dziedzicowy kuzyn, bladawy, w bryczce wygodnie rozparty, gmerał dłonią w kieszeni spodni, patrząc na spocone chłopki, ale po kilku zdrowskach poczuł się nieswojo. Wyprostował się, potem zgarbił, rękę z kieszeni wyjął, rozejrzał się, nagle czemuś speszony. Udawałem tylko, że pracuję, ale zerkałem na nich, czasem na panicza, czasem na Janka i Jankę. Gdy wreszcie spojrzenie panicza padło w dół, na dwie pary wpatrzonych w niego oczu Morawiaków, zrozumiał, co mu tak nagle zaczęło przeszkadzać. Zaraz uciekł wzrokiem, że niby nie zwraca uwagi na gapiących się chamów, znowu starał się skupić na jakiejś ładniejszej młódce, ale po paru zdrowskach kapelusz na czoło nasunął, rękę z kieszeni na dobre wyciągnął, wreszcie zmieszał się ostatecznie, cmoknął na konia i tyle go widzieli.

Nie wytrzymałem, podbiegłem do swoich opiekunów i przygarnąłem ich do serca.

– Ej, ty, do pracy! – wrzasnął ekonom. – Samo się nie robi!

Ale co mi tam ekonomiczne wrzaski, gdy świat na chwilę stał się lepszy.

Panicz więcej na pole nie przyjechał. Takie to nasze smutne zwycięstwo.

## Janek i Janka

Woleliśmy na co dzień dziedziców nie zauważać, a i oni nas nie widzieli, dzięki temu żeśmy nie byli do końca żywi, ale też i nie całkiem umarli, przemykaliśmy się gdzieś bokami, gdzie pańskie oko nie padało, gdzie ekonom godzin nie liczył. Dlategośmy i do kościoła nie chodzili, żeby nas tam jakie bystre spojrzenie nie przygwoździło.

Tylko raz nam się zdarzyło przy pańskim polu posiedzieć, wtedy, właśnie tamtego dnia. A gdy się coś robi rzadko, prawie nigdy, to i moc ma większą, więc tak żeśmy tamtego panicza przepłoszyli, dziewczyn naszych broniąc. I to dzięki nam tamten panicz już do Naczachowa nie wrócił. Może i potem szukał dziewczyn gdzie indziej, ale tam już nasz świat nie sięgał.

## Hanka Józwiakowa

Susza tego roku była straszna, co odważyło się wyrosnąć, zaraz zostało wypalone przez słońce, w kościółku na Pustyni bez przerwy modlili się o deszcz, nawet dziedzic na mszę w tej sprawie dawał, ale Pan Bóg nie słuchał ani chłopów, ani księdza, ani nawet dziedzica, tylko przez całą wiosnę i lato grzał dalej. Czasem niebo się zachmurzyło, już ludziska się cieszyli, że deszcz spadnie, ale po tych szumnych zapowiedziach kropiło jak ksiądz kropidłem, i tyle było z deszczu, całymi tygodniami pył i piach wisały w powietrzu, struga prawie znikła, nawet mokradła niemal suche się wydawały. Zbiory były marne, stodoła ledwie w połowie ziarnem wypełniona, spodziewaliśmy się więc głodu wcześniej niż na przednówku, pyłem pokryci, spaleni słońcem.

Dzień stawał się coraz krótszy, jeszcze rżyska przeorać, jeszcze oziminę zasiać, ale to już bez pośpiechu, spokojnie, nie jak w żniwa czy w sianokosy, kiedy ze wszystkim się trzeba spieszyć, bo dużo od pogody zależy. Teraz już ze spokojem można było do ziemi podejść, bez pośpiechu, którego mój Antoś tak bardzo nie lubił. Ja też miałam teraz więcej czasu, przez co i martwić się bardziej zaczęłam, skoro ziarna, kartofli, grochu, mięsa mieliśmy w zapasie sporo mniej niż w latach poprzednich. Głód to nie pierwszyzna, wracał co roku, na każdym przednówku musieliśmy przetrwać kilka głodnych tygodni, ale pamiętałam, jak matulka opowiadała o dużo gorszych głodach, nie o paru niedzielach, tylko o kilku miesiącach, gdy z braku jedzenia umierali starzy i dzieci, a nawet ludzie w sile wieku, gdy padały zwierzęta, bo nie było ich czym karmić, albo zarzynało je się naprędce, by same nie zdechły z głodu. Czy znowu nadchodziło coś takiego? Odejmę sobie od ust i dam synowi, to wiedziałam, nie byłam jednak pewna, czy będzie co od ust odejmować.

Musiałam więc to wszystko dobrze rozplanować teraz, zawczasu. Po pierwsze mięso, bo do pracy daje siłę. Miałam w komorze dwie długie kiełbasy smalcem w naczyniu zalane, żeby się nie psuły. Gdy zje się kiełbasę, smalec zostanie. Smalcu miałam zresztą jeszcze dwa dodatkowe garnki pełne po brzegi, bo to był tłusty wieprzek, może ostatni tłusty na długo, bo następnego nie będzie czym tuczyć. Po drugie słonina. Połcie sadła dobrze nasoliłam, a potem zwinęłam i zszyłam, żeby powiesić przy palenisku, sól i dym sprawiały, że nie psuły się za szybko. W chlewiku został się jeden świniak, nie za duży ale dawał trochę nadziei, że z głodu nie umrzemy, rósł jednak wolno, bo kartofle oszczędzając, karmiłam go żołądkami, których

duży zapas chowałam w workach w komorze. Jeszcze częściej kazałam Szczepanowi wyganiać świniaka na pasionkę do lasu, żeby żołędzie oszczędzić na później.

Może się zdarzyć, to wiedziałam, że gdy już nie będzie co włożyć do gęby, to wieprzka, choć chudy, zarzniemy, żeby z głodu nie zdechł. Z małego świniaka tłuszczu będzie mało, mięsa też niewiele, ale przynajmniej trochę pojemy. Wtedy zostaną nam żołędzie. Trzeba będzie całymi godzinami oskrobywać je ze skorupki, a potem pełen ich koszyk moczyć przez kilka dni w strudze, by pozbyły się goryczki. Ale potem chleb z nich piec będę mogła albo niby-kaszę ugotuję gorzkawą, mało smaczną, ale brzuch zapychającą. Jeszcze mieliśmy kury. Te, na szczęście, same sobie radziły, włączyły się po obejściu, po wsi, zawsze jakiegoś robaczka czy ziarenko znalazły. Zimą będzie gorzej, będziemy musieli dzielić się z nimi ziarnem, a jak nie starczy, to sprzedawać lub zarzynać po jednej. Krasula, Mećka i Wolisko też się na razie jeszcze na pastwiskach żywili, gorzej, że na zimę siana dla nich, przez suszę, miałam dużo mniej niż w zeszłym roku.

Masło całe na sprzedaż szło, tydzień w tydzień, gdy tylko je ubiłam. Za te pieniądze kupowałam ziarno na chleb, na kaszę, dzięki temu dopełniałam jeden worek żytem i drugi – jęczmieniem, drogie w tym roku były, sporo droższe niż w latach ubiegłych. W trzecim worku miałam do połowy pszenicy, w czwartym owsa trochę, w piątym grochu, w szóstym fasoli. Z masła maślanka zostawała, zlewałam ją do beczki, będzie tam czekała na trudniejsze miesiące, kiedy ją, przyjemnie skwaśniałą, do zupy dodamy. Szukaliśmy też grzybów, z niedużym jednak powodzeniem, bo w takiej suszy niewiele co wyrosło. Suszyliśmy jabłka i gruszki na zapas, ale ich

także za dużo nie było. W kącie komory leżał spory kopczyk kartofli przysypany piaskiem, dla ochrony przed mrozem, obok usypałam kupki buraczków czerwonych, marchwi i rzepy.

Poza tym zakisiłam kapustę. Że jednak przez nieurodzaj gotówki żałowałam i wolałam nie wydawać jej za dużo na sól, której i tak niemało do słoniny poszło, nie mogłam zakisić kapusty jak trzeba, posiekanej, w beczce, na bogato. Postanowiłam zrobić to innym sposobem, podpowiedzianym mi przez Malinichę. Zarzekała się, że kapusta przechowywana w wodzie, bez soli, śmierdzi na wiosnę trochę, ale przecież zjeść się da, no i bardzo zdrowotna podobno, bo ludziom po zimie siła od niej wraca. Zawsze wiedziałam, że siły raczej od tłustego przybywa, ale nie sprzeciwiałam się Maliniszce, tylko za jej radą nagoniłam Szczepana, żeby mi duży dół wykopał za stodołą, już sama wykleiłam boki gliną, tej odpowiedzialnej roboty nie miałam zamiaru chłopakowi zostawiać, o za dużą stawkę chodziło. Gdy glina wyschła, wyłożyłam boki dołu słomą i liśćmi kapusty i wreszcie upchałam tam tyle główek, ile się dało. Wodą zalaliśmy, tak, żeby żadna główka ani odrobinę nie wystawała, tu znowu Szczepan się przydał, nosił wiadrami ze strugi, soli już nie sypałam, zresztą ile by jej na ten dół trzeba byłoby dać? Nie nastarczylibyśmy. To wszystko kazałam Szczepanowi zakryć deskami, na nich rozłożyliśmy grubą warstwę liści i ziemię. Kapusta załatwiona.

Mimo tego, choć jeszcze całkiem syci byliśmy, spać ze strachu nie mogłam, nie o swój bolący z głodu brzuch się bałam, tylko o Szczepana, jednego przecież mieliśmy. Malinicha jakieś ziółka na spanie mi dała, ale nie pomagały za bardzo, bo i tak przewracałam się z boku na bok, nieustannie myśląc o przednówku.

Aż wreszcie któregoś dnia ciepłego, wrześnieowego, znojnego, jak ostatnio wszystkie, zachmurzyło się, wyglądało, że nareszcie lunie naprawdę. Chmury pogrubiały, pociemniały, już włosy rozpuszczałam, szykowałam się na pławienie w wodzie z nieba, deszczówka na włosy najlepsza, a chyba bez piorunów się obędzie. Szkoda, że na taką ulewę nie zaniósł się kilka tygodni wcześniej, dobrze, że w ogóle, może jeszcze grzyby się pojawią. Strasznie byłam wody spragniona, ja i wszystko dookoła. Już, już do naszego sadku się wybierałam, by się w deszczu popławić, gdy nagle wpadłam na inny pomysł. Włosy pod chustkę wepchnęłam, żeby po wsi w nieprzyzwoitej fryzurze nie biegać, i ruszyłam szybko, w gęstniejącej z nieba czerni, do chaty Malinichy. Wpadłam tam i zaraz od progu krzyknęłam:

– Malinicho, ubieraj się, na deszcz pójdziemy. A właściwie rozbieraj się, bo będziemy się w wodzie z nieba pławić!

Każda z innych kobiet we wsi w głowę by się popukała, natomiast Malinicha i ta jej chuda Isia od razu zrozumiały, co planuję, i dalejze zapaski zdejmować, włosy z węzłów rozpuszczać i deszczu ze mną wyglądać. Gdy wreszcie pierwsze krople z nieba poszły, wyległyśmy ze spoconą rozkoszą na podwórze, trochę dalej od drogi, żeby nas nikt nie przyuważył, ale i kto miał widzieć, skoro wszyscy garnki i cebry na deszczówkę wystawiwszy, do chałup się pochowali.

Ach, jaka to była rozkosz, gdy krople, twarz i ciało ochłodziwszy, szybko zamieniły się w strugi, a te naraz w bicze niemalże, chłozzące ciała ledwie okrywane przez mokre koszule. Wrzeszczałyśmy i wystawiałyśmy się na wodę, śmiałyśmy się i w błocie tańcowałyśmy, jeśli coś mnie wstrzymywało, to tylko

strach, że ktoś nas zobaczy, ale przecież wszyscy w chatach się kryli, więc czułyśmy prawdziwe wyzwolenie, taką wolność, że krzyczałyśmy z tej radości, że niebiosa się wreszcie nad nami zlitowały.

Ależ byłyśmy czyste, poza nogami całymi w błocie, ależ byłyśmy wodą nasycone, gdy z piskiem w końcu w chałupie Malinichy się schroniłyśmy, gdyśmy z siebie te mokre koszule zrzuciły i gałgankami się wycierały, cały czas chichocząc i mokrymi stopami ślizgając się po kuchennym klepisku. Pożyczyłam od nich jakąś koszulinę, by do domu wrócić, tyle że wracać nie mogłam, gdy lało tak strasznie, jakby Pan Bóg chciał nadrobić te wszystkie tygodnie, gdy nam wody skąpił. Więc już suche rzuciłyśmy się na siennik i zaśmiewałyśmy się jak dzieciaki.

O nadchodzącym głodzie przypominałam sobie dopiero wieczorem, gdy już wyschły mi włosy, ale i tak spałam tej nocy jak zabita, śniła mi się obfitość wody płynącej. Antoś potem mówił, że chrapałam jak chłop.

Szczepan Józwiak

Szczodre Gody tamtego roku były dużo mniej wesołe niż zwykle. Zazwyczaj wszyscy się na Boże Narodzenie cieszyli, bo wiedzieli, że po święcie przez osiem dni będą odpoczywać, taki był w parafii zwyczaj, że wtedy wszyscy tylko bydełkiem, zwierzątkami w obejściu się zajmowali, bo to trzeba koniecznie, ale poza tym odpoczywali i jedli, co przedtem przygotowane. Pracy wtedy nie było ani na pańskim, ani na swoim. Tym razem jednak całe świętowanie strach psuł, bo jedzenia mieliśmy mniej niż w przeszłych latach, i już teraz do syta jeść nie mogliśmy, tak

powtarzała matula, tak ojciec powtarzał. To mają być skromne Gody, nie szczodre, jak zwyczaj każe, z tym się wszyscy pogodzili. A i tak baliśmy się, że niewiele nam to pomoże, gdy stare jedzenie już się całkiem pokończy, a nowego jeszcze nie będzie.

Pan rozdał każdej rodzinie po woreczku zboża i przemówił, że w ten sposób w roku nieurodzaju się o nas troszczy. Zawsze lepiej mieć woreczek ziarna niż nie mieć, dużo jednak tego nie było. Gdyśmy na pasterkę nocą szli, po drodze, zamiast pastorałek, słyszałem tylko westchnienia i wyliczenia, co komu zostało i o ile mniej niż w zeszłym roku.

Tym smutniejsza była ta pasterka, że zobaczyłem na niej Zośkę. Stała u boku młynarza, starego i z siwym wąsem, odziana w długi kozuch, niedopięty, piersiasta i brzuchata, bo już dzieciątka oczekiwała, małego młynarzątka. Patrzyłem na nią, stojąc u boku Isi, i nadziwić się nie mogłem, że moja Zośka tak obco wygląda. Widziałem jej twarz nad brązowym kozuchem, chustkę, pod którą upięła warkocze, patrzyłem na nią jak na obcą kobietę i nagle poczułem, że zaraz płakać będę. Głowę więc spuściłem, nosem pociągnąłem po chłopacku, by nikt nie widział, że ja, chłopak pod wąsem, łezki ronię jak baba. Dlatego też nie zauważyłem, że i Zośka mnie wypatrzyła w tłumie, że i ona się we mnie wpatruje, jakby coś chciała we mnie znaleźć, coś, czego przecież nie powinna u mnie szukać.

Potem i ona głowę spuściła, nosem pociągnęła. Ale że baby brzemiennie często płakały, u niej akurat wstydu nie było.

Hanka Józwiakowa



Poszłam do Malinichy po ziółka na głód. Zmieszała trochę suszonych listków, kory jakiejś dodała, suszonych owoców z morwy, powiedziała, że gdy się to wszystko na kilkanaście zdrowasiek wrzątkiem zaleje i wypije, głód człowieka odejdzie. Dziwne mi się wydawało, że od samego picia jeść się odechciewa, ale jednak okazało się, że Malinicha prawdę mówi. Bo i trochę w brzuchu mniej ssało, i jakimś sposobem człowiek mniej myślał o głodzie. To znaczy głód nadal był, ale jakby człowiek się od niego oddzielał, a nie z nim zrastał, więc dużo łatwiej dawało się go znieść, piłam więc te ziółka codziennie. Potem zaczęłam je dawać także Antosiowi. Tylko ze Szczepanem na razie postanowiłam się wstrzymać, bo jak zwykle się o niego bałam.

Wkrótce cała wieś zaopatrywała się w ziółka na niejedzenie u Malinichy. Gorzej było z płaceniem. Czasem Maliniszę drewna czy torfu nanieśli, pierza, lnu czy łyżek z drewna wystruganych, bo przecież nie jedzenia, ale częściej mówili: latem po żniwach zapłacę. Po zbiorach przyniosę. Po wykopkach się odwdzięczę. Malinicha przez to marnie się miała, zapasów w komorze przecież nie trzymała za wiele i głód im w oczy zaglądać zaczynał, czasem więc rzepę, kilka trochę tylko przemrożonych ziemniaków czy skrawek słoniny im podrzuciłam, choć i u nas coraz mniej było w komorze.

Byleby dożyć do tej wiosny, powtarzałam sobie, byle do Jarych Godów, czasem też „Wielkanocą” zwanych. Koguty już wszystkie poszły pod nóż, bo chciałam dać synowi, mężowi mięsa, mąki już resztki wygrzebywałam, do chleba dodawałam gotowane, przemrożone kartofle, żeby go rozmnożyć. Pan Jezus rozmnażał chleb cudami, a ja ściśniętymi przez mróz kartoflami. Tarłam je także, żeby zrobić placki, na płycie przy palenisku się piekły, żeby

mieć co zębami pochrupać. O tamtej porze roku i Krasula z Mecką już prawie nie dawały mleka, mus będzie je do byka zaprowadzić na zacielenie, ale byka we wsi nie było i trzeba by daleko obie wieźć, do młynarza, a Wolisko nie uradzi sań tyle uciągnąć, bo też głodne.

Gdy dziedzic zarybił gliniarki, postawił dookoła płot, że już chłopom tam łowić nie wolno, ale Szczepan chodził łowić w strudze, która rzadko zamarzała. Tam zawsze jakie płotki czy kiełbie się trafiały, tak malutkie, że jedliśmy je ze wszystkim, bo jakby odciąć łebki i wydłubać flaki, nic by z nich nie zostało. Pieklam je na chrupko przy palenisku, żeby się same z siebie przyrumieniły. Ciągle liczyłam, kiedy nowe jedzenie przyjdzie i nijak się kilku niedziel doliczyć nie mogłam.

Na szczęście zaraz młoda młynarzowa, czyli Zośka od kowalów, miała rodzić, a Malinicha poród odbierać, więc miała nadzieję, że dostanie za to od młynarza woreczek mąki albo, jeśli syn się zdarzy, to i ze dwa woreczki, i kaszę jeszcze. Wtedy obiecała, że i nam trochę odstąpi, by się odwdzińczyć za pomoc.

Żadna z nas jednak nie zobaczyła tej mąki, bo niedługo po wiosennej równonocy wydarzyło się złe.

Dziwne, bo wraz z równonocą, gdy już przednówek powoli zaczyna przechodzić w wiosnę, otucha powoli zagnieżdża się w ludzkim sercu. Gdy ziemia wreszcie odtaje, można już chodzić na ugory, by widłami wytrząsać kłacza perzu. Jeśli je dokładnie wypłukać z piachu w strumieniu, można je zmiążdżyć kamieniem na desce. Dostaje się wtedy czegoś podobnego do grubej, mokrej mąki, a jak się ma mąkę, nawet taką z perzu, to można zrobić mnóstwo rzeczy – placki, babki, chleby. Zaraz potem szczaw i mlecz wyrosną na łąkach, lebioda za stodołą, całkiem są smaczne, gdy po zimie

człowiek wygłodniały w ogóle, a świeżego w szczególności. Gdzieniegdzie widać już rdest, ognicę i pokrzywę, którą kurom dawać można, wszystko do jedzenia się nada, na zupę albo potrawkę, na cokolwiek, byle tylko napęścić brzuch. Inne baby też będą na łąki chodziły, ale że każda z nas ma swoje miejsca, postaramy się nie wchodzić sobie w drogę, choć zaraz gdy tylko szarzyć zacznie, będziemy wychodzić, żeby inne przy zbieraniu wyprzedzić. Poza tym widać, że w warzywniku już niedługo burak pierwsze liście wypuści, a wtedy i z nich zupę gotować można. W lesie podczas pasionki nieraz pewnie uda się Szczepanowi gniazdo znaleźć, a w nim ptasie jaja, jeszcze niewysiedziane, więc już naprawdę z równonocą otucha w sercach się powoli umości, bo choć wszyscy ciągle głodni, to jednak będziemy wiedzieli, że już niedługo najeść się będzie można.

Tak właśnie myślałam, gdy Zośka zaczęła rodzić młynarzowi dziecko, gdy posłano po Malinicę, no i wtedy właśnie wszystko się na świecie, a przynajmniej w Naczachowie, zmieniło na gorsze.

Szczepan Józwiak

O tym wszystkim docierały do mnie potem tylko jakieś mętne opowieści, bo przecież mnie, chłopakowi, i to jeszcze nieżonatemu, nikt nie opowiadał o kobiecych sprawach, zwłaszcza z rodzeniem związanych. To między sobą omawiały kobiety, kobiety o czerwonych z emocji policzkach i oczach lśniących od bliskich łez, ściszących głos przy dzieciach i chłopach, a więc i przy mnie także. Do mnie tylko strzępy docierały, bo gdy baby sprawę omawiały, zaraz wyganiały mnie do drewutni, do chlewika, do obórki, obrządek robić, albo gdziekolwiek, gdzie nie będę słyszał, co

one mają do pogadania, do wyzalenia się, do popłakania. Słyszałem, jak matka tłumaczy, że przecież śmierć dziecka to zwykła sprawa, ona sama tego trochę przeżyła, zdarza się w każdej rodzinie. Smutne to bardzo, ale co zrobić, takie jest życie, że nie każde dziecko wystarczająco jest przygotowane do tego świata. A Zośka młoda, jeszcze zdąży urodzić kolejne. Tyle usłyszałem, zanim mnie wyгнаły z domu.

Nie szedłem daleko, bo dokąd miałem iść, gdy w całej wsi ciemno i smutno. Tego roku Naczachowo wieczorami dziwnie wyglądało, zmrok ciągle zapadał wcześniej, a ludzie siedzieli w chałupach po ciemku, tyle światła, co z dogasającego paleniska, albo schodzili się do kogoś, żeby łuczywa czy łojówki oszczędzać, bo łój cały już zjedli, a drewno spalili, przecież gdy człowiek głodny, to i ciepła więcej potrzebuje. Woskowych świec też za dużo po wsi nie było, jedni je sprzedawali, inni próbowali jeść. Powlekały język gęstą tłustą mazią i dawały chwilowy krzepiący ciężar w żołądku, tyle że później mdliło.

Łaziłem tak po wsi ciemnej choć oko wykol i zastanawiałem się, czyby do Isi nie zajść, sama była, skoro Malinicha u nas siedziała i opowiadała zduszonym szeptem jakieś potworności o Zośce i młynarzu, potworności, których byłem ciekaw, ale jednocześnie bałem się je usłyszeć. Ale nie mogłem siedzieć z Isią, myśląc o Zośce, więc w pół drogi ten pomysł porzuciłem. Zawróciłem więc w stronę chałupy. A tam jeszcze zza płotu usłyszałem, że ojciec, który właśnie wrócił, wywołał matulę na podwórko i powiedział, żebyśmy Malinichy w domu już nie przyjmowali.

– Dlaczego? – zdziwiła się matula.

– A dlatego, że jak ją gościć będziemy, to i na nas krzywo we wsi będą patrzeć.

– Niby czemu?

– Bo przez Malinichę sprawa z porodem młynarzowego dzieciaka okazała się bardzo nieładna.

– Przez nią? Przecież samo dziecko młynarzowe zmarło – zaprotestowała matula. – Malinicha przed chwilą nam wszystko opowiedziała.

– Malinicha mówi jedno – stwierdził tatulo półgłosem – a ludzie po wsiach drugie.

Wielu uważało bowiem, że młynarzowego noworodka to Malinicha właśnie uśmierciła. Tak mówili, i może nie bez racji, bo przecież dzieciak zaraz po urodzeniu miał się dobrze, ale gdy znachorka się nim zajęła, cichnąć zaczął, leżał coraz spokojniejszy i bielszy, aż całkiem ucichł, oddawszy ducha. A przecież syn im się przydarzył, z tego młynarz zdążył się jeszcze ucieszyć. Pierwszy syn młynarza, pierwsze dziecko w ogóle, bo z tamtych żon nic mu się nie porodziło, dwie je miał, dwie przy porodzie umarły, pochowano je razem z dziećmi. No i nowa nadzieja rychło zgasła, młynarz niedługo się wyczekany dzieciakiem pocieszył, a to wszystko przez Malinichę. Tak mówił ojciec i z tego powodu nie życzył sobie wizyt znachorki w domu. Mamusia coś mu cicho odpowiedziała, nie dosłyszałem, bo cały w pomieszeniu uczuć strasznym myślałem o Zośce.

Hanka Józwiakowa

Jakoś chyba następnego dnia Golcowa cmoknęła zza płota, bym do niej podeszła. Taki miała zwyczaj, gdy chciała pogadać, bo do nas

do domu wolała nie zachodzić, tłumacząc, że Janek i Janka popatrują na nią niezyczliwie, więc boi się ich złego oka. Wyglądała na mocno zatroskaną, czoło marszczyła i do wtóru słowom poruszała czubkiem nosa.

– Po co sąsiadka z tą czarownicą tyle przestaje? – zagaiła.

– Z kim?

– A z tą całą Malinichą. Ludzie źle o niej mówią.

– Kto źle mówi?

– A ten i ów. Niejedna. Wielu. Wszyscy gadają.

– Wy też, Golcowa? Ziółek wam dużo na głód dała i na razie o zapłatę się nie upomina.

– Ja tam wolę się z daleka od czarownicy trzymać.

– Ale ziółka jej pijecie. Poza tym jaka ona czarownica, zwykła babka od chorób. Przecież w każdej wsi takiej potrzeba.

I zaraz się w język ugryzłam, bo to przez Malinichę Golcowa przestała w Naczachowie być główną babką od rodzenia i choć zawsze marudziła, że wszystkie w nocy rodzą, przez co czasem wyspać się nie ma kiedy, teraz krzywa chodziła, że mocno na ważności podupadła.

– Ludzie różnie o Malinisze gadają – skrzywiła się Golcowa. – Ale i ja niejedno widziałam.

– A co sąsiadka widziała?

– A że Jamiołowej córka kłopot miała, w pasie przybrała, już wszyscy widzieli, że jakiś mąż zaraz by się przydał, ale nie, ani słowa o zapowiedziach, tylko po nocy do Malinichy chodziła i już znowu w pasie chuda i znowu panienkę udaje.

O tym nie wiedziałam, ale też Malinicha nie rozpowiadała wiele o dziewczynach, co do niej nocami przemykały.

– A skąd to Golcowa wie takie rzeczy? Po nocy u Malinichy pod płotem stoicie?

Nawet się nie spieszyła.

– Wcale pod płotem stać nie trzeba, żeby swoje wiedzieć. Ja na Malinichę patrzę, bo oko na nią mam, i nie jest to dobra kobieta, oj nie. I niejeden by się przestraszył, jakby wiedział to, co ja.

– A co wiecie?

– Że gdy Malinicha zbiera ziółka w lesie, na bagnach, przy drodze, to mamrocze pod nosem do siebie albo może i nie do siebie, kto ją tam wie, może i do tego złego, co to w dziuplach wierzby mieszka.

– Mnie też się zdarza do siebie mówić, czasem nawet i zaśpiewam.

– Ale Malinicha do tego z waszymi dziwakami po lesie chodzi, po mokradłach się włóczy, coś razem zakopują, pochylają się, jakby pokłony bili, po nocy łążą, przy księżycu.

– Z kim?

– A z tymi waszymi od złego oka.

– Z Jankiem i Janką? Z nimi w lesie zawsze bezpieczniej, Malinicha mądra kobieta, skoro wybrała sobie takich przewodników, co tu każdy kamień znają. Oni tu dłużej we wsi niż Golcowa, niż ja, niż ktokolwiek.

– To już jak sąsiadka uważa. Ja ostrzegałam. Przed złym okiem także.

I nosem ruszyła, wyraźnie niezadowolona, i tym swoim drobnym kroczkiem od płotu odbiegła. Nigdy szczególnie nie ceniłam tej mojej sąsiadki i nieraz żałowałam, że nie mieszkam obok kogoś bardziej szanowanego, ale teraz to już mnie porządnie zeżliła.

Zwłaszcza że mój Antoś też na Malinichę począł nieżyczliwie popatrywać.

Ja jednak ani nie chciałam, ani nie umiałam jej się wyrzec. Nie tylko pomocy u niej szukałam, ale i rozmowy zwykłej, bo tęskniłam za mądrymi słowami, które nie tylko o jedzeniu i pracy były, a na takie tylko u Malinichy mogłam liczyć. Zaczęłam się jednak pilnować, żeby zamiast w biały dzień, raczej po zmierzchu do niej przemknąć, bo po co mąż ma sarkać?

Szczepan Józwiak

A we wsi dopiero zaczynało się gadanie o Zośce, młynarzu i Malinisze. Już nie musiałem specjalnie nadstawiać ucha, żeby się dowiedzieć, że Golcowa wini o śmierć młynarzowego syna znachorkę, a Jamiołowa znowu gada, że to bardziej wina Zośki. Bo wszyscy przecież wiedzą, że kowalówna męża swojego nienawidzi, tak bardzo go nienawidzi, że w ogóle nie chciała jego dzieciaka. Na to Golcowa odpieriała, że tak, tak było, więc gdy Zośka była brzemienna, podobno Malinicha różne jej ziółka na ciąży spędzenie nosiła. Na to Jamiołowa milkła, a Golcowa dorzucała, że gdy dziecka z brzucha wygonić się nie dało, obie, Zośka z Malinichą, czekały, aż się młynarzowy syn urodzi, żeby wtedy małego zabić. Inni dodawali, że młynarz wściekły jest na Malinichę, wykrzykuje na nią najgorsze słowa, ale też co dnia próbuje z żony kijem wythuc wyznanie, czy to prawda, co ludzie mówią. Zośka najpierw krzyczała, że nieprawda, bo chciała tego dziecka, a potem zaczynała krzyczeć, że to nie jej wina i wszystko przez Malinichę.

– Naprawdę dawałaś Zośce ziółka na spędzenie ciąży? – dopytywała Malinichę matula, gdy chowały się przed ojcem



w sadku.

– Przeciwnie, dziewczyna bardzo chciała ciążę podtrzymać, ale ciągle krwawiła. Dałam jej ziółek, żeby utrzymała. Nie zawsze działają, ale ona utrzymała.

– No to co się stało? Chore się urodziło?

– Zdrowe, nawet nie przyduszone, silnym głosem zapłakało. Ale czasem się zdarza, że dziecko niby zdrowe nagle po urodzeniu szybko przestaje oddychać, widać musi być jakieś felerne w środku. Ja już się przy porodach napatrzyłam, że niby zdrowe dzieciątko jednak umiera, czasem od razu, czasem na drugi dzień. Niczyja to wina, Pan Bóg tak chce i tyle.

Matula się przeżegnała, co robiła zawsze, gdy o Panu Bogu była mowa.

– To dlaczego Zośka wszystkim mówi, że to twoja wina?

– A co ma, biedna, mówić, skoro ją młynarz bije? Młoda dziewczynina, nie wie, jak sobie ze starym mężem poradzić. Ja tam do niej żalu nie mam. I zajdę do niej, żeby jej ziółek dać na zatrzymanie cieczenia mleka z piersi, żeby jej chociaż w tym ulżyć.

Tym razem jednak młynarz znachorki do domu nie wpuścił. Stał w furtce, wymachując wielką, drewnianą lagą i krzyczał, że całe zło przez nią, czarownicę przeklętą, bo żonę jego ciągle nawiedzała, kto to widział, żeby się z akuszerką co chwila spotykać, kto tak robi, i przez to dzieciaka zmarnowała, zabiła. A teraz jeszcze Zośka choruje, jakby mało nieszczęścia było.

– Jakbyście jej, młynarzu, nie bijali, może byłoby jej łatwiej z połogu się podnieść.

– Idź stąd, czarownico! Na swoją zgubę cię do żony wziąłem! Niech cię więcej nie widzę!

– Dajcie pomóc! Zośka wasza z nadmiaru mleka cierpi!

– Precz stąd, wiédźmo, bo psem poszczuję!

Wtedy poszła stamtąd Malinicha, a młynarz jeszcze długo za nią krzyczał.

Hanka Józwiakowa

Już nie tylko Golcowa szeptała, że Malinicha to czarownica, albo na drodze ją minąwszy, ukradkiem trzy razy przez ramię spluwała dla odczynienia uroku. Ostatnio niemal każdy omijał i Malinichę, i jej chałupę, i Isię szerokim łukiem. Chyba że ktoś poważnie zachorzał czy któraś trudny poród miała, wtedy jednak do chałupy znachorki ludzie po pomoc pukali, ale i wtedy oglądali się, czy nikt nie patrzy. Widziałam jednak, że do wielu rodzących Golcowa ze swoją flaszeczką znowu chodzi, jak niegdyś. Za głupią ją miałam, a przecież sobie załatwiła, że znowu we wsi jej ważność wzrosła.

Ludzie, głodni, głodem przestraszeni i przez to jacyś bardziej na świat źli niż zazwyczaj, coraz gorzej gadali, że Malinicha nie tylko jest czarownicą, a może nawet boginką leśną jakąś, skoro młynarzowi żywe dziecko na martwe zamieniła, a na domiar złego Zośka młynarzowa teraz z łóżka wstać nie chce, leży półżywa, ciągle płacze, jakby kto wysysał z niej życie.

– Ale dlaczego? – dopytywałam. – Dlaczego Malinicha miałaby to robić? Przecież nie jest taka głupia, żeby dzieciaka od razu uśmiercać, wiedziałyby, że podejrzenie na nią padnie.

– A to wiadomo, taką czarownicę, dlaczego ona co robi? Ma swoje diabelskie powody, których człowiek nie wyrozumie.

Nie wydawało mi się to ani mądre, ani do Malinichy podobne.

– Mogłaby przecież dać takich ziółek, żeby dziecko umarło później. A nie żeby umarło od razu, kiedy akurat u nich w chałupie siedziała.

– A co wy, Józwiakowo, wiecie o Malinichy ziółkach na dzieci uśmiercenie?!

– Nic. Nic nie wiem.

– A wiedzieć byście mogli, bo się z tą Malinichą ciągle zadajecie.

I ludzie odsuwali się ode mnie, a potem spluwali przez ramię, na to dzieci uśmiercanie, na te babskie czary, podstępne i ścichapęk, na tę całą Malinichę nie wiadomo skąd i jej córkę dziwaczkę, co to więcej w lesie niż we wsi przesiadują. I wszyscy gadali, że przez całą zimę truła wieś tymi ziółkami na niejedzenie, niejedem się po tym dziwnie czuł i jeszcze płacić jej za to mieli.

– A kto ją tam wie, co nam dawała.

– A kto wie, skąd się tutaj wzięła.

– Przecież nawet nie wiadomo, z kim dziecko ma, tę całą Isię z oczami dziwnymi, z twarzą dziwną. A poza tym stara jest Malinicha, a dziecko ma młode, czarami je na świat sprowadzić musiała, a wiadomo, jak się kogoś czarami na świat sprowadza, to kto inny musi ducha oddać.

– Albo i komuś dziecko ukradła, w zamian podrzucając martwe.

– No i, pamiętajcie ludzie, że wielu przy Malinisze umarło, gdy ich niby przysłała leczyć.

To ostatnie było prawdą. Wielu ludzi tej zimy i wiosny we wsi umarło, przy niejednym śmiertelnym łożu Malinicha siedziała. Nieraz mi tłumaczyła:

– Czasem należy komuś pozwolić odejść. Trzeba wiedzieć, kiedy zaprzestać leczenia, żeby śmierć była godna i spokojna, w otoczeniu

bliskich i przy gromnicy wetkniętej w ręce odchodzącego.

Tak mówiła i ja jej wierzyłam. A teraz niektórzy gadali, że Malinicha, zamiast leczyć, zostawiała ludzi, by umarli. Słusznie? Nie byłam pewna. Nie wiedziałam, czy śmierć jest bardziej jak burza, na którą nie ma rady, czy bardziej jak susza, z którą można próbować walczyć, podlewając, co się da, póki wody w strudze starczy.

Szczepan Józwiak

To właśnie jakoś wtedy mamusia przestała mnie poić tymi gorzkimi ziółkami od Malinichy. Możliwe jednak, że nadal działały, bo tęskniłem za Isią, za skubaniem koniczyny, za krzyczeniem w niebo, a już za naszymi rozmowami najbardziej. Ale Isia z Malinichą gdzieś się kryły, skoro ani razu ich nie widziałem, ani w polu pańskim, ani na pastwisku, wodę też chyba zaczęły brać skądinąd, nie z tego miejsca na strudze co wszyscy.

Gdy zacząłem o to pytać w domu, ojciec w stół pięścią walnął, żebym nie gadał ciągle o Maliniszce, żebym do Isi biegać przestał, bo nas także na języki wezmą, a on nie po to przez tyle lat mir we wsi budował, żeby go teraz za kumotra czarownicy ludzie wzięli. Powiedziałem! – dodał na końcu, co znaczyło, że już nie ma co dyskutować.

Gdy więc Malinicha znowu do matuli przyszła, ta nawet jej się nie pokazała, udając, że jej w domu nie ma. Malinicha stała chwilę przed chałupą, parę razy zawołała: „Józwiakowo!”, aż wreszcie zrozumiała, odwróciła się i poszła.

A ja w końcu nie wytrzymałem i któregoś dnia po zmroku poszedłem do nich do domu. Długo kręciłem się pod chałupą, aż ujrzałem w oknie, przy świetle łuczywa, twarz Isi. Wtedy zapukałem

w szybę. Zbliżyła twarz do okna i chyba mnie zauważyła, bo zaraz pokazała się w drzwiach, chuda, wielkooka i z mnóstwem włosów jak zawsze. Nie mogłem się na nią napatrzeć. Ale zamiast powiedzieć, że brak mi z nią rozmów, że bez niej życie nie smakuje tak samo, że czuję się jak zbity pies, od razu wyskoczyłem z tymi wszystkimi pytaniami. Gdybym mógł, tobym teraz to wszystko cofnął, ale wtedy od razu wypaliłem, że czy to prawda, co ludzie gadają, że Malinicha wcale nie takie normalne ziółka hoduje, tylko czarownicze. I że używa ich nie tylko do ciąży podtrzymania, ale i do zabijania dzieci. I czy właśnie to przydarzyło się Zośce. Tak właśnie spytałem, głośno, za głośno może nawet, napierając na Isię w drzwiach. Nie cofnęła się, tylko wyprostowała i od razu odpaliła, tym niskim, mocnym głosem, którego dźwięk tak bardzo lubiłem:

– Oszalałeś, Szczepan? Co ty w ogóle gadasz? Moja mama leczy ludzi, a nie ich zabija.

– Ale zabić też by ziołami umiała.

– Moja mama wszystko umie. Ale tego nie robi.

Oczy Isi jarzyły się jak u wilka w ciemnościach, czoło jej się niemiło marszczyło, jak u złego psa. Oblizwała usta, a język miała spiczasty jak jaszczurka.

– Idź stąd, jak o mamie mojej takie rzeczy gadasz. Idź stąd! – A głos miała jeszcze grubszy niż zwykle.

Więc poszedłem, bo i Isi, po raz pierwszy takiej dzikiej i groźnej, zacząłem się bać. Poszedłem sobie i do dziś tego żałuję.

Hanka Józwiakowa

Już oboje prawie spaliśmy, Antoś wstał z łóżka, pewnie żeby pójść za stodołę, zawsze się budziłam, gdy wstawał w nocy, i potem, gdy

już do łóżka wracał. Nigdy jednak się nie zdarzyło, żeby po drodze runął z hukiem na klepisko, zawadzając po drodze o garnki na półce. Zerwałam się z łóżka, przyskoczyłam do niego, kalecząc stopy o gliniane skorupy. Antoś leżał na podłodze, nic nie odpowiadał. Zaraz od węgielków w palenisku zapaliłam łuczywo, żeby się rozeznąć, skorupy odgarnełam, przy mężu uklęknęłam. Oczy miał półprzymknięte, ledwie oddychał, twarz bardziej do trupiej niż do własnej podobną.

- Co się dzieje, Antoś? Co się dzieje?
- Zaraz wstanę – powiedział z trudem.
- Boli cię coś?
- Słabo...

I opuścił powieki, jakby się tymi paroma słowami zmęczył. Za chwilę znowu oczy otworzył.

- Muszę... Tam...
- Gdzie?
- Za stodołę.

Już i Szczepan się obudził, więc wzięliśmy Antosia oboje pod ramiona i poprowadziliśmy na dwór, nie doszliśmy jednak za stodołę, bo mąż mój zaraz rzucił się w bok podwórza i kucnął, jedną ręką koszulę zadzierając, a drugą płotu się trzymając.

Szczepan się odwrócił, skrępowany poniżeniem ojca.

Antoś wreszcie wstał, sztachet się czepiając, pionu szukając, zupełnie jakby był pijany, a przecież nie był, pił ledwie parę razy do roku, na Gody, na Wielkanoc i na weselach, teraz też gorzałą nie pachniał, tylko słabością i potem.

– Chodź no, synu... – wyjąkał, ale Szczepan nie zdążył do niego przystąpić, gdy Antoś jakby złamał się w pasie i chlusnął z siebie

wymiocinami. Podbiegłam, za czoło go trzymałam, żeby mu ulżyć choć trochę. Wreszcie skończył, ale już wyprostować się nie umiał. Szczepan wziął go pod ramię, ja z drugiej strony przyskoczyłam, razem z powrotem go do łóżka poprowadziliśmy.

– Idź po Malinichę – rozkazałam synowi, bo na co tu było czekać?

– Nie, nie... – stękał z pośłania Antoś.

– A ty mi bądź cicho! Idźże, Szczepan!

– Za... braniem... Nie...

– Idź!

Szczepan stał w progu, nie wiedząc, kogo słuchać.

## Szczepan Józwiak

W końcu pobiegłem z łuczywem w garści.

U Malinichy, jak i wszędzie w całej wsi ciemno było. Zaraz przypadłem do drzwi chałupy i zacząłem w nie walić najgłośniejszym, jak umiałem. Po jakimś pacierzu czy dwóch w środku ruszać się ktoś począł, po trzech drzwi skrzypnęły. W uchylonych drzwiach pokazała się Malinicha. Obrzuciła mnie mało życzliwym spojrzeniem.

– Pali się?

– Tatulo zachorzał.

– Źle z nim?

– Bardzo.

Nie pytała już więcej, drzwi szerzej otworzyła, pogrzebacz, który w garści ścisnął, odłożył, chustę narzucił i poszliśmy szybko. Wypytywała mnie po drodze o słabość tatula.

W domu śmierdziało rzygowinami. Matka przystąpiła do Malinichy z przeprosinami za ostatnie, ta jednak ją odprawiła

dłonią, zaraz do tatula pospieszyła.

– Jak się czujecie, sołtysie?

Ale tatulo nawet oka nie odemknął.

– Nie gada w ogóle – jęknęła matka.

– Rzygał?

– Też.

Malinicha szczyptę soli z garnuszka chwyciła, trzy razy się obróciła i przez lewe ramię do ciepłej wody przy palenisku stojącej wsypała. I tak trzy razy.

– Trzy to najlepsza liczba świata – tłumaczyła mi kiedyś Isia. – Wszystkie czary, wszystkie baśnie, wszystko, co ważne, ma w sobie trójkę.

– Pan Bóg też, jeden w trzech osobach.

– No właśnie.

– I „wieczne odpoczywanie” się także trzy razy mówi.

– To sam widzisz.

Teraz Malinicha, pomieszawszy wodę z solą, ruszając łyżką w prawą stronę, kazała mamusi:

– Dawaj mu tego po łyżeczce do ust. Przedtem połóż go trochę wyżej na poduchach, żeby się nie zakrztusił. A ja po zioła pójde, bo już wiem, czego tu potrzeba.

– Idź z nią, Szczepan.

– Zostań! Matce pomóż. Po łyżeczce go pójcie.

– Modlić się?

– Nie zawadzi.

Ojciec zrazu kilka łyżeczek wody z solą wyrzygał, kilka kolejnych jednak przełknął. Już i patrzeć przytomniej zaczął i słów parę sklecić było mu łatwiej. I powiedział:



– Ale czarownicy w domu nie chcę.

Matka jednak w ogóle go nie słuchała.

– Pij, Antoś, pij. I nie mów tyle, bo się męczysz.

Czarownica wróciła po kilku pacierzach z ziołami i z Isią. Aż się zarumieniłem, gdy zobaczyłem dziewczynę, ale ona nawet patrzeć na mnie nie chciała. Zaraz węgielki z paleniska wybierać z Malinichą poczęły, na miskę wyłożyły, łamały na mniejsze kawałki i dawały tatusiowi, żeby łykał, popijając każdy trzema haustami wody, koniecznie trzema, tak kazała Malinicha.

Potem ogień kazały rozdmuchać w palenisku i wodę zagotować, żeby zioła zalać. Malinicha mamrotała coś pod nosem, wodę zegnała znakiem krzyża, Isia liście drobiła do wody, mieszała, w prawo, jak należy, miodu dodawały, soli, i znowu poiły ojca po łyżeczce. A on niby pioruny spod brwi rzucał, ale pił posłusznie, a potem znowu opadał, ciągle słaby, na poduszki, ale już twarz jego nie na trupią główkę wyglądała, tylko bardziej do tatula zrobiła się podobna.

Malinicha z matką czuwały przy łóżku, a ja kiwałem się w kącie na ławie, obok Isia tarła oczy, tak jej się spać chciało, ale czuwaliśmy wszyscy, czy tatulo znowu nie osłabnie, aż w końcu zasnęliśmy z Isią, wsparci o siebie. Gdy obudziłem się rano, zobaczyłem, że mamusia nas pierzyną przyrzuciła, na ławie obok siebie skulonych.

Ojciec wydobrzał o świcie na tyle, że mógł spytać Malinichę przycupniętą obok jego wezgłowia:

– Ale nie ty na mnie chorobę sprowadziłaś?

– Nie gadajcie głupot, sołtysie.

– Nie wy, prawda, Malinicho? To nie była zemsta? Że do naszego domu nie pozwoliłem ci wchodzić, że zabroniłem Hance cię

odwiedzać.

– Nie.

– To skąd się choroba wzięła?

– Z woli Bożej. Jak wszystko.

Tatuś tylko głową pokiwał. Już lepiej wyglądał, koloru tatusiowego nabrał, nie tego woskowego, jak świece w kościele.

– Niech pije – poleciła matce Malinicha, zioła podsuwając. – I to.

– Wskazała wodę z solą trzy razy sypaną.

– Ile?

– Wszystko. Powoli, ale wszystko.

– A potem?

– A potem przyjdę go zobaczyć.

– Nie trzeba. Dobrze się już czuję – odezwał się ojciec z izby.

– Wrócę. Bo czasem i choroba wraca.

– Dajże, Hanuś, Maliniszę coś w podzięce – dobiegło nas znowu z izby. – Kwoczkę dropiatą może. Wdzięcznym jej jest, powiedzcie.

Dropiata to była nasza najlepsza kwoczek, niosła się jak złoto, nawet gdy mniej jeść dostawała. Ojciec hojnie Maliniszę dziękował. Widać było za co.

I zadrzałem, że śmierć przez całą noc tak blisko naszej chałupy krążyła.

A wtedy obudziła się Isia. Zaraz zauważyła, że na mnie się wspiera, że jedna pierzyna nas okrywa, i aż się poderwała na równe nogi, nie poświęcając mi ani jednego spojrzenia.

– Mamuś, idziemy już?

– A pewnie, odpocząć trzeba po trudnej nocy.

I wyszły.

Już za Isią tęskniłem, już dłonią po pierzynie macałem, tam, gdzie jej ciepło zostało.

Ojciec wstał jakoś przed obiadem, za stodołę poszedł, a potem po obejściu wolnym krokiem się przeszedł, o płot tu i ówdzie wspierając, słaby może jeszcze trochę, ale już prosty, na twarzy prawie rumiany.

– Dobrze się czuję, Hanuś – odpowiedział na niespokojne pytania matki. – Wydobrzałem. Jutro w pole pójdę.

– Malinicha zaraz przyjdzie, powie, co ci dawać.

– Nie ma potrzeby. Szczepan, biegnij do Malinichy, powiedz, że dziękujemy za pomoc, ale już nam niepotrzebna. Mam się dobrze.

– Malinicha ziółek miała ci przynieść – nalegała matka.

– Po co mi ziółka?

– Niech przyjdzie, sprawdzi.

– Nie chcę jej tutaj. I na wsi o tym leczeniu nikomu nie rozgłaszaj.

– Dlaczegoś taki niewdzięczny, Antoś?

– Bardzo wdzięczny, dropiatą jej przecież dać kazałem. Ale nie potrzebuję, żeby i o nas ludzie źle mówili. Leć, Szczepan. Niech się Malinicha do nas nie trudzi.

Z duszą na ramieniu pukałem do drzwi Malinichy. Zaraz wyszła na próg.

– Gorzej z nim? – zaniepokoiła się.

– Nie. Lepiej. Dlatego prosił, żebyście już nie przychodziły.

Malinicha wpatrzyła się w moją twarz, nie wytrzymałem, wzrok spuściłem.

– Rozumiem... Powiedz matce, żeby twój ojciec dużo gorącego pił. Trzy szczypty soli mu do picia dosypcie, dziś, jutro i pojutrze.

Bywaj, Szczepan. – I potarmosiła moją czuprynę, a mnie, nie wiedzieć czemu, płakać się zachciało.

Isię zobaczyłem dopiero kilka dni później, w niedzielę, w drodze do kościoła, szła z matką. Bałem się, że będą wyglądać na zgnębione, tymczasem nie, co mnie ucieszyło i zaskoczyło jednocześnie. Obie wystroiły się świątecznie, wiosna już się zaczęła, słońce odważniej przygrzewało, więc nie owijały się chustami, tylko zarzuciły je na plecy, korale na szyjach dumnie niosły, głowy prostowały, krok miały dziarski i uśmiechy na twarzach.

Może właśnie o te uśmiechy poszło. O to, że Malinicha z córką nie przemykają bokami, tylko idą środkiem, mocno, prosto, nie jak wyklęta przez wieś czarownica z córką, tylko jak kobiety, które mają prawo się uśmiechać.

Pamiętam, co zaczęła krzyczeć na ich widok Golcowa:

– Czarownica do kościoła? Grzech!

Potem inne baby się dołączyły:

– Do piekła, a nie do Domu Bożego!

– Idźcie z diabłem na bagna się modlić!

– Precz od nas!

Gdy Malinicha, nie zatrzymując kroku, powiodła wzrokiem po babach, kilka się cofnęło, ale wtedy któryś z kowalczyków schylił się tylko i zaraz rzucił w nią pecyną ziemi. Dostała w ramię, roztarła, brwi zmarszczyła, zaskoczona.

– Przestańcie, ludzie! – krzyknęła wtedy moja matka. Może za cicho, bo zaraz ktoś drugi rzucił w Malinichę kamieniem. Tym razem znachorka zdążyła się uchylić, ale ludzie wtedy się odważyli, sami poczęli kamienie z drogi chwytać i krzyczeć:

– Trucicielka! Dzieci zabija!

– Wiedźma! Do domu!

– Diabłu się zaprzedałaś!

Matka wyszła przed Malinichę.

– Przestańcie! Dajcie spokój kobiecie! Ona nasza przecież, naczachowianka! Wszystkim pomagała!

– A wy co, sołtysowo, w zмовie z nią jesteście? – odezwał się ktoś. Їwiartas to był, kowalczyk. Podszedł do matuli, w oczy jej zajrzał. Spuściła głowę, ojciec ją do siebie przygarnął obronnym gestem, przystąpiłem, zasłoniłem ją przed ludźmi. Їwiartas spojrział na mnie i zaraz w twarz mi krzyknął:

– A matka twoja z Malinichą ziółka warzy. I tobie ich zadają, bo tak latasz za tą brzydką Isią. Dały ci ziótek na kochanie? Gadaj, Szczepan, dały ci ziótek?

Schylił się, by kamień podnieść, i zamierzył się, najpierw na mnie, a gdy się odruchowo odchyliłem, obrócił się i cisnął w Malinichę.

Znachorka, chowając Isię za swoimi plecami, uchyliła się przed kamieniem, jednym, drugim, ale kolejny trafił ją w brzuch. Aż się zgięła, chwyciła córkę za rękę i pobiegły w las, a wtedy kamienie i pecyny ziemi sypać się zaczęły za nimi jak grad. Ludzie jeszcze krzyczeli, rzucali czym popadło, Їwiartas nawet za nimi pobiegł kawałek, ale niedobrze się biegało po gęstym lesie, zwłaszcza takiemu wielkiemu chłopu, więc szybko zawrócił.

Pomyślałem, że nie zwracając niczyjej uwagi, dołączę do Isi z Malinichą w lesie, musiałem przecież im pomóc, pocieszyć, pobiegłem więc bokiem, po łące. Gdy jednak Malinicha zauważyła, że biegnę za nimi, obie przyspieszyły kroku. Tak się tym

przeraziłem, że zwolniłem, odstąpiłem pogoni, stanąłem, łyżki powstrzymując.

Tymczasem niebo spochmurniało, przed chwilą jeszcze świeciło oślepiające kwietniowe słońce, a teraz ciemnością na nas z góry ziało, podmuch szedł, wszyscy otulili się w chusty, kapoty, wełniaki, co tam kto miał. Chmury piętrzyły się nad naszymi głowami.

– Malinicha się gniewa – rzucił ktoś.

I nagle grad jak nie sypnie z góry, i to grad nie byle jaki, bo wielki jak gołębie jaja, gwałtowny i bolesny jak te kamienie, którymi przed chwilą w kobietę i jej córkę rzucali. Od razu jęliśmy się pod drzewa chować, dzieci chronić, starców kryć, a niebo waliło w nas i waliło lodem, złe czemuś i zagniewane.

– To Malinichy sprawka! – wrzasnęła Golcowa.

– Mści się na nas!

– Chce Naczachowo wybić!

– Naczachowianom zaszkodzić!

– Wiedźma jedna!

Siekało, dookoła, w plecy nieraz dostałem, w ramiona, nawet w głowę. Niebo mnie bije, pomyślałem wtedy. Niebo bije, bo nie ochroniłem Isi, nie obroniłem Malinichy. Zasłużyłem.

Siekało, rośliny się słaniały, gięły, ginęły pod uderzeniami. Siekało, ludzie się kulili, tulili do drzew.

Aż wreszcie grad ustał. Nagle, jak nożem uciął, i tylko zniszczenie dookoła zostawił, gałęzie połamane, trawę ubitą, topniejące grudy na drodze. Ludzie pojękiwali, gradem wysmagani. Wtedy już, zamiast dalej iść do kościoła, pospieszyliśmy do wsi, niespokojni, czy i tam grad przeszedł, czy oziminę grad oszczędził.

Nie oszczędził niczego, do ziemi przyparł źdźbła, obsypał lodem. Stracił kwiaty na drzewach owocowych, wysmagał trawę na łąkach, ściał świeżo wyrosłe ziółka w ogródkach. Znikło, wszystko znikło, cała ozimina pokryła się warstwą lodu z nieba kwietniowego, warstwą lodowych kamieni, którymi niebo postanowiło porazić dzisiaj Naczachowo, porazić dzisiaj nas, cośmy kobietę i dziewczynę skrzywdzili, cośmy ich nie obronili.

Jedni głośno rozpaczali, inni w ciszy łzy ronili, ze strachu, że po takiej strasznie ciężkiej zimie i przednówku czekają nas równie ciężkie wiosna i lato. A jeszcze inni pięści zaciskali, pokrzykując, że wiedźma za to odpowie, że miarka się przebrała, że dość zła we wsi się przez nią stało, musi więc za to odpowiedzieć, i to teraz, zaraz. Chwyтали kije, kamienie łapali, jeden nawet widły porwał, i tak uzbrojeni szli hurmą na chatę Malinichy, a co zwolnili, to spojrzeli w bok na poniszczoną gradem wieś i znowu przyspieszali.

Zmartwiałem, zamarłem, dość już zła na dziś się stało, ale zaraz otrząsnąłem się, pobiegłem, żeby pojawić się u Malinichy szybciej, żeby je obie z Isią ochronić, wyprowadzić z obejścia tyłem. Gdy jednak zerwałem się do biegu, inni też to zrobili, i tak rwali z kopyta wszyscy, poza starymi, którym biegać było trudniej, więc biegliśmy, cała wieś hurmą, do uboższego obejścia Malinichy. Ludzie chwilę mocowali się z furką, zamknięta była na ciasny skobel, więc ktoś zniecierpliwiony kopnął, drugi poprawił, płot padł na ziemię, więc za chwilę cała wieś deptała po podwórku znachorki, pohukując groźnie.

Wpadłem jako jeden z pierwszych, rozejrzałem się szybko. Na podwórzu ani Malinichy, ani Isi na szczęście nie było.

– W domu się wiedźma chowa! – zawołali ludzie, więc podbiegłem pierwszy, żeby je uprzedzić, zamknięte na skobel było z zewnątrz, teraz wiem, że tyle powinno mi wystarczyć, żebym zrozumiał, że w domu nie ma nikogo, ale przecież wszedłem do środka, a ludzie wpadli tam za mną. Pusto było. Na środku tylko ten stół, co to go z ojcem reperowaliśmy, i zydle, które ojciec później Malinisze zaniósł, na matki prośbę. Reszta, czyli zioła, garnki, pierzyny, poduszki i święty obrazek, zniknęła.

– W obejściu się wiedźma kryje! – krzyknął ktoś zaraz, więc jeden łupnął kamieniem w piec, drugi kopnął skrzynię wyprawną, która pusta stała, a reszta znowu wypadła na podwórko. W obórcie krówek nie było, pranie ze sznura też zniknęło.

– Uciekły – szepnąłem do matki, która stała przy płocie, cała blada, szeroko rozwartymi oczami patrząc, co się dzieje.

– Całe szczęście – odszepnęła.

– Zesłała na nas plagę i uciekła! – wrzeszczeli ludzie. – Czarownica! Gradem plony wybiła! Czarownica! Teraz już wiadomo na pewno!

Ludzie szaleli po obejściu, drzwi urwali, płot do reszty zdeptali, kopniakiem skopek wywrócili i poszli, wściekli jak stado głodnych wilków. Dzisiaj niejedna baba od męża dostanie, pomyślałem, niejedno dziecko od ojca w tyłek oberwie, niejeden skopany pies zaskomli, bo przecież taka wściekłość i rozpacz muszą znaleźć ujście.

Myśmy z matulą też się powlekli do domu.

– Dobrze, że uciekła. W ostatniej chwili. Bo mogłaby tego nie przeżyć – westchnęła matka.

– Ludzie są wściekli – odezwał się ojciec.



– Chyba nie wierzysz, Antoś, że to ona plagę zesłała?

Nie odpowiedział.

– Wierzysz?! Mężu, zgłupiałeś?!

– Iluż to przy niej umarło. Malinicha zawsze wierzyła, że ma władzę nad życiem i śmiercią. Nigdy mi się to nie podobało.

– Bez niej więcej ludzi umrze.

– Jak kogoś Pan Bóg wezwie, nie ma się co sprzeciwiać, a nie że jakaś czarownica powie: ciało już nie chce słuchać, zmęczone. To Panu Bogu decydować o śmierci, nie jej.

– Antoś, co ty w ogóle wygadujesz?! Ty, taki światły chłop?! Nasza Malinicha to czarownica?!

– Nie rzuciłbym w nią przecież kamieniem, ale może dobrze, że ze wsi uszła. Za dużo zamieszania tu przez nią było.

Matula prychnęła i poszła z domu, tak się zeźliła, i mowy nie było, żeby wieczereć nam uszykowała. Nie wiem, gdzie się podziała, może u Malinichy w chałupie siedziała, może tam ją opłakiwała. A i ja czułem, że ojciec, choć starszy i doświadczony, nie ma racji, czułem tak całym sobą, ale nic nie mówiłem, bo przecież czcij ojca swego i matkę swoją. I właśnie przez to, że czciłem ojca, ani razu ostatnimi czasy do Isi nie zajrzałem. Gdybym czasem je odwiedził, może by się poczuły silniejsze, może by się ludzi dało przekonać, że nie takie one złe, może by ze wsi nie musiały uciekać w pośpiechu.

A tak było już za późno.

Jeszcze tego samego wieczoru poszedłem do pustego, zniszczonego obejścia, jakbym liczył, że jednak Isia z matką do wsi wrócą, że jeszcze będzie, jak było. Nie znalazłem ich jednak. I znowu polazłem tam o świcie, cisza jednak w chałupie Malinichy panowała i spokój.

Zbiłem z powrotem zydel przez ludzi o ścianę ciśnięty, stół znowu ustawiłem, umocowałem drzwi do obórki. A potem zajrzałem do warzywnika. I tu grad wybił zioła, na grządkach walczyły o życie kulawe zielone niedobitki, najlepszy dowód na to, że Malinicha jednak czarownicą nie była, skoro swoich ziółek ukochanych nie oszczędziła. Położyłem się na zimnej ziemi, gdzie ciągle jeszcze korzenie miętą pachniały, ale nie mogłem płakać. Obróciłem się na bok, na tę stronę, po której serce bije, wtuliłem w ziemię, i dopiero wtedy zauważyłem. W grządce po mięcie dołek wydrążono, na jego dnie ktoś ułożył błękitną szmateczkę, na niej kwiateczek, szkiełkiem przykryte kamyczki poukładane były w dziurce w ziemi, takie oczko, wielkie i modre jak u Isi. Czar to jakiś był czy pożegnanie? Nie wiedziałem.

Nie dałem rady jej obronić.

Nawet nie próbowałem.

Postanowiłem iść na łąkę i pokrzyczeć, jak to kiedyś z Isią robiliśmy, ale teraz wymęczone to jakieś mi się wydawało, jak i życie, z którego zniknęła ta dziwna dziewczyna.

Wiedziałem, że już nie dam rady żadnej pokochać. Wiedziałem to, całą mocą swoich siedemnastu lat.

Hanka Józwiakowa

Zacząłam wtedy upinać włosy jak Malinicha, już nie warkocz zwinięty w obwarzanek, tylko taki kłęb niepokorny pod chustką. A w domu bez chustki. Chciałam tak.

– Dziwnie wyglądasz – powiedział Antoś.

Zmilczałam.

– Nie wiem, czy mi się tak podoba – dodał.

– Będziesz musiał przywyknąć.

W tym uczesaniu, dziwacznym może, dotrwałam do końca życia. Na pamiątkę jemu i sobie, a przede wszystkim na pamiątkę jej, Malinichy. Tak chciałam. Tyle mogłam.

Szczepan Józwiak

Źle mi było z tym, że już drugiej dziewczynie w swoim życiu nie dałem rady pomóc. Czasem aż biłem się po głowie z tej złości na siebie. Biłem się tak mocno, że robiły mi się guzy od uderzeń zaciśniętych kułaków, ale ból ciała na zamęt w duszy pomagał tylko trochę. Nawet Janek z Janką ukojenia mi nie dawali, choć godzinami siadywałem obok nich, wsłuchując się w spokojne oddechy.

A co gorsza, w kościele na sumie zobaczyłem, jak po policzku twardej niegdyś Zośki toczą się łzy. Gdy ocierała oczy rękawem, młynarz patrzył w drugą stronę. Ja nie mogłem oczu oderwać, tak bardzo bolało.

Którejś niedzielnej nocy, po tym, jak na sumie zobaczyłem Zośkę płaczącą, przewracałem się na swoim sienniku, rodzice pochrapywali na swoich poduszkach, ale do mnie sen nijak nie przychodził, bo późną wiosną mrok się na świat nie spieszył. Ale wreszcie dotarła ciemność na wieś, przyszła w towarzystwie księżycy, który jak kościelny lampion wisiał nisko nad głowami, żeby niestrudzenie oświetlać moją poduszkę. Wreszcie nie wytrzymałem, wciągnąłem portki i wyszedłem na podwórko. Pies przy budzie dał znać szczeknięciem, że czuwa. A ja spojrzałem w księżyc, wielki i płam dziś dziwnie pozbawiony, i naraz ruszyłem łąkami, miedzami, drogami. Dopiero po chwili zorientowałem się,

że dziwnym jakimś trafem idę w stronę młyna. Sam nie wiedziałem, po co idę, środek nocy był przecież, na pewno wszyscy i tak spali, ale dobrze mi się szło pod księżycem, który wisiał nade mną jak wielka łysa głowa.

Już z daleka zauważyłem w oknie domu młynarza światełko. Jednak siedzą jeszcze? – zdziwiłem się. Podchodziłem ostrożnie, żeby mnie psy nie wyczuły. Ktoś stał w oknie, ciemna sylwetka. To Zośka pochylała się nad świecą, patrzyła w płomień, przytulając policzek do szyby. Sama w świetle, nie widziała nic, co dzieje się w ciemnościach za oknem, tego byłem pewien. Podchodziłem więc coraz bliżej, pchany ku Zośce jakąś mocą, której sam nie rozumiałem. Nagle szczeknął ostrzegawczo młynarzowy pies. Zośka wyjrzała niespokojnie za okno, po czym zdmuchnęła świecę, zniknęła. Skończyła się ta niezwykła chwila, gdy rozdzielały nas tylko szyba i trochę ciemności. Chciałbym o tym wszystkim opowiedzieć Isi, pomyślałem nagle i żalność ścisnęła mi serce.

Pies całkiem się rozjazgotał. Na próg wyszedł młynarz z łuczywem, które uniósł, by przepatrzeć kąty podwórka. Dałem krok w tył, głębiej w ciemność.

– Kto tu jest? – zawołał zaniepokojony młynarz.

Ale ja już szedłem łąkami i miedzami w stronę domu.

Od tamtej pory chodziłem pod dom Zośki co noc. Czekałem, aż zasną matula z ojcem, po czym wciągałem portki, mijałem Janka i Jankę posapujących na sienniku w sieni i ruszałem przez czarną wieś przy świetle malejącego księżyca, a potem przy niemrawym świetle gwiazd. W te pochmurne noce, gdy z nieba nic nie świeciło, z początku zostawałem w łóżku, przewracałem się tylko z tęsknoty,

potem jednak tak dobrze nauczyłem się drogi do domu młynarza, każdego dołka na miedzy i kamienia na ścieżce, że i z zamkniętymi oczami dotarłbym do celu. A potem otwierałem szeroko oczy, by patrzeć na Zośkę w oknie, pochyloną nad świecą. I ona widać spać nie mogła.

Trwałem tak, patrząc na nią, sam nie wiedziałem po co, bo potem cały dzień chodziłem jak błędny i poziewywałem.

Pies młynarza już do mnie przywykł, przestał szczekać, gdy podchodziłem pod płot, pomrukiwał tylko ostrzegawczo, że czuwa, ale nie musi wszczynać alarmu, bo moja obecność nikomu nie zagraża.

Podczas niedzielnych mszy przypatrywałem się Zośce już śmieiej, bo teraz wiedziałem o niej coś, czego nikt nie wiedział, nawet mąż. A i ona, bywało, spojrzenie mi posłała. Przez krótką chwilę patrzyliśmy sobie w oczy, aż mi się gorąco robiło.

– Nie rób tego – powiedziała matula, gdyśmy wracali z kościoła. – Nie utrudniaj sobie życia. Tyle dziewczyn tutaj, jeszcze więcej w sąsiednich wsiach. A ona nie dla ciebie. Ona już jest czyjaś, pamiętaj.

Matula czytała we mnie jak ksiądz w mszale, to przerażało.

Zośka jest czyjaś, powtarzałem sobie. Kiedyś w życiu bym tak o Zośce nie pomyślał, bo zawsze w swojej pyskatości była tylko swoja własna. A teraz już na zawsze należała do swojego ponurego, starego męża.

Kolejnej niedzieli jak zwykle ruszyłem pod dom młynarza, dobrze się szło, gdy już z daleka widziałem migoczące światło świecy w oknie. Kiedy jednak podszedłem bliżej, ujrzałem, że Zośki w oknie nie widać, świeca tylko w lichtarzyku się pali.

Stanałem jak wryty, aż wreszcie, gdy przestałem wpatrywać się w okno, zauważyłem, że Zośka opiera się o płot. Światła było niewiele, tyle co z nieba i okna, ale i tak widziałem, że włosy ma rozpuszczone jak niegdyś, że koszula jaśniej w ciemnościach i coś też jej lśni na policzkach.

Łzy, zrozumiałem, gdy ich posmakowałem.

Chciałem coś powiedzieć, ale położyła mi palec na ustach i wyszła za furtkę.

Na łące stały kopki siana zgrabionego na noc, żeby nie łapało wilgoci, i tam znaleźliśmy schronienie.

Wtedy po raz trzeci widziałem Zośkę nagą.

Wychodziła do mnie co noc, najpierw roztrzęsiona i zapłakana, a potem coraz chętniejsza, coraz śmielsza. Przez to za dnia taki byłem nieprzytomny, że zderzałem się ze ścianami, potykałem o własne stopy i mało sobie palca nie uciąłem, ostrząc siekiere o kamień, bo akurat myślałem o tym, że nie ma miejsca na ciele Zośki, którego bym nie dotykał i nie całował. Kiedyś dużo gadaliśmy, teraz nie pozwalała mi powiedzieć ani słowa. Kiedy zaczynałem mówić, całowała mnie albo wsuwała mi palec do ust, miękki i, nie wiedzieć czemu, pachnący śmietanką. Wtedy milkłem, bo wszystko, co ważne, rozgrywało się poza słowami.

– Co się z tobą dzieje? – pytała matula i uważnie patrzyła, w którą stronę zerkam w kościele.

Teraz już jednak się pilnowałem, więc na mszy ustawiałem się tak, żeby nawet gdy mnie skusi, spojrzenie nie miało szansy powędrować ku Zośce. Musimy być ostrożni, tyle wiedziałem, choć

nigdy tak mało nie myślałem o przyszłości, a tak dużo o nadchodzącym wieczorze.

Niedawno jeszcze potrafiłem policzyć, ile razy widziałem Zośkę nagą, i wtedy świat trwał jak przedtem, niewzruszony, poukładany. Teraz już nic nie liczyłem, a świat przewrócił się na plecy jak żuk, zamiast lśniącej skorupy ukazując dziwaczne podbrzusze, jakiego się po nim nie spodziewałem. Przez to wszystko stało się zupełnie inne. Na przykład grzech, o którym co niedziela ksiądz grzmiał z ambony. Grzech? Czy taka miłość może być grzechem? Taka gorączka, zrośnięcie się z drugim człowiekiem? Nie, nie widziałem w tym zła, grzechu żadnego. To było kochanie, po prostu.

Albo inna prawda, po wielekroć powtarzana przez rodziców: jeśli się nie wyśpisz, nie będziesz miał siły do roboty. Teraz nie wysypiałem się wcale, tyle co przedzemałem przy ciepłym ciele Zośki, w stogu, ale mimo to za dnia nachodził mnie jakiś dziwny zapach do pracy, robiłem na pańskim i na naszym za dwóch, bo wiedziałem, że im szybciej będę pracował, tym chężej minie dzień i nadejdzie noc z Zośką. I przez to, gdy już na pańskim kończyłem ścinać sierpem swój pas, inni żeńcy byli dopiero w połowie, gdy kończyłem drugi, reszta przystawała i ocierała znojny pot z czoła, gotując się do kończenia pierwszego. Ekonom kiwał głową, że robotny ze mnie chłop.

– A jednak można przyłożyć się do pracy. A jednak nie całe chłopstwo musi być leniwe. Żeby tu wszyscy robili jak ty, jak ci tam...

– Józwiak. Szczepan Józwiak.

Inni chłopacy patrzyli na mnie wilkiem, bo taki u nas we wsi obyczaj panował, by na pańskim się nie przykładać. Dlaczego?

Ano dlatego, że robota była to wymuszona, to raz.

Dwa, że nawet gdy się szybciej coś zrobiło, przecież ekonom do domu nie puścił, tylko do końca dniówki kazał odpracować gdzie indziej.

A po trzecie i najważniejsze: należało siły na obrabianie swojego pola zachować.

Nawet nie zauważyłem, jak sąsiedzi zaczęli sarkać, że młody Józwiaków chce się panu podlizać, pracując na pańskim szybciej, niż dobry zwyczaj nakazuje, przez co ekonom na całą resztę chłopów wilkiem patrzy. Jak tak można sąsiadom szkodzić?! – matula i ojciec wysłuchiwali narzekań. Rodzice się martwili, przedkładali racje, żebym się nie wyrywał, żebym zachowywał się jak inni. To wszystko jednak, po raz pierwszy w życiu, wcale mnie nie obchodziło, teraz obchodziła mnie tylko Zośka. Rzadko zresztą w domu bywałem, po zejściu z pola chodziłem, uspokoić się nie mogąc, po obejściu, po sadku, po drodze, po lesie, a gdy w końcu przysiadłem, to głowa mi opadała i od razu zasypiałem. Janek z Janką siadali wtedy z obu moich boków, kładli mi dłonie na plecach, podtrzymywali głowę.

Matka przebąkiwała o ożenku, że już chyba czas, ojciec zagadywał o różne dziewczyny z porządnych rodzin, czy mi się podoba ta albo tamta.

– Swaty wyślemy. Powiedz tylko do kogo.

Ja jednak wcale ich słuchać nie chciałem, bo myślałem tylko o miękkich piersiach Zośki i jej twardych dłoniach.

Swaty? Nigdy się nie ożenię.

Swaty? Co noc będę do Zośki chodził, co noc do końca życia. Tego jednego byłem pewien.



Ale jakoś właśnie wtedy nastąpiła noc, gdy zamiast Zośki czekał na mnie przy furtce młynarz.

– To tylko ty? – zdziwił się. – Myślałem, że ktoś znaczniejszy. Ładniejszy. A to tylko ty? Naprawdę właśnie ciebie wołała ode mnie?

Ubodło mnie to bardziej, niż sądziłem. Odwróciłem się bez słowa i pobiegłem do domu, a przez całą drogę aż krzyczałem w niebo z tego wszystkiego.

Następnego nocy znowu powlokłem się pod dom młynarza, pod płótem było jednak pusto, ani młynarza, ani Zośki, furtka tylko skrzypiała, otwarta. Nie wiedziałem, o co chodzi, zapraszają mnie czy co? I tak stałem, nie pojmując, aż od budy puścił się czarny cień i w ciszy wypadł przez furtkę, by dopaść moich nogawek i łydek. Zrozumiałem: młynarz sprawił sobie nowego psa, bestię cichą a groźną, i specjalnie go nie uwiązał. Zamarłem, zacząłem za kijem się rozglądać, ale bałem się schylić, żeby mi kundel twarzy czy rąk nie pogryzł. Uciekać zawsze gorzej niż zostać, bo człowiek psa nie przegoni, tylko bieganiem jeszcze bardziej go do walki zagrzeje. Pies cichy był, zajadły, nieduży na szczęście, więc tylko mi spodnie poszarpał, no i łydkę parę razy kłem zawadził.

Zaszedłem tam jeszcze nie raz i nie dwa, teraz już przygotowany, z kijem i kamieniami na psa w kieszeni, ale już z daleka widziałem, że ani świecy, ani Zośki w oknie nie ma, pies tylko przy płocie warczy, poza tym ciemno i głucho. Przestałem więc chodzić nocami pod dom młynarza, zamiast tego zostawałem w łóżku, niby spałem, ale jakoś bez odpoczynku. Poprzednia gorączka ustąpiła miejsca przygnębieniu, budziłem się tak samo zmęczony jak wieczorem,

przez co nawet rankami nie chciało mi się z siennika podnosić, wolałem dalej spać i śnić o Zośce.

– Chodźże synu w pole, kilka dniówek już opuściłeś, z pańszczyzną nie nastarczamy – marudził ojciec. – Zaraz pójdę – odpowiadałem, po czym na chwilę tylko oczy przymykałem i od razu zasypiałem, mocno jak kamień. Czułem się jak furmanka, z której na środku drogi wyprzęgnięto wołu – nieużyteczna zawalidroga.

– Chodźże, synu, wreszcie w pole, bo ojciec baty dostanie! – huknęła mi wreszcie któregoś razu matka nad głową.

Aż się zdziwiłem, że sołtysowi mogą grozić baty, rzecz niesłychana, zawsze się przecież z pańskiego wywiązywaliśmy, a teraz takie coś. To mnie nieco otrzeźwiło, wstałem więc, zarośniętą gębę ojcowską brzytwą ostrugałem, żeby ludzi nie straszyc, aż się zdziwiłem, jak mi broda porosła, pierwszy raz w życiu goliłem się jak mężczyzna. Spodnie naciągnąłem, zauważyłem, że matka zszyła, co mi pies poszarpał, i słowa nie powiedziała. I tak, w pozszywanym przyodziewku, z gębą od golenia pokaleczoną, poczłapałem z ojcem w pole, gdzie pracowałem równo i ponuro jak kret, ani się nie uśmiechałem, ani nie rozmawiałem, ani się nie rozglądałem, skupiony tylko na tym, żeby zrobić, co trzeba, i ojca od pohańbienia i batów ustrzec. Tak pracowałem, aż mnie wieczorem ekonom po plecach poklepał, co jednak było mi wstrętne. Nie lubiłem przemądrzałego dziada, więc się aż od tego klepania otrząsałem, chciałem też coś powiedzieć, ale że ojciec na mnie patrzył, zmilczałem, złe słowa przełknąłem, głowę przed ekonomem skłoniłem, żeby już się to wszystko skończyło.

Chłopaki złe ciągle na mnie były, coraz to któryś przewiskiem rzucił, że pracuś, że podlizuch, że ekonoma pieszczoszek. Czekali, co odpowiem, czy się odgryzę, a może do bitki rzucę, ale tylko ramionami wzruszałem i odwracałem się do nich tyłem, zgarbiony, smutny, jakby mi nagle lat i powagi przybyło. I tak też się czułem, jakbym był o dziesięciolecia od nich starszy.

W ten sposób świat niby wrócił do poprzedniej formy: Zośka z mężem w domu obok młyna, ja cały dzień w polu, nocie na własnym sienniku. Ale nic nie umiało już być takie jak przedtem. Tak pragnąłem przytulić Zośkę, że od pustki bolały mnie ramiona. A niechby i chwilę na nią popatrzeć. Ale nie widywałem jej nawet w kościele, ponoć młynarz począł ją wozić na msze do Izbicy.

Chodziłem nad Mokry Dołek, wieczorami, w nocy, i czekałem, aż zmarli od moru naczachowanie po mnie przyjdą. Widać jednak i oni odwrócili się ode mnie, bo nie przyszli, nawet się nie pokazali, choć przecież czekałem na nich wytrwale, nie tydzień, i nie dwa, dłużej, przy księżycu, a nawet i podczas nowiu.

Z ludźmi nie gadałem, bo zupełnie nie wiedziałem o czym, tak strasznie straciłem wiarę we wszystko. Do rodziców też się mało odzywałem. Tylko z Jankiem i Janką przysiadłem czasem, wtulałem się w ich zapachy, siana, mokradeł, ziarna, mięty. Tylko przy nich świat uspokajał się na chwilę.

Janek i Janka

Szczepan tego nie wiedział, ale było w nim jeszcze dużo miłości. Bo też i kochał tę naszą ziemię zupełnie jak my; zakochani byliśmy w tej ziemi po uszy, zachwyceni nią, pokrzepieni nią, bo ludzie przemijają na różne sposoby, ale ziemia trwa. Ziemia tylko udaje, że

umiera, wsuwając się pod śniegową pokrywę na kilka miesiączków, ale potem zmartwychwstaje i znowu przywdziewa kolory, trawiasty, jęczmienny, piołunowy, łąkowy, gdzieś tam stawowy, torfowy, skibowy, no i niebowy, chabrowy, rzeczny, a nad tym wszystkim dziwuje się skowronek, niewidzialny, a jednak śpiewający. Z tej obfitości kolorów zamieraliśmy, wpatrzeni a to w górę, a to przed siebie, a potem nie mogliśmy się nadziwić, że jednego kwitnącego kłosa w ogóle nie czuć, ale gdy się całym kwitnącym polem żyta zaciągnąć, zapach upaja i rozmarza, taka w życie siła. Żąć? Nie żąć? Nie nasze to były decyzje, ale nasze zastanowienia, więc wyłuskiwaliśmy ziarno z kłosa, sprawdzaliśmy, czy już, ale jeszcze nie, bo było miękkie, mokrawe, słodkawe i dwudzielne jak to, co baby między nogami mają. Inaczej żyto smakowało, w smaku ostrzejsze, inaczej pszenica, dużo słodsza, ale obie niegotowe, by je żąć, do tego musiały stwardnieć, by nie poddawać się zębom, lecz dopiero żarnom albo kamieniom młyńskim. I tak tę ziemię kochaliśmy, i Szczepan też, najbardziej, tylko dopiero musiał się tego dowiedzieć.

Hanka Józwiakowa

Nowo wybudowaną przez dziedzica drogą do Lubrańca jeździło się szybko, już nikomu wóz w błocie nie utykał, nawet po ulewie przejść suchą stopą można było, bo woda spływała do rowów na boki, tak to zmyślnie te obce Niemce ułożyły. Specjalnie tam z Antosiem któreś niedzieli po kościele powędrowaliśmy, żeby popatrzeć. Prosto w obie strony, aż dziwnie popatrzeć, bo drugiej takiej drogi w okolicy nie było, która by cięła ziemię równo na pół.

– Mądrze to wymyślili. Mógłby dziedzic i nam taką drogę do Izbicy zbudować – odezwał się Antoś.

– Akurat, od nas jego pałac daleko. Nam nic nie postawi.

Ale mój mąż wiedział swoje.

– Całą okolicę unowocześni, tak zawsze obiecuje. Mamy dziewiętnasty wiek, Hanka! Dziewiętnasty wiek!

Trochę zła byłam na niego za ten podziw, sama musiałam jednak przyznać, że pan dużo w okolicy zmienia. Na przykład cały czas pracował nad osuszeniem bagien, które pokazała część majątku zajmowały i gdzie strach było krowy i dzieci posyłać. Komary się tam leżały i duchy, strachy jakieś złowrogie, boginki ludzi w wodę wciągały, bywało, że potem wyrzucały, wtedy już wyglądali jak nieludzie. Kiedyś jednego widziałam i wołałabym ten widok zapomnieć, taki się dziwny w bagnach zrobił, że nikt nie był pewien, kto to jest. Pan kazał najpierw chłopom wozami ziemię w mokradła zwozić, ale ile by jej nie nawieźli, zawsze błocko znowu wyłaziło. Potem kazał kanały kopać, jakieś papiery nam z rysunkami pokazywał, ale nic z tych bazgrołów, z tych papierów nie pojmowaliśmy i chłopci nasi kopali tak, jak sami uważali, a dziedzic krzyczał, że pieniądze i praca w błoto.

– No w błoto, a co ma być na bagnach? – śmiali się ludzie. Nikt nie wierzył w te pańskie wymysły.

Wtedy dziedzic sprowadził z daleka Olędrów. Niemce od dróg były, a Olędry od osuszania bagien. I tyłu już tych obcych w okolicy się namnożyło, że i kościół dla tej drugiej wiary stawiać w Izbicy zaczęli. Niby krzyż miał jak trzeba, ale w środku wszystko inaczej, bez rzeźb i obrazów, na biednie, choć Olędry, Niemce bogatsze niż

nasi chłopcy były, ale widać akurat na Pana Boga pieniędzy pożalowały.

Olędry, gdy tylko przyjechały, zaraz chwytali za łopaty, dzieci i baby woziły taczkami wykopane błoto, a tak jakoś wszystko sprytnie, że jednego dnia gdzieś woda stała, za tydzień już tylko błoto było, a potem z błota całkiem sucha ziemia się wyłaniała. Całe niemal Sokołowo wyrwali spod bagien, kiedyś tam ledwie jedna czy dwie chałupiny butwiały wśród mokradeł, a w nich babuleńki od wilgoci pokrzywione, ku dołowi przygięte, teraz nowej ziemi pojawiło się mnóstwo, a dziedzic jeździł na tym swoim siwku i zadowolonym wzrokiem obejmował nowe pola i łąki. Piękny był i postawny, ale nie ufałam mu nawet tyle, co brudu za paznokciem, bo wiedziałam, że wszystko dla siebie, nie dla nas robi. I zaraz zaczynałam się zastanawiać, kto na tych nowych polach i łąkach będzie pracował, bo chłopów przecież wcale mu nie przybyło, więc z tego wszystkiego pewnie znowu podniosą nam liczbę dni pańszczyzny w tygodniu.

Na samą myśl zaczynały mnie boleć plecy.

## Janek i Janka

Chodziliśmy nad Mokry Dołek, którego już nie było, bo woda wsiąkła, a dusza stawu uleciała. Nasi ojcowie, nasze matki starali się szybciej zapaść w ziemię, bo co odważniejsze dzieciaki coraz częściej przybiegały ze wsi, żeby sprawdzić, czy da się w nim jakiegoś kościotrupa zobaczyć. Chodziliśmy do lasu, który zmniejszał się ciągle, wszędzie huk siekier, skrzypienie padających drzew, wrzaski ludzi z furmankami i gołe place tam, gdzie kiedyś drzewa, krzaki, zwierzęta, duchy i boginki gnieździły się pospołu,

a teraz wszystkie wycofywały się w coraz dalsze ostępy, przestraszone i nierade, że się tłoczyć muszą, gdy kiedyś tyle miejsca miały. Krążyły po kurczącym się lesie niespokojnie, nie znajdując już drzew, gdzie przedtem się kryły, kipiały niepokojem i niezadowoleniem, czuliśmy to dobrze i dziwiliśmy się, że tylko my to czujemy. Na szczęście śmiertelny świerk jakimś cudem się ostał, sprawdzaliśmy co i rusz, stał, to jedno nas pocieszało.

Przez to wszystko tamtego roku szczególnie dużo kur i kaczek złożyliśmy leśnym stworom w ofierze, tyleśmy tego drobiu do lasu wynieśli, że we wsi zaczęto gadać o krwiożerczym lisie, który ogołaca kurniki. Niejeden się zarzekał, że widział go, po brzuch we krwi utaplanego. Ludzie zaczęli pilnować w nocy obejść, z widłami, grabiami chodzili, na lisa potwora czekali, ale wtedy myśmy już u Józwiaków w sionce przycupnęli, otrzepując włosy z kurzych piórek, wycierając zakrwawione ręce w słomę, z nadzieją, że tyle ofiar za wsi bezpieczeństwo wystarczy.

Hanka Józwiakowa

Olędry wcale nie wyjeżdżały, bo pan pozwolił im zostać na tej osuszonej ziemi. W Izbicy już od dawna więcej było słyhać obcego szwargotania niż naszej mowy. Niemce, Żydy, każde po swojemu się nosiło i po swojemu mówiło, a teraz i na wsi miało być podobnie.

– Pańszczyznę będą Olędry z nami odrabiać? – spytał Antoś pana, gdy dziedzic znowu się u nas we wsi pojawił. Ale okazało się, że nie. Olędry na pańszczyznę zgodzić się nie chciały, takie z nich mądrale. A że panu każda para rąk do roboty się przydawała, osiedlił obcych na innych zasadach. Mieli płacić panu nie w pańszczyźnie, ale

w plonach i pieniądzech, i to nawet nie od razu, lecz dopiero za dwa lata. To się nazywało czynsz i było nowoczesne.

– Dwa lata bez pańszczyzny i bez płacenia panu, tak będą obcy mieć dobrze! – utyskiwałam.

– A czego ty narzekasz? Że kto inny ma lepiej?

– Nie, że my mamy ciągle źle.

– Taka chłopska dola – wzdychał Antoś. – Mam nadzieję, że pan wie, co robi, i że dobrze robi.

A ja tylko na to wzdychałam, że jak zawsze o dziedzicu za dobrze myśli.

## Janek i Janka

Ziemia chłopska była inaczej pielęgnowana niż ziemia pańska. Na pańskiej woły szły wolniej, sprzęty się psuły, z bron zęby wypadały albo i łamały się na kamieniach, które podczas bronowania się odrzucało, ale nie na miedzę, jak na swoim, lecz dwie bruzdy dalej, ot, tyle, żeby się za bardzo nie zmęczyć. Niektórzy tych kamieni z pańskich pól nie odrzucali wcale, bo to by znaczyło, że trzeba się schylać jeszcze częściej, a przecież człowiek przy narodzinach dostał tylko jedno plecy na pomieszczenie tego całego bólu od harówki. Pańska ziemia nie była tak kochana jak nasza, chłopska, a niejeden to i na pańskie splunął z tej bezsilnej złości, rozejrzawszy się jednak przedtem, czy ekonom nie patrzy. Przez to wszystko po zmroku kładliśmy się czasem oboje na miedzy i to wszystko żeśmy słyszeli i widzieli, i ziemię pocieszaliśmy, bo co ona winna, że ludzie robią, co muszą, co ona winna, że jej nienawidzą?



## Hanka Józwiakowa

Chodziliśmy z Antosiem do Sokołowa popatrzeć, jak się Olędry na wsi budują. A robiły wszystko na odwrót. Nasi – wiadomo, od drogi chałupa, od pola stodoła, z boków obórka, kurnik, szopka, chlewik, żeby podwórko budynkami ogrodzić i płota jak najmniej stawiać. Obcy inaczej robili. Najpierw wybrane miejsce kanałami dodatkowo osuszali, a z wykopanej ziemi wzgórek usypywali. Potem stawiali na nim mieszkanie, stodołę, kurnik i obórkę, wszystko pod jednym dachem, w długim budynku, bokiem do drogi.

– Popatrz, Hanka, jak deszcz czy śnieg, to taki Olęder wszystko ma pod ręką, nawet wychodzić nie potrzebuje, chyba że po wodę dla zwierząt. Mają obcy swoje pomysły.

– Jakies tam mają, ale czy lepsze, to nie ze wszystkim raczej – powątpiewałam. – Bo w ten sposób muchy mają w chałupie i obórką przy śniadaniu zawiewa.

– Też prawda. Ale zimą cieplej, bo ludzie się od zwierząt grzeją.

– Takie to i smrodliwe ciepełko.

– Od smrodu jeszcze nikt nie umarł.

– A ty zawsze musisz mieć ostatnie słowo, mężu, prawda?

Już nic nie mówił.

W olęderskich domach mieszkania zawsze mieściły się od strony strugi czy stawu. Zastanawiałam się dlaczego, bo przecież jeśli woda na wiosnę, po roztopach, wyleje, zatopi je na początku. Antoś też długo o tym myślał, aż wreszcie zrozumiał: to właśnie dlatego. Woda przepłynie najpierw przez mieszkanie, potem przez część gospodarską, i z gnojem już wyleje się na pola, nie brudząc chałupy, tak to Olędry sprytnie wymyśliły. Gdy mi to wyjaśnił, nabrałam do Olędrów szacunku. Przy chałupie sadzili topole, które szybko rosły,

i wierzby, którym rośnięcie w mokrym nie przeszkadzało, jeszcze wodę z ziemi wyciągały. Wśród drzew rychło zaczynały plenić się olchy, których nasiona z wiatrem przylatywały, a oni wcale ich nie wycinali, bo one też mokre lubiły i ziemię osuszały. Wszystko miało tu swój zamysł i cel.

Chłopi jednak na Olędrów sarkali, że w niektórych wsiach więcej teraz obcych niż swoich, a już w Sokołowie zwłaszcza, i żyje im się lepiej od nas, a w czym oni lepsi?

– Olędry to naród pracowity i pomysłowy, poza tym za korzystanie z tej ziemi, co sami ją bagnom wyrwali, jeszcze mi czynsz płacą i wszyscy są zadowoleni – tłumaczył dziedzic.

Dziedzic na pewno był zadowolony, Olędry też, choć co wyrozumiesz, gdy po naszymu nie gadają, ale myśmy zadowoleni nie byli. Dlaczego? A bo nawet i ja myślałam, że wcale to niedobre, gdy nowym lepiej niż starym, a obcym lepiej niż swoim.

– Ale ja do was właśnie z tym przyjechałem, sołtysie. Znaczy w sprawie czynszu – mówił do Antosia dziedzic, gdy kiedyś po drodze do nas na chwilę zajechał. – Postanowiłem, że trzeba będzie w Sokołowie nową metodą chłopów zacząć osiedlać, bo ciągle tam ludzi za mało.

– Naszych chłopów?

– Naszych, tych co sprytniejszych, żeby z nową metodą sobie poradzili. Co o tym myślicie, sołtysie?

– Myślę, że nareszcie i o naszych lepiej myślicie.

Aż się przestraszyłam, że dziedzic Antosia skarci, zaraz się zaczęłam krzątać, gorzałkę do garnuszków rozlewać, żeby takiego gościa uhonorować, no i trochę ułagodzić, ale pan tylko zamachał

ręką, że pić nie chce, a potem zaśmiał się, w plecy Antosia klepnął, że docenia szczerość.

– Taki mam pomysł, że sprowadzę ludzi do Sokołowa, ziemię im w użytkowanie dam, dużo, nie dziesięć mórg, ale czterdzieści, może nawet pięćdziesiąt. I nie za pańszczyznę, tylko za czynsz, jak Olędrom. Tak się na świecie praktykuje. I was, sołtysie, chciałem w to wszystko włączyć.

Ale że mojego męża? – zdziwiłam się, ale nic nie mówiłam, bo nagle zaczęło we mnie wszystko buzować, i nadzieja, i strach, jak niegdyś, gdyśmy z Antosiem przeprowadzkę do Naczachowa rozważali. Znowu mielibyśmy wioskę zmieniać? Budować nową gospodarkę? Nowa chałupa, nowi sąsiedzi, obcy, Olędry, przestraszyłam się, i było czego. Powolutku jednak, gdzieś w środku mnie, pojawiła się wokół tego strachu jaśniejsza obrączka, jak kiedyś, podczas zaćmienia, i jak kiedyś rosła, powoli przybierając kształt nadziei. Czynsz, nie pańszczyzna. Ekonom tylko raz na rok, po pieniądze, a nie pilnuje codziennie, czy należycie pochylasz grzbiet. Harujemy na swoim i dla siebie, dla swojej rodziny, nie dla pańskiej. I aż się wyprostowałam, tam, gdzie stałam, przy kredensie, i spojrzałam na Antosia, który też czemuś zmieszany siedział przy stole, naprzeciw dziedzica. A ten mówił dalej:

– Sołtysie, a ten wasz syn żenić się nie zamierza? Sprytny chłopak, pracowity, ekonom go chwali, widziałem, jak pracuje, najszybciej ze wszystkich. On by się może ze wszystkich tu we wsi najlepiej nadał na czynszownika. Nadałby się? Chcielibyście, sołtysie, takiego losu dla syna? Przeniósłby się do Sokołowa, dom sobie postawił?

Nadzieja zmieniała kolor, może na lepszy, zgarbiłam się jednak trochę, że nie o nas z Antosiem chodzi. Staralam się jednak cieszyć, że dziedzic naszego jedynaka zauważył i zapamiętał. Ale Szczepan? Czyszownikiem? Z daleka od nas? Inaczej mieliśmy wszystko przemyślane. Jako że jego jednego mieliśmy, to po ślubie u nas miał na gospodarce zostać, do izby by się z żoną przeniósł, a my ze spaniem do kuchni, żeby chłopak miał trochę poczucia, że jest na swoim. Najpierw pięć, a potem wszystkich dziesięć mórg by po nas przejął, pomagałoby mu się przecież, z pańszczyzną także, póki by sił starczyło, a potem wnuki bawiło. Tak to sobie z Antosiem planowaliśmy, lata całe mieliśmy na te przemyślenia. Szczepan też już wiedział, jaki mu los pisany, i nie protestował, na wsi na ogół najmłodszy z ojcami zostawał i się nimi na starość opiekował, a on przecież i najstarszy, i najmłodszy zarazem, to i wiedział, czego się od niego oczekuje.

Antoś jak zawsze i grzecznie, i rozsądnie odpowiedział dziedzicowi:

– Pozwolicie, wielmożny panie, że przemyśle sprawę i z chłopakiem pogadam, o jego to przyszłość przecie idzie, nie mnie samemu decydować.

– I to w was lubię, sołtysie, że nad wszystkim myślicie. Żeby was tu więcej takich było... To pewnie trzeba by w edukację zainwestować... Słuchajcie, a może szkoła by się tu zdała? W Naczachowie? Albo w Izbicy? Będą dzieci chodzić tak daleko? A może jakiego nauczyciela tu do wsi sprowadzić? Tylko kto za to zapłaci? Bo przecież taki nauczyciel na te warunki za darmo nie przyjedzie. A może chłopci by płacili za szkołę dla swoich dzieci? Chociaż trochę? Nie, na pewno nie będą płacić – zadumał się

dziedzic, a ja aż się zadziwiłam, jakimi zakrętami myśl pańska galopuje, od Olędrow, czynszu i Szczepana do tego, byśmy za szkołę płacili, dziwnie to szło, ale u tego pana zawsze podobnie, bo za szybko, nawet dla mnie za szybko.

Szkoła? A na co chłopu szkoła? Pacierza się wszyscy od matek, ojców uczą. Czytanie? A to na co komu? Przecież ekonom do tej swojej księgi zajrzeć chłopu nie pozwoli, bo jak? Ani ksiądz do mszału, który zresztą po obcemu pisany. A rachowanie? Jakoś się na palcach wszystko policzy albo i na kreskach na ziemi pisanych. Zresztą Antoś i Szczepan cyfry czytać umieli. Obaj umieli się też podpisać, nie krzyżykami, tylko prawdziwymi literami, prawie po pańsku, ku zdziwieniu ekonomy. Szczepan podpisywał się „SJ”, a mąż mój – „AJ”, bo, jak powtarzał, nie na to miał nazwisko od dwóch pokoleń, żeby je teraz krzyżykami zapisywać jak byle ciemny chłop. Tyle nam wystarczało, a więcej po co? Tylko się przy tej robocie zmarnuje.

Ale dziedzic, jak to dziedzic, zaraz o szkole zapomniał, natomiast o czynszu i Sokołowie pamiętał. Zebranie z sołtysami okolicznych wsi zwołał i zaraz ogłosił, że potrzebuje chłopów na czynsz, i czy my w swoich wioskach jakichś dobrych kandydatów widzimy, młodych koniecznie, bo jeszcze nie mają złych nawyków, żonatych najlepiej, z małymi dziećmi, żeby było wiadomo, że zaraz po chałupach więcej ich będzie, że zaraz Sokołowo w siłę wzrośnie. Dziedzic mówił o tym wszystkim dużo i głośno, szybko i z coraz większym ogniem, aż człowieka przestraszył ogarniał i za jakimś rozsądnym chłopem się rozglądał, żeby sprawy omówić.

I w taki właśnie sposób poznał Antoś sołtysa ze Skarbanowa, Walentego, który jak i mój mąż rozmyślny i ostrożny się wydawał,

bo co nagle, to po diable. Tak sobie do gustu przypadli, gdy po cichu omawiali dziedzicowe słowa, że po całym tym zebraniu do karczmy poszli, dalej się myślami i wątpliwościami nad piwem wymienić. A tam szybko się dogadali, że akurat dzieci mają w podobnym wieku i równie szybko postanowili, że można by dwie porządne rodziny ze sobą połączyć.

– Moja Heńka już gotowa do zameścia, gospodarna i pracowita. A na waszym chłopaku życzliwe oko dziedzica spoczęło. Ja całym sercem bym poparł inny dla nich los, w Sokołowie, i ten czynsz, wtedy nasze dzieci na swoim by zdrowie traciły, nie na pańskim – powiedział Walenty i Antosowi całkiem się to rozsądne wydało.

Postanowił jednak rzecz przemyśleć, bo z ożenkiem syna nie można na łapu-capu. Ale im dłużej w karczmie z Walentym siedział, tym lepszą zdawała mu się myśl, byśmy losy naszych rodzin połączyli. W końcu ręce sobie uściśnieli, postanowili też, że nie od swatów zaczną, lecz młodych ze sobą wpierw zapoznają, a potem pozwolą działać naturze.

Im dłużej Antoś nad tym przemyślał, tym rozsądniejsze mu się wydawało, bał się tylko trochę mniej powiedzieć o tych planach. Więc zwlekał z nowinami, dopiero na kolejny dzień mi powiedział, gdyśmy poszli na pole przerywać buraki, te białe, cukrowe, kolejną dziedzicową nowość.

– Masz rację, Antoś. Potrzebna naszemu synkowi dziewczyna, coraz bardziej mu potrzebna – powiedziałam wtedy.

Bo zawsze bałam się o Szczepana. Że koń go kopnie, ekonom wybatoży za mocno, że umrze na kaszel czy na oberwanie, jednego przecież mieliśmy. Niech się więc ożeni, niech wreszcie ma dzieci, niech ma ich jak najwięcej, wtedy ten mój strach podzieli się na

Szczepana i jego małości, mniej będzie na niego przypadać, mniej uwagi boskiej na nim się skupi, może wówczas będzie bezpieczniejszy. Wydawało mi się zresztą, że Szczepan sam już żony potrzebuje, bo chodził od wielu tygodni jak błędny, a w nocy rzucał się niespokojnie.

Ta córka Walentego z sąsiedniej wsi, z domu dość zamożnego i spokojnego, całkiem mi się spodobała, gdy jej się przyjrzałam w kościele. Twarz grzeczna, miła, dziewczyna na posłuszną wyglądała, szanującą starszych, a to w rodzinie ważne.

Szykowaliśmy się na różne Szczepana odpowiedzi, ale nie na to, co nastąpiło. Bo syn nasz wysłuchał ojca i tylko wzruszył ramionami.

– Ślub? A z którą? Heńka skarbanowska? Ta jasna? A, chyba wiem która. Czysz? Bez pańszczyzny? Daleko stąd? Sokołowo? Niech będzie.

I błądy, nieobecny taki, z chałupy wyszedł.

Spojrzeliliśmy po sobie.

– O jego przyszłość chodzi, a ten całkiem obojętny.

– Wszystkie one takie – westchnęłam. – Kobiety we wsi mówią, że młodzieży nic już nie cieszy, za jedno im wszystko, takie czasy nastały.

– Gdy my byliśmy młodzi, nam się chciało.

– W kopce siana razem leżeć, to tak – zachichotałam.

– Ale i innej przyszłości szukać. Bo dlaczegośmy tu przyszli?

– Bo nie chciałam, żeby mi kradli słoninę w czworakach.

– Żałujesz, żeśmy tu ściągnęli? Do Naczachowa?

– Nie. Już stąd jestem.

– Tęsknisz?

– Czasem mi się śnią tamte strony.

Ale już nie powiedziałam: „nasze strony”. Nasze były tutaj.

– Byłoby dobrze, gdyby rodzice zjechali na wesele Szczepana, żeby zobaczyli, że udał nam się chłopak – rozmarzył się Antoś.

– Pewnie, że dobrze by było. Bo bardzo nam się udał. Ale skąd mieliby wiedzieć o weselu?

Posmutnieliśmy, Antoś bardziej, bo ja aż tak za jego rodzicami nie tęskniłam, mnie by wystarczyło, gdyby naszą chałupę dużą zobaczyli, nasze obejście, nasze pola i powiedzieli, żeśmy dobrze zrobili, pobierając się, a potem przenosząc do Naczachowa. Żeśmy byli mądrzy i roztropni, a nasze dziecko też od innych bardziej udane. Żeby nam przyznali rację.

A potem wyrzałam na dwór, gdzie Szczepan, siedząc na pieńku przy stodole stopami błoto miesił, z miną równie głupią jak Janek i Janka u jego boku, tak jak i oni nieobecny jakiś, i nijak na udanego nie wyglądał.

## Szczepan Józwiak

Jasną Henrykę ze Skarbanowa, córkę sołtysa, znałem z widzenia z kościoła, warkocze chyba najdłuższe w parafii miała, i tak jasne, że aż białe. Ani z nią gadałem, ani ją lubiłem, ale skoro nie mogłem być z Zośką, było mi wszystko jedno, z kim będę.

Rodzice posłali swata, Heńka i jej rodzice odpowiedzieli, że się zgadzają, więc musiałem Heńce asystować. Gdy więc wracaliśmy z kościoła, szedłem obok niej, odprowadzałem ją pod dom w Skarbanowie i dopiero wracałem do siebie. Ani jednak gadać mi się z nią nie chciało, ani za rękę nawet ją wziąć, szedłem obok i tyle, myślami zupełnie gdzie indziej. Heńka na pewno widziała, że chęci



we mnie żadnej nie ma, ciągle jednak próbowała. Na przykład zagadywała, że pogoda, że ptaki śpiewają, że dobry pomysł z tym gospodarstwem czynszowym. Yhy, odpowiadałem, więcej mi się nie chciało. Albo łapała mnie za rękę, miała duże, dobre ręce, i czekała, aż we mnie coś się ożywi. Wszystko jednak, co było we mnie żywe, zostało w chałupie młynarza, obok lichtarzyka stojącego przy oknie. Przy Zośce.

Heńka coraz częściej wzdychała.

Ja coraz uparciej milczałem.

Dzień ślubu zbliżał się coraz większymi krokami.

Harowałem na polu, pańskim i własnym, szybko, aż padałem z nóg, aż niemal przytomność ze zmęczenia traciłem, jakbym chciał odepchnąć, co nieuchronne, jakby ta praca miała mnie przed ślubem zasłonić, jakby ta praca miała mnie przed ślubem wykończyć.

## Część piąta. Rok 1833, czas śmierci licznych, a niepotrzebnych

*Tego roku umiera wiele osób, ale najsyńniejszą z nich jest Kaspar Hauser, zwany „sierotą Europy”, raniony sztyletem przez nieznanomego w Ansbach. Jego zagadkowe życie i tajemnicza śmierć będą przez kolejne dziesiątki lat inspirować artystów i wyznawców teorii spiskowych. Tymczasem w Królestwie Polskim umiera dużo więcej osób niż powinno, bo pułkownik Józef Zaliwski, któremu trudno się otrząsnąć po klęsce powstania listopadowego, podejmuje próbę wzniecenia kolejnego powstania. Sukces mają mu zapewnić chłopci, zachęceni do walki hasłami o reformach gospodarczych. Chłopi jednak skusić się nie dają, powstanie szybko upada, a ci szlachcice, którzy dali się porwać idei, giną lub lądują na katordze. Zaliwski także zostaje uwięziony, ale przeżywa,  
by umrzeć*

*dopiero dwadzieścia dwa lata później, w Paryżu.*

*Car, po powstaniu Zaliwskiego, wprowadza w Królestwie Polskim stan wojenny, co jednak nic w życiu mieszkańców Naczachowa nie zmienia.*

*Bo też i, jak zawsze, car jest daleko, a dziedzic blisko.*

Szczepan Józwiak

Już matka mi do ślubu koszulę wyhaftowała, już sukmana po ojcu, pięknie wyczyszczona, wisiała w komorze i się wietrzyła, już świnię na wesele ubiliśmy i szynki się w wędzarni suszyły, gdy wieść gruchnęła po wsi: dziedzica zabili!

- Kto? Gdzie? Jak?
- Chłop jakiś.
- Niemożliwe!
- Niemożliwe, a się stało.
- Kto zabił?
- Młynarz, nasz młynarz.
- Jamiołowie Święci!
- Młynarz zabił pana! Do dziedzica strzelił! Z flinty, którą jeszcze od Kościuszki w skrzyni chował!
- Gdzie tam, na jarmarku od powstańca kupił!
- Nieważne, miał strzelbę, na drzewo wlaź i strzelił. Przez okno. Na śmierć dziedzica zabił. I tak pan zginął przy własnym, pańskim stole.

## Janek i Janka

Stało się. Gdyśmy okolicę obchodzili, sprawdzając, czy wszystko w porządku, nagle zobaczyliśmy, że dziedzic ściąć kazał świerk śmiertelny. Już korzenie karczowali, gdyśmy tam przyszli, karczowali i jemu, i dookolnym drzewom, stało się więc, śmierć ze smyczy spuszczone i znowu zaczęła po świecie grasować, ludzi w swoją stronę mając. Zaraz dwoje kurcząt w ofierze śmierci złożyliśmy, ale może jednak za mało wyrosnięte były, bo wiele nie pomogły.

## Hanka Józwiakowa

Młynarz, mąż kowalowej Zośki, zabił pana. Zabił naszego dziedzica, który przyjeżdżał z chłopami rozmawiać, tego, który gorzałki u nas

w domu odmawiał, który nowe, proste drogi budował, chciał chłopów na czynsz osiedlać, Szczepana chciał wziąć do Sokołowa. Dziedzica, który lubił nowoczesność i cenił pracę organiczną, cokolwiek miała znaczyć, który Olędrów sprowadzał i grunty osuszał.

I szybko się okazało, że młynarzowi o to osuszanie poszło.

Bo otóż strumień płynący ku rzeczce Zgłowiączce, który wprawiał w ruch młyn, przez te wszystkie pańskie zmiany, osuszanie i kopanie kanałów, zmienił całkiem bieg, już do młyna biec nie chciał, tylko wybrał inne koryto.

– Przywróćcie, panie, strumień. – Jeździł młynarz do pałacu prosić, ale pan tylko się śmiał, że nowoczesność, dziewiętnasty wiek, trzeba więc ziemie bagnom, lasom wrywać. Obiecywał także, że pomoże młyn w innym miejscu postawić. Młynarz ani słuchać nie chciał: swój młyn ma po ojcach, dom także, a więc i rzeczkę chce z powrotem. I tak dziedzic swoje, a młynarz swoje. Potem to już dziedzic z młynarzem ani gadać nie chciał, bo tamten i tak ciągle powtarzał to samo.

Ludzie też nie byli ze wszystkim zadowoleni, bo może dziedzicowi przez to osuszanie łąk i pastwisk przybyło, ale ich własne były coraz suchsze. W mokre lato to akurat było nie najgorzej, ale wiedzieli, że w suche trawa się zamieni w klepisko i siana będzie tyle co nic. Jasiek zwany „Błotnickim” też narzekał, bo już mu nic nie wpadało za wyciąganie wozów z błota. Wielu gospodarzy więc źle gadało o pańskich zmianach, w karczmie, pod kościołem, na gościńcu, a już najgorzej gadał młynarz. I tak gadał, smęcił, narzekał i rozpaczał, co chwila do kantoru ekonoma, a i do dziedzica, do gabinetu, często zachodził, ale bez rezultatu, bo pan

go odsyłał, wyśmiewał i lekceważył. Aż któregoś dnia, mówili ludzie, młynarz nie wytrzymał tych kłopotów i poniżeń, wyjął flintę z kufra, poszedł pod pałac w Lubrańcu, na drzewo się wdrapał, żeby okna lepiej widzieć, i wpuścił dziedzicowi kulę w głowę.

Nic to młynarzowi na rzekę ani na młyn nie pomogło. Może chwilę ulgi poczuł, gdy cyngiel naciskał, i drugą, gdy pan zalany krwią padał, ale zaraz potem młynarza powieźli do carskiej tury, gdzie czekał, aż go za zabójstwo szlachcica powieszą.

Część przyszła z okolicy, ale dołączyli do nich i nasi, naczachowscy. I Podwójny Władek, i Kuba cieśla, pyskаты jak zawsze, spory tłumek chłopów się zebrał i wmaszerował na nasze podwórze. Trochę się przeraziłam, o co może chodzić, bo miny wszyscy mieli surowe, a czoła zmarszczone. Antoś już się domyślał, jaką mogą mieć do nas sprawę, kiedy zobaczył, że idzie z nimi i kowal z synami, i Jasiek Błotnicki.

Naszym zwyczajem nie wypadało im od razu do rzeczy przejść, najpierw należało pogawędzić. Więc zaczęli mówić, że dużo się ostatnio zmieniło w okolicy, a potem przeszli do osuszania bagien, Władek tłumaczył, że po co Boże dzieło niszczyć, przecież jakby Pan Bóg bagien nie chciał, toby ich nie stwarzał. Pan Bóg chciał, żeby struga, przy której młyn stał, płynęła, i dzięki Panu Bogu całe wieki płynęła, i komu to przeszkadzało. Dopiero naszemu dziedzicowi zaczęła zawadzać. Co komu szkodziło, że Jasiek Błotnicki sobie czasem parę groszy na błocie zarobi.

– Parę groszy zarobić dobra rzecz – przyznał Antoś, więc czoła im się nieco rozprostowały. – Ale żeby Błotnicki zarobił, kto inny

musiał zapłacić – dodał zaraz, więc znowu popatrywać na niego spode łba poczęli, a już Jasiak najbardziej.

– A bo my wcale nie uważamy, że młynarz źle zrobił – odezwał się jeden z kowalczyków, Ćwiartas. Ojciec zaraz mu sójkę w bok dał, że za wcześnie z tym wyskoczył, ale już słowa padły.

– Dobrze, że ktoś o swoje, nasze się upomniał – złągodził kowal. – Bo kto o chłopca się upomni? A chłopca w taką rozpacz czasem wpada, że i rozwagę traci.

– I młynarz stracił! Święty by stracił! – dopowiedział Wicek. – Z czego miał żyć? Dobrze młynarz zrobił.

– Dobrze, że młynarz zabił dziedzica? – upewnił się Antoś.

– A jak! A bo dziedzice to zło! – zakrzyknął znowu Ćwiartas. – Dobrze, że któremuś pokazali jego miejsce!

– Tamten dziedzic był dobry – odpowiedział mój mąż. – Nigdy i nigdzie takiego nie było. Rozmawiał z nami.

– Bo mu się opłacało! – Błotnicki był cały czerwony na twarzy.

– A nam się opłacało rozmawiać z nim. Wyjaśniał.

– Młynarzowi wiele z tych pańskich objaśnień nie przyszło.

– Jemu akurat nie – przyznał mój mąż zgodnie z prawdą.

– I my właśnie w tej sprawie, Antoni – rzekł kowal. – Nie tylko dlatego, że młynarz jest moim zięciem, ale i dlatego, że o sprawiedliwość dla chłopca należy się upomnieć, bo kto inny się upomni?

Antoś nie odpowiedział.

– Młynarz w turmie siedzi, sąd go czeka. A my zbieramy, żeby jakiś sprytny adwokat przemówił za nim przed sądem. Grosz do grosza i uzbieramy.

Mój mąż nadal milczał.

– My, chłopci, musimy trzymać się razem – odezwał się po raz pierwszy Podwójny Władek.

– W jedności siła, choć parę groszy dajcie, Antoni – dodał kowal.

– Ja wiem, że młynarz miał swoje racje – odpowiedział dopiero wtedy Antoś, bo myślenie w tej sprawie zajęło mu niemało czasu. – Rozumiem, że był w wielkim gniewie. Ale popełnił grzech zabójstwa. Wielki grzech, śmiertelny. I dlatego nie dam na obronę mordercy, wybaczcie. Zabił. Tego się obronić nie da.

Głową pokręcił, żeby było dobitniej.

– Zastanówcie się, Antoni – namawiali, ale wiedziałam, że są bez szans.

– Już się zastanowiłem. I powiedziałem.

– Wasza wola, sołtysie. Wasza wola – mówili, ale popatrywali na Antosia, na nas nieprzychylnie. Ze zmarszczonymi czołami poczęli wychodzić z naszego obejścia.

– Dziedzicowy sługa! – słyszałam pokrzykiwania z drogi, a Ćwiartas wrzeszczał najgłośniej. – Zawsze się panu podlizywał!

W głowie i w sercu wielkie miałam pomieszenie.

Spojrzałam na Antosia.

– Mogłeś dać parę groszy. Żebyśmy mieli spokój we wsi.

– Jakoś nie zależało ci na spokoju, gdy Malinichy broniłaś.

– A tobie wtedy na spokoju zależało dużo bardziej. Coraz częściej cię, Antoś, nie rozumiem.

– A ja coraz częściej nie poznaję dziewczyny, którą brałam za żonę. Zasady to zasady, Hanka. Trzeba je mieć.

Aż mi się ciemno przed oczami zrobiło ze złości. Mogłam zacząć na niego krzyczeć, mogłam sobie od niego pójść. Więc poszłam.

Usiadłam w chacie Malinichy i starałam się nie tęsknić za przeszłością.

Szczepan Józwiak

Zośka została sama. Młyn podupadł bez wody, parobków więc rozpuściła, bo z czego by ich utrzymała. Cóż więc robić? Wróciła do kowalów. Z całego tego małżeństwa zostało jej trochę sukien porządnych i butów, kozuch, domowe sprzęty, dwa lata syte za sobą, jedno dziecko na Pustyni pochowane i kilka worków mąki, co je jeszcze zmełli, gdy młyn pracował. Reszta na carskie sądy poszła, żeby wybronić młynarza, no i na spłaty długów, których ostatnio narobić zdążyli. Wróciła więc Zośka do rodzinnego domu, a kowal wcale się z tego nie ucieszył. Ponoć krzyczał, że to wszystko jej wina, bo o męża zadbać nie umiała, ponoć Zośka dzień w dzień w domu rodzinnym płakała, tak ludzie mówili, ale jej nie oglądałem, bo z domu wcale nie wychodziła, a ja tam nie śmiałem zajść.

Potem młynarza powiesili gdzieś w więzieniu, w odległym mieście, więc Zośka została wdową. Nadal jednak nosa za próg nie wystawiała, wiem, bo przechodziłem tamtędy często, nawet gdy mi było nie po drodze, i w okna bezskutecznie ślepiłem, starając się zapomnieć, że dzień mojego ślubu zbliża się coraz szybciej. Stałem w mroku i patrzyłem w kowalowe okna, czekając nie wiadomo na co.

I jakoś to właśnie wtedy starego kowala, ojca Zośki, szlag trafił. W latach już był, bo mocno pod pięćdziesiątkę, w pracy się nie oszczędzał, więc choć mocarny się wydawał, to jednak przyszedł czas na niego. Może też i ta zgryzota z Zośką, co bogato za męża wydana, biedna i pogiębiona do domu wróciła, i to jako wdowa po



mordercy, tak na niego podziałała. Tak czy siak – zmarł, i to zmarł nagle. A jak to się stało? A po kowalsku. Ludzie mówili, że dźwignął końskie kopyto, koń, jak zwykle, wsparł się na nim. Kowal już się pochylał, by podkowę zacząć w kopyto wbijać, gdy nagle stęknął, czerwony na twarzy, coraz czerwiejszy, aż skulony padł bez ducha na ziemię, pod tym koniem właśnie. Koń, zwierzę niegłupie, zaraz się cofnął, żeby dodatkowej szkody nie narobić, kowalczyki krzyczały do ojca, po twarzy klepały, ale ten nic, a gdy mu młot kowalski do ust przyłożyły, parą się nie chciał pokryć.

I już nie było kowala.

## Zośka kowalów

Dawno, gdy byłam mała, myślałam, że rodzice i ksiądz nie mówią wcale o Opatrzności, lecz o Opaczności. Opaczność, tak to wtedy rozumiałam, jest wielką siłą, która człowiekowi zawsze na opak robi. Latem, gdy gorąco, Opaczność jeszcze przygrzewa. Zimą, gdy mróz, jeszcze wiatru doda, a przecież taki chłodny wiatr, co by latem człowiekowi ulżył, to Opaczność woli wysyłać, gdy powietrze jest mroźne. Opaczność chyba nawet z Panem Bogiem mieszka, bo ludzie, mówiąc o niej, zawsze wznoszą ku niebu oczy, a więc może to jakaś złośliwa Pana Boga żona czy ciotka albo i córka niewydarzona, co dokuczyć każdemu lubi. Tak zawsze myślałam, gdy byłam mniejsza i czasem nawet z lękiem do Opaczności się modliłam, bo lepiej złośliwego ułagodzić niż starać się przypodobać dobremu, tego byłam pewna, gdy na klęczkach przy łóżku mamrotałam wezwania do tej dziwnej świętej.

Teraz już co prawda wiedziałam, że nie o żadną Opaczność chodziło, ale nagle znowu zaczęło mi się wydawać, że gdzieś tam

w górze mieszka ktoś, kto tylko czeka, żeby robić człowiekowi na przekór, a już mnie najbardziej. No bo za mąż poszłam, choć wcale nie chciałam, nikt mnie nie słuchał, choć krzyczałam i płakałam. Gdy postanowiłam się w końcu z losem pogodzić i być młynarzowi najlepszą żoną, skoro już jego żoną być musiałam, wydarzyło się to nieszczęście z dzieciątkiem, co to urodzone w takim trudzie zaraz zmarło. A potem obrywałam od męża już za wszystko, pewnie i dlatego, że przestałam się starać, bo sił brakło. Wiedziałam jedno: powinnam szybko znowu zaciążyć, żeby móc jakoś tam żyć w młynarzowym domu, ale jak to zrobić, skoro nie tylko przytulić się do męża nie byłam w stanie, ale nawet spać nie mogłam u jego boku, bo pachniał tak, że mi się na wymioty zbierało. Zresztą i on do tego kochania przestał się garnąć zupełnie, niemoc go jakaś męska opanowała. Może to i lepiej, myślałam, bo zamiast leżeć spokojnie u jego boku, walczyłam z mdłościami i chęcią ucieczki, zamiast spać, stałam godzinami przy kuchennym oknie i marzyłam, że jestem gdzie indziej. Nie, nie brudem młynarz śmierdział, bo przecież mył się jak nikt, co wieczór po pracy, nie raz w tygodniu, jak każdy chłop, tylko dzień w dzień wieczorem wodę na mycie grzać mu musiałam. Mnie też kazał obmywać się szmatką codziennie, od stóp do głów. Ale gdy przybliżałam twarz do mężowskiego policzka, by go ucałować na powitanie, bo tego ciągle wymagał, czułam zapach jego skóry, włosów, oddechu, kiedyś się tymi woniami zachłysnęłam, że musiałam biec za dom i wszystko wyrzygać.

I wtedy w moje życie znowu wkroczył Szczepan.

Gdy zobaczyłam uszatka pod oknem, nie uwierzyłam. Śni mi się, zrazu pomyślałam, znowu mi się śni mój dawny chłopak, bo

w snach wracał do mnie często, budziłam się wtedy rozgorączkowana i dopiero gdy spojrzałam w bok, na drugą poduszkę, stygłam i pochmurniałam. Więc Szczepan pod oknem, co nie do uwierzenia, tym bardziej że gdy przymknęłam oczy, po czym je otworzyłam, już go nie było, zniknął tak nagle, jak przyszedł. Następną nocą pobiegłam do okna i znowu zobaczyłam ciemną postać przy płocie, ach, jak się ucieszyłam! Gdy potem zasnęłam z widokiem Szczepana pod powiekami, wyspałam się, jak już dawno się nie wysypiałam, choć młynarz nadal mocno pachniał sobą i pochrapywał obok. Tyle miałam teraz z życia: ciemną postać, która co noc pojawiała się pod płotem specjalnie dla mnie. Do mnie przychodził, do pyskatej Zośki, nie do nieudanej młynarzowej żony.

A potem któreś nocy wyszłam za furtkę i dzięki Szczepanowi przypominałam sobie, kim byłam przedtem, o, jak bardzo znowu byłam sobą.

I nawet dla męża potrafiłam być miłsza w dzień, gdy miałam Szczepana w nocy.

Sił do życia nabrałam, choć przecież teraz prawie nie spałam.

Przy gotowaniu znowu zaczęłam śpiewać, wcale nie jakieś tęskne piosnki, tylko wesole, skoczne, jak niegdyś, przed ślubem. Myślałam, że Opaczność już o mnie zapomniała, już mi odpuści, chociaż na jakiś czas. Ale nie. Bo mąż, zamiast się cieszyć, że wydobrzałam i jakoś nam się zaczęło układać, nabrał podejrzeń. A potem już wiedział, chociaż nie wiem skąd.

– Takiego chłystka, takiego gołodupca, takie nic wolałaś ode mnie!

Nie odpowiadałam, znosiłam mężowskie razy w milczeniu, w spokoju, co podjudzało go jeszcze, bił więcej, mocniej, nie tylko

po tyłku i plecach, twarz jedynie oszczędzał, żebym mogła się we wsi pokazać. Przed porodem czasem mu oddawałam, silna przecież byłam jak na dziewczynę, teraz jednak już mi było wszystko jedno. Cierpiałam w milczeniu, bo gdy się nie odszczekiwałam, bicie trwało krócej. Twarz oszczędzał, ale ja i tak teraz z domu niemalże nie wychodziłam, bo co miałabym odpowiadać na ludzkie pytania: „Co słyhać?”. Krzątałam się po kuchni, tyle wyszłam, co do warzywnika, kurnika i chlewika, odprowadzana podejrzliwym spojrzeniem młynarza.

Tylko że wtedy nie wiedziałam, że nadejdą jeszcze gorsze czasy.

Mąż, który dręczy i bije? Niejedna w okolicy cierpiała to samo, a ja przynajmniej głodu nie miałam. Tyle że niedługo potem z szanowanej młynarzowej stałam się żoną mordercy. Nikt już głowy przede mną nie skłonił ani słowa ze mną nie zamienił, sąsiedzi zerkali podejrzliwie, parobkowie bez szacunku, a już najgorzej, że ekonom wilkiem patrzył, jakbym to ja dziedzica zabiła, a nie mój mąż. Owdowiałej dziedzicze starałam się przed oczy nie pchać, już nie siadałam w pierwszej ławce w kościele, jak za życia męża, teraz przytulałam się do ściany w przedsionku, żeby nikt mnie nie zauważył. Ale widzieli. Gadali. Nie do mnie, do mnie już nikt się nie odzywał, za plecami gadali.

– To przez ciebie! – krzyczał ojciec. – Sama jesteś sobie winna, że to wszystko się stało! Dostałaś godnego męża i bogactwo na talerzu, a wszystko zmarnowałaś! Ani dzieciaka, ani chłopca upilnować nie potrafiłaś!

Krzyczał i krzyczał, a ja nawet nie miałam siły odpowiedzieć.

Krzyczał i krzyczał, coraz na twarzy czerwiejszy.

Krzyczał i krzyczał, aż w końcu umarł.

Też przeze mnie? Na wszelki wypadek nikogo o to nie pytałam.

Straciłam już zupełnie wszystko. Dziecko. Młyn. Męża. Majątek po mężu. Ludzki szacunek. Ojca.

Zostali mi bracia i siennik w kuchni.

Opaczność nie ma już mi czego zabrać, myślałam teraz. Jestem wreszcie bezpieczna: już mi nie ma czego zabrać.

I wtedy zauważyłam, że zaczyna mi rosnać brzuch.

## Szczepan Józwiak

Pusta noc, gdy ciało kowala wystawili na deskach w paradnej izbie, ściągnęła chłopów z kilku wsi. Bo to i ludzi się spotykało, i cudzą chałupę odwiedzało, i na poczęstunek można było liczyć, a potem rozmawiać o tym, jak nieboszczyk wyglądał i jak się rodzina przy zmarłym zachowywała, zawsze jakaś atrakcja.

Wyszykowałem się szybko: wymyłem do pasa, czystą koszulę założyłem, włosy przygładziłem mokrą dłonią, spodnie założyłem te niedzielne, a potem popędzałem rodziców, że zaraz, natychmiast, musimy już wychodzić, aż patrzyli na mnie zaskoczeni, bo przecież na żadne puste noce nigdy aż się tak nie spieszyłem.

Stary kowal leżał na deskach dziwny na twarzy, oczy nie bardzo mu się przymykały mimo monet na powiekach, włos przetykany siwizną miał zjeżony, ubranie czyste, obrazki święte na piersi, wielkie dłonie związane różańcem. Kowalczyki kręciły się po chałupie, po podwórzu, wódką za zmarłego częstowały, a Zośka trwała przy trupie ojca, nieobecna jakby, nie płakała, oczu nawet czerwonych nie miała, oddzielna jedynie była od wszystkiego, jak zanurzona w miodzie. Gdy powiedziałem z progu: „Niech będzie

pochwalony”, drgnęła, oczy na mnie podniosła, po czym poczerwieniała i wzrok spuściła.

Gapiałem się na nią jak głupi, choć wiedziałem, że nie powinienem.

– Na wieki wieków amen – wymamrotała w końcu. – Na wieki wieków.

Siedziała u wezłowania, wpatrzona w podłogę, czasem komuś rękę uścisnęła, zgnębiona jak nigdy, to już nie była ta zwycięska Zośka w oknie czy dziewczyna triumfująca nade mną w stogu. Teraz wyglądała, jakby jej kto w brzuch przyłożył i jeszcze zaraz poprawił.

Niby wódkę za zmarłego wychyliłem z kowalczykami, i drugą, z innymi chłopakami, niby się po izbie rozglądałem, przed znajomymi, sąsiadami głowę skłaniałem, ale spojrzenie ciągle wracało mi do Zośki, dziwnie bladej, dziwnie dorosłej, dziwnie nieswojej i dziwnie słabej, co chwila podpierającej się o deski, na których spoczywał jej ojciec.

Gdy po paru pacierzach do izby weszła Henia z rodzicami, Zośka drgnęła po raz drugi. Henia pokłoniła się zmarłemu i jego córce, po czym podeszła do nas, Józwiaków.

– Witajcie – powiedziała do wszystkich, ale patrzyła tylko na mnie.

Czułem się jednak taki pusty, że nawet udawać nie próbowałem. Spojrzałem na nią, potem wzrok spuściłem i, stojąc obok przyszłej żony, marzyłem, żeby przytulić inną.

Heńka pociągnęła mnie za rękaw na podwórze.

– Przecież widzę, co się dzieje. Chcę wiedzieć jedno: pokochasz mnie z czasem?

Nie miałem siły jej ranić, ale nie potrafiłem potwierdzić, więc milczałem, patrząc w piach podwórza.

Tak, wiedziałem, że Henia jest dobrą, uroczą dziewczyną, piecze pyszne kołaczki, doi krowy dokładnie i szybko, skrzętnie gromadzi zapasy i umie się nimi rządzić. Mieliśmy razem prowadzić gospodarstwo czynszowe, jako pierwsi swojacy w okolicy, wiedziałem, że dziewczyna będzie się starać, a ja powinienem ją kochać i szanować. Co z tego, skoro w jej obecności zamiast powietrza czułem czerń w powietrzu, gęstą jak smoła, i takąż duszącą?

Henia też ją chyba czuła, bo westchnęła ciężko, raz i drugi.

Naraz na ganek wyszła Zośka. Spojrzała w niebo, a potem na mnie, na nas. Z rozpaczą.

Już nie umiałem oderwać od niej wzroku.

## Część szósta. Rok 1834, czas zamieszania

*Aleksander Fredro we Lwowie po raz pierwszy wystawia Zemstę, a poeta o wzrastającej sławie, Adam Mickiewicz, publikuje w Paryżu Pana Tadeusza. Car świętuje ukończenie budowy Cytadeli, rosyjskiej twierdzy w Warszawie, a w Krakowie Senat zabrania wypasu bydła na Plantach.*

*W Stanach Zjednoczonych zostają opatentowane żniwiarka oraz maszyna do siania kukurydzy. W Bath umiera Thomas Robert Malthus, który twierdził, że im więcej rodzi się ludzi, tym bardziej zagraża im głód – ziemi przecież nie przybywa. Dlatego, w celu uniknięcia klęski głodu, nie należy zachęcać nikogo do rozmnażania, zwłaszcza za pomocą filantropii.*

*Naczachowem włada wdowa dziedziczka, a właściwie jej ekonom, którego nie obchodzi maltuzjanizm, bo na zmeliorowanych terenach coraz bardziej brakuje chłopskich rąk do pracy.*

Szczepan Józwiak

Jedną z najsmutniejszych, najbardziej rozczarowujących rzeczy na świecie jest odwołany ślub. Pustka po niespełnionych obietnicach jest dotkliwa jak pustka po uciętej nodze u człowieka. Tego się po prostu nie robi, ślubu się nie odwołuje, nawet kiedy człowiek nie do końca jest przekonany, słowo się rzekło i tyle. Nie wolno zawieść rodziców, swoich i narzeczonej, gości zaproszonych, co się już z życzeniami szykują, odświętne stroje z pyłu skrzyni i z moli otrzepali, buty skórą słoniny wysmarowali albo nowe łapcie ze



słomy wypletli. Stodoła, którą już zdążyliśmy umaić choiną, żeby pięknie na wesele wyglądała, teraz wygląda głupio, jak starucha, co się w wianek z kwiecica ustroiła na tańce, na które nikt jej nie zaprosił. A wszystkie koguty, gęsi i świnia, co życie straciły, by iść na weselne stoły? Na próżno gdakały ze strachu, gdy siekiera na szyję im spaść miała. A muzykanci? Na próżno smyczki do gęśli i basetli łojem smarowali.

I te pytania, wszędzie, od każdego, w całej wsi.

– A co to się tam u was stało?

– Ty czy ona? A może rodzice? Kto się rozmyślił?

– A może ta Heńka jakaś felerna?

– A może Szczepan nie taki?

– A może rodzice o posag się pożarli?

– A może się co do pola nie dogadali?

Matula, smutna i niezadowolona, próbowała mnie zrozumieć:

– Może to i lepiej. Choć wstyd przed całą wsią i sromota i oczami będziemy długie miesiące świecić. Wrogów żeśmy sobie z całej rodziny Heni narobili i z reszty Skarbanowa pewnie też. Śmiech przed ludźmi i latami będę się tłumaczyć, o co wam poszło, ale może i lepiej tak, niż całe życie miałbyś bez kochania żyć.

– Miłość może przyjść po ślubie – protestował ojciec. – A ze sromotą na wsi żyć trudno.

Bałem mu się pod oczy podejść.

– Żebyś chociaż się zdecydował, zanim żeśmy wieprzka ubili.

– Sprzedać możemy przecież te szynki, salcesony i kaszanki – stwierdziła mamusia. – Na targ pojedziemy, sprzedamy.

– A bo to wypada tak handlować jak Żydowi jakiemuś?

– To Żydowi sprzedamy któremuś z Izbicy.

– Świninę?!

Nic się nie układało.

I znowu, i od początku pytania:

– Szczepan, co cię opętało, żeby ślub odwoływać? Masz kogoś? A może do wojska chcesz iść? – wykrzykiwał ojciec, który w końcu zdecydował, że w przeprosinowym prezencie większość mięsa zanieśie Heni do domu. Choć tak może uda się ich ułagodzić, żeby wrogami nasze rodziny na zawsze nie zostały. Trudno, ludzkie lubienie i poważanie więcej warte niż ta świnina, której nie zjemy.

Tylko Janek z Janką pętko kiełbasy dostali i żuli ją, pachnąc wędzonką. Ja sam nie śmiałem poprosić matki o kawałek dla siebie, wiedziałem przecież, że nie mam prawa.

Wstyd dziwna sprawa. Czasem nic zrobić nie trzeba, żeby spaść na ciebie. Czasem wystarczy właśnie czegoś nie zrobić. Nie czułem go jednak. Troskałem się o rodziców, smutny patrzyłem na ich markotne twarze, na gniewnie zmarszczone ojca brwi, ale poza tym nic nie czułem poza ulgą, że nie będę się musiał z Heńką do łóżka kłaść. Tylko tyle we mnie było – ulga. Siedziałem potem na przyzbie między Janką i Jankiem, czułem ich swojski zapach zmieszany z wonią niedoszłej weselnej kiełbasy i oddychałem z ulgą, że już nic nade mną nie wisi. I dopiero wtedy odważyłem się pobiec do domu kowalów.

Wieczór był, zima, mróz, więc w chałupie powinni wszyscy siedzieć, ale ciemno było u nich, furtka zamknięta, z kuchni tylko lekka poświata biła, pewnie w piecu palili, ale że tak po ciemku siedzieli? W zamożnym kowalowym domu? Nasłuchiwałem przez chwilę. Cicho. Pies nawet nie zaszczekał, pewnie przed zimnem do budy się schował i nie miał zamiaru na michę żarcia w taką pogodę

zarabiać. Ki diabeł, zastanawiałem się. Wejść? Nie wejść? Jeśli wejde, na języki ją wezmą, że świeżą wdowę już kawalery odwiedzają. Jeśli nie wejde... Nie wszedłem jednak.

Stałem tam, aż nóg nie czułem z zimna w łapciach słomianych, co to nie grzały, w tej kapocie, co grzała tylko trochę, ale czekałem, by mi się Zośka objawiła. Po długim czasie objawiły mi się jednak tylko na drodze kowalczyki, hałaśliwe i pijane, z karczmy zapewne wracające, szerokim łukiem po śniegu zawijające. Weszły, i w domu łuczywo zapłonęło, cienie kowalczyków widziałem, ale gdzie Zośkę chowali?

Następnego dnia czuwałem przy strudze, gdzie baby po wodę chodziły, ale nie Zośkę, tylko komornicę kowalów z wiadrami ucapiłem. Zagadnąłem ją zaraz, a ona mocno się rozgadała.

– A leży ta nasza biedna Zośka, nawet do pieca nie dorzuci, nawet obierki z ziemi nie podniesie, nawet do jedzenia nie wstanie, leży, jakby chora miała być, a może ona i chora, ja tam nie wiem, bo nie gada, z nikim nie gada, odkąd stary kowal umarł. Ale co się dziwić, tyle lat z mordercą przeżyła, taki wstyd, taka zgryzota. I co jej z tego przyszło?

I tak się zapamiętywała w tych Zośczyńskich nieszczęściach, jakby jakieś pokrzepienie z nich czerpała.

Łaziłem pod dom kowalów co noc, trochę z duszą na ramieniu, że któryś z kowalczyków z pyskiem wyskoczy, ale i z nadzieją, że Zośka wreszcie zrozumie, wstanie i wyjdzie do mnie. Aż wreszcie którejs nocy zrozumiała. Szła do furtki jakoś inaczej niż zawsze, ostrożniej, wolniej. Niepewnie. Przystopowałem do niej.

– Nic z tego, Szczepan, już nie będzie.

– Ale ja swaty chcę słać do ciebie.

– Odrzucę.

Po co tak kpi ze mnie? Zaśmiałem się.

– To nie jest śmieszne, Szczepan. Nie wysyłaj, bo wstyd będzie.

– Zośka, co ty opowiadasz?!

– Nie mogę...

Coś chciała jeszcze powiedzieć, nic jednak z tego nie wyszło, bo uderzyła w płacz, moja niegdyś silna, waleczna Zośka uderzyła w płacz. A ja niczego z jej słów nie rozumiałem.

– Czego nie możesz?

– Iść za ciebie.

– Ale dlaczego?!

Spojrzała w niebo, szukając pomocy, ale niebo, jak zwykle, milczało.

Pokręciła głową, oczy i nos rękawem wytarła. Spojrzała na mnie, a oczy lśniły jej jak księżyc w strudze. I wreszcie powiedziała.

– Przy nadziei znowu jestem.

Aż złapałem się za głowę, pobiegłem w pola, biegałem po śniegu i wrzeszczałem w niebo z tego pomieszania, nienawidziłem jej, młynarza i siebie, a już świata, tak trudnego do życia, niesprawiedliwego, nienawidziłem najbardziej. Do płotu kowalów wróciłem dopiero, gdy cały ból wywrzeszczałem.

Zośki już jednak przy furtce nie było, tylko ślady jej drewniaków w śniegu zostały.

I później już się nie pokazała, choć warowałem pod kowalów płotem jak pies. Nawet przez okno nie wyjrzała. Zniknęła.

Mogła z łóżka się nie podnosić, mogła za stodołę nie chodzić, mogła nawet do okna nie podejść, do kościoła jednak iść musiała. I w niedzielę poszła, otoczona kowalczykami, buńczuczными jak

zwykle. Wcale nie było widać, żeby w pasie pogrubiła, zgaszona tylko była, niewesoła, całą troskę na twarzy niosąca. Ludzie do niej nie podchodzili, wiadomo, wdowa po mordercy, który przeciw dziedzicowi wystąpił, to niedobre towarzystwo. Szła więc z głową pochyloną między braćmi, których, na pozór przynajmniej, żadne zmartwienie się nie imać, szła, bo musiała.

Zostałem z tyłu za rodzicami, za kolejnymi ludźmi znowu, wreszcie zrównałem się z kowalczykami. Zaraz na mnie spojrzeli, że o co chodzi.

– Mam z Zośką do pogadania.

– Ale ja nie chcę! – spłoszyła się.

– Ale ona nie chce! – krzyknęły kowalczyki. – I my też nie. Pieniądzy na adwokata nie daliście, nie będziemy z wami gadać.

Zatem odezwałem się do Zośki nad głowami kowalczyków:

– Dobrze, żeby pogrobowiec miał ojca. I ja nim będę. A tobie dobrym mężem.

Mówiłem to z całą mocą moich dwudziestu lat.

– Pogrobowiec? Jaki pogrobowiec? – krzyknęły kowalczyki. – Młynarz z brzuchem cię zostawił?

A jej łzy się z oczu puściły, kobieta ulewa, kobieta studnia, panna wodna. Już nie panna, zaraz się poprawiłem. Już nie panna, ale i tak ciągle jej chciałem, coraz bardziej nawet, choć już pyskata nie była ani buńczuczna.

– Tak, przy nadziei jestem. I dajcie spokój, odstępście mnie na chwilę.

Odstąpili, choć niechętnie, stale się na nas oglądając, między sobą mało życzliwie pogadując. Szedłem u jej boku, próbując jej w twarz

zajrzeć, ale tak się chustką owinęła, że widziałem tylko czubeczek nosa.

– Zośka, ja swoją prośbę podtrzymuję i swatów chcę słać do ciebie. Tylko obiecaj, że ich przyjmiesz, bo moi, matula z ojcem, więcej wstydu ode mnie nie zniosą.

– Po co ci to, Szczepan? Wszyscy będą mówić, że pogrobowca po mordercy wychowujesz.

– Młynarz wstrętny mi był, ale dzieciaka po nim pokocham. Ja już sobie kiedyś obiecałem, żeby nie słuchać, co ludzie gadają, tylko robić swoje.

– Kiedy sobie obiecałeś?

– Gdy Malinichę z Isią ze wsi wypędzali. Wtedy sobie przysięgłem, wodę i las za świadków biorąc, że już nigdy nie będę robił tego, co wszyscy, tylko swoje, jeśli uznam to za słuszne.

– I uważasz ślub ze mną za słuszny?

– Tak właśnie.

– Bo litujesz się nade mną, co? – Nagle w jej głosie usłyszałem dawną dumę, dawną zadziorność, spojrzałem na nią, zobaczyłem, że i ona zerka na mnie z cienia chustki. Zaraz też głowę spuściła, oczy ukryła, ale już wiedziałem, że ta dawna Zośka, co całą wsią rządziła, jednak nie zniknęła ze szczętem.

– To nie litość, Zośka. To nie litość. Litość do Heńki czułem, że musi mnie znosić, choć jestem jej niechętny. Wtedy to była litość. Teraz nie.

– Więc co to jest, Szczepan?

– Coś mocnego, co ludzi do ołtarza prowadzi, razem ich do łóżka kładzie, a potem daje im siłę na wspólne wychowywanie dzieci.

Tyle jej powiedziałem, ale chyba się nie spodobało, bo głowę ode mnie odwróciła, kroku przyspieszyła. Więc znowu się odezwałem, głośniejsze, dobitniej:

– Zośka, przecież wiesz, że nie lubię dużych słów, wolę słowa mniejsze, bo ważne, co się robi, a nie co się mówi. A wiem, co chcę zrobić. Ożenić się z tobą. A dzieciak dobrze, żeby miał nie tylko matkę, ale i ojca. Razem go wykierujemy na ludzi.

Aż się zatrzymała, wyprostowała, spojrzała na mnie, kiedym i ja przystanął. Chustkę poprawiła, więc znowu widziałem jej twarz.

– Będą mówić, że do młynarza podobny.

– Jeśli i trochę będzie podobny do ciebie, zniosę to.

– Pewien jesteś?

Kiwnąłem głową i powiedziałem „tak”, uroczyste jak w kościele, choć jeszcze do niego mieliśmy daleko.

– Tylko ty jeden będziesz wiedział, że to nie pogrobowiec. Zniesiesz to?

– Jak to nie pogrobowiec?!

I wtedy się dowiedziałem.

– Matulu i ojcie, chciałbym swaty posłać – powiedziałem rodzicom, gdyśmy z kościoła do domu wrócili.

– Znowu? – zmartwiła się matka.

– Znowu?! – huknął ojciec. – Drugi raz takiej sromoty nie przeżyję. I świniaka już nie mamy. Wstrzymaj no się kapkę, synu, przemyśl może trochę, zanim co zrobisz.

– Całkiem już przemyślałem.

– A kogo zamiast Heni chciałbyś do rodziny zaprosić? – spytał ojciec gniewnie.

I się dowiedział.

– Nie ma na to naszej zgody! – huknął i walnął pięścią w stół.

– To jest bardzo niedobry pomysł, synu – powiedziała matula. – Wdowa po mordercy! Dziedzica zabił! Dziedziczka już nigdy na nas łaskawie nie spojrzy!

– A kiedyś patrzyła?

– A ty się pyskaty jak Zośka zrobiłeś.

– Bo wy zawsze chcecie z dworem dobrze żyć.

– Tak trzeba!

– Nie trzeba wcale! Popatrzcie, jak inni sobie z dziedziców żarty robią, w pracy na pańskim siły oszczędzają, a wy nie, harujecie na dziedzicowym jak na swoim.

– To się nazywa uczciwość.

– I co z tego macie?

– A co będziesz miał ze ślubu z wdową po mordercy? Nie ma na to naszej zgody!

Krzyczeli, ale nic nie słyszałem, jakbym pod lodem siedział, gdzieś głęboko, gdzie tylko o Zośce można myśleć.

Hanka Józwiakowa

Tatulu, proszę, nie upierajcie się, pošlijmy do Zośki swatów!

Tak błagał nasz syn, tak nocami płakał, gdy myślał, że nie słyszemy, że już chciałam zęby zagryźć i się zgodzić. Ale Antoś się zaciął:

– Nie. Powiedziałem.

Mimo naszej odmowy Szczepan uparł się łązić do Zośki, ale jej bracia pogonili go od razu. Nie on mi o tym powiedział, bo ostatnio nic w domu nie gadał, lecz Wickowa, która, mieszkając nieopodal, słyszała wrzaski rozeźlonych kowalczyków aż u siebie w kuchni. Nie



byłam pewna, czy Wickowa współczuje Szczepanowi, czy raczej się z nas po cichu podśmiewa, podejrzewałam jednak, że to drugie, bo nieodrodna była z niej córka Jamiołowej, która cieszyła się najbardziej, kiedy bliźniemu coś nie szło.

Zły był to czas, bardzo zły. Antoś zmartwiony chodził i zawstydzony, mnie się płakać ciągle chciało, a Szczepan, kiedy go kowalczyki od siebie wyrzuciły, leżał chory, jakby chorował naprawdę, a nie tylko na zauroczenie młodą wdową, teraz na domiar złego brzemienną. Staralam się to zrozumieć. Pamiętał pewnie ciągle, jak się niegdyś z Zośką lubił włóczyć po lesie, a że teraz była smutna i w potrzebie, wróciły mu dobre uczucia do niej. Pewnie też wydawała mu się bardziej pociągająca, bo po tragedii z młynarzem zmieniła się mocno, ucichła, no i wyładniała – już nie wyglądała jak rumiany Ćwiartas z warkoczami, zeszcupiała ze zgryzoty, a jej niebieskie oczy wydawały się ogromne w bladawej twarzy otulonej chustką. Ale na razie Szczepan znowu się w sobie pograżył, znowu z łóżka wstawać nie chciał. Jeśli już jednak powlókł się w pańskie czy w nasze pole, to pracował jak nieprzytomny, w zapamiętaniu jakimś dziwnym, niezdrowym. A po robocie siedział godzinami z Jankiem i Janką na progu stodoły, gdzie na przemian to w ciemne niebo patrzyli, to w ziemię oczyska wlepiali.

– Od lat tu sołtysuję i zawsze miałem mir we wsi, a teraz się za plecami śmieją, że mi syna na stare lata boginki zamieniły, a ja go nie umiem przyprowadzić do porządku – żalił się Antoś, tak żeby i Szczepan słyszał, ale do młodego nic nie docierało.

– Może i faktycznie boginki go opętały? Albo i czyjeś złe oko go urzekło? – zastanawiałam się. – Szkoda, że Malinichy już u nas nie

ma, prawda, mężu? Ona by wiedziała, co robić.

Nie odpowiedział, usta tylko zacisnął, jak zawsze, gdy m o Malinisze gadała.

– Ale może warto gdzieś dla odczynienia uroku go zawieźć? Jeśli nie pomoże, to i nie zaszkodzi.

– Oj, Hanka. Kiesie naszej na pewno zaszkodzi. Wiesz, ile te znachory biorą? A trzeba by przecież jechać gdzieś dalej, bo tu się zaraz wśród ludzi rozniesie.

– Na syna żałujesz?!

Wreszcie Antos dał się namówić. Powieźliśmy Szczepana do znachora aż za Izbicę.

Brama była otwarta, więc wjechaliśmy na podwórze i, zostawiwszy zaprzęg pod płotem, weszliśmy do chałupy uzdrowiciela. Z wierzchu wyglądała jak wszystkie, ale w środku – zupełnie inaczej. Izba świeżo pobielona, co jednak trudno zauważyć, gdy tyle świętych obrazów ze ścian na człowieka patrzyło, święte panienki, święci mężowie i święte dzieciątka, w tym tłumie obrazów już nawet pewna nie byłam, który z brodaczy to Jezus, a która z kobiet o błękitnych oczach to Maryja. Znachor sam wyglądał jak święty mąż, w sukni do księzowskiej podobnej, z dłońmi złożonymi do modlitwy, niespracowanymi, jak u księdza. Dygotałam z przejęcia, Antoni też z nerwów kapelusz miał w dłoniach, tylko Szczepan nieporuszony się wydawał, nawet wtedy gdy znachor kazał mu położyć się na stole, a sam zapalał poświęcone świece, mamrocząc pod nosem święte słowa. Szczepan tak na tym stole wyglądał, jakby już umarł, przez co jeszcze bardziej zaczęłam się trząść, złapałam Antosia za ramię i patrzyliśmy, co się dzieje. A nasz syn dygotać zaczął z przemoczenia, bo znachor kropił go obficie

wodą święconą, a potem jakieś ziółka podpalił w garnuszku i dymił nimi, chodząc dookoła stołu. Tchu nam zabrakło, a Szczepan aż się zakasał.

– Działa! – krzyczał święty mąż. – Mocą boską działa! Mocą boską niemoc zabieram od tego młodzieńca!

A mnie od tego krzyku aż dreszcze po krzyżu poszły, było to dużo bardziej przejmujące niż skromne czary Malinichy. I zaiste, gdy znachor przestał kadzić, a Szczepan tchu nabrał, od razu zaczął wyglądać trochę zwawiej.

Znachor jeszcze sprzedał nam flaszkę wody specjalnie święconej, żeby Szczepan pił po trzy łyki rano, w południe i z wieczora, a jak mu się nie poprawi, to i po drugą porcję wody możemy przyjechać, z tą samą flaszką, wtedy będzie taniej, co mi się wydało uczciwe.

Na drugi dzień jednak Szczepan znowu wyglądał tak samo niemrawo jak przed wyprawą do znachora.

– Pij świętą wodę – przypominałam i podsuwałam mu do ust. – Pij!

Głowę podnosił, przełykał i znowu na siennik opadał, nawet do kościoła nie chciał iść, choć akurat była niedziela.

– I cały wydatek na nic – westchnął Antoś, a ja mu tym razem nie mogłam zaprzeczyć.

Janek i Janka

Nie rozumieliśmy świata ludzi, ale rozumieliśmy Szczepana, jego bóle, jego radości wnikały w nas jak woda w płótno. Więc teraz też zaraz zrozumieliśmy, że Szczepan choruje na miłość i trzeba mu dodać siły, żeby o nią zawalczył. Cóż było robić, poszliśmy do kurnika i wybraliśmy ulubioną kurkę gospodyni, tę, co najlepiej

niosła, bo ofiara dla boginek nigdy nie mogła być byle jaka, nie chcieliśmy ich przecież obrazić, lecz zjednać je, by Szczepanowi siły oddały.

No i ofiarowaliśmy kurkę za Szczepana, za jej poświęcenie dziękując. Umierała w cichości, wiedziała, że oddaje życie za ważną sprawę, za dziecko nasze niezwykle, już dorosłe.

Hanka Józwiakowa

Chciałam jechać do znachora, żeby wypomnieć mu, że oszust, bo pieniądze wziął, a zdrowia nie wrócił, ale wtedy zniemacka stało się coś nieoczekiwanego – Szczepan wstał z łóżka. Oczom własnym nie wierzyłam, gdy brodę golił, wąs zostawiając, by poważniej wyglądać, i portek całych na drągu z odzieniem szukał.

– Dokąd idziesz?

– Załatwię, wtedy powiem, nie będę jęzora po próznicy strzępił.

Zupełnie jakby nie boginki, lecz znachor go przemienił. W dorosłego tym razem.

Zośka kowalów

Tamtego wieczora Szczepan wparował do nas do chałupy, taki mocny, zdecydowany. Bracia niechętni, siadać nie prosili, więc stał w progu, czapkę zdjął z szacunkiem, ale bez uniżenia, w oczy im patrzył i mówił rzeczy ważne, prawdziwe i trochę bolesne. Choć ostatnio mało co mnie bolało, bo mało co czułam w ogóle, to gdy patrzyłam na tego chłopaka, gdy go słuchałam, serce we mnie jakby odrobinę drgnęło.

– Siostra wasza jest przy nadziei. Zaraz będziecie mieć tutaj dzieciątko, pieluchy i płacze. Pewnie chcielibyście siostrze męża szybko znaleźć, ale wiecie sami, że nie tak łatwo wypchnąć za mąż wdowę po mordercy.

– No, uważaj, sołtysiaku, na słowa – obruszył się Ćwiartas.

– Uważam na każde, dlatego prawdę mówię. Wzięłby ją może ktoś, ale będzie to człowiek mało poczciwy, bo zdecyduje się głównie dla posagu. A wiem przecież, żeście na obronę młynarza mocno się wykosztowali.

– Żebyś wiedział! A ojciec twój grosza dorzucić nie chciał!

– I przez to szwagra żeśmy nie wybronili!

– Mój tatulo swoje racje miał.

– Uważaj sobie!

– Ale i wy rację macie.

– A jak! – zakrzyknął Ćwiartas.

– I z tym też rację macie, że nikt poczciwy teraz Zośki nie weźmie.

Nic takiego nie mówili, to on powiedział, ale po tych słowach nie wzburzyli się, tylko zaczęli potakiwać.

– No tak.

– Ja bogaty nie jestem, ale i z domu nie całkiem biedny. Uczciwy jestem i pracowity. I ja Zoşkę bym brał.

– Z posagiem?

– Ja nie o pieniądze stoję, tylko o siostrę waszą. Ile dacie, tyle dobrze będzie.

Na duszy zrobiło mi się dużo cieplej, prawie ciepło.

– A co ty tak, sołtysiaku, bez swatów załatwiasz? – zaperzył się nagle Ćwiartas.

– Bo i chcę wiedzieć, czy gdy swatów poślę, wstydu naszej rodzinie nie zrobicie, odrzucając prośbę.

Bracia odeszli w kąć izby pogadać między sobą.

– Na adwokata Józwiaki dać nie chciały.

– Ale młynarz i tak już nie żyje.

– Smarkacz ten Szczepan.

– Ale dobrze mówi.

– I dzieciak by nam w chałupie nie beczał.

– No i Zośka też, bo już wytrzymać z nią nie idzie.

– Bo inaczej kto ją weźmie z tym pogrobowcem?

Nie było mi miło tego słuchać, ale za to było miło patrzeć na Szczepana, gdy wyprostowany jak dziedzic, z płonącymi z przejęcia uszami i policzkami, walczył o mnie.

I wywalczył. Bracia się zgodzili.

Szybko zrozumiałam, że Józwiakowie wcale mnie jednak w rodzinie nie chcą.

Józwiakowa płakała, protestowała, namawiała, żeby Szczepan się rozmyślił albo żeby przynajmniej ze ślubem się nie spieszył, może z czasem mu przejdzie. Ale on zapowiedział, że jeśli nie ze mną, to nie ożeni się nigdy i z nikim, a do tego ślub musi być szybko, jeszcze zanim dzieciaka urodzę, i tak się upierał, że Józwiakowa w końcu przestała protestować, już tylko czoło marszczyła gniewnie, gdy zerknęła na mnie z ukosa, nigdy w oczy. Kiedy wróciłam do domu, nieraz sobie z tego powodu popłakałam, zwłaszcza że w ciąży człowiek ma oczy na mokrym miejscu, tak kiedyś Malinicha mówiła. Natomiast ojciec Szczepana w ogóle przestał się do nas odzywać, odwracał się tylko, wzgardliwie plecy mi pokazywał, tłumaczyłam, prosiłam, a on nic, jakby był głuchy.

Ale na pewno słyszał, co ludzie gadają. Nie o to chodziło, że naręczona w ciąży, to przecież wcale nie było rzadkie w tych stronach. Naręczona w ciąży z innym to już było dużo rzadsze. Ale brać dziewczę w ciąży z mordercą, gdy Szczepan miał możliwość poślubić Henię, nietkniętą sołtysównę ze Skarbanowa?! Wszyscy sobie tłumaczyli, że może dlatego, że bogata po młynarzu jestem. No i ojciec mój niedawno zmarł, pewnie także coś mi zostawił, więc dużo grosza gotowego wniosę do rodziny, pewnie więcej, niżby wniosła Heńka. Józwiakowie świętych udają, a jednak łasi na pieniądze, tak ludzie gadali, gdy myśleli, że nie słucham, a gdy widzieli, że słucham, też czasem gadali. Że może właśnie o pieniądze poszło z poprzednią naręczoną Szczepana. A może o to, że jako dzieci mieliśmy się ze Szczepanem ku sobie, dorzucali niektórzy łaskawsi. Znowu inni, mniej łaskawi, że może Szczepan jednak jest felerny i wybrać sobie kobiety dobrze nie umie.

Hanka Józwiakowa niby broniła syna przed ludźmi, mówiła, że Szczepan mądry jest i wie, co robi, ale zaraz potem wzdychała, jakby chciała unieważnić to, co powiedziała.

Tylko moi bracia się cieszyli, radowali tak, że co wieczór w karczmie lądowali, a potem, bywało, sprowadzali do obejścia dziewczki karczemne i chichoty ze stodoły niosły się długo w noc.

– A co? Zabronisz nam? – pyskowali, gdy o to zagadywałam. – I tak zaraz się stąd wynosisz!

Jakimś jednak cudem następnego dnia o świcie kuźnię otwierali, jakby jedno z drugim, czyli picie z pracą, nic wspólnego nie miało.

Bracia się gzili, ludzie we wsi gadali, sołtysowa krzywo patrzyła, sołtys nie patrzył w ogóle, ale gdy Szczepan obejmował mnie, brzuchatą, coraz okrągłęjszą, w sadku albo na łące, gdzie krzywe

spojrzenia ludzkie nie docierały, robiło mi się różniej na duszy. Szczepan tak bardzo był za mną, że i ja się znowu powoli, bardzo powoli, uczyłam czuć.

I tylko jedno nas różniło, tylko jedno. Ale tu byłam nieugięta.

– Nie mów nikomu, że to twoje dziecko.

– Ale chociaż rodzicom powiem – proszę. Zawsze chciał wszystko rodzicom mówić, jak dzieciak jakiś.

Kręciłam głową.

– Nie i nie. Nikomu nie powiesz, że to twoje. Bo je będą nazywać bękartem. Nie zrobię tego swojemu dziecku. I ty mu tego nie zrobisz. Nie mów nikomu, zaklinam cię.

Nie mówił więc.

Zgody na ślub zawsze dziedzic udzielał, zawsze lubił przy tym porozmawiać sobie z parą młodych, pożartować, o życie wypytać. Teraz, gdy go już jednak nie stało, po pozwolenie pewnie należało iść do dziedziczki, ale jak miałam do niej iść, wdowa po mordercy jej męża?

Rodzice Szczepana kazali nam iść do niej czym prędzej, pewni, że dziedziczka na ślub się nie zgodzi i kłopot sam się rozwiąże. Dlatego też zwlekaliśmy, brzuch jednak rósł, czas naglił i Szczepan wreszcie wymyślił, co robić.

Ekonom siedział w swoim kantorze jakiś stroskany.

– Słusznie, żeście do mnie przyszli. Bo gdzie tam dziedzicze głowę zawracać będziecie, jak ona na szezlongu leży, popłakuje za mężem i chce wszystko pod dzierżawców puszczać. I szukaj tu dzierżawców, człowieku. Dziewucha w ciąży? A to i dobrze, pobierajcie się.



– Dajecie zgodę?

– A co mam nie dać, skoro w ciąży i z tej samej wsi jesteście?

Tyleśmy się bali, a tak łatwo poszło! Wszystko przez to, że ani mnie rozpoznał, ani skojarzył, stałam się niewidzialna i było mi z tym dobrze. Ja, Zośka od kowalów, która kiedyś cuda wyprawiałam, żeby mnie każdy zauważył, teraz świeczkę Mateczce Najświętszej zapaliłam, że przemknęłam bokami, że niewidzialna doszłam do ślubu.

### Szczepan Józwiak

Matka niby przestała protestować, ojciec przestał krzyczeć, ale nie przestawał chmurnie milczeć. Pytałem, co mam zrobić, żeby się odezwał, ale udawał, że nie słyszy. Gdy nastał dzień ślubu, pokłoniliśmy się rodzicom po błogosławieństwo, tego przecież ojciec nie odmówi. Matula narysowała nam krzyżyki na czołach, choć nawet nie spojrzała na Zośkę, ale ojciec stał ponury, sztywny i udawał, że nas nie ma, żadnych krzyżyków na czołach nie miał zamiaru robić. Z całego domu tylko Janek z Janką Zośkę przytulili. Podeszli do niej, gdy szła po podwórku, i przygarnęli do siebie, co mnie bardzo ucieszyło, ale ona nie była zadowolona.

– Idźcie sobie! – krzyknęła. – Idźcie, nie dotykajcie brzemiennej! Jeszcze mnie chorobą zarazicie!

– Jaką chorobą? – zdziwiłem się. – Przecież oni kiedyś morowe powietrze jako jedyni przeżyli, więc raczej przynoszą szczęście, dają zdrowie człowiekowi, dobrą wróżbą dom otaczają, wszyscy tak mówią we wsi.

– Ale niech mnie nie dotykają. Boję się o tego dzieciaka.

Głos jej zadrżał. Zaraz ją przytuliłem. Dygotała. Szeptwała mi do ucha:

– Staram się przecież na ogień nie patrzeć, żeby się dziecko z plamą na twarzy nie urodziło, nie chodzę na bagna, żeby czort w dziecko nie wniknął, ani do lasu, żeby boginka sobie dziecka nie upodobała i nie zamieniła po porodzie na jakieś popsute. To i niech tych dwoje dziwnych mnie nie dotyka, na pewno będzie bezpieczniej. No powiedz im, Szczepan, bo ja nie wiem, jak do nich mówić, skoro nic nie odpowiadają, a jak się odsuwam, to się przysuwają, ręce mi na brzuchu kładą.

Coś tam więc Jankowi z Janką wytłumaczyłem, spokojnie, żeby ich nie urazić, chyba zrozumieli, bo przestali do Zośki podchodzić w ogóle. Przykro mi było, bo wiedziałem, że jako jedyni w naszym domu pochwalają nasz związek i na dzieciaka czekają z radością, ale co zrobić, kobieta przy nadziei wie, co jej potrzebne.

Wesela nie było, ojciec nie pozwolił, a kowalczyki się nie upierały. Ślub się więc odbył cichy, ojciec niby przyszedł, żeby we wsi nie gadali, ale przez cały czas stał w kościelnym przedsionku i milczał.

Po ślubie przywiozłem żonę do domu, ale nikt na nią tutaj miło nie patrzył. Co z tego, że rodzice ze spaniem przenieśli się do kuchni, żebyśmy mieli dla siebie całą izbę, co z tego, że mogłem przez pół nocy kochać moją żonę, a potem się bezkarnie wtulać w jej plecy, skoro za dnia powietrze w chałupie było tak gęste od złych myśli, że pogrzebacz można było zawiesić. Zośka przemykała się bokami, co jej średnio wychodziło, bo raz, że nigdy do specjalnie cichych nie należała, a dwa – rosnący brzuch, na który moi rodzice patrzyli z obrzydzeniem, też swoje ważył.

– Mam żonę! – próbowałem się radować. – Jestem mężem!

Gdyśmy znaleźli się sami, bawiliśmy się tymi słowami jak dzieci.

– Żono, czy chcesz więcej pierzyny?

– Mężu, chleba ci skroiłam i smalcu z dna garnuszka, ze skwarkami, dałam.

– Żono, do zobaczenia pod wieczór.

– Mężu, będę czekała.

Gdy jednak matula usłyszała przypadkiem to żonowanie i mężowanie, wznosiła oczy z irytacją ku niebu. Do Zośki się prawie nie odzywała, chyba że koniecznie musiała. Janek i Janka wyczuli nieprzychylny nastrój w domu i przenieśli się ze spaniem do Wicka, więc jeszcze smutniej za dnia było w obejściu, choć noce mocno nas pocieszały.

Musiałem coś zmienić, czym prędzej, zanim tymi westchnieniami rodzice miłość nam strują do reszty. Na drugi dzień obudziłem się z myślą, że już wiem, co zrobię. Dnieć zaczęło, patrzyłem przez okno na lęgające się na niebie światło, słyszałem, że matka już się krząta, Zośka natomiast ciągle spała skulona wokół rosnącego brzucha, otulała go jak skorupka orzech. Patrzyłem na nią, odwlekając chwilę, gdy wstanę, ale w końcu wyszedłem do kuchni, łyknąłem gorącej mięty z odrobiną miodu, którą matula z rana zaparzyła, złapałem parę łyżek kaszy, kęs słoniny. Wszystko w biegu, bo nie chciałem się zatrzymywać, siadać, nie miałem zamiaru sił tracić przez minę ojca, westchnienia matki, którymi dawali mi znać, jak bardzo ich zawiodłem. Nic im nie powiedziałem, tylko ubrałem się jak do kościoła, buty skórką od słoniny wyglansowałem, włosy przygładziłem dłonią zmoczoną w wodzie, założyłem niedzielny kapelusz i taki ustrojony ruszyłem

przez wieś, dzieciaki za mną biegły, ucieszone, że się ktoś w uroczyste ubranie w dzień powszedni odstroił, ale gdy na drogę przez las się skierowałem, odstąpiły mnie.

I wreszcie doszedłem. Do drzwi zapukałem, ale czekać jak jakaś oferma na odpowiedź nie chciałem, wszedłem więc mocno i pewnie, kapelusz zdjąłem, w progu ekonomowi się skłoniłem i sprawę swoją wyłuszczyłem, że młode małżeństwo, że czynsz obiecany mieliśmy i czekamy na wypełnienie obietnicy.

– Dziedzic coś ci obiecywał? On dużo rzeczy obiecywał, a potem od tych pomysłów i obietnic życie stracił. I na co to komu było...

– Ale czynszowników nadal szukacie?

– Ale będą i nowi czynszownicy. Pod koniec roku kolejne Olędry przyjadą. Jeśli nowy dzierżawca nic nie zmieni.

– A będzie nowy dzierżawca?

– A co się tak interesujesz?

– Bo obiecane miałem.

– Może i będzie. Ale tłumy się nie pchają, więc może zostanie, jak jest.

– A nasi nie lepsi od Olędrów?

– Nasi leniwi.

– Nie wszyscy. Pamiętajcie, panie, jak ja pracuję?

– A dlaczego miałbym pamiętać? Ty kto?

– Sołtysów z Naczachowa syn.

– A zburz włosy... A, to ty. Zmężniałeś.

– Bo teraz żonę mam. I roboty się nie boję.

– Ale do prowadzenia gospodarstwa czynszowego to i pomysłu trzeba mieć. Czytać umiesz? Rachować?

– Rachować poradzę do dwudziestu.

- A czytać?
  - Skąd miałbym umieć?
  - No właśnie. A Olędry wszystkie czytają.
  - Może i czytają. Ale tylko po ichniemu, to co im pomoże?
- Ekonom spojrział na mnie zaskoczony, potem się zaśmiał.

– Bystry z ciebie chłopak, choć ciemny. No to słuchaj: Olędry osiedlone w Sokołowie za dwa lata mają zacząć płacić, a w te dwa lata muszą się dorobić budynków, inwentarza żywego i narzędzi. Te same warunki dam i tobie. Jeśli po dwóch latach nie zapłacisz, zastąpię cię kim innym. A potem będziesz płacił co roku.

– W plonach?

– A co, dziedziczka sama ma handlować plonami od ciebie?  
W pieniądzech.

Trochę mi się w oczach mieniło co i jak, jak dam radę, wszystko nowe, uprawiać nie nowość, ale sprzedać – wielka nowość. Bałem się. A gdy się bałem, działałem od razu.

– Który kawałek ziemi mam wziąć?

Pięćdziesiąt mórg, pięć razy więcej niż ojciec! Gdy o tym myślałem, czułem się mocny, niemal wszechmogący. Pięćdziesiąt mórg ziemi tylko na mnie! Znaczą na nas, z Zośką. A przecież większość gospodarzy w Naczachowie miała po siedem czy dziewięć mórg, ojciec – niespełna dziesięć i jakoś im starczało roboty od rana do nocy. A tu my sami i tyli szmat ziemi! Tej ziemi byłoby po horyzont, gdyby go las nie zasłaniał, było jej naprawdę mnóstwo, odebranej diablikom z bagien, ukradzonej boginkom leśnym i oddanej mnie, żebym z niej żył, czynsz wdowie po dziedzicu płacąc.

Pochylałem się, brałem garść ziemi, rozcierałem w palcach, bo chciałem ją zrozumieć, dowiedzieć się, czy aby leśne drzewa nie wysały z niej całej żyzności, i zadecydować, gdzie zboże, gdzie ziemniaki, gdzie len, a gdzie ugór, bo przecież wiadomo, że co roku trzecią część pól należy zostawiać odłogiem, wtedy ziemia odpocznie, jak człek w niedzielę, a w następnym roku, gdy się ją obsieje, da większy plon.

Na drugiej połowie ziemi, tej po bagnach, zaplanowałem łąki i pastwiska. Dlaczego? Bo pola na nich nie zrobisz, woda za płytko stoi. Więc jeśli zaorzysz taką ziemię sochą w wołu zaprzęgniętą, woda wybijie w każdej dziurze po racicy, więc tam tylko ja będę chodził, z kosą, by zżąć siano. Tak to właśnie wyrozumowałem, a ojciec może by i potwierdził, że dobrze myślę, ale ciągle się nie chciał do mnie odezwać.

Poczucie wszechmocy przeszło mi jednak szybko, gdy socha się łamała na kamieniach, których na moich polach było w bród. Poza tym wół, ten, co go kupiłem za pieniądze od kowalczyków, ciągnął tu jeszcze wolniej niż zwykle, bo pod górę mu się nie chciało, a w dół się potykał, tymczasem prawie połowa mojej ziemi znajdowała się na skłonach wysokich wzgórz po puszczy.

Co jakiś czas prostowałem się, obejmowałem wzrokiem całą połąć i myślałem: Moje gospodarstwo. Moja nowa wioska. Już tak o niej myślałem. Moja. Tylko o sąsiadach na razie trudno mi było powiedzieć „moi”, bo nijak się z tymi Olędrami dogadać nie umiałem. Bo po jakiemu? Czapkę przed sobą zdejmowaliśmy, głowy skłanialiśmy, gdyśmy się mijali na gościńcu, ale jak się zaznajomić, gdy pogadać nie można? Może i ściągną do Sokołowa jeszcze jacyś

nasi, żeby było do kogo wreszcie gębę otworzyć, ale na razie całkiem sam tu byłem wśród obcych.

Pierwsza w naszym obejściu stanęła szopa. Drewniany szkielet zbiłem ze szwagrami, potem już sam oszalowałem go deskami, pokryłem strzechą. Krzywa może trochę była, bo to moja pierwsza strzecha w życiu, ale na razie wiatrowi i deszczom dzielnie się opierała, z czego byłem bardzo dumny. Roboty było tyle, że coraz częściej nie nadążałem do domu, do żony i rodziców wracać, spałem więc w szopie na wiązce słomy. Gdy nad ranem otwierałem oczy, wpatrywałem się w drewniane ściany, czy już prześwitują w nich żywiczne sęczki. Gdy od wstającego słońca jaśnieć zaczynały, wstawałem, z wielkim żalem, że nie budzę się u boku swojej kobiety, tylko przy spokojnym oddechu wołu. Tuliłem głowę do jego łba, szeptałem mu coś takiego, co wstydziłbym się głośno powiedzieć komukolwiek innemu. Potem przeżegnałem się, poprzeciągałem, bo i grzbiet, i ręce, i nogi od roboty bolały, chleba z serem pojadałem, co to jeszcze z domu zabrałem, portki wciągałem, wołu zaprzęgałem i zaraz szliśmy w pole. Nie schodziliśmy z niego aż do południa, wtedy szliśmy do strugi, zwierzaka poilem i sam piłem, wół trawy poskubał, ja chleba. Niedługo, bo trzeba było wracać do roboty, aż słońce zaszło i niebo dobrze pociemniało, a nie oszczędzałem się wcale, bo na swoim robiłem, nie na pańskim. Na koniec dnia zjadałem na leżąco, co mi jeszcze zostało w węzélku u powały uwieszone, żeby myszy się nie dobrały, modliłem się i zapadałem w sen ciężki, jakby mi kto łopatą w łeb dał.

Aż tu któregoś dnia budzę się, patrzę na żywiczne sęczki, myślę, że trochę zaspiałem, a tu z boku jakieś stukanie słyszę. Spojrzałem, a to Zośka obok w ogienek dmucha, żeby strawę ugotować.

Myślałem, że ciągle śnię, i znowu oczy przymknąłem, ale naraz usłyszałem:

– Mogę i w szopie, byle z tobą.

Nie mówiła nic złego o moich rodzicach, ale przecież wiedziałem, o co chodzi: tam się już żyć nie daje, z tym ojcem milczącym i wzdychającą matulą.

Zaprzęgliśmy więc wóz, pojechaliśmy do Naczachowa, żeby zabrać, cośmy jeszcze mieli. Ojciec ani nie wstał od stołu, ani na nas spojrzął, matula niby nam pomagała rzeczy nosić, tyle że wzdychała ciężko. Na pożegnanie skłoniliśmy się z szacunkiem przed rodzicami, ale ojciec nawet nie oderwał oczu od świętego obrazka na ścianie.

– Z Bogiem – powiedziała matula i oczy rąbkiem fartucha wytarła.

Wyszliśmy z Zośką na podwórze. Na progu stodoły siedzieli Janka z Jankiem.

Z daleka wyglądali jak dwa kartofelki, z bliska – jak dwa ludziki z lasu z żołądzi poskładane, nieduzi, wzrostu co niższych podrostków, jakby cały świat poszedł naprzód, a tych dwoje zatrzymało się w pół drogi między dzieciństwem a dorosłością. Jak zawsze przykurzeni na twarzy i na stroju, zgarbieni, w ziemię wpatrzeni, przez co jeszcze niżsi się wydawali. Włosy mieli bure, Janek rzadsze, z łysinką, Janka gęstsze, więc jej bardziej sterczały, od garnka przez matulę obojgu cztery razy do roku obcinane, zawsze nam wszystkim cięła włosy na równo i przesilenia, Jankowi z Janką także, naszym niestałym domownikom. Czy nadal będę do matuli na włosów cięcie przychodził, czy też Zośka mi to



będzie robić? – zadumałem się i łzy mi w oczach stanęły, bo wszystko, co znałem, właśnie się kończyło na dobre.

Wtedy Janek z Janką twarze podnieśli i spojrzeli na mnie tymi oczkami błękitnymi od wpatrywania się w niebo, a że twarze mieli ogorzałe, wyglądało, jakby kto cztery koraliki błękitne w piach nagle powpychał, koraliki nie na miejscu i niepokojące. Wiedziałem, że niektórzy od tego spojrzenia drętwieją, teraz też Zośka aż westchnęła obok mnie w przestachu, ale przecież Janek z Janką mieli w spojrzeniu samo dobro.

– Będę za wami tęsknił – powiedziałem. Wtuliłem się w jedno, w drugie, wiedząc, że po raz ostatni mam ich na wyciągnięcie ręki.

Gdy odjeżdżałem, wiedziałem, że ojciec został w domu i wcale za nami nie patrzy, ale matula stoi przy płocie, zbudowanym w noc moich narodzin. Nie obejrzałem się jednak ani razu, bo wtedy rozplakałbym się na pewno.

## Janka i Janek

Tam był Szczepan, ale tu było Naczachowo. Tam był nasz wychowawiec, a tutaj nasi zmarli, tam Szczepan poradzi sobie sam, ci tutaj nie poradzą sobie bez naszej pamięci. Tam był Szczepan, którego głaskaliśmy po głowie, tu pot wylewali nasi rodzice, dziadowie i babki, pradziadowie i prababki, i to ich nieśmiertelnością mieliśmy się opiekować, póki naszego świata starczy.

Zostaliśmy.

Hanka Józwiakowa

Niedługo od wyprowadzki Szczepana i głośnej Zośki zrozumiałam, że w domu jest za cicho. Antoś, milcząc, poszedł w pole, a ja próbowałam cieszyć się spokojem, ale zaraz zaczęłam się martwić pustką. W chałupie nagle za dużo miejsca się zrobiło, choć przecież za wolnym miejscem niedawno tęskniłam, ale teraz nawet Zośkę bym chętnie tu zobaczyła, choć Bóg wiedział, co za stwora w brzuchu nosiła. Wycierałam stół z myślą, że póki sama na nim nie nabrudzę, pozostanie czysty, ale nie robiło mi się od tego weselej. Szorowałam go do czysta, bo ciągle pamiętałam, co Malinicha opowiadała, że z brudu choroby się robią, i choć nie do końca jej wierzyłam, bo brud to przecież rzecz ludzka i życiu nierozłącznie towarzyszy, a nie cały czas się przecież choruje, to jednak co mi szkodziło stół wytrzeć, wyszorować do żywego, do białości teraz, gdy tyle czasu miałam, nagle za dużo, a potem siadałam ciężko, bez sensu, bo roboty huk na mnie czekało, ale musiałam odsiedzieć, bo się bałam, że się rozsypię, w okno się gapiłam i czekałam, aż się pozbieram.

Przez to mi się Malinicha przypominała. Jak by to było, gdyby nadal mieszkała w Naczachowie, gdybyśmy mogły nadal ziółka warzyć i rozmawiać o różnych sprawach? Z nikim już mi się tak nie rozmawiało, ani z Antosiem, ani z sąsiadką Golcową, ani z żadną inną kobietą ze wsi, kowalowa dawno nie żyła, więc to Malinichę chodziłam pytać o różne rzeczy, bo nierzadko znała odpowiedź. A teraz nie miałam kogo pytać. Kruche to wszystko, myślałam, ludzie odchodzą, dzieci idą na swoje, wieś się zmienia, życie się zmienia, człowiek starzeje. I to szybko jakoś, dziwnie szybko. A przecież przed chwilą, naprawdę przed chwilą, miałam lat dwadzieścia i patrzyłam, jak niebo nad Naczachowem ciemnieje,

a potem słońce znowu wraca i zaraz rodzi się Szczepan. Przed chwilą tuliłam się do drzewa, usiłując skryć się przed gradem spuszczonego na wieś przez Malinichę, przerażona i jednocześnie zachwycona jej mocą, a obok mnie do drzewa tulił się dorastający Szczepan. To wszystko było tak niedawno. A teraz? Trzydziesta szósta wiosna mi szła, jeśli dobrze liczyłam, bo mogłam się przecież pomylić o jedną czy dwie, w tę czy w tamtą stronę, w każdym razie już wiele nowego mnie nie czekało, dziecko odchowalam, na swoje posłałam, teraz tylko na śmierć przyjdzie czekać. Już bliżej niż dalej, myślałam, a nie były to miłe myśli.

Chłopy co prawda nadal często spoglądały na mnie z błyskiem w oku, zwłaszcza jak się odświeżnie ubrałam w te piękne stroje, co to ze skrzyni przed niedzielą na pałaku drewnianym wietrzyłam. Ciągle lubiłam się stroić, zwłaszcza że od kilku już lat miałam w co. Zakładałam wtedy długi kaftan z niebieskiego sukna, który tak ładnie błękit moich oczu podkreślał. Głowę owijałam chustką jedwabną, kilka ich miałam do wyboru, a jeszcze ją, dla koloru i fasonu, kwiatami przyozdabiałam. Sąsiadki kiedyś wydziwiałały, że zdobię chuścinę jak dziedziczka kapelusz, ale potem same zaczynały mnie naśladować i kwiatki pod chustkę wtykać, bo przy tych kwiatkach to i oczy jaśniały, i policzki rumieniały, nawet gdy kto, jak ja, w wieku był prawie podeszłym. Ale gdy tak który spojrzał na mnie w kościele ciekawie, to nawet jeszcze i zaczerwienić się potrafiłam. Spódnice też miałam niebieską, fałdzistą, żeby pięknie od talii odstawała, u dołu obszytą karmazynową wstążką. Gorset żywego koloru, makowy, z latami zdawał się coraz bardziej obcisły, ale ciągle jeszcze mi się udawało zasznurować go na ściśło, wtedy i piersi się podnosiły. A pod gorsetem koszule, co to do nich piękne

kołnierze i rękawy haftowałam zimą, gdy czasu więcej było i łuczywa starczało. I korale na szyję, tych też z latami mi przybywało, drewnianych, na piękne kolory malowanych. Jak już tak się odstroić, to dla ciepła i ozdoby na ramiona chustę zarzucałam, a to szafirową, a to burakową, a to żółtą, jedne wełniane grubsze, drugie cieńsze. I gdy zerknęłam na siebie w to czarniawe lustro, co na ścianie wisiało, widziałam w nim, przez zmarszczki i słoneczne plamki na skórze, tamtą dawną Hankę, a jak się uśmiechnęłam i stanęłam prawicą do lustra, to nawet zęby na białło mi błyszcząły, bo tylko z lewej mocno ich ubyło. Cóż, teraz już wiedziałam, że nie trzeba było gryźć orzechów zębami, co to się wieczne wydawały, lecz kamieniami tłuc, które naprawdę są wieczne. Ale wcale źle nie było, jedyna pociecha w tym smutku dookolnym, pustce i ciszy domowej, jedyna pociecha przy tym Antosiu moim upartym, który ani słyszeć nie chciał o synu, a już zwłaszcza o synowej.

I naraz usłyszałam, że nasz pies się rozszczękał, zaraz dołączył kolejny i kolejny, aż się zanosily, za płoty wybiegły, widać ktoś obcy wchodził do Naczachowa od naszej strony. Wyjrzałam z ganku: dziad proszalny sunął powoli do wsi, wznosząc bosymi stopami chmury kurzu, a psiska skakały dookoła, uradowane, że można obcego obszczekać, dziabnąć może nawet, zawsze to jakieś urozmaicenie. Dziad jednak, przygotowany na ostre zębiska, wymachiwał grubą lagą z końcem owiniętym skórką jeża. Kiedy pierwszy kundel podskoczył do dziadowych łydek, kolcami w pysk oberwał i zaskowyczał.

A dziad od razu do naszego obejścia się skierował, tak to jest, gdy ma się pierwszą od lasu chałupę we wsi. Przystanął chwilę przy

furtce, zadumał się jakby, zagapił, na boki rozejrzał, wreszcie wszedł. Nasze psisko skakało przy nim, warczało, ale z odległości nie śmiało podejść bliżej, poznawszy wcześniej na pysku moc jeżowej skórki.

Dziad przystanął przy domu. Szpakowata broda po pas, włosy w strąkach też długie, do pół pleców, stopy bose, czarne, sękaty, portki poszarpane, szarawa kamizela, kij w rękę, na plecach płócienny węzełek, na głowie kapelusz ze słomy wypleciony, czemuś dziurawy. Zaraz go zdjął z szacunkiem.

– Gospodyni, dacie spragnionemu wody?

Nabrałam drewnianą chochlą z wiadra, zesłam z ganku, podałam. Łykał łapczywie, jakby nie pił od tygodnia.

– Jeszcze – poprosił.

Dałam. Ale mogłabym się założyć z każdym, że dziad zaraz poprosi i o inne rzeczy.

I rzeczywiście. Otarł usta, próbując się uśmiechnąć w gąszczu brody. Wargi miał popękane, a zęby niekompletne, czarniawe niektóre, choć inne bielsze i lśniące, jakby od dwóch ludzi je pozbierał, nie do kompletu. Wielu dziadów bielmo na oczach miało, ledwie co widzieli albo i nic, pies ich prowadził, chłopaczek albo łaska Boża, ten jednak ślipka miał błyszczące, siwe i nieduże.

– A widzieliście kiedyś, jak się zupę na gwoździu gotuje? – zagaił.

Stara sztuczka. Pewnie, że widziałam, już w zeszłym roku, jak przywłókł się tu jakiś obcy dziad z drewnianą nogą i sprytną miną. Dałam mu się nabrać, a potem z niejakim wstydem opowiedziałam tę historię sąsiadkom, ku przestrodze, tylko Antosiowi nic nie rzekłam, boby się ze mnie śmiał. Tamten dziad ze wszystkim mnie omotał. Najpierw wyjął gwóźdź z kieszeni, duży, solidny, nieco

ordzewiały, pokazał, że to właśnie z niego zupę będzie gotować, kiedy tylko kociołek i trochę wody dostanie.

Szybko się domyśliłam, o co mu chodzi, ale pozwoliłam, tak mnie jakoś rozbawił. Patrzyłam zaciekawiona, jak na koniec wyciąga z saganka gwóźdź, ociera o spodnie, chowa do węzełka na następny raz i gęstą, okraszoną zupę zaczyna zajadać łyżką, którą wyjął zza cholewy.

Ale to jeszcze były te dobre czasy, gdy Szczepana ekonom chwalił, gdy pan chciał mu ziemię za czynsz dawać, a moją synową miała zostać grzeczna, cicha Henia. Wtedy nawet utrata tych paru warzyw, odrobiny sperki, łyżeczki soli w zamian za dobry żart i opowieści ze świata mnie niespecjalnie drażniły. Dziad dzisiejszy jednak, który chciał mnie nabrać na stare sztuczki, rozjuszył mnie bardzo.

– A co wy myślicie, że ja jakaś ciemna jestem? Że ja waszych dziadowskich sztuczek nie znam? Że byle komu nabrać się dam?

– A wy, gospodyni, nie krzyczcie tak, bo cała wieś usłyszy.

– To ja wam coś powiem: cała wieś już słyszała o waszych sztuczках. Nikt wam tu zupy na gwoździu ugotować nie da. Stare sposoby w Naczachowie nie zadziałają, wiecie? Tu mądrzy ludzie mieszkają. Idźcie sobie z tym oszukaństwem gdzie indziej.

Dziad podrapał się skórką jeża w czoło, aż się czerwone zrobiło, zmarszczył je, nie pierwszy raz pewnie, bo bruzdy miał głębokie, wypracowane, z kurzu drogi szarawe.

– Przyjdzie do kolejnej wsi pójść, prawda? Na głodniaka. Tu, mówicie, nikt mnie nie nakarmi?

Oczy miał smutne, zmęczone, policzki ogorzałe, ale pomarszczone. I aż mu w brzuchu zagrał ten głodniak. Głupio mi się

zrobiło.

– Siadajcie, dziadku, tu, na przyzbie. Bez sztuczek żadnych was zupą poczęstuję.

– Wodnista?

– A jaka ma być? To zupa. Ale z okrasą.

– Niech was Bóg wynagrodzi.

Siadł, westchnął, zgarbił się. W brzuchu mu ciągle grało.

– Kiedyście jedli?

– A bo ja pamiętam?

Zaraz poszłam, do garnuszka mu najgęstsze z sagana nalałam, kaszy dużo i jeszcze smalcu ze skwarkami pół łyżki przyrzuciłam, niech ma. Jadł szybko, głośno i smakowicie, jakby się bał, że mu zabiorą.

– A sera kawałek się tam gdzie nie znajdzie?

– A wy, dziadzie, nie przesadzajcie, u mnie mąż jest do wykarmienia.

Ale dałam mu tego sera. I chleba kawałek, tego czerstwego. Świeższy dla Antosia zostawiłam.

– Powiedźcie mi, bom ciekawa, jak się dziadem takim wędrownym zostaje?

Śmiać się zaczął.

– Jeszcze jako dziecko marzyłem, żeby koniecznie dziadem zostać...

– Naprawdę?

Nie przestawał się śmiać.

– Nie, gospodyni. Naprawdę myślicie, że ktoś o takim życiu marzy? Może i w nim zasmakowałem z czasem, świat poznając,

ludzi oglądając, czasem i w ciepłym wyspać się uda. Ale na ogół zimno, mokro, psy szarpią i nigdy się nie wie, kiedy się zje.

– Pod kościołem nie lepiej siedzieć? Zamiast do obcych domów kołatać? Niektórzy starzy od nas ze wsi pod kościołem na Pustyni o zmiłowanie dobrych ludzi proszą i zawsze coś wyproszą.

– Pod kościołami dużo dziadów i bab siedzi, a pieniędzy w narodzie mało, w święta chętniej datki rzucają, a w zwykłe niedziele – tak sobie. Łatwiej zupę niż pieniądze dostać, jak się do kogoś zapuka. Zresztą ja lubię chodzić. Ciepłej wtedy niż w kościelnej kruchcie. I w stodole czasem się pozwolą przespać, brodę oskrobać.

Wytrzepał sobie okruchy chleba z brody na podolek i zjadł je, co do najmniejszego, skrzętnie jak kura. Palec z przyklepionymi drobinami ginął mu co chwila w siwej gęstwie włosów na twarzy. I nagle nabrałam dziwnej ciekawości, jak dziad pod tym brudem, pod tym włosiem szarym może wyglądać naprawdę.

– Brodę oskrobać byście chcieli, mówicie? A brzytwę swoją macie?

– A coś tam się znajdzie, nożyk jakiś.

Zaczął grzebać w węzełku.

Wlałam mu do miski ciepłej wody z pieca, zydę przed dom wyniosłam i lusterko trochę tylko poczerniałe, przy którym Antoś się golił. I, po zastanowieniu, porzewiałe nożyce.

Dziad ściął szare krzaczysko brody, padały kłaki na ziemię, zaraz zmiatałam na szufelkę i od razu wrzucałam do paleniska, żeby robactwa po domu nie rozsiać, a potem oskrobał policzki do czysta. Dotknął nagiej nagle twarzy. Pomyślał chwilę i te długie kłaki na głowie też ochrepał, krzywo trochę, głową potrząsnął i spojrzał na



mnie. Nagle zdał mi się jakiś inny, prawie normalny, jak każdy chłop we wsi.

– A wiosen ile sobie liczycie? – spytałam, nieoczekiwanie dla samej siebie.

– Jeślim rachuby nie stracił, to niedługo będzie pięćdziesiąt.

Jednak sporo był ode mnie starszy. Ale nie aż tyle, ile myślałam. Teraz, gdy zgolił siwy wiecheć, byłam nawet skłonna mu uwierzyć, bo nagle zdał się mnie bliższy wiekiem niż starcom jakimś, nad brodą ogorzały, tam, gdzie przedtem zarastał – biały jak pupcia niemowlęcia, czystszy jakiś, bardziej swój.

– To jakeście w ten los popadli?

– Chłopem byłem, jak wy. Dzieci pożeniły się, powyprowadzały, swoją biedę klepią. Z żoną żeśmy się zostali z najmłodszą córką, jej mężem i dziećmi, no i z jeszcze jednym synem, takim nieudanym. Ja córce i zięciowi w pańszczyźnie pomagałem, żona też, ile siły starczało, tylko ten synek nieudany nie chodził na pańskie, on nawet i mówić nie za bardzo umiał, choć już dorosły, i robota niesporo mu szła, niby jadł tyle, co dorosły, ale nawet tyle, co dziecko nie pomógł. No i tak od rana do nocy się harowało w pańskim polu, a ciągle było mało, i gąb do wyżywienia dużo. Z tej pracy żem się w nogę zranił, paprać się zaczęło, babkę przykładałem, liście takie lecznicze, ale mało pomogło, noga spuchła jak bania, coraz bardziej chodzić nie mogłem, a co dopiero w polu harować, zięć narzekał, że już dwóch dorosłych darmozjadów żywi, znaczy mnie i syna mojego. Sam widziałem, że nie jest im łatwo, a pomoc nie mogę, posiedziałem jeszcze trochę, nogę podleczyłem i poszedłem w świat, żeby rodzinie nie być ciężarem. Żonę żem zostawił, żeby trochę córce pomogła, ona dużo nie je, a zdrowa jest i we wszystkim

pomoże, za to i ten synek nasz niezbyt udany sobie tam pomieszka, bo sam by sobie rady nie dał, a ja prędzej sobie poradzę. No i ruszyłem w drogę.

– Taki jak my byliście. Chłop na pańszczyźnie.

– A taki.

– I dziadem żeście się zostali.

– A zostałem. Tak się los odwraca, czasem przodem do ciebie i się wtedy uśmiecha, a czasem portki ściąga i tyłkiem błyska.

– Miarkujcie się, z kobietą o ściągnięciu portek nie wypada.

– Wybaczcie, gospodyni, w drodze, bywa, różnych słów się używa. – Westchnął. – Pójdę już może.

Ale nie wstawał, najwyraźniej czekał, żebym zaprotestowała. Nic jednak nie mówiłam, więc podniósł się w końcu.

– Za gościnę wam dziękuję. Dobre jedzenie daliście, nieprzelane wodą, jak czasem dziadom dają, tylko żeby błogosławieństwo Boże zyskać. Dziad, wiadomo, Bożym wysłannikiem jest i jego dobre słowo domowi pomaga, ale są tacy, co Pana Boga przechytrzyć chcą i dziada byle czym skarmią.

Postał jeszcze chwilę, aż poszedł z podwórza, przy płocie jeszcze stanął, kozik wyciągnął i coś tam dłubał.

Płot, jak wszystko wokół, łącznie ze mną i Antosiem, postarzał się, miał przecież tyle lat, co nasze najstarsze, jedyne żywe dziecko. Pamiętałam jeszcze dzień, noc właściwie, gdy mój mąż budował to ogrodzenie. Wstałam wtedy po porodzie, przez okno spojrzałam i nagle zobaczyłam, że dokoła bezpieczniej się stało, bo dom i obejście otacza teraz płot, co go jeszcze dnia poprzedniego nie było, płot wysoki na chłopą prawie, gęsty, nie do przejścia ani dla zwierza, ani dla człowieka. Przez kolejne lata żyliśmy za tym płotem

bezpiecznie, w miłości i szacunku, wychowaliśmy syna, opłakali inne dzieci. Teraz jednak zauważyłam, że płot już dziurawy, gdzieś się pies podkopał, tu i ówdzie gałązki się rozluźniły i wypadły, tylko drągi stały twardo, choć mocno mchem porosły i szerniały od drewnianej starości. Naprawić by ten płot trzeba, pomyślałam. Choć zaraz przyszła druga myśl, że może już nie warto, bo ile nas tu dziedziczka będzie chciała trzymać, w tym domu? Może niedługo przyjdzie się wyprowadzać, jak temu oto dziadowi, w drogę ruszyć, o zmiłowanie ludzkie prosić, bo przecież Antoś do Szczepana za nic mieszkać nie pójdzie. I zaraz głową potrząsnęłam, żeby tę myśl odegnąć, co przyszła do mnie przez patrzenie na nasz stareńki płot.

I w tymże to właśnie płocie dziad coś teraz kozikiem drapał.

– A co mi tam grzebiecie? – Podeszłam do niego.

– Mech oskrobuję.

– A niby po co?

Zobaczyłam, że dziad wyrysował w mchu jakiś kanciasty trójkątny kształt, jakiś krzyżyk i – jeśli się dobrze przyjrzeć, drugi, mniejszy, u dołu z boku.

– Płot mi czyścicie?

– Można i tak powiedzieć. – Uśmiechnął się, jego dwukolorowe zęby zupełnie inaczej wyglądały bez siwego gąszczu dookoła, odświeżonej jakby.

– A jak jeszcze można powiedzieć?

Zastanowił się chwilę.

– Jeszcze można powiedzieć prawdę.

Po raz kolejny ten dziad mnie zaskoczył. Czekałam, co powie dalej.

– Dobra z was kobieta, to zdradzę wam mój sekret.

Aż się pochyliłam do przodu, żeby słowa nie uronić.

– A bo my, dziady, mamy swoje znaki. Jak tak łazimy od obejścia do obejścia, to oznaczamy domy. Dla siebie wzajemnie. Jak nas gdzie niemiło potraktują, tam znak zostawiamy i już żaden następny tam nie pójdzie, bo będzie ostrzeżony. A kiedy gospodyni dobra, jeść dała, też piszemy, że to gościnny dom, że szlachetni ludzie, że wspomogą, choć im samym niełatwo.

– Naprawdę pisać umiecie? – zdziwiłam się, bo nikt przecież nie umiał, ekonom i pleban tylko. No i chyba dziedziczka.

– A gdzie tam mnie do pisania. Znaczki takie rysujemy.

– Te tutaj?

– A te. To już poprzedni dziad wypisał, co był tutaj jesienią. Bo był jakiś ostatniej jesieni, prawda?

– A był. I co wypisał?

– Że gospodyni dobra bardzo i wesoła. Że pies niegroźny. I że był tu jesienią. A że znak jeszcze nie szerniał, mchem nie zarósł, znaczy, że to była ostatnia jesień. Zobaczyłem i wszedłem. Dlatego się zdziwiłem, że niewesoła jesteście. I że krzyczycie na wędrowca. I że jeść nie dajecie. Wszystko inaczej niż na płocie wypisano.

– Alem w końcu dała wam jeść.

– No tak. Bo dobra z was kobieta. Tak tu napisane.

– A jakby nie było mchu? Jak byście znak zostawili?

– To bym coś na belce wyrył. Albo na płocie powiesił. Krzyżyk i trójkąt da się zrobić z gałązek, kiedy wisi, mało kto poza dziadami zauważa. Pójdę już, gospodyni. Czas na mnie.

Ciągle jeszcze patrzyłam na znaki, które tyle o mnie mówiły, zadziwiona, że w kilku można taką historię opowiedzieć, a dziad

odchodził drogą, wsparty na kiju, ale prostszy jakiś, zwawszy, bo już niegłodny. Dobrze, że jeść mu dałam, gorzej, że przez te znaczki każdy następny dziad też do nas zajrzy, życzliwości i ciepłej stawy oczekując. Cóż, wesoła i dobra ze mnie kobieta, powiedziałam do siebie, napisano mi to na płocie.

Dobrze, że dziad poszedł, bo miałam co robić, zaraz trzeba będzie iść po krowinę na pole, do strumyka ją zaprowadzić, żeby w tym największym upale ochłodziła się trochę, wody napiła, przy okazji pranie w strumieniu zrobię, bo już mężowska koszula do kościoła dawno trochę przepocona była, a i własna nie najświeższa. No i miło będzie postać po kolana w wodzie, tak przy okazji tego prania, przyjemne z pożytecznym. Zaraz potem śmietanę trzeba będzie ubić, bo się zaraz skwasi, a tak to masło jutro z samego rana na jarmarku sprzedam, parę groszy się zawsze przyda, na sól, zęby do okucia sochy, garnek może jakiś i parę groszy dla Szczepana. A potem jeszcze muszę świniom wody nanieść, kurom wody nanieść, bo w ten upał schną wszyscy, nie tylko dziady. I zaraz, gdy słońce trochę się obniży, do warzywnika będę iść musiała, żeby popielić, podlać. Ziemniaki to samo, jeśli jakiś wylazł, trzeba będzie go ziemią osypać, żeby nie zzieleniał na słońcu. Potem już nadejdzie czas, by znowu iść po krowę, niech się po drodze z glinianki napije, a potem przyprowadzi się ją na noc, wydoi, jeszcze może z wieczornego udoju, jak się śmietana ustoi, znowu masła na jutro ubiję, żeby więcej na sprzedaż było, a potem...

Tak, mnóstwo miałam do roboty, ale zamiast tego iść zaczęłam wzdłuż naszego płotu, innych znaków wypatrując, może nie tylko dziad coś tam o mnie, o nas napisał? Szłam i ślepiłam na każdą zerdkę, na każdą różgę wikliny, wszystko mi się znakiem wydawało,

a jednocześnie nic nim chyba nie było, skrobałam porosty i sama znaki stawiałam paznokciem, dziwując się, kto i co z nich wyczyta. Pod większą żerdką w rogu zobaczyłam kupkę kości kurczaczych usypaną, skąd tam, co, chyba ten lis niecnota zostawił, co okoliczne kurniki ogołacał. I szłam dalej, patrząc, w kolejnym rogu znowu mi coś białego w trawie zalśniło, kolejny stosik kosteczek z kurczaka. Dziwny ten lis, akurat zawsze w rogu postanawiał się rozprawić z kurą, a potem zadrżałam, bo może nie był to zwykły lis, lecz zaczarowany, co niegdyś może był człowiekiem, a teraz odprawiał czary pod naszym płótem. Usuwać te kości czy zostawiać? Zły to czar czy dobry? Nie byłam pewna. I nagle zatrzymałam się w pół myśli, bo dziad, już nie dziad właściwie, tylko chłop zwykły wędrowny bez brody, jednak pod naszą furtkę zawrócił.

– A wy co tutaj znowu?

– Pukam do drzwi we wsi, o jedzenie proszę, a oni nic.

– Przecież dobrze was nakarmiłam.

– Ale jutro też trzeba jeść. I pojutrze. Chciałem o chleb albo ser poprosić, na zaś. A tu nikt dać nic nie chce.

– Znaki na płocie nie pomagają?

– Wcale. Bo wszyscy mówią: co z ciebie za dziad, skoro na chłopca wyglądasz. Tak mówią, nic dać jeść nie chcą. Za dobrze wyglądam.

I uśmiechnął się znowu do mnie tymi zębami w dwóch kolorach.

– Źle, żeście się ogolili?

– Dobrze, bo znowu jak człowiek się poczułem. Ale zanim co wyżebrzę, chyba na brody urośnięcie muszę poczekać. Taki dziadowski los. Albo się czujesz jak człowiek i głodujesz, albo jak dziad i czasem jeść dadzą. Trudna sprawa, gospodyni. Trudna sprawa.

Gdy mój mąż wrócił tego dnia do domu, chmurny jak zawsze ostatnio, zachmurzył się jeszcze bardziej, bo na podwórzu gospodarował postawny chłop, może trochę zgarbiony i utykający, ale całkiem jeszcze do rzeczy. Antoś nigdy przedtem nie widział tego człowieka na oczy.

– Pochwalony – powiedział, bo tak grzeczność nakazywała, ale zaraz zmienił ton na groźniejszy. – Czy ja dobrze do domu trafiłem?

– Pochwalony, gospodarzu. Zwą mnie Kostek. A gospodyni kazała powiedzieć, że zaraz wam wszystko wyjaśni.

Dziwując się i trochę też gniewając, Antoś wszedł do środka, żeby spytać, co tam znowu wymyśliłam.

A w domu jakoś na nowo wszystko było. Drzwiczki w kredensie, które od wiosny na jednym zawiasie wisiały, pięknie przylegały. Od zawsze obluźwana deska w progu trwała teraz twardo jak karcz w ziemi, ani skrzypnęła, gdy na niej stanął. A ja, zarumieniona, z nowym zapałem tłukłam w stępie ziarno na kaszę.

Mój mąż dalejze czekać na wyjaśnienia. A ja nic.

– Nowego męża znalazłaś? – odezwał się wreszcie.

– Dużo nie zje. – Zaśmiałam się.

I zaraz, zanim zdążył się do reszty rozsierdzić, wyjaśniłam co i jak.

– Taka broda to trochę czasu potrzebuje, żeby wyrosnąć – zastanowił się. – I karmić dziada przez ten cały czas mamy? Znalazł sobie naiwnych.

– Pomoże nam w obejściu. I z pańszczyzną, obiecał, też pomoże.

– Kuleje.

– Ale silny.

– Jak mu zapłacimy?

- Nocleg i jedzenie. W stodole będzie spał – dodałam szybko.
- Ludzie zaraz zaczną we wsi gadać.

Z ludźmi jednak sobie poradziłam.

– Brat z carskiego wojska po latach powrócił – tłumaczyłam wszystkim, a ludzie mi wierzyli, wcale przecież nie wiedzieli, że nigdy nie miałam żadnych braci. – Na trochę się u nas zatrzyma, żeby dojechać do siebie.

Sama nie wiedziałam, że potrafię tak dobrze kłamać. Bardzo jednak chciałam, żeby dziad został u nas na jakiś czas, bo dzięki niemu w domu znowu zrobiło się pełniej, weselej, pogodniej. Wychodził ze stodoły dopiero, gdy Antoś w pole poszedł, a wtedy, najadłszy się, usta w koszulę ocierał, zasiadał wygodnie na przyzbie i przystępował do swojego ulubionego zajęcia, czyli do gadania. Tak gawędził, tak wspominał, takie historie przytaczał, że i Golce czasem przyszły albo i Jamioły, żeby posłuchać, i z rozwartymi gębami jego bajędy przyjmowali.

Niektóre śmieszne miał opowieści, miło było posłuchać, niektóre straszne jednak. Bo na przykład opowiadał o takim dziedzicu, co żartowny był aż tak, że kazał chłopkom wlaźć na drzewo i kukać jak kukułki. Strzelał wtedy do nich ze strzelby, krzycząc, że szkodniki tępi, i zaśmiewał się, kiedy z drzewa spadały. Jedni się śmiali, ale mnie się płakać od tego chciało. Albo o innym dziedzicu, który za kpiny z siebie kazał chłopca czterema końmi rozerwać. Chłop dzielny był, więc kpił z pana do ostatniej chwili, jeszcze gdy mu ciało pękało, aż dopiero rozerwany ucichł na zawsze.

– Jamiołowie Pańscy! – wzdychała Jamiołowa, a mnie aż tchu brakło, bo w całej sobie czułam ten zapach chłopskiej dzielności, a potem ból rozrywanego ciała.



Dziad Kostek gadał mnóstwo, a i roboty się nie bał, robił wszystko, z czym Antoś od dawna zwlekał. Dziury w płocie na nowo wikliną pozaplatał. Płotek na kury przy kurniku postawił, żeby ptactwu trudniej było do warzywnika się dostać i w rzepie dziury wydziobywać. Płaski kamień przy beczce z wodą ułożył tak sprytnie, żeby dno wiadra się od piachu nie brudziło. Proste rzeczy, a zmyślne, mnie się podobały, ale Antoś, zamiast być wdzięczny, gniewał się coraz bardziej. Zły był, że dziad na każdym kroku zostawia ślady swej obecności, a to portki schnące na płocie, a to smród dziadowskich palonych szmat z pieca, a to siekierę w inne miejsce niż zwykle odłożoną.

– Coś mu ta broda wcale nie rośnie – dziwował się mój mąż do momentu, gdy zobaczył, jak dziad goli się w tej samej misce, której i on w niedzielne poranki do golenia używał. I to go już całkiem zeźliło. – Była mowa o brody rośnięciu, a nie o brody goleniu! Obcy dziad się do domu podstępem wprosił!

– Nie masz się czego denerwować, Antoś, nieraz przecież dziady u nas w stodole spały. To błogosławieństwo dla domu podróżnych w dom przyjąć, głodnych nakarmić, spragnionych napoić. – I wzniosłam palec do góry jak pleban z Pustyni, żeby było uroczyściej.

– Nie będzie mi się tu obcy panoszył! Powiedziałem!

Dziad Kostek, przez Antosia uparcie i złośliwie zwany „Kościejem”, nic jednak z tych krzyków nie słyszał, bo gdzieś zniknął, jak zawsze, gdy sytuacja zaczynała się robić niewygodna.

– Antoś, nie chcę być sama w domu.

– Ja przecież jestem!

– O świtaniu i z wieczora tylko.

– Ktoś harować musi!

Już nie tłumaczyłam, że i ja haruję. Nie tylko w domu, bo i w pole przecież nierzadko chodzę.

– Odkąd Szczepana wygoniłeś, przez cały dzień nie mam do kogo gęby otworzyć.

– Ja wygoniłem?! Ja?! Sam się wyniósł.

– Ale ani razu się do niego od ślubu nie odezwałeś, plecy mu tylko pokazywałeś. To co się dziwisz, że dziewczuchę w końcu zabrał i uciekł od ciebie?

– Ty teraz niby taka dobra, a jak w domu byli, to też z nią gadać nie chciałaś.

– I teraz tego żałuję. A ty? Żałujesz?

Antoś odwrócił się tylko na pięcie, wyszedł z domu, drzwiami łupnął. Przez kolejne dni wcale się do mnie nie odzywał, na szczęście miałam z kim gadać.

Nie lubiłam tych cichych dni między nami, Antoś też chyba nie, bo wychodził z domu coraz wcześniej, a wracał coraz później. Najpierw myślałam, że dobrze, bo zła byłam na niego strasznie, z czasem jednak zaczęłam za nim tęsknić. Zagadywałam, przymilałam się, ale warczał tylko, w domu robiło się nie do zniesienia. Wreszcie wzięłam się na sposób.

Wraca mój mąż któregoś dnia do domu, a tu piec zimny, jedzenia nie ma ani mnie w chałupie. Zaraz wyszedł, po podwórzu się rozejrzał, do obórki zajrzał, do szopy, nawet do stodoły, choć tam się zawahał, pewnie nie chciał spotykać Kostka. Ale mnie nigdzie nie znalazł. Chodził coraz szybciej, coraz niespokojniej, w końcu do furtki podbiegł, pewnie już chciał sąsiadów pytać, więc zeskoczyłam

ze stryszku w szopie, otrzepałam się z siana, podeszłam cichutko z tyłu, pod boki się wzięłam i jak nie ryknę naszej piosenki:

*Dwoje wołu i wóz siana  
Cały posag Kujawiana!*

Antoś aż podskoczył. Obrócił się, zdziwiony, zły, a tu ja się do niego śmieję.

– Gdzie byłaś?!

– Blisko. Ale chciałam ci pokazać, że choć ci ze mną źle, to beze mnie jeszcze gorzej.

– Źle? Mnie z tobą źle?

– A nie?

– Ale przecież...

– Tęsknię za tobą, Antoś.

Patrzył na mnie, patrzył, w brzuchu mu burczało, aż wreszcie i on zaśpiewał:

*Cztery syry, dzbon maślonki  
Cały posag Kujawionki!*

I w końcu mnie przytulił.

Do ucha mi szepnął:

– A Kościej gdzie?

– Do jutra ma się nie pokazywać. Sami jesteśmy. Wykorzystamy to jakoś?

Wykorzystaliśmy.

Rano żadnemu z nas wstawać się nie chciało, leżeliśmy w ciepłym łóżku, wtuleni w siebie, ta cisza między nami była miła, kojąca.

– Czy wiesz, że on Malinichę widział nie tak dawno temu?

– Kto?

– Kostek.

Antoś spochmurniał, że znowu o Kostku gadam, więc go pocałowałam, w ucho, w kolący policzek, wreszcie w usta.

– Oj, ja wiem, Antoś, że gaduła z tego dziada, nudziarz, bywa, że mam go dość. Ale czasem przecie powie coś ciekawego. Malinichę widział, słyszysz?

– Tak? A niby gdzie?

– I to jest najlepsze. Ona wcale daleko nie odeszła. Jest w Lubrańcu.

– We wsi?

– Przy dworze.

– A niby jakim cudem?

– Kucharką się tam została, mówił Kostek.

– Baba ze wsi? Kucharką we dworze? Łże, dziad, żeby ci się przypodobać. Dziady tak mają, wiedzą, co powiedzieć, żeby jeść dostać.

– Ale on z nią naprawdę rozmawiał, dziady przecież do dworskich kuchni zaglądają. I Malinicha wszystko mu opowiedziała, skąd ona tam i dlaczego, wszystko powiedziała, kiedy mu wynosiła resztki z pańskiego stołu... – Zamilkłam.

– Zawieszasz głos zupełnie jak Kościej.

– Jak to?

– Bo on ma taki zwyczaj rzucania kilku słów i przerywania, żeby wszyscy dopytywali: Ale jak to? Co dalej? Co myślicie?

Pokręciłam głową, przesadzał, jak zawsze, gdy była o dziadzie mowa. Ale zaraz mi do głowy przyszło, że Antoś ma trochę racji. Kostek lubił przerywać, a gdy wszyscy wtedy zaczynali dopytywać, rozpromieniał się i, odczekawszy chwilę, żeby zaciekawienie wzrosło, ruszał z dalszą opowieścią, z uśmiechem przecinającym na pół gładką gębę, na której broda już nigdy chyba nie wyrośnie, bo pracował nad tym co kilka dni.

Więc już więcej nie zawieszałam głosu, tylko wszystko od razu Antosiowi opowiedziałam. Podobno któregoś razu, gdy Malinicha jeszcze w Naczachowie mieszkała, taką upiekła kurę z macierzanką, że klękajcie narody, a zamiast ją zjeść z córką, zaniósła w darze do dworu. Okazało się, że dziedzic z dziedziczką nigdy takiej nie jedli, więc bardzo pochwalili. A wtedy Malinicha zaraz na drugi dzień przyrządziła kuropatwę z jałowcem, żeby znowu pokazać, że nikt tak jak ona gotować nie umie. I takim to sposobem dziedziczka zrozumiała, że we dworze brakowało jej właśnie Malinichy i że pracować musi właśnie u nich w kuchni, a nie w Naczachowie się marnować.

– A skąd niby Malinicha wzięła kurę i kuropatwę? Tamtego roku przecież był głód na wsi, nie pamiętasz, Hanka? Akurat by mięso nosiła dziedzicom, raczej same by z córką zjadły. Akurat. Dziadowskie wymysły.

Antoś z łóżka wstał, począł się ubierać. Już cisza między nami nie była tak przytulna.

Od tamtej pory zaczęłam śnić o kuropatwie z jałowcem. O kuropatwie, która zachwyciła dziedziczkę i zmieniła los Isi z Malinichą, pomogła im uciec z nieżyczliwej wsi i schronić się przy

dworze. Żeby sobie wyobrazić smak pańskiego dania, zrywałam jałowcowe owocki i rozgryzałam je. Paliły w przełyk i pachniały, jakby pochodziły z dalekich, tajemniczych miejsc, a nie z lasu za wsią. Obracałam je w ustach i myślałam o tym, czego nigdy nie zaznam. A potem łąziłam na łąkę i gniotłam między palcami macierzankę, zastanawiając się, jak mogła smakować tamta kura i skąd Malinicha brała te dziwaczne pomysły. To właśnie takie aromaty podobają się dziedzicom, myślałam, to dzięki tym ziołom Malinicha z Isią nie muszą już odrabiać pańszczyzny, nie słuchają wyzwisk i nie obrywają za czary pecynami błota, tylko krzątają się po dworskiej kuchni i wymyślają, czym by dogodzić pańskim podniebieniom, a i same głodu nie cierpią. Można zmienić swój los, myślałam, można stać się kim innym, gdy jest się sprytną Malinichą. Chłopy ją od czarownic wyzywały, a ona teraz śpi w ciepłe i najada się do syta resztkami z pańskiego stołu. Sprytna wiedźma przechytrzyła nas wszystkich.

I ta myśl bardzo mnie krzepiła na duchu.

Szczepan Józwiak

Zośka na nowym miejscu rozkwitła, chodziła pełną stopą, śpiewała głośno, trwała u mojego boku, gotowała na ogniu rozpalanym na podwórzu i na nic nie narzekała. Moja żona znowu była twardą, pyską dziewczyną, jak kiedyś. Tylko po nocach się budziła, spocona i przerażona, że rodzić się boi.

Tuliłem ją wtedy do siebie, ćśśś, mówiłem.

Będzie dobrze, mówiłem.

Poradzimy sobie, mówiłem.

Próbowała uwierzyć.

Po postawieniu szopy wzięliśmy się za stodołę. Kowalczyki pomagały chętnie, dużo chętniej, niż siostrze pieniądze dawały. Silne byli, robota więc paliła im się w rękach, chyba że pić wcześniej zaczęły, wtedy szło dużo wolniej. Ale wreszcie stodoła stanęła. Potem dostawiłem do niej szopy, obórkę, kurnik, chlewik, wszystko w jednym budynku, ale z osobnymi wejściami od podwórza, już nieduże, bo już i sił, i odwagi, i drewna brakło.

– Poproś ojca o drewno – mówiły kowalczyki, ale się uparłem. Pokażę tatulowi, że sam sobie radzę, że jego pomocy nie potrzebuję. Rady też nie. Nic od niego nie chcę, skoro on nie chce mnie. Nas.

Nadszedł wreszcie czas na chałupę. Powinienem się z nią pospieszyć, dzieciątko już niedługo miało przyjść na świat, ale ciągle nie byłem pewien, jaki dom chcę mieć. Robić jak wszyscy zawsze robili, a więc wbijać w ziemię żerdzie, przez nie przeplatać wiklinę, gęsto, gęściutko, a potem wszystko szczelnie oblepić gliną? Dalej wapnem z twarogiem albo i z bydlęcym gnojem pobielić, bo ludzie mówili, że wtedy lepiej od deszczu i śniegu chroni? Taka chałupa stawiała szybko, ale już po paru latach glina, mimo bielenia, pękała, kruszyła się, wypłukiwała. Chałupy więc były jak ludzie, im starsze, tym bardziej pochylone, zapadnięte w ziemię, coraz bardziej dziurawe. Wychodziło więc na to, że starzy, pogarbieni ludzie mieszkają w starych, pokrzywionych ścianach. Kiedyś myślałem, że tak po prostu musi być, bo i ludzie, i chałupy z czasem pochylają się ku ziemi, aż zobaczyłem w Izbicy domy z glinobitki, wyższe, solidniejsze, prostsze. Dużo bym dał, żeby zobaczyć, jak je budują, ale że już stały, poszedłem i poprosiłem, żeby wytłumaczyli, jak je postavili. Gospodarze dumni, że taki podziw budzą, zaraz mi pięknie wytłumaczyli, jak się nowym sposobem buduje. Bez wikliny,

bez oblepiania, zupełnie inaczej. Żeby zrobić ścianę, stawiali formę z drewna, a w nią ciasno ładowali glinę wymieszaną z sieczką. Cała sztuka tkwiła w tym, żeby ubić ją mocno, jak najmocniej, płaskimi deszczułkami, a wtedy, kiedy glina związała i wyschła, mocna była prawie jak cegła w pańskim pałacu. Gdy ściana stwardniała, zdejmowało się formę i stawiało kawałek dalej, żeby budować nową. Takie ściany można jeszcze drewnem obić, mówili ci z Izbicy, ale i bez tego stały mocno, mocniej niż te na wiklinie oblepiane, byle tylko wilgoci do nich nie dopuszczać. A w tym celu podmurówka musiała być gruba, z gliny i kamieni polnych, a dach potrzebował większego okapnika.

I na taką właśnie chałupę się zdecydowałem, nawet już sieczki od kowalczyków przywiozłem, żytnią koniecznie bierzcie, mówili tamci z Izbicy, bo mniej wodę chłonie. Już i gliniankę znalazłem z dobrą tłustą gliną, już przymierzałem się do kopania, gdy jednak chodząc i patrząc na pobliskie domy, co to w nich same Olędry mieszkały, zauważyłem, że choć i oni z gliny stawiają, to glinobitkę trzyma u nich dodatkowo szkielet z grubych bali drewnianych. Jeszcze jeden pomysł na to samo, zdziwiłem się. Lepszy może? Nie byłem pewien. Spytałbym, ale jak?

Więc przez płot tylko do sąsiadów zaglądałem, ale któregoś dnia zebrałem się na odwagę, stanąłem przed olęderską furtką, gdy gospodarz akurat podwórko grabił. Czapkę zdjąłem, głowę skłoniłem, powiedziałem: „Pochwalony”, w odpowiedzi usłyszałem: „Morgen” czy jakoś tak. Tamten coś mówił szcękająco, dużo i szybko, nijak nie mogłem wyrozumieć, o co chłopu chodzi, ale bardziej był uśmiechnięty niż zły, więc na podwórze do niego wszedłem, do olęderskiego domu podszedłem, i w ściany zacząłem



pukać, mówić, że mocne. W końcu Olęder chyba zrozumiał, o co chodzi, więc łąził ze mną i głową gościnnie kiwał, po swojemu gadając. Gołym okiem widziałem, że dom tak budowany prostszy i wyższy jest niż zwykła chałupa chłopska, gdzie wchodzący w drzwiach głowę muszą skłaniać. A skoro Olędry drogi umieją budować, bagna osuszać, to może i na domów budowę mają jakiś lepszy od nas sposób? Bo i niegłupie to się wydaje, bale dają mocny szkielet jak u wołu, gliną jak mięsem oblepiony. Dawne chłopskie domy teraz zaczęły mi się wydawać wiotkie jak rybie ciałka.

Kowalczyki bale u ekonoma wyprosiły, przywiozły i powiedziały, że mam ich spłacić dopiero za jakiś czas, a na razie gorzałeczkę postawić. Szkoda mi było pieniędzy na wódkę, ale ze szwagrami inaczej nie szło, musiałem z nimi wypić, choć tylko usta moczyłem, skoro na drugi dzień do pracy trzeba było.

Na drugi dzień krzątam się więc z kowalczykami przy budowie, gdy nagle patrzę, a tu suną do nas gościńcem sąsiady, czyli te wielkie olęderskie chłopcy z jasnymi włosiskami, nie pod garnek obciętymi jak zwyczaj nakazuje, ale jakoś krzaczasto i na bok. Kilku ich, dużych i głośnych, wszyscy szwargoczą coś po swojemu, młoty na plecach niosą, rękami zamasyście machają i wyraźnie na nas idą. Przestraszyłem się, a kowalczyki skupiły się przy mnie.

– Ich trzech, nas czterech.

– Więksi jednak niż my.

– Ale i my nie od macochy. Damy im radę.

I dalejże kowalczyki w garście popluwać, za młoty chwytać, dziwnie zadowolone, że bitka się szykuje.

– Co się dzieje? Co się dzieje?! – Zośka wybiegła z szopy.

– Idź, siostra, schowaj się, brzucha pilnuj, to męskie sprawy tutaj.

– Ale...

– Zosia, daj spokój, nie darowałbym sobie, gdyby coś ci się stało.

Ja także wziąłem drąg i wyszedłem z kowalczykami na drogę, budowanego obejścia przed obcymi bronić. Potem chwilę się zastanowiłem, za płot cofnąłem, drąg odłożyłem i wyszedłem już na drogę bez niczego, bo zamierzałem udawać, że nie boję się wcale. Miałem w tym wprawę, całe życie tak robiłem.

Zośka na nas popatrywała przez uchylone drzwi szopy, a ja wyprostowałem się, chwyciłem pod boki i dalejże na niechcianych gości czekać.

Tamci szli, weseli, roześmiani, machać do mnie poczęli.

Obejrzałem się za siebie. Kowalczyki czekały w rzędzie w rozkrokach, z młotami, piłami w prawicach, poza Ćwiartasem, który młot lewą dźwżył, bo wszystkie narzędzia lewicą obsługiwał, tak już miał od urodzenia. Jak kto się z tego śmiał, to chłopak bił od razu tą lewą pięścią, i to mocno, więc z czasem ludzie przestali zwracać na to uwagę.

– Witajcie! – krzyknąłem do Olędrów i krok ku nim postąpiłem, bacząc, by żadnym gestem strachu nie okazać, więc prosty szedłem, gesty miałem zamaszyste, w oczy patrzałem.

W odpowiedzi coś zaszwargotali po swojemu, podeszli, ręce mi podawać zaczęli, po plecach mnie klepać. Jeśli to był olęderski sposób zaczynania bitki, to dziwniejsze z nich jeszcze ludzie, niż mi się przedtem zdawało. A potem jasnowłosa trójka wyminęła mnie, by w stronę domu nowo budowanego ruszyć.

– O nie, dom siostruni obronimy! – Kowalczyki zwały szereg.

Obcy jednak kowalczyków wyminęli, do budowanego domu podeszli i zaczęli konstrukcję podziwiać, sprawdzać, czy mocna,

któryś nawet gwóźdź z kieszeni wyjął, pokazał, że chce wbić w miejsce, gdzie nie za bardzo rzecz się trzyma.

– My bez gwoździ budujemy – zaczął protestować kowalczyk. – Czopy drewniane przecież lepiej trzymają. I taniej wychodzą.

Zaraz go jednak uciszyłem, bo byłem ciekaw, co zrobi obcy. A wielki Olęder wbił co trzeba, a potem na belce się zawiesił potężnymi ramionami, żeby pokazać, że wzmocnił, że szkielet trzyma się mocno.

A wtedy, sam jeszcze nie wierząc w to, co widzę, zrozumiałem: Olędry przyszły pomóc w budowie sąsiadowi. Jak swoi.

Choć dogadać się z nimi było trudno, to silne były z Olędrów chłopcy i migiem piłowały, wbijały czy nosiły kłody i kamienie i co dzień, bez proszenia, stawiały się rano przy budowie. Trzeba się będzie im odwdzięczyć, dumałem, i trochę mnie to przerażało, bo jak. Starąłem się jednak te myśli wyrzucić na razie z głowy, gdy robota była do zrobienia.

– Nie tacy źli ci obcy – mówiły kowalczyki. – Choć byśmy chyba nie chcieli między samymi obcymi mieszkać, jak ty, Szczepan.

Mnie też było z tym nieswojo. Aż księdza poszedłem się pytać w niedzielę, czy to nie grzech z innowiercami przestawać. Bo że Żydzi są w Izbicy, to wiadomo, są i byli, i nikt ich nawracać nawet nie próbował. Ale ci na Żydów nie wyglądali, ale do naszego kościoła nie chodzili, swój mieli, taki bez obrazów.

– A gdzie tam grzech, gospodarzu, przecież nasi misjonarze też jeżdżą do ludzi obcej wiary i nawracają ich na prawdziwą, naszą katolicką. Tak też i wy powinniście słowo Boże tamtym zanieść.

Wracalem z Pustyni, od ksiedza, i zastanawialem sie, jak Olędrów nawrócić. Trzeba by im opowiedziec o Jezusie, ze zycie za nas oddal, o Matce Bozej, ze litościwa i nieskalana, o świętych, jak ludziom pomagają i mówią, co kiedy robic. Trzeba by im opowiedziec o diable, który siedzi na bagnach i moczarach, coraz mniej miejsca dla siebie mając, o czartach na rozdrożach i o boginkach kryjących się w lesie. Tyle tego do opowiadania, a tu nie wiadomo, w jakim języku mówic.

Co prawda po kilku dniach pracy z nami przy rosnącym domu Olędry nauczyły się trochę po naszemu. „Daj” już umiały powiedziec. „Tak”. „Młotek”. „Kołek”. „Gucz” zamiast „gwóźdź”. Ale tych słów nie starczy przeciez na opowieść o tym, jaki nasz Pan, Najświętsza Panienska i wszyscy święci są dobrzy i jak się nami opiekują. Nami, swoimi. Bo już Olędrami to chyba nie, skoro tamci w nich nie wierzą, prawda? To może nie ma po co tego wszystkiego im tłumaczyc? Tak się zastanawialem, całą noc mnie to gryzło, ale nie mogłem przeciez codziennie biegać z pytaniami do ksiedza, zresztą na Pustynię kawałek się idzie, a ja byłem budowaniem zmęczony, każdy kawałek ciała mnie bolał, gdy już wieczorem ległem na sienniku, wtuliłem się w Zoşkę.

– Jan, popatrz – mówię zatem temu Olędrowi nazajutrz. – No patrz, to jest Najświętsza Panienska. – Specjalnie przyniosłem obrazek, któryśmy sobie z Zošką na jarmarku już na nowe mieszkanie kupili. – Wierzyć ty w nią chcesz? – spytałem.

Ale głupio wyszło, bo z tego wszystkiego zrozumiał tyle, że mu obrazek pokazuję.

– Moj – mówi. – Moj. – I się uśmiecha.

Nie miałem pojęcia, co chce przez to powiedziec.

– Jan, no co ty. Nie twój, ale mój jest ten obrazek, mój i Zośki. I Najświętsza Panienska moja, nie twoja. Ale możesz to zmienić i przyjąć ją za swoją panią.

– Moj – powtarza tamten. – Moj.

– Dać ci? Żebyś miał się do kogo modlić? – spytałem. Nie odpowiadał, tylko dalej się uśmiechał, więc dałem mu ten obraz. I chyba dobrze zrobiłem, bo Jan ucieszył się okropnie, naprawdę, zaczął Matkę Boską synom pokazywać, wszyscy uśmiechnięci, zadowoleni, na obraz się gapią, „mój” mówią, „danki” powtarzają, co już kiedyś zrozumiałem, że chyba znaczy dziękuję. I znowu powtarzają:

– Moj, moj. Moje dame.

Średnio mi więc wyszło z tym nawracaniem, tyle się udało, że w domu niewiernych święty obrazek zawiśnie, to chyba jednak mało. Co tu robić? – myślałem. Co tu robić, żeby Olędra nawrócić?

Dopiero rano, rozejrzawszy się po szopie, na pomysł wpadłem. Pan Jezus! Figurkę Jezusa Olędrom zaniosę, co ją nam Kuba cieśla w Naczachowie wystrugał. Pokażę im i powiem, czemu ten Jezusek taki frasobliwy. A temu, że martwi się z powodu naszych grzechów, a jeszcze bardziej się martwi, że nie wszyscy w niego wierzą, na przykład Olędry nie. Wyciągam więc w południe na budowie tego Frasobliwego, na belce stawiam i mówię, że Zbawiciel i że martwi się, że Olędry w jakiegoś innego Boga wierzą, a nie w tego naszego, prawdziwego.

A Jan znowu – przypatrzył się, głowę przechylił i mówi:

– Moj.

Ręce mi opadły na tę chciwość, bo to jak u dziecka trochę – co widzi, to by chciało, korale, szmatkę, łyżkę. Jezusa Frasobliwego.

– Nie twój, mój.

– Moj.

– Ty ode mnie wszystkie świątki wycyganisz, ani jednego opiekuna w nowym domu mieć nie będziemy – odparłem przestraszony, zaraz jednak pomyślałem, że czymże jest obrazek czy świątek, gdy można dusze sąsiadów od piekielnej zagłady uratować. Więc kiedy Jan znowu powtórzył: „mój”, dałem mu i Frasobliwego. Zośka będzie krzyczeć, ale kiedy powiem jej o tych zagubionych duszach, przebaczy.

Wtedy nie wiedziałem, jak dzisiaj wiem, tutaj, gdzie nie ma języków albo może są wszystkie, bo wszyscy się przecież rozumiemy, że to ich „mooi” znaczyło ni mniej, ni więcej, że piękne. Im się po prostu ten obrazek podobał, czy ten Frasobliwy, i tyle. Nie wiedzieli, że tu o boskie rzeczy chodzi, bo w ich wierze na takie obrazki pozwolenia nie było, więc się z urody malunków cieszyli. Ale to wszystko wiem teraz, a wtedy zupełnie nie miałem o tym pojęcia.

Tamten więc trzymał naszego Frasobliwego, „mój” powtarzał, a ja tłumaczyłem jak komu dobremu, że to Jezus, Jezus Chrystus, który za nas wszystkich życie w mękach oddał, a tu się martwi, że co z tego, skoro nadal grzeszymy, na jego mękę uwagi nie zwracając.

– Jezus Chrystus – mówię, głośno i wyraźnie, żeby wreszcie zrozumiał.

Coś zrozumiał, bo się zdziwił.

– Jeżus? Jeżuschristes?

– Jezus Chrystus – powtarzam mu jak dziecku. A ten znowu po swojemu, jakby był głuchy. Na koniec jednak znowu powiedział „mój”, więc musiałem mu dać naszego Chrystusika. I tak z tego

nawracania zostaliśmy się z Zośką bez świętej figurki i bez świętego obrazu.

Co tu dalej robić? – myślałem sobie. Co robić, żeby Olędrów nawrócić? Trudne zadanie Opatrzność z plebanem przede mną postawili. I tak dumałem, co by z tym Olędrem zrobić, co już dwie święte rzeczy ode mnie będzie miał w domu, a dalej nie ma o niczym pojęcia. Dopiero Zośka mi pomysł podsunęła.

Następnego dnia, w przerwie w pracy, wyciągam z tobołka krzyż, czule w czystą szmatkę owinięty. Pokazuję go Janowi, no i synom jego, tłumacząc, że to krzyż, na którym Jezus Chrystus umarł, za nas wszystkich. Nie byłem pewien jednak, czy za nich, niewiernych, również, ale o tym na wszelki wypadek nie wspominałem.

A wtedy Jan mnie bardzo zaskoczył, bo niemal w tej samej chwili wyciągnął ze swojego tobołka podobne zawiniątko, płachtę odwinął i dalejze mi swój krzyż pokazywać, i też w niego palcem bóść, i tłumaczyć, że Jezus, Jezuschristes. I tak każdy z nas w swój krzyż paluchem bodzie, synowie Jana patrzą, niepewni, o co chodzi, kowalczyki też mają dziwne miny, bo śmiesznie pewnie to wygląda, ale jak tu się śmiać, skoro o krzyż chodzi i wiarę naszą najświętszą, wiarę ojców naszych, więc śmiech bezbożny tłumią. A my z Janem stoimy naprzeciwko siebie, każdy ze swoim krzyżem. On mówi: „Jezus”, ja mówię: „Jezus” i machamy tymi krzyżami jak pleban na procesji. A raczej jak dwóch plebanów na dwóch procesjach, co sobie naprzeciw wyszły.

Głupio mi się jakoś zrobiło, krzyż mój ucałowałem i znowu w materiał zawinałem z szacunkiem. Jan swój krzyż też ucałował i owinał. Obaj pokiwaliliśmy głowami.

A potem zacząłem sobie wyobrażać, że Jan, jak ja, idzie do swojego plebana, bo jakiegoś przecież mają w Izbicy w tym ichnim kościele bez obrazów, i pyta, czy to nie grzech z katolikiem się zadawać. A tamten olęderski pleban mu nakazuje, żeby mnie koniecznie na prawdziwą wiarę nawrócił. I przez to właśnie teraz każdy swoim krzyżem macha, a dziwnie one jakoś podobne. W innego Boga wierzą, a krzyż taki sam mają. Niewiele z tego rozumiałem. Krzyż przez owijkę po raz drugi pocałowałem i wróciłem do pracy.

Wieczorem w łóżku wszystko Zośce opowiedziałem. I to, co się stało, i to, co sobie myślałem. Że obaj, ichni ksiądz i mój proboszcz, wierzą, że ich wiara jedyna jest i prawdziwa. Ale przecież tylko jeden z nich może mieć rację. I to niekoniecznie musi być nasz proboszcz, pomyślałem nagle. A potem zaraz pojąłem, że grzeszna to myśl, i grzmotnąłem się w pierś, aż zadudniło. I przez to wszystko zsunąłem się z siennika, przeżegnałem, znowu w piersi uderzyłem, spojrzałem na krzyż, który odłożyłem na stół.

– Moja wina – powtórzyłem i pacierz mówić zacząłem, żeby świętymi słowami wypchnąć z głowy myśli nieświęte.

Wtedy Zośka, której także się zasnąć nie udawało, też się zsunęła na klęczki i modliła półgłosem obok mnie. I tak zasnęliśmy, w modlitwie, na klęczkach, z głowami o siennik opartymi, aż mnie następnego dnia w nogach łamało.

Nigdy już później nie nawracałem Jana. On mnie też nie.

Olędry do jedzenia przynosiły sobie ciapę taką, kartofle rozgotowane z marchwią, kapustą i rzadkie w tym kawałki mięsa.



Jeśli jednak człowiek nie patrzył na to, co jak żarcie dla świń wyglądało, a wąchał tylko, to pachniało wcale, wcale nie najgorzej.

– Stampot – mówili o tym.

– Paćka – tłumaczyłem im na nasze.

– Paczka – powtarzały Olędry.

I wszyscy się zaśmiewaliśmy, a potem razem tę paćkę jedliśmy, bo Olędry i mnie z kowalczykami poczęstowały.

– Gut – mówili. Po brzuchu się gładzili, pomlaskiwali, pokazując, że dobre. Dobre? Inne było niż w domu, więc najpierw kawałki mięsa wygrzebałem, potem kartofla kawałek się trafił, ale potem już się przyzwyczaiłem do obcego smaku i resztę zjadłem, nawet gliniak wylizałem, co bardzo się Olędom spodobało, aż się śmiali i palcem mnie sobie pokazywali. No to wtedy Zośka przyniosła nam wszystkim żuru mocno okraszonego i kartofli, niech obcy posmakują, co znaczy dobre jedzenie. Chwycili za swoje łyżki, nabrali, przełknęli, ale miny mieli niewyraźne, kartofle zjedli, a w zupie zaczęli gmerać, skwarki same łowić. Ale posiedzieli chwilę i zupę też zjedli.

Takie piękne sąsiedztwo postanowiliśmy wszyscy uświęcić w karczmie. Bo gorzałka, jak się okazało, jest jednaka, i polska, i olęderska.

– Prosz! – krzyczeli tamci, gdy przepijali do mnie i kowalczyków.

– Na zdrowie! – odwrzaskiwaliśmy.

Wesoło było jak nie wiem. Olędry coś opowiadały, zabawnego pewnie, bo śmiały się w głos, więc i ja z kowalczykami dołączaliśmy do śmiechu dla towarzystwa. Potem my odwdzięczaliśmy się żartem i Olędry zaczynały wspólnie z nami rechotać.

– Patrz, już rozumieją po naszymu – cieszyły się kowalczyki. Czterech naszych, trzech Olędarów, aż ludzie sarkali, że z obcymi nasi piją, a przecież tradycja nakazuje w karczmie osobno siadać. Ale potem już i nie sarkali, sami się dosiadali, tak wesoło było u nas przy stole.

– Prosz!t!

– Na zdrowie!

– Oby się nowa chałupa nie spaliła!

– Prosz!t!

Ledwie się dowlekliśmy z kowalczykami do szopy, gdzie zasnęliśmy pokotem, z wołem. Zośka rano się burzyła, ale niedużo, bo znała swoich braci i wiedziała, jak się sąsiadów za pomoc przy budowie wynagradza.

A z rana znowu praca ruszyła z całą mocą, choć co jakiś czas ziewaliśmy i łapaliśmy się za obolałe głowy, ale już się czułem, jakbym z sąsiadami beczkę soli zjadł. Z Janem i jego synami, których imion wymówić nie umiałem.

Ojciec na budowie się nie pokazał ani razu, któregoś jednak dnia przydreptała do nas matula. Zośce niby gościniec przyniosła, słodkich bułeczek, spytała, jak się czuje, ale na jej brzuch spojrziała nieżyczliwie, a potem mnie tylko przytuliła, po głowie pogłaskała. No i zaraz zaczęła pouczać:

– Synuś, ale najcieplejsze miejsce w domu to sam środek, a ty tam sień robisz.

Nie do końca byłem pewien swoich decyzji, a jak matula pomarudziła, byłem ich pewien jeszcze mniej. Trzymałem się jednak tego, co postanowiłem, więc w środku sień, naprzeciw drzwi

wejściowych – komora, tam w duże mrozy można zwierzęta zagnać, tam można wędrowca przenocować, żeby opowiedział coś o świecie. Z jednej strony wchodzić się miało do izby kuchennej, a stamtąd do drugiej izby, którą piec z kuchni dogrzeje ciepłą ścianą. Z drugiej strony domu zrobiłem tak samo, i tam też piec kazałem postawić. Piec, nie otwarte palenisko, jak u rodziców. Piec. Z płytą i fajerkami, jak u Olędrów.

– Oni wszyscy takie w domach mają. Matula popatrzy, jakie to sprytne. Tu się pali, drzwiczki zamyka, tu, na tej żelaznej płycie garnki stawia, placki piec można. Dłużej ciepło trzyma, mniej opału trzeba. Zmyślne, co? Płytę taką i fajerki nam kowalczyki zrobią.

Matula jednak wcale nie chciała patrzeć, bo wiedziała swoje.

– A wy wszystko jak te Olędry mieć musicie? Przecież to obcy, po swojemu robią, a my po swojemu, jak się od wieków robiło i dobrze było, po co inaczej?

Na to już nic nie odpowiedziałem. Ale matula dziwowała się dalej:

– Po co wam tyle tego miejsca w domu? I zbudować trudno, i wyposażyć, i ogrzać. Zośka ci tyle kazała budować, kiedy się napatrzyła na młynarzowe bogactwa?

– Sam chciałem.

– Po co? Bądź rozsądny, synek. Pohamuj się trochę. Ona, jak będzie musiała, do biedy też przywyknie.

Ale mnie się wydawało, że gdy przyszykuję miejsce dla przyszłych dzieci i przyszłego bogactwa, to do mnie przyjdą. Że muszę myśleć, planować szerzej, a wtedy Opatrzność się do mnie uśmiechnie. Tylko jak to matuli wytłumaczyć?

Już straciłem nadzieję, że kiedykolwiek cokolwiek wytłumaczę ojcu.

Hanka Józwiakowa

Głaszcząc Janka i Jankę po tych bezmyślnych, spokojnych główkach, myślałam, że nie zawsze trzeba działać, czasem wystarczy zostawić sprawę czasowi. On sprawia, że zboże wyrośnie, że drzewo zgrubieje, on i z synem nas pogodzi.

Na razie jednak było tak sobie. Z Antosiem o Szczepanie pogadać się nie dało, od razu milkł i z domu wychodził, czasem warknął tylko:

– Zrobił, co chciał, ojca nie słuchał, to teraz ma.

Dobrze, że chociaż miałam w domu Kostka. A że za Antosia chodził często pańszczyznę odrabiać, mój mąż przestał go już wyrzucać z obejścia, nakazał mu tylko w stodole sypiać i nie wchodzić pod oczy. Tym sposobem w dni powszednie jakoś się mijali, w niedziele jednak coraz częściej do zwad dochodziło. Kostek najadłszy się, usta w koszulę ocierał i zaczynał gawędę, bo nie umiał milczeć, gdy ktoś obok siedział. Opowiadał, że na przykład jednemu dziedzicowi zdało się, że chłop się do pracy na pańskim polu nie przykłada, kazał mu się więc położyć na ziemi, której tamten uprawiać nie chciał, i zlecił karbowemu okładać chłopca grubym kijem. Sam stał obok i liczył. Miało być dziesięć różeg, ale pan się ciągle z liczeniem mylił i zaczynał od nowa. A pozostałym chłopom, co ze zgrozą patrzyli na to, kazał modlić się do Boga o siły dla bitego. I oni się modlili, bo sami różeg się bali. A ten w ziemię krwawił.

– I po co to opowiadacie, Kościeju? – pytał Antoś, jeśli coś przypadkiem usłyszał, bo on nigdy do tych gawęd z nami nie siadał.

– A bo takie historie po świecie krążą.

– Ale czy my musimy tego słuchać?

– A to już wasza wola.

– Moja wola jest taka, żebyście przeciw panom w moim domu nie podburzali. I jeszcze ludzi do tego spraszacie.

– Oj, Antoni, Antoni, widzę, że wy za bardzo panów lubicie.

– I dobrze się z tego mam. Tyś naszego dziedzica nie znał, a pan był z niego dobry.

– Pan chłopu przyjacielem nigdy nie będzie. A jeśli takiego udaje, to dla własnego interesu.

Na to mój mąż się rzucał, aż się bałam, że kiedyś zwyczajnie Kostkowi w pysk da. Robiłam co mogłam, by złość Antosiową ugasić, Kostka do małomówności namówić, łagodziłam, jak umiałam, ale z czasem zrozumiałam, że w niedziele najlepiej sprawdza się gorzałeczka, której butelczynę zawsze, na różne okazje, trzymałam w kredensie.

Kiedy Kostek podpiał sobie, wreszcie przestawał gadać. Wpadał wtedy w milczący smutek, tęsknicę jakąś, która widać wcale nie tak głęboko w nim siedziała, skoro już po szklaneczce wypęłała na wierzch. Wzdychał, wzdychał, a potem tak się w nim od uczuć przepełniało, że zaczynał zawodzić na smętną melodię:

*Idzie żołnierz borem, lasem, borem, lasem,*

*Przymierając z głodu czasem, z głodu czasem.*

*Gdzie twoje dziewczyny?*

*Głośnie karabiny z wojennej przyczyny.*

*Gdzie twoje kochanie?*

*Wojenne wezwanie i maszerowanie.*

*Gdzie twoi rodzeni?*

*W grobie położeni, tam moi rodzeni.*

*Idzie żołnierz borem, lasem, borem, drogą,*

*Nie ma, nie ma już nikogo...*

I tak się wzruszał swoją tęskną śpiewką, że aż łzy ocierał, tak się zapamiętywał w tym smutku samotnego wojaka, tak tkliwie zawodził, że i mnie się smutno robiło, i już prawie miałam łezkę uronić, gdy Antoś przypominał, że Kościej przecież nigdy w wojsku nie był.

– Jak to? – obruszał się Kostek, a wtedy Antoś dopowiadał, że z tym wojskiem to przecież ja wymyśliłam, dla ludzi, żeby się nie dziwili, że obcego tyle czasu gościmy. Bo nikt żadnego obcego by tak długo w chałupie za darmo nie trzymał – dodawał, a żeby do Kostka lepiej dotarło, powtarzał to dwa razy.

Kiwał Kostek głową, już i on pamiętał, że nigdy na wojaczce nie był, wzdychać jednak nie przestawał, bo choć wspomnienia z trudnej wojskowej doli może i fałszywe u niego były, ale smutki i tęsknice w duszy najprawdziwsze, łzy także. Szkoda mi go było, bo niedoli w jego życiu nie brakowało, już gromiłam Antka wzrokiem, już miałam się nad Kostkiem bardziej uzalić, że nikogo na świecie nie ma, domu także, i na tę okoliczność dolać mu araku i dać mu więcej kaszy ze skwarkami chciałam, gdy mąż mój, nie czekając, aż sytuacja się rozwinie, zaraz sam postanawiał odwrócić od Kostka moją uwagę, a dobrze wiedział, co na mnie działa. I miał rację, bo

nadal robiło na mnie wrażenie, gdy zajrzał mi w oczy i mocnym głosem zaśpiewał:

*Czerwone jabłuszko przekrojone na krzyż,  
Czemu ty, kobieto, krzywo na mnie patrzysz.  
Gęsi za wodą, kaczki za wodą,  
Trzeba je rozegnać, bo się pobodą...*

I tutaj Antoś udawał, że łąpie oddech, ale wiedziałam przecież, że zapomniał, jak to dalej idzie, czego jednak przy Kostku za nic by nie przyznał. Co z tego, że zapomniał, skoro piosnka swoje robiła, bo zaraz porzucałam myśl o dokarmianiu Kostka i przytupywałam Antosiowi do wtóru, gdy zaśpiew powtarzał.

– Nie ma, nie ma już nikogo... – próbował nadal smętnie zawodzić Kostek, żeby znowu zwrócić na siebie uwagę, ale kto go słuchał, ja już na pewno nie.

Chwilowo w domu nastawał spokój.

Zośka Józwiakowa

Czasem w niedziele po obiedzie, a jeszcze przed obrzędkiem, łąziłam do Olęderki, synowej Jana, która z jednym przy nadziei, piastowała drugie. Obieśmy tam brzemiennie siedziały, tak bardzo w tym do siebie podobne, a ja już nic się obcych nie bałam po tym, jak nam z budową pomogli. Zresztą i obcość miała swoje zalety, bo dla Grety, dla Olędrów w ogóle, wcale nie byłam wdową po mordercy z pogrobowcem w brzuchu, tylko zwykłą brzemienną sąsiadką, co dużą ulgę mi dawało. I tak razem sobie pod wieczór przysiadłyśmy na przyzbie, Grety maluch siadał w piachu, łapkami

machał, drewnianą łyżką dłubał i uciechy miał co niemiara, a my siedziałyśmy, wzdychałyśmy i uczyłyśmy się imion swoich mężów. Jej mąż zwał się „Peter”, co od razu powtórzyłam, nie było trudno. Gorzej, że ona ciągle nie umiała wymówić „Szczepan”, więc po wielu próbach przystałam na „Stepana”, wtedy już sobie bez kłopotu gwarzyłyśmy, że Stepan to, a Peter tamto, każda po swojemu, nic się wzajemnie nie rozumiałyśmy, ale jednak śmiałyśmy się i wzdychały.

– Może i wy, Olędry, jesteście obcy, ale niedzielę jak cały świat świętujecie, widać niedziela ważniejsza niż język, jakim się mówi, niedziela od Boga, a język od człowieka, tak by wychodziło, więc niedziela niż język ważniejsza – mówiłam Grecie, a ta kiwała głową i uśmiechała się, jakby wszystko rozumiała. – Ale, kochana, skoro u nas mieszkasz, to ucz się mówić po naszemu – nalegałam dalej, tamta mi coś odpowiadała po swojemu, czasem jednym zdaniem, czasem dłużej, kiwałam głową dla towarzystwa, bo nic przecież z tego nie rozumiałam, potem znowu milkłyśmy, i tak sobie wieczór świąteczny spędzałyśmy, najbliższe sąsiadki.

Może przez to, że tak się bałam porodu, wcale rodzić nie zaczynałam. No i dobrze, najpierw dom postawmy. Najpierw się urządzmy, zagospodarujmy. Potem jednak zaczęłam się niepokoić. Liczyłam i liczyłam, ciągle mi wychodziło, że już powinno być po wszystkim, ale czułam tylko, że dziecku ciasno, mnie ciężko, nogi puchną, a tu ciągle nic. Co zrobię, jeśli to dziecko nigdy się nie urodzi? Jeśli będzie rosło i rosło, całkiem się ruszać przestanę i będę leżeć jak krowa wzdęta od mokrej koniczyny i jak ona w końcu ducha wyzionę, a dzieciak we mnie wówczas także? Płakałam Grecie, głaskała mnie po plecach, choć nie rozumiała, o co chodzi,



płakałam sama, a gdy w końcu rozplakałam się przy Szczepanie, postanowił działać. Opatulił mnie, na furmankę pomógł mi się wdrapać, a wielka już byłam jak kufer wyprawny, i powiózł do Naczachowa.

– Ale, Szczepan, ja nie chcę ojca twojego oglądać! – powiedziałam. – Matki też raczej nie.

– Nie będzie ich. W czwartki rodzice zawsze na targi do Izbicy jeżdżą.

– To po co do nich jedziemy?

– Zobaczysz.

I dojechaliśmy do Naczachowa, krzyż, droga, nasza kuźnia, swojskie chałupy, łzy mi się w oczach zakręciły, pierwszy raz od dawna odwiedzałam wieś rodzinną. Gdy dojechaliśmy do obejścia Józwiaków, okazało się, że jednak ktoś się po obejściu kręci. Jakiś mężczyzna, niemłody, utykał, pierwszy raz w życiu go widziałam. Józwiakowie wzięli do pomocy parobka?

– A wy kto?! – zdenerwował się Szczepan.

– Szczepan?! – wrzasnął tamten na cały głos, z jakimś takim dziadowskim zaśpiewem. – Ależ ty do ojca jesteś podobny!

– Kim jesteście?

– Mów mi „wuju”.

– Jak to?!

– No bo przecież wujem twoim jestem. Z wojska po latach się wróciłem. W gospodarce siostrze, szwagrowi pomagam. Witaj, miło cię poznać, siostrzeńcze!

W życiu od Szczepana nie słyszałam o żadnym wuju. Szczepan też wydawał się zdziwiony. Ale zachować się umiał, więc zaraz odpowiedział:

– Pochwalony, miło mi wuja poznać. To wyście, wuju, w świecie bywali?

– No, trochę się w życiu widziało.

Szczepanowi od razu oczy zabłyśły.

– A wiele żeście, wuju, widzieli gospodarstw czynszowych?

– Zdarzało się i takie widzieć, choć pańszczyzna powszechniejsza. Ale też widziałem, że ludzie nie wszyscy tak samo żyją.

– Panowie, wiadomo, inaczej.

– Ale i chłopom różnie się żyć zdarza – rzucił wuj i zamilkł, na pytania czekając.

– Wuju, a co do uprawy jakieś podpatrzyłeś w świecie nowości?

– Są różne strony, a w różnych robi się i robiło różnie. Ludzie inne rzeczy wymyślają, bo i inaczej żyją. Gdzie indziej bagna, u was sucho. Gdzie indziej drogi kręte, u was proste. Gdzie indziej puszcza szumi, u was zboże. Ale gdzie indziej, bywa także, zboże mają wyższe, a kłosy sporo większe.

– Naprawdę?

– Zajdę kiedy do was, więcej opowiem.

Powinnam odpowiedzieć, że prosimy, że gość w dom, Bóg w dom, ale wtedy zobaczyłam tych dwoje, Jankę i Janka. Siedzieli na progu stodoły, z daleka jak dzieci nieduże wyglądali, z bliska jak starcy jacyś, i gapili się na nas, na mnie się gapili z progu stodoły, niebieskie wypłowiałe oczka, sękaty, brązowe dłonie, które dziwne jakieś znaki wyczyniały. Wyglądali, jakby z klepiska i z desek powstali, ale pamiętałam, że gdy siedzieli na miedzy, wyglądali, jakby z ziemi ich ulepiono albo z bruzdy ich wykopano, a jak siedli przy lesie, jakby ich kto z patyków poskładał, tacy byli dziwni.

– Szczepan, chodźmy! Ja nie chcę, żeby na mnie patrzyli. Zwłaszcza teraz.

– A nie ma czego się bać – powiedział wuj. – Dziwne to, ale nieszkodliwe. Siostra z dobroci serca dokarmia.

– Niech wuj tak o nich nie mówi! – uniósł się Szczepan.

– Szczepan, chodźmy już! – Płakać mi się chciało, dziwnie się czułam w sobie, pociągnęłam męża za rękaw do furtki.

– Wróćcie pod wieczór może, wtedy Józwiakowie już będą – powiedział wuj i oddalił się do stodoły, widać kobiecych łez nie lubił.

– Zośka, nie bój się Janki i Janka. Ja do nich właśnie przyjść z tobą chciałem.

– A po co niby?!

– Matula, zanim mnie urodziła, długo się mordowała, ale kiedy oni ją za ręce wzięli, zaraz się pojawiłem na świecie.

– Nigdy o tym nie mówiłeś.

– Bo też nie chciałaś o nich słuchać. Ale ja ci mówię, że Janek i Janka to dobre duchy, najlepsze.

I podszedł do nich, wstali, wtulił się w nich, jak w matkę i ojca, co było i dziwne, i śmieszne, bo był od nich wyższy.

– Pomogą nam – powiedział.

– A niby skąd to wiesz?

Janek z Janką głowy przekrzywili, równocześnie na mnie spojrzeli.

A wtedy dreszcz mnie przeszedł, mocny, od stóp do głów, i nagle poczułam, że coś we mnie pęka. Pękło i poleciało. Stałam tam, w rozkroku, na tym podwórzu Józwiaków, i sikałam wodami jak

krowa, a Janek z Janką patrzyli na mnie i głowami kiwali jak te zabawki z jarmarku.

– Mówią, że będzie dobrze. Mówią, żebyś się nie bała.

A ja nagle poczułam, że mogę przestać się bać, bo urodzę bezpiecznie.

Janek i Janka

Powiedzieliśmy dziecku, że dziś jest dobry dzień, żeby przyjść na świat.

A ono zrozumiało.

Szczepan Józwiak

Zośka się uparła, żeby urodzić u nas w domu, choć namawiałem, byśmy w chałupie u rodziców zostali, i Golcowa tu pomoże, i matula, jak wróci. Wszystkich znamy, z każdym się dogadamy, zawsze bezpieczniej. A Zośka, że nie i nie, że rodzić będzie tylko u siebie, na swoim sienniku, i że jak ja nie chcę, to sama do domu pójdzie.

Cóż mi było robić? Stękającej na wóz wejść pomogłem i do naszego Sokołowa pojechaliśmy. Tam jeszcze Zośka kazała mi zajechać po Gretę i po żonę Jana. Zajechałem, pokorny jak nigdy, bo i bardzo o tę moją żonę się bałem.

– Może i matulę ci przywiozę?

– Ani mi się waź! – wrzasnęła Zośka, uparta jak zawsze, co mi trochę humor przywróciło.

Poród trwa, to wiedziałem, długie czekanie przede mną. Nie wiedziałem, co ze sobą zrobić, pocałowałem żonę mocno,

przykazałem Olęderkom, by się nią dobrze zajęły, może nawet zrozumiały, i poszedłem do kowalczyków, bo chciałem z rodziną posiedzieć. Kuźnia jednak i chałupa były zawarte, chłopaki pewnie pod wieczór w karczmie z dziewczkami siedzieli. Pomyślałem zatem, że do rodziców zajrzę, u nich razem na dziecko poczekamy i już nawet kilka kroków zrobiłem, gdy przypomniały mi się ojcowskie plecy zawsze do mnie ostatnio odwrócone, gdy przypomniały mi się matuli westchnienia i kose spojrzenia. Zawróciłem do Sokołowa.

A tam zapukałem do sąsiada, Olędra Jana, który zaraz zrozumiał, o co chodzi, flaszkę na stół wystawił, po plecach poklepał, fajeczkę zapalił i tak sobie siedzieliśmy, czekając na nowe życie.

Myślałem, że urodzenie dziecka coś zmieni w moim ojcu, ale nie. Nie pomogło też chyba imię, jakie nadałem synowi. Nie po ojcu, nie po dziadku, którego imię sam nosiłem, zresztą cudzego dziecka po swoich ojcach nazwać nie wypadało, a dla wszystkich ono było cudze. Mogłem więc imię wybrać sam. I wybrałem. Po dwójce moich przyjaciół z Naczachowa, po tym mężczyźnie, jak dziecko wyglądającym, który i opiekunem mi bywał, i przewodnikiem, i wybawicielem. I po tej jego siostrze nie siostrze, która zawsze jedno z nim tworzyła i imię pokrewne nosiła. W nich moja siła była, od nich świat poznałem, oni naszego zwlekającego malca na świat zaprosili. „Janek” więc będzie. „Jasiek”, jak wołała mówić Zośka, żeby imię jak najmniej Morowiaków przypominało.

Matula przyszła do nas zaraz na drugi dzień po narodzinach. Weszła, westchnęła, od razu zła, żeśmy po nią nie posłali do porodu, że czekała na wezwanie, że szmatki na pieluchy, powijaki przygotowała, cała gotowa, żeby pomóc, a tu nic.

– I to własny syn! – narzekała matulka. – Własny syn!

Nic nie mówiłem, bo i co było mówić?

Matula najpierw Jaśka z powijków rozwinęła, obejrzała, czy wszystko na miejscu, paluszki policzyła, główkę obmacała, aż się rozpląkał. Wtedy jakby trochę się uspokoiła, dzieciaka owinęła, dała do ssania rąbek szmatki w mleku maczany, ale na ręce nie wzięła. Rosół, co przyniosła, Zośce podała, sprawdziła, czy żona moja gorączki nie ma, na płachtę popatrzyła, czy nie lecą z Zośki złe rzeczy, ale potem zaraz się od synowej odwróciła, siadła w kątku, pochrząkiwała i cała była nielubieniem. Widziałem, że Zośce przykro, ale klócić się nie chce, dlatego też zaraz zaczęła udawać, że zasnęła. Może zresztą zasnęła naprawdę, bo też i srogo poród moją kobietę wymęczył.

Matula pokręciła się po chałupie, posprzątała, potem wyszła do obory. – Krowy wam przynajmniej wydoję, jak dziewczucha słaba – powiedziała. Mleko w sieni ustawiła, w czoło mnie pocałowała i zebrała się do wyjścia. Odprowadziłem ją do furtki.

– A ojciec? Nawet wnuka nie zobaczy?

– A jaki on tam wnuk? Młynarskie to dziecko, nie nasze – powiedziała matula.

I poszła.

Wróciłem do chałupy, przybity przez to wszystko, w progu stanąłem. Zośka już nie spała, wysunęła okrągłą pierś z wycięcia koszuli i podała maleństwu, a piersi miała teraz obfite jak figurka Maryi w szopce betlejemskiej rozstawianej na Gody. Mój syn ciamkał rozgłośnie, a ja aż zamarłem ze szczęścia.

Zośka Józwiakowa

Jasiek urodził się zdrowy, silny, głowę dźwigał wysoko, krzyczał na całe obejście. Rósł szybko, bo i jadł tyle, że myślałam, że mnie wysie do cna. Patrzyłam na jego okrągłe policzki i chciało mi się krzyżeć ze szczęścia. Z ulgi. Narodziło się dziecko miłości i chciało żyć. Staralam się nie myśleć o Opaczności, żeby o mnie czym prędzej zapomniła, a na moje dziecko w ogóle nie zwracała uwagi.

W talii zrobiłam się sporo szersza, okrągłe piersi ledwie się mieściły pod gorsetem zakładanym na niedzielę i cudownie odnajdywałam się w swoim większym ciele. Przy młynarzu chuda byłam jak trzcinka nadrzeczna, teraz rozgościłam się w sobie jak krzepka rzepa, więcej miejsca zajmowałam w świecie, byłam więc ważniejsza, znaczniejsza dla wielu dookoła, dla Szczepana przede wszystkim, przez co i dla siebie także. Ale już najszerszy to miałam uśmiech. I to od rana, od razu po przebudzeniu wychodził mi na twarz i wcale z niej nie schodził. A dlaczego się miałam nie śmiać, gdy budziłam się u boku męża albo przynajmniej przy poduszce z wgłębieniem jego głowy w środku, a między nami posapywało moje dziecko, bo jakimś trafem zawsze w nocy trafiało z koszyka u powały na nasz siennik?

Może nie było u nas tyle jedzenia, co u młynarza, nie mieliśmy tyle ziarna ani mąki w komorze, tyle słoniny nad piecem, tyle grochu w kredensie, kredensu nawet nie mieliśmy, bo w nowym domu wielu jeszcze sprzętów brakowało, siennik na razie leżał na podłodze, ale po pierwsze: przynajmniej Jasiulek z niego nie spadnie, a po drugie: nic nie skrzypiało, gdy kochaliśmy się w nocy.

Bracia czasem wpadali, rozejrzeli się, gorzałeczki popili.

– Nie bije?! Nie bije?! – pytali. Nie bił. Wychodzili zadowoleni, że dobrze trafiłam, a dom, który pomagali budować, nie przecieka.

O rodzicach Szczepana starałam się w ogóle nie myśleć. Bo i po co? Byli daleko, razem ze swoimi minami, plecami i zagniewaniem. Za to którejś niedzieli przyszedł wuj. To ci dopiero była gościna! Poproszony siadł za stołem, kaszę ze skwarkami i kapustę z grochem wystawiłam mu przez szacunek w oddzielnej misce, przez szacunek też duży kawał słoniny z tej, co nad piecem wisiała, na omastę poszedł, w końcu nie byle kogo w domu przyjmujemy, tylko wuja mojego męża, człowieka w świecie bywałego. Wuj najadłszy się, usta otarł i gospodarskim krokiem zaczął przechadzać się po obejściu, podziwiając nowe budynki, a my za nim, bo to zawsze miło, gdy kto nasze gospodarstwo chwali, a gdy chwali osoba tak światowa, miło podwójnie. Wuj pokiwał głową nad naszym dużym domem (i tak przecież mniejszym, niż miałam u młynarza), wielką stodołą, z której tak dumny był mój mąż. Z rozmachem gospodarujesz, pochwalił Szczepana, miło się nam obojgu zrobiło, a potem poszliśmy z wujem w pole, gdzie znowu okazało się, że o wszystkim umie coś mądrego opowiedzieć.

Na przykład o tym, że warto nie tylko obornikiem rośliny zasilać.

– Najlepszy nawóz świata to guano! – mówił, unosząc palec do góry. – Guano!

A brzmiała ta nazwa dziwacznie, jak to, co w obcej łacinie mówił ksiądz podczas mszy.

– Ale przecież mamy gnój z obory, pod warzywo, pod kartofle, pod zboże dobry, po co jeszcze coś kupować?

– A chcesz mieć duże plony?

– A kto by nie chciał?

– A największe w okolicy?



Szczepan, do nowinek zawsze niestety bardzo wyrywny, od razu uwierzył wujowi, więc zaraz na drugi dzień pojechał do miasta, kupił szarego, ostro pachnącego proszku i jął ziemię pod warzywami w ogródku przysypywać, ciesząc się, jakie to rzepy, jakie marchwie nam zaraz wyrosną. No i co? Po paru dniach okazało się, że proszek o głupiej nazwie przepalił warzywa i ze wszystkim zmarnowały się rzepa, marchew i kapusta, które siałam, przerywałam i pieliałam już od paru tygodni. Tak się wściekłam na Szczepana, tak wyrzekałam, tak lamentowałam, że zaraz do wuja pojechał, żeby mu wypomnieć złą radę. A wuj przyjechał z nim, rozejrzał się, cośmy w tym warzywniku zrobili, i aż się za głowę złapał.

– Bo guana trzeba było wziąć tylko trochę, w wodzie rozbełtać i oszczędnie podlewać, a nie sypać garściami, no co ty, Szczepan.

– A skąd mieliśmy to wszystko wiedzieć, skoro wuj nam nic takiego nie powiedział! – wrzasnęłam, zła jak nigdy.

Wuj chrząknął tylko, ale długo nie milczał, bo zaraz potem wypomniął:

– Oj, Szczepan, Szczepan. Na drugi raz spytaj, a najlepiej po mnie przyjeźdź, zanim coś robić zaczniesz, a nie potem.

Pokiwał jeszcze głową nad naszą nieznamością rzeczy, poużalał się, że przez niewiedzę nam nie wyszło, i poszedł.

Ależ zła na niego byłam! A jeszcze bardziej, gdy mi bracia wytłumaczyli, co to jest guano – Szczepan na targu zapłacił za starte na proszek ptasie gówna! Ale tego już mężowi nie mówiłam, bo było mi go szkoda nawet bardziej niż tej rzepy.

## Część siódma. Rok 1835, zmiany i nadzieje

*Nad Ziemią znowu, jak co siedemdziesiąt pięć lat, pojawia się kometa Halleya. Karol Darwin na pokładzie HMS „Beagle” dopływa do Galapagos, gdzie niedługo dozna olśnienia, które doprowadzi go do stworzenia teorii ewolucji. Poza tym Hans Christian Andersen wydaje swój pierwszy zbiór baśni, Marie Tussaud otwiera w Londynie Muzeum Figur Woskowych, „New York Sun” publikuje cykl artykułów o odkryciu życia na Marsie, a Samuel Colt w stanie New Jersey zaczyna produkcję rewolwerów. Naczachowem nadal włada car Mikołaj I Romanow, co jednak nikogo nie obchodzi, bo car jest daleko, a wdowa dziedziczka blisko.*

Zośka Józwiakowa

Dzień się kończył, a pole kartofli skończyć się nie chciało. Wyrwaliśmy chwasty od samego rana, a dziesięć niewypielonych rzędów jeszcze stało nietkniętych. Pracy było nie do przerobienia, nie na nas dwoje na pewno, parobek by się zdał, ale zupełnie nie mieliśmy mu czym płacić, a bracia nic więcej niż przy ślubie dać nie chcieli. Szczepan był zajadły na robotę, ja przecież też, ale z Jasiulkiem w chuście na plecach pracowałam dużo wolniej. Co jakiś czas prostowałam się, patrzyłam na pole, czy dużo jeszcze zostało, masowałam sobie krzyż i znowu się pochylałam. Czasem kucnęłam, jak niegdyś kazała Malinicha, żeby w krzyżu nie bolało, ale wtedy po jakimś czasie zaczynały boleć nogi i drętwieć stopy.

– Daj mi małego – poprosił Szczepan.

– A bo ty umiesz?

Nie odpowiedział.

– A jak kto zobaczy? Że z dzieciakiem jak baba chodzisz?

– Niczyja to sprawa, co na swojej ziemi ze swoim dzieckiem robię.

Trzymał dzieciaka, gdy wiązałam mu chustę, żeby węzeł mocny był i mały nie wypadł, bo wtedy mógłby stać się felerny jak Franek od Wicków, co choć mu ze siedem wiosen było, ciągle ślinił się i buczał zamiast mówić. Wsunęłam mężowi synka w chuście na plecy. Szczepan trochę zwolnił, ale po kilku skłonach zrozumiał, że Jasiak mocno się w chuście trzyma i znowu przyspieszył. A mnie bez brzemienia na plecach pracowało się dużo łatwiej. Słodko też było patrzeć na Szczepana z Jaśkiem, mały wciskał ojcu w plecy małe piąstki, ślinił się, aż rosła wilgotna plama na koszuli, co mężowi mojemu jednak nic a nic nie przeszkadzało. Niezwykłe, że nie było dzieciaka, a nagle jest, znikąd, z nas tylko, i aż mi się mokro w oczach zrobiło. Głupio tak płakać z niczego, kiedyś taka nie byłam przecież, a teraz, po tej ciąży, po tym rodzeniu oczy jakby przesunęły mi się w mokre miejsce i tam już zostały.

Jasiulek zakwilił. Wyprostowałam się więc, spojrzałam, ale mały znowu usta krzywił, więc wyjęłam Szczepanowi dzieciaka z chusty na plecach, siadłam na miedzy i zaczęłam karmić, aż w końcu usnął mi przy piersi. Gdy wsadzę go do chusty, obudzi mi się przecież, owinęłam go więc i ułożyłam wygodnie w bruździe, niech poleży spokojnie, bezpiecznie.

Przestaliśmy pielnić dopiero, gdy w zapadającym zmroku trudno było odróżnić kartoflaną łęcinę od zielska. Księżyc niemrawo

przyświecał zza chmury.

– Chmury? Ale padać chyba jutro nie będzie? – zadumałam się z dłonią na plecach, bo chyba coś mi tam chrupnęło. Szczepan stanął za mną, otulił mnie ramionami, też spojrział w niebo.

I nagle wykrzyknęłam:

– Jasiek!

Rzuciłam się do bruzdy, gdzie zostawiłam synka, ale go tam nie było.

– Tam go zostawiłaś?

– Nie pamiętam!

Na kolana rzucił się i Szczepan, niceśmy nie widzieli w tym mroku, macaliśmy po omacku, coraz rozpaczliwiej. Przesuwaliśmy dłońmi po bruzdach, sunęliśmy na kolanach, nie bacząc na kartofle, w coraz większym popłochu.

– Chyba go nikt...

– Nikt tu przecie nie chodził.

– A lisy?

– Lis by nie poradził.

– Boginki!

– W lesie siedzą, nie w polu.

Starłam się być spokojna, bo pośpiech dobry jest tylko przy łapaniu pcheł, tu ważniejsza staranność, powtarzałam sobie jak pacierz, macając miejsce przy miejscu, sunęłam do przodu na klęczkach, a pole wydawało mi się jeszcze dłuższe niż za dnia i Jasiulka nijak na nim nie umiałam znaleźć. Dopiero po dobrych kilkunastu pacierzach narastającej rozpaczyc zdało mi się, że słyszę przed sobą spokojny oddech śpiącego dziecka. Wyciągnęłam rękę.

Tak! Szorstka chusta, gładka, ciepła buzia. Podniosłam Jaśka, przyskoczyłam do męża.

I dopiero wtedy się rozplakałam.

Gdyśmy wrócili do domu, od węgielków w palenisku zapaliłam łuczywo, zatknęłam w stojak, potem ostrożnie odłożyłam Jaśka do koszyka przywiązanego u powały. Mały nadal spał spokojnie, nieświadomy, że we śnie zdążył i zaginąć, i się odnaleźć, posapywał słodko, a policzki miał zdrowe i rumiane. Wtuliliśmy się w siebie, tacy zmęczeni po tym przerażeniu, że od razu zasnęliśmy, bez kochania nawet, a całą noc śnili mi się Janka z Jankiem, chyba oni, bo wyglądali jak ziemia tuląca.

## Szczepan Józwiak

W niedzielę po kościele jak zwykle pokłoniliśmy się rodzicom. Ojciec nawet na nas nie spojrzał i zaraz odszedł, już nie byłem pewien, czy bardziej smutny jestem z tego powodu, czy zły, powoli zresztą zaczynałem się przyzwyczajać. Matula jednak została przy nas, starała się uśmiechnąć, a nawet spojrzeć na synową, na wnuka. Doceniałem to, więc postanowiłem postać dłużej, pogawędzić, Zośkę też za rękaw trzymałem, by nie odeszła.

– A bo nam Jasiek wczoraj w polu zginął – zacząłem.

– Jak wam mógł oserek zginąć? Przecież nigdzie nie pobiegł. Co ty, synuś, opowiadasz? – spytała matula z tym swoim westchnieniem, które rezerwowała tylko na sprawy Zośki i Jaśka. Odechciało mi się od tego gadać cokolwiek, zmusiłem się jednak, żeby opowiedzieć całą historię. Jasiek zaczął buczeć, Zośka odeszła na bok, żeby go nakarmić, a wtedy matula nagle szepnęła mi do ucha coś straszego.

– Jakby mały się nie znalazł, może i lepiej by dla nas wszystkich było. Dla dzieciaka też.

– Co też mówicie, matulo?! Lepiej, żeby Jasiek nie żył?!

– Ciszej, bo ludzie usłyszą. Ale tak naprawdę, synuś, co za życie go czeka? Pogrobowiec, dziecko mordercy, szaleńca jakiegoś. Czy coś dobrego z tego dzieciaka wyrośnie? – Pokręciła głową, bo już teraz wiedziała, że nic. – Kłopot tylko z nim będzie i tyle. Zaraz przecież zrobicie sobie nowe, swoje.

Nie chciałem tego słuchać, ale jeszcze bardziej nie mogłem dopuścić do tego, by matka patrzyła na Jaśka w ten sposób, żeby tak o nim myślała, jak nie o moim dziecku, a przecież takim kruchym, maleńkim. Dlatego tamtego ranka, pod kościołem, wreszcie wyznałem jej wszystko. I zaraz umilkłem, przestraszony, że złamałem tajemnicę, że zacznie się awantura, tutaj, zaraz, na kościelnym dziedzińcu nastanie sądny dzień. Matula jednak znowu mnie zaskoczyła. Bo zamiast zacząć krzyczeć, że synowa wiarołomna, że syn grzeszny, że nabroiliśmy i co by było, jakbyśmy nie mogli być razem, spojrzała na mnie rozpromieniona i szepnęła:

– Trzeba było mi od razu powiedzieć, synuś. Tak sobie właśnie myślałam, że dziwnie ten Jasiek do ciebie małego podobny.

A potem mnie przytuliła, po raz pierwszy od czasu, gdym oznajmił, że się żenię z Zośką.

– Jakoś twoja matula życzliwiej na mnie dzisiaj spojrzała – odezwała się Zośka, gdyśmy ruszyli do domu.

– Może poznała, jaka z ciebie dziewczyna. Może zobaczyła to wszystko, co ja w tobie widzę od zawsze.

– Tak? A mnie się wydaje co innego. Mnie się wydaje, że powiedziałaś jej, czego mówić nie miałaś!

Milczałem chwilę, ale nie było sensu zaprzeczać.

– Może i powiedziałem. Ale na dobre przecież wyszło. Naprawdę na dobre. Żałuję tylko, że tak długo się ociągałem.

Jeszcze na drodze zaczęliśmy krzyczeć na siebie, ale w domu już poszło na całego.

– A kto ci pozwolił?! Kto ci pozwolił wszystkim rozgadywać?!

– Matuli tylko powiedziałem!

– No to zaraz się wszyscy dowiedzą!

– A ty na moją matulę nie gadaj!

– Ale ona na mnie mogła, tak?!

– Złego słowa o tobie nie powiedziała!

– Akurat. Mówiła, nie raz. A ty mnie nawet nie broniłeś!

– Tyle czasu w rodzinie mogłem ocalić, zgoda by między nami a rodzicami była, gdybyśmy im powiedzieli od razu prawdę! To nie, musiałem ciebie posłuchać! Że nie mów, nie mów, mężu, nikomu, broń Boże, nie powiedz! I po co?! Po co?!

I wtedy akurat musiała do naszego obejścia zajechać furmanka. Patrząc przez okno, a to ojciec i matula z wozu zsiadają, ojciec się rozgląda, matula wszystko mu tłumaczy, udając zadomowioną, choć ledwie dwa razy się tu pokazała. Rodzice po podwórzu się kręcą, a obok mnie Zośka stoi i gniew w niej buzuje jak woda w garnku nad paleniskiem.

Rodzice weszli do domu. Ojciec dźwigał kołyskę, w której i ja się wychowałem, a przecież matula tłumaczyła mi jeszcze niedawno, że nijak tej kołyski znaleźć nie może, bo chyba spalili ją którejś zimy. Teraz jednak ustawili ją w kuchni. Matula uśmiechała się szeroko,

a ojciec stał obok milczący i zadziwiony, starając się czoła nie marszczyć.

– Jak tam? Dobrze wam tutaj, w Sokołowie? – spytała matula.

– Przyzwyczajamy się – odrzekłem.

Moja żona skłoniła się im bez słowa, a potem poszła szykować poczęstunek, ale waliła przy tym garami jak nigdy. Ojciec stał przy ścianie, jakby bał się rozgościć, a matula po raz pierwszy w życiu wzięła Jaśka na ręce. Dzieciak od razu się rozdarł.

– No cichoj, cichoj – kląskała do niego matula. – No, ćśśś, ćśśś, wnusiu!

– Co się dziwić. Nie zna babki, to i płacze – rzuciła Zośka znad pieca.

Matula udała, że nie słyszy, ale ojciec aż się zgiął w sobie. Czuję, jakby w izbie nie było czym oddychać, a przecież mieliśmy komin czysty, prosty, drożny.

Tatulo nie ułatwiał. Niby się starał, ale nie wychodziło.

– A ten piec to się u was sprawdza? – spytał na przykład.

– Wygodniej jest z takim piecem niż z otwartym paleniskiem.

Tatulo zobaczy, jaka płyta, jakie fajerki...

– Co wy, młodzi, z tą wygodą?

– Dla dziecka także z takim piecem bezpieczniej, bo w palenisko nie wpadnie.

– Dziecka to pilnować trzeba, a nie dziwaczne piece budować.

– W nowym piecu mniej torfu czy drewna trzeba, a ciepło dłużej trzyma – wyjaśniłem. – Więc choć postawienie trochę kosztowało, to koniec końców, będzie oszczędniej.

– Tu oszczędzicie, tam wydacie. Po co wam metalowe garnki?

– A bo na takim piecu gliniane pękają.



– No i masz. A nad otwartym paleniskiem zawsze spokojnie mogłeś gliniany garnek powiesić.

– Ale z nimi zawsze problem był. Tłukły się przecież, pękały, drutować trzeba było, potem przeciekały.

– Ale jakoś żeśmy lata z nimi przeżyli. Dlaczego myślisz robić wszystko inaczej niż my?

– Dajże chłopakowi spokój. – Matula z pomocą przysłała. – Niechże robią po swojemu.

Ojciec już się nie dopytywał, ale czemuś krzywy siedział.

Na szczęście Zośka po pierwsze milczała, a po drugie podała jedzenie, trzy misy, z zupą, z kurą, z kluskami. Już myślałem, że łagodniej przy stole się zrobi, gdy stawiając ostatnią miskę, odezwała się:

– Na dziwnym piecu gotowane, więc nie wiem, czy będziecie chcieli jeść.

Ojciec usta zacisnął, matula znowu poczęła zagadywać:

– I popatrz, Antoś, jak sprytnie okna zrobili, otwierane, nie jak u nas, na głucho zamknięte. A i ściany twardsze, grubsze mają, no popatrz, Antoś, wszystko tak sprytnie Szczepan wymyślił. I Zośka.

– Niech teść dobrze na wszystko popatrzy, bo przez prawie dwa lata tego oglądać nie chciał – warknęła moja żona. Wcale nie chciała siadać z nami, stała obok, czerwona, coraz czerwiejsza.

Matula wreszcie nie wytrzymała:

– Dlaczegoście od razu nie wyznali prawdy o Jaśku?!

– No bo... – zacząłem, ale nie miałem pojęcia, co powiedzieć.

A wtedy Zośka krzyczeć poczęła:

– Ale ja jestem ta sama, dziecko to samo, cały czas tacy byliśmy, a wy dopiero teraz zaczęliście być dla nas dobrzy?! Swoi?! Musieliście nas tyle czasu dręczyć?! A jakby się Szczepan nie wygadał, to ile byście się do mnie nie odzywali?! Do śmierci?! I Jasiek by myślał, że dziadkowie właśnie tak powinni się zachowywać?! Czegoście chcieli go w ten sposób nauczyć?! Nienawiści? Pogardy?!

Matula głowę spuściła, ojciec gapił się w okno, a twarz miał nieszczęśliwą, nawet bardzo. Wreszcie odchrząknął. Wszyscy się przestraszyli, że teraz on krzyczeć zacznie, odezwał się jednak cicho:

– Winien wam coś jestem. Tobie i Zośce.

Podniósł się zza stołu, podszedł do nas.

– Klękniecie? – spytał.

– No i co jeszcze?! – zaperzyła się moja żona.

– Chodź, Zosia. – Sam przed ojcem ukląknęłam. Podszedł, krzyżyk na czole mi wyrysował, którego odmówił przed ślubem. Zośka stała obok, usta ułożyła w chmurną bułeczkę, nie miała zamiaru zginać kolan. Ojciec więc podszedł do niej, rękę wyciągnął, krzyżyk jej na czole wyrysował. Ani drgnęła. Więc potem się pochylił i pocałował jej spracowaną dłoń.

I wtedy matula zaczęła szlochać.

Zośka Józwiakowa

Sami zostaliśmy dopiero pod wieczór.

– I co? Na dobre wyszło? – spytał Szczepan.

Milczałam.

– Miałem rację, Zośka, sama musisz przyznać!

Nic nie mówiłam. Wreszcie wybuchłam:

– Ale trzeba mnie było przedtem spytać, czy możesz powiedzieć!  
To był mój sekret! Moja sprawa to była!

A on na to cicho, spokojnie:

– Tak? A ja myślałem, że nasza.

– Źle myślałeś! – zaczęłam, ale wdusiłam te słowa z powrotem do ust, takie były podłe, niesprawiedliwe.

Usłyszał jednak. Czerwony się na twarzy zrobił, wyprostował się, powietrza nabrał, pochylił nade mną. A ja, w ogóle nie myśląc, uchyliłam się, jak w czasach, gdy młynarz mnie bijał, uchyliłam się, chowając twarz i brzuch. Szczepan zamarł, popatrzył na mnie zdziwiony. Wreszcie zrozumiał i oczy mu zogromniały, załśniły w mroku izby.

Wyciągnął do mnie rękę delikatnie, od dołu, żeby już nie wyglądało, jakby chciał mnie bić, po czym przygarnął do siebie. Najpierw się opierałam, ale w końcu się w niego wtuliłam.

Hanka Józwiakowa

Jak dobrze, że mi Szczepan o wszystkim powiedział. Jak dobrze, że mogłam na Zośkę innym okiem spojrzeć, a zwłaszcza że rozumiałam, że mały Jasiek to krew z krwi naszej. Od razu na sercu lepiej mi się zrobiło, Antosiewi też się czoło wyprostowało, a i dusza poweselała, widziałam to.

Zaczęłam do młodych chodzić, pomagać w domu, przy dziecku, zaczęłam z Zośką gadać. Przedtem, gdy u nas przemieszkiwała przez tych parę tygodni, z chmurnymi minami rzucałyśmy tylko ważne zdania – że kartofle obrane, że po wodę iść trzeba, że krowa jeszcze niedojona. Teraz rozmawiałyśmy. Nie była z niej może kobieta światowa jak Malinicha, ale i głupia wcale nie była, bystra

i w myśleniu szybka, choć wyraźnie przez młynarza zgnębiona, do nas jeszcze z Antosiem ciągle nieufna. Ale odżyje, tego byłam pewna, postaram się o to, odpokutuję za wszystko, i za tego upartego męża mojego też.

No i wreszcie miałam okazję o Malinichę wypytać, o oskarżenia, jakie młynarz na nią rzucał. Co się okazało? Tak, to prawda, że Zośka dostawała od Malinichy ziółka, ale to były ziółka na wzmocnienie. Tak, dziecko urodziło się żywe i zdrowe chyba, bo po urodzeniu zapłakało. Potem Malinicha położyła je na brzuchu matki, tam leżało spokojnie, dopiero po dłuższej chwili Zośka zauważyła, że przestało oddychać. Malinicha zaraz porwała małego na stół, próbowała mu wdmuchnąć do ust powietrze, ale pierś się dzieciakowi poruszała, tylko gdy wdmuchiwała, poza tym ani drgnęła. Malinicha próbowała tak przez kilka pacierzy, aż w końcu przestała, tłumacząc Zośce, że się czasem zdarzają takie dzieci, że Pan Bóg od razu wzywa je do siebie, człowiek nic wtedy zrobić nie może. Pocieszała Zośkę, przytulała, a nad ich głowami młynarz wrzeszczał, że zabiły dzieciaka. Mały miałby teraz trzy lata, szlochała Zośka, opowiadając mi wszystko, a ja ją wtedy tuliłam jak córkę, jedną z tych, które mi nigdy nie dorosły, i jakoś obu nam było dobrze z tym tuleniem.

Po tamtym rodzeniu młynarz Malinichę znienawidził. Za śmierć dziecka, ale nie tylko. Bo okazało się również, że Malinicha go przeklęła. Tak, o tym nikt nie wiedział, nikt we wsi, bo też młynarz nikomu się tym nie chwalił, Zośce wyznał dopiero po jakimś czasie, skąd się niemoc męska u niego wzięła. Gdy bowiem Malinicha wychodziła od nich z domu po tym porodzie, spojrzała na gospodarza złym okiem, a przez to kochać się z żoną już nie dawał

rady. A im bardziej mu nie wychodziło, tym bardziej winił Zośkę, bo to ona sprowadziła do domu czarownicę. No i dlatego zaczął ludzi podjudzać przeciw Malinisze. Żeby nie on, może znachorka do dziś by z nami w Naczachowie mieszkała, do dziś bym mogła do niej chodzić, rady szukać i wsparcia.

Ale może ta samotność miała być moją karą.

Kiedy jednak spojrzałam na wnuka, pogłaskałam po rękę synową, od razu otucha do serca wróciła.

W kolejną niedzielę zjechali Szczepan z Zośką i maleńkim Jaśkiem. Ależ się cieszyłam, że będzie jak u ludzi, dzieci w niedzielę do domu na obiad przyjeżdżają.

Chłopu może nie wypadało do oseska się tulić, ale co z tego, Antoś był u siebie, więc zaraz się nad małym pochylił, na ręce go wziął i dalejże świat mu pokazywać, w domu i na podwórzu, aż mi łzy do oczu napłynęły, że taki dobry z niego dziadek. Odłożył Jaśka dopiero, gdy mały mu się zrzygał na odświętny serdak. Serdak wytarłam i wtedy sama wzięłam Jaśka na ręce.

Gdy tylko zapachniało obiadem, Kostek wyszedł ze stodoły na podwórze, skłonił się młodemu, dziś porządniej niż zwykle ubrany, w cerowane portki i koszulę Antosia. Szczepan tym razem jemu opowiedział historię o zaginięciu Jaśka w bruździe. Kostek nic a nic się zaginionym dzieciakiem nie przejął, skoro mały bezpieczny posapywał u mnie na rękę, za to pochwalił, że młodzi kartofle posadzili, bo kartofle to przyszłość.

– Akurat. Bajki opowiadacie – warknął Antoś. – Wszystkie plony ważne.

– Bajki też umiem, jak chcecie, opowiem. Ale teraz akurat prawdę mówię. Więcej kartofli sadźcie. Ile ich masz, Szczepan?

– Jedną morgę.

– Mało.

– Jak to mało? – poparłam syna. – Starczy. Z kartoflami tyle przecież roboty.

No bo przy zbożu napracujesz się tylko trzy razy – przy siewie, przy żniwach i przy młócce. A kartofle? Na wiosnę bulwy do sadzenia wybrać należy, pociąć, żeby na każdym kawałku było przynajmniej jedno oczko, dołek w ziemi graczką zrobić, kartofla wsadzić, zakopać i tak na całym polu, sztuka za sztuką, naschyłać się trzeba, namachać. Potem pielic trzeba, żeby chwasty nie zagłuszyły kartoflanych łętów, i to pielic co parę tygodni, żeby coś z tego urosło. A potem, jesienią, wykopki robić i to ostrożnie, żeby motyką bulw nie uszkodzić, wykopać każdego kartofla z ziemi, wrzucić do kosza, z kosza na wóz, roboty z tym a roboty.

– A i potem jest kłopot – dopowiedział Antoś. – Zboże można trzymać latami, jak się ma suche miejsce, a kartofle tylko do mrozów!

Wiadomo, jeśli kartofle trzymać w ciepłym, zaczynają kiełkować i zamiast kartofla masz zaraz same pędy i wyschniętą bulwę. A gdy schowasz je tam, gdzie nie jest grzane, kartofle przemarzają, a potem szybko gniją i do jedzenia są już niezdatne, bo jak gówno śmierdzą, czasem nawet świnie zjeść tego nie chcą.

– A ja mówię, że morga na kartofle to mało – upierał się Kostek. – Bo ja byłem tam, gdzie na kartofle „pyry” mówią, i oni taki sprytny sposób wymyślili, żeby im te pyry zimą nie przemarzały.

– Pyry?

– A tak. W różnych miejscach ludzie różnie mówią.

Tyle to sama wiedziałam, wystarczyło na Olędrów popatrzeć.

– Jaki sposób mają na kartofle? Jaki, niech wuj powie.

– Dobry sposób, bo dzięki temu starczą im te kartofle aż do przednówka.

– Do przednówka?!

– A tak! Nazywają to kopcowaniem...

Kostek zawiesił głos, a myśmy go zaczęli zarzucać pytaniami.

– Cóż, skoro tak prosicie, opowiem. Choć to dłuższa historia będzie... – I odchrząknął, żeby napięcie wzrosło. – Najpierw kopie się dół, głęboki całkiem, tak do pasa dla dorosłego mężczyzny. Ważne, żeby nie kopać tam, gdzie woda podbiega, sucho ma w środku być. W tym dole ułożyć trzeba suche gałęzie, nasypać suchych liści, a znowu na to narzucić grubą warstwę słomy. I wtedy sypie się kartofle. I znowu słoma, gałęzie, ziemia. I do przednówka jak nowe. Jakbym miał gospodarkę, to tak bym właśnie wszystko robił.

– Ale nie macie gospodarki – powiedział Antoś z mściwą jakąś satysfakcją, aż ton jego głosu i mnie, i syna, i synową zadziwił. – Nikt tak nie robi, Szczepan. Zupełnie nikt. Nikt kartofli na zmarnowanie ziemią nie przysypuje.

– A to już jak tam sobie chcecie – powiedział Kostek. – Ja tylko mówię, że potem się te kartofle wyjmują, u wszystkich głodno, a ty masz co jeść, a czego nie przejesz – sprzedasz. I to za dużo większy pieniądz niż jesienią. Nie mówiłbym tego każdemu, ale wam powiem, bo jesteście dla mnie całkiem jak rodzina.

– Jak to: jak rodzina?! – zdziwił się Szczepan.

Chrząknęłam, Kostek się speszył, a Antoś uśmiechnął, bo łasy był na wszystkie wpadki znieawidzonego Kościeja. Ten jednak nie wdawał się w wyjaśnienia, ręką machnął i poszedł się schronić do stodoły, żeby więcej Antosia nie drażnić. Antoś już się do Szczepana przysuwał, żeby pogawędzić, stracony między nimi czas nadrobić, ale Szczepan, nawet na niego nie patrząc, poszedł za wujem i aż stąd słyszeliśmy, jak żywo go zagaduje w temacie kartofli. Wzięłam Antosia za rękę, żeby nie czuł się samotny, ale nie lubił współczucia, dłoń wysunął i wrócił do domu.

Gdy pogadawszy z Zośką, w końcu tam za nim poszłam, zobaczyłam go samego w kuchni przy pustym stole. Ułożyłam wnusia obok, na łóżku, spał spokojnie, jakby mu dziadzius zupełnie do niczego nie był potrzebny.

### Szczepan Józwiak

Gdyśmy wykopali kartofle, gdyśmy już je z pomocą Zośki, z Jasiulkiem łążącym na czworakach po podwórku i ładującym do buzi każdy kamyczek, podzielili na zdrowsze i te brzydsze, które mieliśmy zjeść najpierw, gdy jeszcze się nawet dobrze po całej tej harówce nie wyprostowałam, już w tajemnicy przed Zośką pojechałam do wuja.

Wszedłem do ojców na podwórze i zacząłem się za wujem rozglądać. Aż dziwne, jak na nowo widziały mi się wszystkie stare miejsca, na przykład dom rodzinny wydał mi się dużo niższy i mniejszy niż kiedyś, okienka ciaśniejsze, strzecha bardziej zwichrowana. Gdy wchodziłem do chałupy, w progu musiałem pochylić się jeszcze bardziej niż przedtem, w środku pachniało wszystkim, co znałem, ale i wilgocią jakąś dla nosa nową. Rodziców



w kuchni nie było, Janek i Janka tylko siedzieli przytuleni do od dawna stygnącego pieca, też mniejsi jacyś, bardziej na twarzach pomarszczeni. Nagle przestali wyglądać na chude dzieci, a zaczęli na zmarniałych niedużych staruszków. Przytuliłem ich, pachnieli sianem i słomą jak zawsze, przez chwilę syciłem się nimi, tym zapachem bezpiecznym, przez chwilę znowu byłem dzieckiem.

– Gdzie wuj?

Janka pokręciła głową, Janek wzruszył ramionami.

Dopiero wtedy z komory wyszedł ojciec.

– Tak dawno cię nie widziałem, a ty o Kościeja pytasz? Do niego przyjechałeś czy do nas?

– Do was także – zacząłem się plątać, ale ojciec zmarszczył się na to „także”, więc pewnie lepiej było więcej nie tłumaczyć. Już całkiem zły, dalejze mnie wypytywać, co u mnie i jak z gospodarką. Mógłbym dużo opowiadać, ale jak tu się ojcu chwalić, że tyle rzeczy w gospodarstwie robię teraz inaczej, niż on robił.

– Kartofle obrodziły.

– Jak i u nas. To część zostawicie dla siebie do jedzenia, część dla zwierząt, część do sadzenia, a część sprzedacie?

– Tak właśnie.

– Mogę na jarmark w czwartek z tobą pojechać, sam może trochę sprzedam przy okazji.

No i patrzcie, gdzie się z rozmową nie ruszyć, tam się na grząski grunt wchodzi.

– Już się z kowalczykami umówiłem, że mi w sprzedawaniu pomogą – skłamałem, żeby uspokoić ojca, i zaraz w myślach postukałem się w piersi ze skruchą, moja wina, niech Pan Bóg mi łgarstwo wybaczy.

– To już nawet i do tego ojciec ci niepotrzebny?

Głowę spuściłem, palcem u nogi trociny na klepisku rozgarnąłem. Znowu inaczej niż u mnie w domu, gdzie deski na podłodze położyłem, jak u Olędrów.

– A matula gdzie?

– Do krów poszła na pastwisko.

– A wuj?

– A ten? Jak zwykle, w stodole się wyleguje.

– Robi coś?

– Brodę hoduje – odpowiedział ojciec gorzko, aż się zacząłem zastanawiać, co ma do wuja, że taki wiecznie na niego cięty.

– Pójdę, sprawdzę.

– Jak tak ciągle do wuja przyjeżdżasz, to może go do siebie weźmiesz? – zeźlił się ojciec znowu.

– A mógłbym? – ucieszyłem się.

Ojciec zachnął się tylko, na pięcie odwrócił i poszedł.

Wuja Kostka ulokowaliśmy w drugiej części domu.

– Na jakiś czas – powiedziałem Zośce. – Pomoże nam trochę.

– Dobry pomysł, przyda ci się męska pomoc – stwierdziła, łachocząc pod brodą Jasiulka, który zaśmiewał się z tego tak szczerze, że aż się opluł, co go rozbawiło jeszcze bardziej.

A ja, nie chwając się wcale Zośce, co mam zamiar zrobić z częścią wykopanych kartofli, wziąłem wuja do kopcowania. Wuj radą służył, ale z kopaniem radziłem sobie sam. Ukryliśmy się z tym z boku obórki, żeby nas z domu nie widać było, tyle że Zośka z małym na rękach zaraz nas przyłapała.

– Jednak robisz, co chciałeś?

– To tylko połowa kartofli.

– Zmarnują się.

– Albo zarobimy na nich jak nigdy.

Pokręciła głową. Wuj zaczął przekonywać:

– Niejeden kopiec w swoich wędrownkach widziałem. Niejednego pięknego ziemniaka na przednówku z kopca wyjątego.

Zośka aż wzięła się pod boki z tych nerwów.

– Niejednego młodego bez pomysłu widziałam. Niejednego starego, który poczuć się chce ważny, więc gada, co mu ślina na język przyniesie. Na przykład każe gówno w proszku kupować.

– Nie obrażaj wuja. To rodzina. Nasza krew.

Wuj odchrząknął, przestąpił z nogi na nogę. Zośka stała, podparta pod boki, czerwona ze złości.

– Szczepan, ty tu gospodarzem – odezwał się wuj. – Nie pozwól sobie wejść na głowę.

Zośka spojrzała na niego groźnie. Zezłościło mnie to wszystko tak, że aż walnąłem z tego gniewu pięścią w drugą dłoń, skoro stół był za daleko, by w niego grzmotnąć. Ostatnio przez to wszystko stale byłem do gniewu skory.

– Zośka, do chałupy!

Zośka Józwiakowa

Szczepan ruszył pierwszy w stronę domu. Poszłam za nim po chwili, a za mną, nieproszony, człapał wuj. W drzwiach chałupy obróciłam się do tyłu i spojrzałam wujowi w oczy.

– Mąż ma ze mną do pogadania – powiedziałam i zawarłam drzwi za sobą. Wiedziałam, że wuj zaraz pod oknem się ustawi, więc

i okno zamknęłam, bo to była sprawa między małżonkami, wujowych rad już wystarczy.

Szczepan stał przede mną czerwony, dłonie miał zaciśnięte, ale on nigdy pięści w ruch nie puszczał, mówił też dopiero, gdy gniew mu opadł, z rozwagą.

Jednak takich jego słów się wcale nie spodziewałam. Bo spytał:

– Co się stało z tą odważną Zośką, którą kiedyś znałem?

Łzy napłynęły mi do oczu. Bo faktycznie, co się ze mną stało? Kiedyś przecież pierwsza rzucałam się w niepewne przygody, bo myślałam, że lepiej czy gorzej, ale jakoś tam zawsze będzie. Aż wyszłam za młynarza.

– Musimy być ostrożni. Mamy dziecko.

– I właśnie dla Jaśka to robię. Żeby miał lepiej niż my.

– Oby przez to całe kopcowanie nie miał gorzej. Wuj jest taki odważny i wyrywny do wszystkiego, bo sam nie ma nic do stracenia. To my stracimy, jakby co.

– Chce dla nas dobrze.

– Ale brak mu rozsądku.

– A ty masz go za dwoje. Chociaż nie wiem – rozsądek to czy tchórzostwo?

I wtedy płacz wytrysnął z nienacką. Speszył się strasznie Szczepan, bo jakoś chłopcy najbardziej ze wszystkiego na świecie boją się babskich łez.

– No co ty, Zośka, no co, nie płacz przecież, nie. – Przygarnął mnie do piersi. Buczałam w jego szorstką płócienną koszulę, a ten pochrząkiwał przerażony i po plecach, po głowie gładził. Aż wreszcie udało mi się wykrztusić między szlochami:

- Masz rację, Szczepan.
- Co mówisz, Zosia? Co?
- Zrób to całe kopcowanie.

I potrząsnęłam głową, by strach od siebie odegnąć.

### Szczepan Józwiak

Ledwie się ruszałem, obolały od przerzucania ziemi i kartofli, pokłuty i podrapany gałęziami, za koszulę naleciało mi mnóstwo słomy, która gryzła w plecy. No i cały czas w brzuchu ćmiła obawa, że choć tyle trudu włożyłem w kopcowanie, to kartofle jednak się zmarnują. Z umordowania zasnąłem jak zabity. Zaraz jednak o świcie poszedłem pod kopiec. Stał i wyglądał jak wczoraj. Pociągnąłem nosem, ale nic nie było czuć. Czasem myślałem, że razem z bulwami i spokój tu zakopałem, i nadzieję, i przyszłość całą. Coraz częściej w nocy zasnąć nie umiałem, przewracałem się z boku na bok obok posapującej Zośki, która od razu, gdy nakarmiła małego, zasypiała kamiennym snem, by się z niego po jednym pisku dziecka znowu budzić. Wsłuchiwałem się w ich oddechy i szukałem w nich wiary, że jeszcze będzie dobrze.

### Zośka Józwiakowa

Wuj Kostek spał w drugiej połowie domu, ale zaraz rano, gdy tylko zwlekł się z pościeli, szedł do mnie, żeby siąść w kuchni i gawędzić, opowiadać, pouczać, zawsze miał coś do powiedzenia i na każdy temat. Ciekawe to było, zawszeć człowiek coś ze świata usłyszał, ale gdy tak męzowy krewniak przez cały dzień mówił, opowiadał, śpiewał nawet, czasem głowa mnie boleć zaczynała.

– Albo taka historia – zagajał na przykład. – Gospodarz i parobek jadali z jednej miski. Gospodyni, dla oszczędności, okraszała jadło w jednej połowie lepiej i tłuszciej, w drugiej zaś gorzej i stawiała miskę tak, aby się gospodarzowi dostała lepiej okraszona strona. Spostrzegł się parobek i któregoś razu obrócił miskę z okrasą ku swojej stronie. A gdy gospodarz niezbyt z jedzenia był zadowolony, parobek dogadał: – „A bo widzicie, gdy ludzie niesprawiedliwi, to miska sprawiedliwa być musi i sama się obraca”.

– To chyba nie o mnie, wuju?

– A gdzież tam. Ale tak tylko na przyszłość mówię.

Coraz bardziej zaczynałam tęsknić za ciszą.

– Weźże go częściej w pole, bo nie strzymam tego – wzdychałam Szczepanowi. – Ten człowiek wszystko wie najlepiej. Zupę pichcę, nie tak, mówi. Kury wypuszczam na dzień, znowu nie tak. Po wodę do strumienia idę, a on, żeby studnię na podwórzu wykopać, a nie ze strugi brać, wtedy woda będzie czystsza. Brudna jest, wuju? – pytam. Brudna? Bo piorę w niej wujowe portki, daję ją do wujowej zupy i do wujowego kompotu, więc chyba aż taka zła nie jest? Może on i mądry, ale niech będzie mądry z tobą w polu, a nie mnie mąduje się w domu od rana do wieczora – narzekałam tak mężowi, z dala od wuja oczywiście, bo miarę znałam.

Gdy już zatem bardzo tęskniłam za ciszą i spokojem, zostawiałam Jaśka pod wujową opieką i biegłam do warzywnika, żeby zająć się robotą i nie słuchać nieustannie Kostkowego brzęczenia. O wojaczce wuj mówił niewiele, nic właściwie, niechętnie też odpowiadał na pytania o nią, ale o tym, jak wracał, a wracał z wojska podobno aż przez parę lat, rozprawiać lubił. Wyliczał, ilu ludzi widział, z iloma rozmawiał, w jakich domach i stodołach spał, przy jakich stołach

jadał, a już te szczególnie udane, jego zdaniem, historie, powtarzał w nieskończoność, aż z czasem i ja mogłabym je z pamięci przepowiedzieć. Zresztą coraz częściej zdarzało się tak, że choć starałam się go z szacunku słuchać, to już po chwili przenosiłam się myślą gdzie indziej, słyszałam, że stary coś szemrze, ale słowa do mnie nie dochodziły, zupełnie jakbym nad szumiącym strumieniem siedziała.

Odkąd wuj przyszedł mieszkać do nas, mniej ze Szczepanem musiałam w pole chodzić, mogłam zająć się domem, gdzie ktoś musiał wody nanieść i zwierzęta napoić, karmy im przygotować i zadać, gnój wyrzucić, poza tym nici się same nie uprząda, płótno się samo nie utka na pościele, koszule i pieluchy same się nie wypiorą, no i jeść trzeba więcej zgotować, bo wuj wcale się przy jedzeniu nie oszczędzał. Przy posiłku to i kilka kromek chleba umiał zjeść, więc gdy raz na dwa tygodnie chleb piekłam, z oszczędności mieszałam trzy mąki: żytnią, jęczmienną i owsianą. Taki chleb się trochę kruszył, tym bardziej że dla oszczędności dodawałam niemało otrąb, ale i tak wuj kilka razy o dokładkę prosił. Słoninę też musiałam dalej przewiesić, część w kominie schowałam, bo – bywało – wuj odkroił sobie większy kawałek czy dwa i żuł potem z przyjemnością, pomlaskując i roztaczając zapach wędzonki. Gdy na śniadanie dolewałam wody do zupy, żeby wuj miał wrażenie, że jedzenia więcej, Szczepan jednak narzekał. Gdy na okrasie do ziemniaków oszczędziłam, gdyż porcję na dwoje podzieliłam na czworo, bo już i Jasiulek dzielnie łyżką w misie sobie poczynął, Szczepan marudził, że mu więcej tłustości potrzeba, skoro tyle w polu pracuje. A wuj ciągle się domagał omasty, lepiej ją zjedzmy, zanim się popsuje, tak mówił.

– Słonina się nie psuje, lecz zapachu nabiera – odpowiadałam. – Jak trochę powisi, to człowiek potem czuje, że jedzenie okraszone zostało, jak za świeża, nic okraszy nie czuć.

Ale wuj, jak zawsze, wiedział swoje i z tej oszczędności chciał jeść jak najwięcej.

Dopiero wieczorem szedł wreszcie do drugiej części domu, czasem coś dowcipkując o młodych małżonkach, co to samotności potrzebują, i zaśmiewając się pod wąsem, który sobie ostatnio wyhodował, dla dostojęstwa może, albo żeby zęby marne zasłonić, nie byłam pewna.

Tak, wieczory i noce u boku męża, którego kochałam, przy synku, który rósł zdrowo, były najpiękniejsze z całego dnia. Czasem mały zapłakał, zakołysaliśmy kołyseczką i wracaliśmy zaraz do siebie, jak najszybciej, jakbyśmy czasu mieli dla siebie ciągle za mało.

Bo i mieliśmy.

## Janek i Janka

A czas wszyscy mierzyli na dwa sposoby, zupełnie jakby dwoma korytami biegł. Dziedzice mieli zegary w salonach, były niekiedy co kwadrans, najrzadziej co godzina, na takie więc odcinki dzielił się pański czas, rytmiczny i bezlitosny jak kasłanie słabującego starca.

Nasz chłopski dzień nie wykastywał godzin, ale nadchodził powoli, coraz bardziej jaśniejac, trwał jak światło i zasypiał, ciemniejac powoli. Słońce nieodmiennie wstawało rano i znikalo wieczorem, kłopot w tym, że latem wstawało bardzo wcześnie, a zimą wcale mu się do tego nie spieszyło. Ale na szczęście latem roboty huk, więc dobrze, że słońce więcej czasu człowiekowi podaruje, a zimą pospać pozwala dłużej, bo w pole iść nie trzeba.



Krótszy dzień wystarczy akurat, by obrządzić zwierzęta, no i zrobić to, na co latem czasu brakuje – tkać, prząść, pierze drzeć i poduchy szyć, słomę w siennikach wymieniać, meble klecić, garnki lepić. Słońce o zimowym poranku czasem wyprzedzała krowa, która muczała jeszcze po ciemku, bo już jej wymię napuchło i dojenia chciała, czasem także kogut nie doczekał, aż niebo całkiem zmieni kolor na siwy, lecz odzywał się, ledwie zobaczywszy smużkę światła na horyzoncie. I taki właśnie był chłopski czas.

## Część ósma. Rok 1836 i następne, czas rozdarty

*Europą rządzą różni władcy, ale w salonach króluje niepodzielnie biedermeier, solidny styl mieszczański. Jest przytulnie i radośnie, czemu sprzyja nagromadzenie bibelotów, szydełkowych serwet, drapowanych firanek, kwiecistych tapet, wyściełanych mebli ze sprężynami, haftowanych ekranów do kominków. Bogate kobiety sznurują się ciasno w tali, przez co brakuje im oddechu, natomiast wszystkiego innego mają za dużo – bufiastych rękawów, szerokich kołnierzy, usztywnianych halek, fałd na spódnicach, kwiecica na kapeluszach typu budka. Panowie chcą się czuć jeszcze wyżsi, więc kupują cylindry. Wszystko to modne jest również w Królestwie Polskim, ale dotyczy co najwyżej jakichś dziesięciu procent społeczeństwa. Chłopi ubierają się bowiem jak zawsze, w płótno i wełnę, a jeśli chodzi o wnętrza, to cieszą się, gdy mają piec z kominem, a nie kurną chatę, zydle, a nie pieńki do siedzenia, łóżko, a nie siennik na klepisku.*

Szczepan Józwiak

Na przednówku z wielkim lękiem rozkopałem kopiec pazurami jak kret, rozchyliłem gałązki, rozgarnąłem słomę, wziąłem niuch powietrza, czy zgnilizną nie śmierdzi, bo i mrozy tej zimy były nieliczne. Zaraz też wymacałem pierwszego kartofla. Twardy był i chłodny, miał może trochę więcej oczek niż jesienią, ale co z tego, skoro piękny był, nic nie zgniły, aż go ucałowałem, z dumą, jak synka, i zaraz potem obejrzałem się z obawą, czy nikt nie patrzy, czy Zośka się śmiać nie będzie, albo i wuj. Ale zaraz znowu lęk mnie

dopał, że może tylko jednej bulwie udało się zimę przetrwać, a inne zmarnowane, więc wygrzebałem następną i jeszcze następną, by w końcu stwierdzić uroczyście, że przechowały się wszystkie. Wrzuciłem kilka do koszyka, zaniósłem biegiem do domu pokazać Zośce. Chciałem powiedzieć: „A nie mówiłem”, i żeby pochwaliła, bo miałem rację. Ale moja żona, zamiast pochwalić, odrzekła:

– Od razu wiedziałam, że się uda.

Więc tylko się roześmiałem i ją w te czerwone usta pocałowałem. Potem załadowałem na wóz tyle kartofli, ile się zmieściło, podniosłem boki, żeby ani bulwy cennej nie uronić, i pojechałem z wujem Kostkiem na cotygodniowy targ w Izbicy. A tam siadłem na furmance i spokojnie począłem czekać na kupujących, jak to zwykle robiłem, gdy z ojcem na targ jeździliśmy.

– Twoje plony mówią same za siebie – powtarzał zawsze ojciec. – Jesteś włościaninem, człowiekiem godnym, babom przekupkom do towaru zachęcać wypada, Żydom krzyczeć, a gospodarzom nie.

Siedziałem więc godnie, uroczyście, nad tymi kartoflami, co to zimę dzięki wujowym radom przeżyły, i czekałem. Szybko się jednak okazało, że wuj ma swoje pomysły na handel, zupełnie w okolicy niespotykane, może wśród Żydów najwyżej. Ale i Żydzi tak głośno nie krzyczeli jak wuj, który stanął na wozie, ręce uniósł, z ziemniakiem w każdej, i zaczął na cały głos towar wychwalać:

– Najlepsze kartofle w Izbickiem! Najpiękniejsze, sycą jak żadne! Wiosenne kartofle – rzadka to rzecz! Nie do sadzenia, a do jedzenia!  
– I jakby nie dość było tych krzyków, wuj zaczął rękami wymachiwać, podrzucać kartofle i znowu łapać, ludzie się gromadzili, patrzyli, bo nigdy czegoś takiego nie widzieli, a wuj nie przestawał krzyczeć, że najlepsze!

Wokół furmanki szybko począł gromadzić się tłum. Ludzie popatrywali i na wuja Kostka, i na ziemniaki, w takim stanie o tej porze roku nigdy niewidziane, i dziwowali się wszystkiemu, warzywa dotykali, gęby, na wuja patrząc, rozwierali, część się śmiała, część palcami nas pokazywała. Nie wiedziałem, gdzie oczy podziać. A wuj, którego zebrany tłum jeszcze bardziej podjudził do występów, zaraz krzyczeć przestał, a począł wyśpiewywać:

– Kartofel wiosenny, piękny jak obrazek... Syci jak mięso, smakuje jak złoto!

Aż go za kapotę pociągnąłem, żeby usiadł z powrotem.

– Niechże wuj przestanie!

– A niby dlaczego?

– Nie godzi się.

– A dlaczego?

– Bo gospodarze jesteśmy, nie przekupki.

– Nie godzi się stać tu godzinami. Sprzedamy raz-dwa i będzie można wreszcie po targu pochodzić, popatrzeć, z ludźmi pogadać.

– Ale nie godzi się tak krzyczeć.

– A niby dlaczego?

– Bo się ludzie śmieją.

– A niech tam. Byleby kupowali.

– Akurat ktoś pomyśli, że to prawda, co wuj wykrzykuje.

– Święta prawda! Przecież każde kartofle sycą.

– Ale wuj mówi, że nasze sycą jak mięso. Że smakują jak złoto.

– Czasem trzeba opowieść trochę podbarwić, żeby się ludziom spodobała. Myślisz, że ksiądz co robi?

– Ksiądz kazania prawi.

– A ja ci mówię, że podbarwia.

- Grzech tak o księdzu mówić.
- Na to Bóg nam dał pomysłu, byśmy go w życiu wykorzystywali.
- Na to Bóg dał nam przykazania, byśmy ich nie łamali.
- Ale o sprzedawaniu kartofli nijakiego przykazania nie ma – upierał się wuj i znowu zakrzyknął:
  - Najlepsze kartofle w Izbickiem! Każdy piękny, każdy zdrowy! Sycą jak żadne! Kartofel wiosenny, piękny jak obrazek... Nie do sadzenia, lecz do jedzenia!

Ludziska rozbawione jeden przez drugiego o cenę pytali za korzec tych bulw cudownych. Już otwierałem usta, by powiedzieć cenę, którą przemyślałem w niejedną bezsenną noc, cenę nie za wysoką, żeby ludzi nie zrazić, ale i nie za niską, żeby jednak coś zarobić, gdy odezwał się wuj, nieoczekiwanie wypowiadając sumę dwa razy wyższą. Aż się za głowę złapałem – tak przecież interesów nie zrobimy. No i rzeczywiście, pytający chłop zaraz zaczął utyskiwać na drożyznę.

A na to wuj, wyprostowany, uśmiechnięty, pewny siebie, pocierając miłośnie kartofle, które trzymał w rękach:

– A bo to taki towar, że i po dwa ruble za korzec powinniśmy sprzedawać, jednak z przyzwoitości obniżyliśmy cenę, takie piękne, takie zdrowe, takie sycące, takie bez oczek zupełnie, co niespotykane o tej porze roku, do jedzenia gotowe, brać i jeść, po co głodować na przednówku, kartofle jak malowane!

Nie wierzyłem własnym oczom, bo po tych słowach chłop zaraz kupił pół korca za tę podwójną cenę. Jak ludzie zobaczyli, że jeden kupuje, zaraz sami się zachęcili. Co prawda narzekali, że drogo, ale ci, co już kupili, utwierdzali wahających się, że warto, bo piękne

wszystkie i tak tanio. Więc brali, a wuj chwalił, że dobrą decyzję podejmują. Nawet ktoś od dziedzica przyszedł i całkiem dużo kupił, zaskoczony, że skąd o tej porze tyle dobra niemal tak pięknego jak na jesieni, a mnie śpiewać z radości się chciało i wujowe okrzyki przestały mi zupełnie przeszkadzać – do chwili, gdy na targu zobaczyłem ojca. Stał nieopodal i na całą tę szopkę popatrywał z boku z dziwnym wyrazem twarzy.

Zaraz z wozu zeskoczyłem, podszedłem do niego i czemuś poczułem się paskudnie.

– Widzę, że u was ze wszystkim nowe zapanowało. Jaki handel, jakie zachwalanie!

– Wuj tak wymyślił.

– A to wuja kartofle?

– Moje. – Miało zabrzmieć triumfalnie, ale zabrzmiało wstydliwie.

– Ładne jak na tę porę.

Pochwała zabrzmiała jak wyrzut, przez co znowu się poczułem przy ojcu jak niedorostek.

– Ano ładne. I dobrą cenę ludzie za nie dają.

– No cóż, dorosły jesteś, na swoim, to i robisz, jak chcesz. – Ojciec chwycił ziemniaka z wozu, począł oglądać dokładniej. – A skąd masz tyle ładnego kartofla na wiosnę?

Dopiero teraz opowiedziałem mu o własnych ryzykownych decyzjach. Niech ojciec naocznie się przekona, że wujowe pomysły jednak się sprawdzają.

– Nowe te sposoby, nowe. Nie tak kiedyś bywało. Żeby ci to wszystko na gorsze nie wyszło.

Co na gorsze? Te pieniądze, które mi płacą? Chciałem się postawić, ale z szacunku dla zatroskanej miny ojca zmilczałem.

Spojrzałem na wóz, gdzie kartofle już prawie wszystkie zeszyły.

– Weźcie, tatulu, trochę kartofla dla mamy.

– Sami trzymajcie, przecież Kościeja musicie skarmić, a wiem, że on z jedzeniem się nie oszczędza. – I po tych słowach ojciec zaciął wołu i pojechał.

Kartofle zeszyły całe, migiem, długo przed południem, i pieniędzy do mieszka trafiło sporo więcej, niż planowałem. A przecież jeszcze dobrych kilka wozów ziemniaków czekało w domu na sprzedaż, w najbliższe dni targowe będziemy mieć zatem zajęcia a zajęcia.

Za spory naddatek w zarobkach zaraz też coś dla Zośki znajduję, właśnie koraliki wypatrzyłem, czerwone jak jej pyskate usta. Pomyślałem jednak, że trzeba być dorosłym, gdy ma się syna, gospodarkę i wuja na utrzymaniu, więc zamiast koralik kupiłem Zośce kwoczkę. Sprzedawca się zarzekał, że dużo niesie, co dwa, trzy dni jajko, i to duże. Kwoczek nigdy w domu za dużo. Jaj też nie.

Zaraz też placek tatarczany do spróbowania kupiłem, obwarzanek z makiem i kilka śledzi, żebyśmy się w domu pocieszyli innym smakiem. Dwa śledzie wuj wciągnął od razu przy straganie, ale mu nie żałowałem, skoro tak pięknie przy sprzedaży pomógł. Śledzie trudno na targu kupić, może dlatego ludzie tak chętnie je biorą, że dużo ich nigdy nie ma, pomyślałem i zrozumiałem, że to ważna myśl.

I wtedy właśnie zauważyłem owieczkę, niewiele większą niż mój łokieć, białutką jak mleko, z czarnymi paciorkami oczu, i na fali nagłej odwagi zdecydowałem się na zakup nietypowy, bo nigdyśmy owiec w domu nie trzymali, w okolicy też mało kto. Po chwili zastanowienia sięgnąłem jeszcze po drugie jagniątko, tym razem

baranka, żeby parka była. Jeszcze taki prezent Zośce do domu zawiozę, właśnie taki. Nowe idzie.

A potem zacząłem się rozglądać, bo miałem przecież wołu drugiego kupić, ale wtedy właśnie zobaczyłem konia. Nie takiego, na jakim dziedziczka jeździła, lecz krępego, niskiego, z pyskiem poczciwym i miękkimi chrapami, z grzbietem szerokim i nogami mocnymi.

– A wiele za tego konia sobie wieszujecie?

Wiele sobie wieszowali, lecz w domu jeszcze kilka wozów kartofli na sprzedaż czekało. Uzbieram, postanowiłem, i konia kupię. Idzie nowe! Mamy przecież dziewiętnasty wiek!

Zośka Józwiakowa

Gdy Szczepan wrócił z jarmarku z kwoczką, jagniętami, z zadowoloną miną i kieską gotówki, pomyślałam, że jest moim królem, takim jak z bajek. Takim, którego ludzie i życie lubią. Strasznie trudno mi było doczekać chwili, aż wuj zje wreszcie kolację i pójdzie sobie do drugiej połowy domu. Tamtego wieczoru kochaliśmy się z takim uczuciem, taką gorączką, że pewnie właśnie tamtej nocy poczęła się Agnisia. Tak przynajmniej potem powtarzał Szczepan.

– A ty zawsze wiesz, kiedy dziecko z tego będzie? – śmiałam się, gdy wiele miesięcy później staliśmy u kołyski Agnisi. – Skąd niby wiesz, skoro kochaliśmy się wtedy prawie co noc?

– Wiem. Chyba wiem. Bo czuję się wtedy tak jakoś... Jakby Wielkanoc nadeszła, święto jakieś. To nie jest przecież zwykły czas. To czas, gdy stwarzamy życie. I wtedy musi być inaczej. Trochę jak u Pana Boga, gdy stwarzał świat. Myśmy też stworzyli tych dwoje.



Pan Bóg sam ze stworzeniem sobie poradził, a że człowiek mniejszą ma moc, więc zawsze dwojga potrzeba.

Tak tłumaczył, a wtedy go całowałam.

## Szczepan Józwiak

Agnisia urodziła się uśmiechnięta, taka też co rano się budziła i taka zasypiała, udana i szczęśliwa. Przy niej wszystko wydawało się weselsze: beknęła i się śmiała, spojrzała na kurę i chichotała, dotknęła mojego podbródka i zanosila się od śmiechu. Aż się zmieniło.

Najpierw myśleliśmy, że samo przejdzie, jak u Jaśka, który zawsze z kaszelków wychodził zwycięsko. Ale choć okładaliśmy Agnisi pierś gorącą szmatką maczaną w spirytusie, choć w ciepłe pod pierzyną ją trzymaliśmy, to jednak dzieciak się od kaszlu męczył, dusił, aż serce nas bolało. Zośka udawała dzielną, ale popłakiwała, tuliła dziecko i łzy jej z oczu ciekły. Jasiek bał się płaczącej matki. W końcu uznałem więc, że nasze sposoby nie działają i nadszedł czas, by znaleźć kogoś, kto leczyć umie, a ona przecie kilka wiosen i lat temu ojca mi od śmierci wyratowała. Samo myślenie o tamtym sprawiało, że trochę nieswojo na duszy mi się robiło, ale szedłem teraz jej poszukać, tam, gdzie wuj mówił, że się przed chłopami skryła.

Zajechałem pod dwór lubrański od kuchni, od bramy czeladnej. Wiedziałem tylko, jak do kantorka ekonomy iść, więcej niewiele. Kobiet się trochę kręciło, więc o Malinichę zagadałem, zaraz mnie pokierowały, jedno tam, drugie siam, że niby normalnie znalazłbym ją w kuchni, ale teraz w kurniku chyba najtłustszych kogutów na

niedzielę szuka, i tak się kręciłem to tu, to ówdzie, aż zamiast Malinichy znienacka spotkałem ją. Isię.

Jeszcze mnie nie widziała, szła smukła i prosta, z fartuchem na szarej sukni, poprawiała włosy, jak zawsze z wężła wypadające. A mnie się przypomniało, jak nieraz, za młodu, te kosmyki mnie po twarzy łaskotały, przypomniał mi się ich macierzankowy zapach i łzy mi do oczu napłynęły za tym, co było.

– A wy tu czego? – Przede mną stanął ekonom. Zaraz ręką oczy otarłem, czym prędzej czapkę z głowy zgarnąłem i języka w gębie zapomniałem.

Na głos ekonoma Isia się odwróciła, na mój widok uśmiechnęła szeroko i przez chwilę wyglądała dokładnie jak kiedyś.

– Ja... Ja do niej. – Pokazałem podbródkiem.

– Tylko krótko, ona ma robotę. I ty pewnie też. Na podwórzu rozmawiajcie, przez wzgląd na obyczajność.

Poszedł wreszcie. A ja znowu się wpatrzyłem w marę ulotną, Isię moją utraconą. Podeszła do mnie.

– Dobrze cię widzieć, Szczepan – powiedziała tym głosem, którego tak dawno nie słyszałem, głębokim, mocnym, jak melodia z organów w kościele izbickim dobywana. Głos więc miała dawny, ale obco wyglądała, obco pachniała, już nie macierzanką.

– Ja... Ja... Jak ci tam we dworze? – spytałem.

– Ciepło. Jeść dają.

– A praca?

– Praca wszędzie ciężka jednak. Tyle że nie kartofle noszę, ale nocniki dziedziczki.

– A matula twoja?

– W dworskiej kuchni. Ciepło ma. Nie głoduje. Ziólkami dworskich leczy i czasem nawet dziedziczkę, jak ten jej doktor nie pomoże.

– Dobrze, że we dworze nie boją się czarownicy – palnąłem jak dureń.

– Nie. Takie rzeczy tylko w Naczachowie.

Głowę spuściłem, zacząłem stopą w ziemi grzebać.

– Bo ja właściwie do niej. Do twojej matuli.

– Ktoś zachorował?

– Moja... Moja...

Dotknęła mojego ramienia, pogłaskała mnie, a ja poczułem ciepło, którego już dawno nie czułem, i patrzyłem na nią, szukając w niej podobieństw do tamtej dziewczynki, która była moim całym światem w dzieciństwie. Gdy opowiadałem o chorej córeczce, trzymała mnie za ramię i od dotyku, od mówienia już mi było lepiej na duszy.

– Nie martw się, mama pomoże.

I tym sposobem pojechałem po jedną, a przywiozłem dwie.

Kaszel dziecka słyhać było już na podwórzu. Malinicha z Isią zeskoczyły z wozu i do chałupy naszej weszły. Malinicha kazała zgotować wody, a Isia wyjmowała z paczuszki ziółka i flaszeczki, rozkładając je równo na stole, palce miała szczupłe, ruchy zwinne i celowe. Zośka gapiła się na wszystko z otwartymi ustami, bujając w ramionach Agnisię z prawa na lewo, mocno i trochę bez sensu, bo dziecko zanosilo się kaszlem i tylko na tym się skupiało. Malinicha, mamrocząc, do wrzątku ziół nawrzucała, a kiedy się gotowało, wyjęła z kieszeni sznurek, zwykły, konopny. Jasiak stanął tuż obok niej, żeby żadnego jej gestu nie przegapić.

– Od ilu dni mała kaszle? – spytała.

Zośka poczęła liczyć, aż rękę trochę od Agnisi odjęła, żeby do liczenia palce mieć wolne, wszyscyśmy liczyli, wyszło, że dziś czwarty dzień, a co jeden, to gorszy. Malinicha na sznurku cztery węzłki zatem zawiązała, pod nosem coś mamrocąc, a choć natężyłam uszy, choć Jasiek na usta jej uważnie patrzył, żaden z nas nie usłyszał, co szepcze. Za każdym supełkiem sznurkiem nad Agnisią machała. Potem, za sam koniec sznurka trzymając, jakby zmiję jadowitą niosła, Malinicha na podwórze wyszła, a tam sznur mocno rozbijała.

– Zdrowaś Maryja, niech cię złe mijają! Zdrowaś Maryja, niech cię złe mijają! – krzyknęła cztery razy, po jednym na każdy dzień kaszlu, w końcu cisnęła sznurkiem za płot.

Potem wróciła do chałupy, tu już woda wrzała z ziołami, zapachy niezwykłe wydając na całą izbę. Z ramion mojej żony wyjęła Agnisię i do sagana przysunęła. Dziecko nad parą kasłać zaczęło, Zośka już podbiegała, żeby dziecko Maliniszę zabrać, ale wtedy mała przestała nagle kasłać, tylko mocno dyszała. I tak trwaliśmy w pierwszej od czterech dni ciszy, bez kaszlu, bez duszenia się, z ulgą nagłą do serc pukającą, a Zośka z tego zadziwienia aż usta szeroko rozwarła. Wreszcie Malinicha do łóżka małą odłożyła, Agnisi oddech się uspokoił, nam nadzieja się w serca wkradła. Zośka dłoń w moją wsunęła, a Jasiek stał z otwartymi ustami, w Malinichę jak w święty obraz wpatrzony. Już usta otwierałem, by znachorce za ratunek dziękować, gdy nagle Agnisia poczerwieniała i znowu zanosła się kaszlem, jeszcze donośniejszym, jeszcze głębszym niż przedtem, i kasłać wcale nie przestawała. Siniała na twarzy, choć Malinicha z Isią skronie, pierś, plecki smarowały jej płynami

z flaszeczek, nic jednak nie pomagało. Malinicha rzuciła się na kolana, twarzą w stronę Maryi Świętej na obrazie.

– Matko Święta, na tę albo na tę stronę! – zawołała po trzykroć, a mnie dreszcze po krzyżu przeszły. Zośka wrzasnęła:

– Co ty gadasz, Malinicho, co ty gadasz?!

Jasiek i Agnisia przestraszyli się krzyku matki, mały zabuczał, córcia łkać zaczęła między kaszlnięciami, ale nie miała dużo siły na płacz. Malinicha z kolan się podniosła, spojrzała na Isię z takim niepokojem, że już wiedziałem, choć przecież wiedzieć nie chciałem. Głową kręciłem, aż mi przed oczami migąło. Isia podeszła do mnie, dłoń mi na ramieniu położyła. Wiedziałem przecież, że dzieci umierają w wielu rodzinach, na wszystko, na kaszel, na krosty, na słabowanie, na duszenie się, na szyi grubnięcie, na kopnięcie przez konia czy zgniecenie przez wołu, na spadnięcie z drabiny czy wpadnięcie do przerębla. Tak to jest z tym drobiazgiem, więc do dzieci, póki małe, lepiej się za bardzo nie przywiązywać, tak mówią wszyscy. Na pogrzebie człowiek popłacze, popłacze, kolejny mały grobek wykopie, a potem się otrząśnie, bo do pracy wracać trzeba. I dziedzicze dwójka dzieci umarła, tak ksiądz z Pustyni mówił, każdego więc dotknąć może ten smutek. Tak się na świecie dzieje, często nawet, ale nie dotyczy to przecież mojej córeczki, tego skrzacika wesołego, najweselszego. A nasz Jasiek, ile razy kaszał strasznie, też żeśmy się bali, ale przecież zawsze z kaszlu wychodził i żyje, i zdrowy jest.

– Ale ona zawsze zdrowa, silna była! – zaprotestowałem. – Wesoła, najweselsza!

Isia mnie po plecach zaczęła gładzić. Zośka, porwawszy córeczkę naszą na ręce, wstrząsana jej kaszlem, warknęła nagle:

– Idźcie stąd! Przy tobie jedno dziecko już mi umarło!

Próbowałem załagodzić, ale Zośka wrzeszczała, że niech idą czarownice, co śmierć sieją, niech idą precz i swoje trucizny zabierają jak najdalej od niej i jej dzieci, a wargę miała podwiniętą jak pies, co zacznie zaraz gryźć. No i Malinicha z Isią poszły, zostawiając w chałupie zapach ziół i umarłą nadzieję. Podskoczyłem na podwórze, by je odwieźć, wypadało, skoro je tu sprowadziłem, ale Malinicha pokręciła głową.

– Idź do domu, Szczepan, bo długo to już nie potrwa.

I nie potrwało.

Niewiele nam po Agnisi zostało, poza bolesnym ściśnieniem serca, że całe to życie znikło bez śladu, poza jednym grobkiem przy kościele na Pustyni i jednym kaftanikiem, który Zośka na samo dno skrzyni schowała i z rzadka wyjmowała, by szukać w nim zapachu naszej córki. Ja go nie wyjmowałem, bo się bałem, że powąchawszy, całkiem się rozpadnę.

Janek i Janka

Szyszka ze śmiertelnego świerku, cośmy ją w ziemię wetknęli i wodę do niej nosiliśmy, pęd wypuściła, jakiś czas temu gałązki rosnące na niej poczęły. Nie byliśmy jednak pewni, czy śmiertelność świerku przetrwała, ale zrozumieliśmy, że tak, gdyśmy pod drzewkiem znaleźli zdechłą mysz i czyjeś kosteczki, chyba kreta. Zaraz świerczek urośnie i znowu śmierć uda się nam przebłagać, żeby nie szalała w okolicy, żeby Naczachowo było bezpieczne, a i Szczepan na swoich nowych ziemiach także, ale na razie młoda była i nieokiełznana, srożyć się miała jeszcze czas jakiś.

## Szczepan Józwiak

Dwa miesiączki później Zośka wydała na świat Michasia, niechętnie jakby, bez zapału, wyjątkowo mało jak na rodzącą krzycząc.

Po porodzie nie wstała. Leżała w łóżku, gorączkowała, sąsiadki Olęderki wcale nie były pewne, czy się położnica z tego wyliże, bo i sił, i chęci do życia jej brakło. Przystawiałem syneczka żonie do piersi, ale Zośka oczy zamykała, łązy jej się wymykały spod powiek, nawet bez szlochu, jakby i na to nie miała siły, a małego trzeba było jej przy piersi podtrzymywać. Matula moja rosoły solidne gotowała na kogutkach, takie zawsze położnicom pomagają, a i sąsiadki dbały o Zośkę jak o siostrę własną, nic jednak mojej żonie zdrowia nie przywracało. Gdy przychodziłem o zmierzchu z pola, wpadałem z lękiem do chałupy i ogarnąwszy wzrokiem sytuację, najpierw czułem ulgę, że Zośka nadal żyje, a potem smutek, że wcale lepiej nie wygląda. Po tygodniu uznałem więc, że nadszedł czas na środki nadzwyczajne.

– Malinicha? Ani mi się waż! – Ożywiła się moja żona.

– Ale...

– Ani ona, ani ta jej córka przeklęta do naszego domu więcej nie wejdą!

Zośka wszystkie siły włożyła w ten krzyk, po czym odwróciła się do ściany, skuliła, w kołysce buczał głodny Michaś, któremu matula moja mleka koziego z wodą przygrzewała, skoro matka go karmić nie dawała rady. Nie wiedziałem, co robić, a że nie umiałem nie robić nic, ruszyłem do dworu Malinichę o radę spytać.

– Jeśli przyjadę, będzie z nią jeszcze gorzej – stwierdziła Malinicha. – Raz, że nie chce. Dwa, że czas po narodzeniu dziecka jest szczególny i lepiej, żeby obcy się po domu nie kręcili. Przez

sześć niedziel położnica pod ochroną być musi, nie widywać za dużo obcych.

– Dlaczego akurat przez sześć niedziel?

– Bo to czas, który sam Pan Jezus ustalił, poszcząc na pustyni. Od tamtego czasu wszystkie zmiany tyle właśnie trwają. W ciągu sześciu niedziel zima przeszła w przedwiośnie i w kolejnych tyłu staje się prawdziwą wiosną. Takiego czasu i kobieta potrzebuje, żeby się w matkę zmienić, a i dzieciak wtedy zmienia się w mieszkańca tego świata.

– Ale Zośka nawet patrzeć na małego nie chce, to jak w jego matkę się zmieni?

– Nie wypuszczasz jej na dwór po urodzeniu?

– Nie. Matula zakazała.

– Dobrze. Wstążeczki w chałupie macie?

– Wstążeczki?

– Czerwone muszą być. Obok Zośki zawiąż jedną, obok małego drugą, od uroku ochronią. Nocą okno zasłaniaj, niech światło księżycy ani na dzieciaka, ani na żonę twoją nie pada. Nic niedobrego też na nich przez okno wtedy nie spojrzysz.

– Co niedobrego?

– Lepiej złych imion nie wymawiać, żeby złego nie przywołać. Okno po zmroku zasłaniaj i tyle.

– Ziółka jakieś dacie, Malinicho?

– Rosół położnicy wystarczy. Gotujecie jej?

– Już kilka kuraków na to poszło.

– Dobrze.

Otucha znowu zagościła w moim sercu, ale kiedy pomyślałem, że mam wrócić do smutnego domu, aż mnie zmroziło. Stałem przy



bramie folwarcznej i czekałem, sam niepewny na co. Raz wydało mi się, że widzę z dala fryzurę Isi, podobną do roju miodowych pszczół krążących dookoła głowy, nawet poszedłem kilka kroków, ale to nie była ona, więc zawróciłem. Do Sokołowa poszedłem dopiero, gdy zaczęło zmierzchać.

W domu pachniało rosółem, pieluchami i mlekiem. Zośka w strop oczy wlepiła, Michaś popłakiwał w kołysce, matula po kątach, czego Jasiek się bał. Wtulał się w Zośki nogi, a im bardziej jego braciszek płakał, tym bardziej uszy zatykał. Ożywił się trochę, jak wstążeczki wiązać zaczęliśmy, supełki piękne robił, widać też cierpiał z bezradności. Usiedzieć w tym zgiełku, w tym smutku straszliwym nie potrafiłem, wychodziłem co chwila, żałując, że w lutym w polu do roboty wiele nie ma.

Na trzeci dzień znowu mnie nogi pod dwór lubrański poniosły, zaszedłem tam od kuchennej strony i wyglądałem nie wiadomo czego.

– Nic złego nie robię. Do Malinichy tylko może zajrzę po radę – tłumaczyłem się sam przed sobą, ale przecież nie za siwym dmuchawcem znachorki się rozglądałem, tylko za miodowymi włosami Isi. Chciałem się z nią tylko przywitać, może zamienić kilka słów. A może tylko popatrzeć. Zmarzłem na kość, ale stałem, mrok mnie dopiero wygonił.

I tak nabrałem zwyczaju chodzić tam codziennie, na chwilę tylko albo na dłużej, czekałem i wyglądałem Isi. Czasem zoczyłem ją z daleka, szła jakby stopami ziemi nie dotykała, jakby obłok włosów unosił ją do nieba, a czasem zupełnie jej nie widziałem, ale z bólu niespełnienia dziwną przyjemność czułem. A potem wracałem z tym niespełnieniem, a w domu nic lepiej nie było, wrzask, smrodek,

duchota i ciasno od sąsiadek, od matuli czasem, od wuja zawsze, i smutek od Zośki, co tylko w powałę patrzyła.

– Co ty tu robisz, Szczepan? – usłyszałem pewnego dnia przy folwarcznym murze, gdy przymknąłem na chwilę oczy. – Czekasz na moją mamę?

Przez chwilę nie byłem pewien, czy śnię, czy patrzę na prawdziwą Isię, bo przed chwilą jeszcze leżałem z nią na zielonych pastwiskach i wrzeszczałem w niebo, jak kiedyś.

– Tylko chciałem przekazać, że Zośce już lepiej.

Tak powiedziałem i było to niestety kłamstwo. Podwójne. Wtedy Isia dotknęła mojego ramienia, lekko jak płatek śniegu.

– Ale wiesz, że to się nigdy nam zdarzyć nie miało?

– Co?

– My dwoje.

– Skąd możesz wiedzieć?

– Kiedy w niebo popatrzę, zaczynam rozumieć różne rzeczy. Niepisana nam była wspólna przyszłość, wiedziałam to już wtedy, dawno, choć nie chciałam wiedzieć. Spójrz w niebo, sam zrozumiesz.

Na złość jej jednak wcale nie w niebo, lecz w ziemię spoglądałem, bo wcale mi się nie spodobały jej słowa. Wcale mi się też nie spodobało, że podniosła rękę z mojego ramienia, choć niemal nie poczułem różnicy, zupełnie inaczej, niż gdy Zośka mnie dotykała, która rękę miała ciepłą, solidną jak resztę ciała.

Następnego dnia znowu stałem przy folwarcznym murze, myśląc o wszystkim, co się między nami nie dokonało, i o tym, gdzie i kim moglibyśmy być, gdyby życie inaczej się potoczyło, Isi jednak nie zobaczyłem. W łóżku wieczorem odwróciłem się od smutnej,

w powałę wpatrzonej Zośki i przez całą noc śniłem o chmurach i wszystkim, co od siennika naszego dalekie.

Aż wreszcie, gdy nadszedł szósty tydzień od porodu, a ja ciągle przy folwarcznej bramie wyglądałem smukłej sylwetki Isi, jej miodowych włosów, zrozumiałem, dlaczego Zośce się nie polepsza. Jeszcze nie ciemniało, ale już zawróciłem w stronę Sokołowa. Przy kościele w Pustyni, gdzieśmy z Zośką ślub brali, czapkę zdjąłem i do środka wszedłem. Pusto było, przy ołtarzu tylko paliła się wieczna lampka. I zacząłem się modlić nie szeptem, jak zwykle, lecz pełnym głosem, w pierś się bijąc. Przepraszałem za swoje tęsknoty, za wystawanie pod folwarczną bramą, za wypatrywanie oczu za Isią, gdy moja żona smutna po śmierci córki i urodzeniu syna w łóżku leżała. I obiecałem uroczyście Matce Najświętszej, bo ona o porodach i małżeństwie dużo wiedziała, że ślubuję nigdy już do dworu nie jechać, by na Isię patrzeć. Tak prosiłem i żałowałem, tęsknotę z serca za pachnącą kwiatami Isią wyganiałem, a tęsknotę za pachnącą mlekiem i rosołem Zośką w siebie wciągałem, i wreszcie wróciłem do domu.

Tam usiadłem przy Zośce, za którą kiedyś, dawno, tak bardzo tęskniłem, a teraz była moja, na wyciągnięcie ręki tylko, i za rękę ją wziąłem. Zośka w powałę patrzeć przestała, przeniosła wzrok na mnie. Patrzyliśmy na siebie, jak już dawno nam się nie zdarzyło, po czym ścisnęła moją rękę i nieoczekiwanie usiadła. Białutka była jak dziewcziczka i jak ona cienka, siedziała jednak sztywno i patrzyła przytomnie. Nie trzeba było długo czekać, aż wuj zydel przysunął, żeby się przysiąść i zacząć gawędzić, głośno jak nigdy, bo ostatnio słuch mu słabł.

– Wyzdrowiałaś? – spytałem, przekrzykując wuja.

Moja żona wzruszyła ramionami.

– Jak wuj zaraz gadać nie przestanie, to się dopiero rozchoruję.

– Co wuj!? Co wuj?! – oburzył się wuj Kostek.

A ja już wiedziałem, że dobrze będzie.

## Janek i Janka

Jedno kurczę pod świerczkiem zakopaliśmy, przedtem mu łebek ukłęciwszy, żeby śmiertelne moce w drzewku wzmocnić, drugie – żeby śmiertelne moce związać. Kurczęta zrozumiały, że na darmo nie umierają, że życie oddają za naszych naczachowian, tych we wsi, i tych poza nią. Szczepan i jego rodzina będą już zaraz bezpieczni, świerk nam to obiecał.

## Część dziewiąta. Rok 1846, czas gniewu

*W Galicji w tłusty czwartek chłopci ruszają pod wodzą Jakuba Szeli rzezać panów, zeżłeni wyzyskiem i okrucieństwem. Chłopscy powstańcy palą niemal pięćset dworów, zabijają prawie trzy tysiące ziemian, urzędników dworskich i księży. Po kilku tygodniach powstanie upada, ale przecież przyczyni się do rychłego zniesienia pańszczyzny w Galicji. Szela przeżywa, ukrywa się i jest ukrywany, umiera dopiero czternaście lat później, powracać jednak będzie jeszcze długo w sennych koszmarach szlachty. Do Naczachowa wieści o rabacji galicyjskiej na razie nie dochodzą, bo i jak dojść mają – ksiądz i dziedziczka wdowa milczą w tej sprawie, gazet chłopci nie czytają, a żaden dziad wędrowny jeszcze z tą wieścią nie przyszedł.*

Hanka Józwiakowa

Żniwa bywają wielkie i małe. Wielkimi nazywa się sprzątanie z pola żyta i pszenicy, małymi – pozostałych zbóż. Wielkie męczą bardziej, bo trwają dłużej, no i są ważniejsze, bo z żyta i pszenicy chleb powszedni się robi, a z owsa, jęczmienia, gryki, prosa już nie.

No więc po raz kolejny zaczęły się wielkie żniwa na pańskim polu, cała wieś, chłopcy i baby, zeszła się z sierpami. Każdy żeniec ustawiał się w szyku na łanie, a przez to wyznaczał sobie zagon do żęcia i w jednakowym porządku żął go od jednego do drugiego końca. Ten, kto wcześniej niż reszta swój zagon skończył, szedł zaraz do kolejnego, jaki w tym samym porządku przypadał na niego

na następnym łanie. Tym sposobem zwinniejsi wyprzedzali leniwszych, dzięki czemu mieli więcej czasu na odpoczynek, bo gdy już swoje skończyli, kładli się na miedzy pod gruszą i w niebo mogli patrzeć. Inni znowu uważali, że na pańskim nie ma co się spieszyć ani specjalnie starać, bo przecież dniówka tak czy siak, zostaje zaliczona, a sił człowiekowi więcej zostaje, żeby potem na swoim polu robić. My jednak z Antosiem, jako sołtys i sołtysowa, uznaliśmy, że nie wypada nam się obijać, na pańskim również, więc pracowaliśmy nie za szybko, żeby ludzi nie drażnić, ale i nie za wolno, żeby się ekonomowi i dziedziczce nie narażać. Innym jednak uwagi nie zwracaliśmy, robili, jak uważali, a myśmy nie chcieli mieć w nich wrogów.

Przez całe życie należałam do tych nieco zwinniejszych, którzy mogli co kilka łanów odpocząć na miedzy, w tym roku jednak, inaczej niż w zeszłych latach, ciągle z tyłu zostawałam. Dlaczego taka marna w te pańskie żniwa byłam? Nie wiedziałam. No dobrze, od paru lat pochylać się było już sporo ciężej, plecy bolały, ręce od chwytania wiązek zboża, no i sierp do tych wiązek już nie z taką siłą przykładałam, więc cięcie wolniej szło, ale zawsze jakoś dawałam sobie radę, od starszej nikt tyle co od młódki nie wymagał. Na pięćdziesiąty rok mi szło, jeśli dobrze liczyłam, kiedyś ten wiek wydawał mi się podeszły, a ludzie tacy bardzo sędziwi, bo to już siwi, bezzębni, od roboty pogarbieni, już na księżą oborę patrzący, powolni i bez siły. Ja jednak nie czułam się jeszcze bardzo stara, choć babką zostałam, nie byłam jeszcze słaba, bo gdyśmy na swoim pracowali, szło mi szybko jak zawsze, na pańskim jednak tego lata jak po grudzie, mozolnie jak nigdy. I nieuważnie, bo przy wiązaniu dwa snopy mi się rozsypały, czego zawstydziłam się strasznie, bo co

innego specjalnie snopek rozwalić, żeby przy zbieraniu i poprawianiu nieco zwolnić i odpocząć, a co innego, gdy się snop niechący posypie. Co jakiś czas prostowałam się w tym mozole i widziałam, że inni już w polu daleko przede mną, ale jakoś zupełnie mnie to nie obchodziło. Smutno mi się tylko robiło, że taka sama harówka za rok i za dwa lata znowu nas czeka i dalej nic nie będziemy z niej mieć poza wyrzekaniem ekonoma, że chłopstwo leniwe i tylko patrzy, jak tu się od pracy wykręcić. I zamiast na żęciu się skupić, zamierałam z sierpem w rękę, w niebo się gapiąc, aż mnie kto litościwie w plecy stuknął, że Hanka, uważaj, ekonom patrzy.

A zwyczaj jeszcze taki mieliśmy, który bardzo wszystkich we wsi cieszył, a który nazywaliśmy „pępowym”. Ostatniego dnia żniw, gdy już wszyscy wiedzieli, kto podczas żniw najpowolniejszy się okazał, ustawialiśmy się wokół wybranego, nie pozwalając mu się wymknąć, zmuszając go, żeby urznął ostatnią garść zboża, zwaną „pępem” albo „pępkiem”. Dlatego też przez całe żniwa młodzi rywalizowali, kto będzie najwolniejszy, a ekonom miotał się bezsilnie, że się obijają, ale co on mógł, on jeden, a żeńców wielu, zawsze można było spowalniać, gdy nie patrzył.

Ścinać pępek to był honor, wiedzieli to wszyscy, chwała przed całą wsią wielką, bo większość bardzo szanowała tego, kto umiał się ekonomowi chociaż w taki sposób przeciwstawić. Po ścięciu ostatniej garści zboża zwijaliśmy ją razem z uzbieranymi polnymi kwiatami w bukiet, przewiązywaliśmy wstążką lub powróstem i tak ozdobiony oddawaliśmy do rąk tej osoby pępowej. Gdy to jakaś hoża młódka była, to można ją było jeszcze w wieniec na głowę ustroić, jeśli chłopak, to wieniec mu na szyi zawieszaliśmy.

I tak szliśmy w gronie zniwiarzy do dworu, czasami przy muzyce, jeśli akurat kto wziął gęśle, fujarkę czy bębenek ze sobą w pole. Gdyśmy doszli na dworski dziedziniec od kuchennej strony, wychodziła do nas sama dziedziczka w tych swoich sukniach dziwacznych, kurz z podwórza zamiatających.

– Witajcie – zaczynała, i uśmiechała się półgębkiem, jak to ona. – Dziękuję za waszą pracę – mówiła, a pępowa dziewczucha wręczała jej swój bukiet. Śmieszne to było dla nas niebywale, bo dziedziczka wtedy się cieszyła: – Gratuluję przodownicy! – A przecież wszyscyśmy wiedzieli, że pępowa to żadna przodownica, tylko właśnie ta, co pracowała najwolniej. Śmialiśmy się strasznie, a pani się cieszyła, że w takim dobrym humorze chłopstwo do niej przyszło. Jej pacholek puszczał w tłum butelczynę z gorzałką, żeby każdy po łyku pociągnął, a żeńcy, otoczywszy tę osobę najwolniejszą, wyśpiewywali:

*A mój miły pępie,  
chtóż cię dziś uchrepie?*

I wtedy się na cały głos wykrzykiwało, kto pępek urznął.

W tym roku wszyscy krzyczeliby: „Hanka Józwiakowa!”, gdyby nie to, że wszyscy lubili, kiedy pępa do dworu niosła jakąś młodą i ładną dziewczuchę, no i raczej nie odważyliby się śmiać z pyskatej sołtysiny. Ale spójrzmy prawdzie w oczy: to ja byłam tego lata najwolniejsza, co mnie i smuciło, i zastanawiało równocześnie.

Skończyły się zniwa wielkie i małe, potem młócka, zaraz miały nadejść wykopki kartoflane, ani chwili odpoczynku, co normalne



o tej porze, ale tego roku tak z sił opadliśmy z Antosiem, że poszliśmy do ekonoma prosić o odpuszczenie dnia czy dwóch tygodniowo z pańszczyzny, od dziś na zawsze. Sześć dni tygodniowo na dwie osoby to dużo przecież, tak tłumaczyliśmy, stojąc w progu, bo siadać nas ekonom nie poprosił, choć sołtysa powinien. Dziedziczka ostatnio młodego ekonoma zgodziła, który niedostatki w wieku i zaroście nadrabiał butą, ani nie zagadał, ani się nie uśmiechnął, bardziej pański niż stary dziedzic, bardziej uroczysty niż ksiądz dobrodziej.

Wy tłumaczyliśmy mu, że dwoje nas na gospodarstwie zostało i już nie jesteśmy najmłodszy, więc sił brak. Normalnie starzy w chałupie z młodymi mieszkają i młodzi wtedy starym pomagają, tyle że u nas akurat tak być nie może, bo Szczepan na czynszownika poszedł do Sokołowa, a myśmy się zostali sami, bez syna, z tą naszą wysoką pańszczyzną. Więc teraz, na starość, o łaskę pańską prosimy, o ulgi trochę, odpoczynku, boć pracować chcemy i możemy, tylko mniej trochę. Prosimy o to bardzo. Kosz z podarunkiem wyciągnęliśmy, jajek żeśmy tam mendel włożyli i dwie osełeczki masła, żeby na skąpców nie wyjść, a ekonoma udobruchać.

Ekonom kosz chętnie przyjął, za siebie odstawił, a potem powiedział, że jak to tak, z ziemi pańskiej chcemy korzystać, a nie chcemy jej pańszczyzną odrabiać? Sześć dni w tygodniu to nie jest szczególnie dużo, inne rodziny więcej do odrabiania mają, a jak siły nam brak, możemy komorników wynająć, żeby za nas odrobili pańszczyznę, zamożni jesteśmy, gospodarstwo duże, stać nas, tak mówił.

– Ale to my, Józwiakowie – przypomniałam.

– Przecież wiem, przedstawiliście mi się, mam tu was w księdze zapisanych.

Pisać umiał, ale co z tego. Nie wiedział nic.

– To przecież my, Józwiakowie. Pierwsi we wsi byliśmy, wszystkim osadnikom pomagaliśmy przy osiedleniu, potem Antoś sołtysem został, ludziom przewodził, z dziedzicem zabitym współpracował, ważny przecież był, jest dla wsi – tłumaczyłam.

Ekonom, zamiast na nas spojrzeć, księgę na swym stole przeglądał.

– Nic tu o tym w kajecie mi nie napisano, i nic mnie to też nie obchodzi. Co było, a nie jest, nie pisze się w rejestr.

– Zawsześmy pierwsi do roboty byli, zawsze pierwsi rząd kończyliśmy, jeszcze innym pomagaliśmy.

– Akurat, wszyscy jesteście jednacy. Chłop zawsze leniwy, we krwi to macie, w naturze waszej chamskiej siedzi nieróbstwo.

– Ale, wielmożny panie, stary ekonom bardzo nas chwalili!

– Starego ekonoma już nie ma, teraz ja tu rządę. A poza tym każdy może tak powiedzieć.

– A nie zapisano tam tego?

– Nie.

– Ale na pewno zapisano, że to myśmy dzieci po zmarłych na zarazę naczachowianach przygarnęli, myśmy całe lata je żywili, one z nami mieszkały, ku opiece nowym osadnikom, ku opiece całej wsi, to myśmy te dwa dobre duchy opieką otoczyli. Jest tam o tym, prawda?

– To już chyba dorosnąć te dzieci zdążyły?

– Ano tak.

– W takim razie dlaczego wam w polu nie pomogą? Czwórka was zatem na gospodarstwie, nie dwójka, a macie śmiałość o zmniejszenie obowiązku prosić?!

– Ale przecież to Morawiaki, oni niezdatni. My ich żywimy, żeby dla wsi dobrobyt był i opieka nad nami tamtych, co tu kiedyś na morowe powietrze pomarli. Ale do pracy nie pójda, nigdy nie chodzili.

– Mętnie coś tłumaczycie. Cztery osoby na gospodarstwie, dwie całkiem niestare, dwie nie do końca stare, a ja mam wam pańszczyznę zmniejszać? Może sam u was popracować powinienem?!

– Pan wielmożny przyjedzie do nas, zobaczy, jakie te Morawiaki są, do niczego niepodobne, dobrze, że mało jedzą – broniłam sprawy, która stawała się powoli przegrana, broniłam jej głosem kornym i uniżonym. – My się nimi opiekujemy, ale przecież nie pognamy ich do roboty. Bo oni niby dorośli, a jak dzieci się zachowują. Nawet gąski do pasania boję się im dawać, a co dopiero krówki, bo jeszcze w niebo się zapatrzą, a krowy w bagno pójda czy w szkodę.

– A co, myślicie, że mam czas i ochotę do każdej chałupy jeździć, jak się coś komuś nie podoba?! – Ekonom walnął w stół. – Przecież wam się nigdy nic nie podoba! Niby czapkujecie, a po kątach gadacie, lenicie się, dziwnym trafem sochy wam się psują, woły okuleją zawsze, gdy do roboty trzeba iść. Znam ja was, chamy, dobrze, wszystko zrobicie, żeby się lenić, nawet przyleziecie tu do mnie do kantoru i androny będziecie pleść, żeście tacy ważni, że pracować nie musicie.

– Ale przecież my... – I znowu chciałam opowiadać, jak to przez całe życie w Naczachowie najpracowitsi na pańskim byliśmy, nigdyśmy się nie oszczędzali, jakeśmy się starali na pańskim jak na swoim pracować, jak najsolidniej, bywało, że ludzie śmiali się z tego i dogadywali nam, bo we wsi raczej taki był honor, żeby raczej udawać zapracowanie niż robić na dziedzicowym coś na całego. – Ale przecież myśmy naprawdę...

– Milczeć! – wrzasnął ekonom. – Dość już czasu na tę próżną gadaninę zmarnowałem!

Antoś mnie stuknął w bok, żebym nie zaogniała sprawy, więc już w milczeniu na sprawiedliwość pańską czekaliśmy.

A ekonom pozastanawiał się przez chwilę, na kartach jakichś cosik ołówkiem popisał, postękał, po baczkach się podrapał, aż powiedział, co postanawia.

A nam tchu wtedy zbrakło.

Wyszliśmy w milczeniu, Antoni ledwie „Z Bogiem” z siebie wydusił, w ziemię patrząc, by ekonoma zbyt niepokornym, złym spojrzeniem nie sieknąć, żeby sytuacji jeszcze nie pogorszyć. Ja nic nie rzekłam z obawy, że jeśli usta otworzę, to zaraz bluźnić zacznę. Ale już za płótem rozdarłam się na cały głos:

– Do dziedziczki pójdziem się zalić!

– A gdzie tam dziedziczka ma głowę do tego! Sama z dziećmi, wdowa od lat bez chłopca, wszystko zdała na ekonoma.

– Grunt nam odebrał!

– Dwie morgi, osiem zostało.

– Nie wyżywimy się przecież!

– Na nas dwoje starczy – pocieszał Antoś, ale co z tego, skoro aż zatykało mnie z niesprawiedliwości, gdy przypominałam sobie z młodym ekonomem rozmowę. Bo w pewnej chwili stwierdził, że jednak pójdzie nam na rękę i zapisze dwa dni pańszczyzny tygodniowo mniej. Już mieliśmy z wdzięczności po rękach go całować, gdy dodał, że w takim razie przysługują nam o dwie morgi mniej. I w ten sposób mój Antoś w jedną chwilę zbiedniał: z chłopca na dziesięciu morgach stał ledwie się ośmiomorgowym, a wolności wcale nam od tego za dużo nie przybyło, bo tak czy siak, cztery dni w tygodniu pańszczyzny nam zostały. Dużo to czy mało?

Mało, gdy pomyśleć, że sześć dni w tygodniu musieliśmy odrabiać, czyli po trzy na każde z nas wychodziło. Gdy nie miałam siły, a ostatnio często tak się zdarzało, musiał Antoś jakąś komornicę opłacać, by za mnie pracę świadczyła. Gdy mąż mój sam miał robotę na swoim polu, opłacał kogoś ze wsi. Więc teraz mieliśmy o dwa dni mniej. Ale, uświadomiłam sobie, że gdy lata temu przyjechaliśmy do Naczachowa, młodzi i silni, na trzy dni w tygodniu się godziliśmy. Wtedy dostaliśmy więcej gruntu, a mniej pańszczyzny, taki to więc postęp przez te lata uczyniliśmy, że wszystko stało się gorzej.

– Nie wiem, czy się z tych ośmiu mórg wyżywimy! Czworo nas przecież jest, bo jeszcze Janek i Janka – lamentowałam. – Przyjdzie ich z domu odprawić, jak tak dalej pójdzie!

– A co oni tam jedzą, tyle co nic. Nie pracują, to i jeść im nie potra. Nie odsyłaj ich, Hanka, błogosławieństwo na dom przynoszą.

– Ładne dzisiaj błogosławieństwo przynieśli!

Janek i Janka

Nie rozumieliśmy świata ludzi. Bo na przykład miłość wydawała się najlepszym darem, jaki mogli dostać, a tymczasem oni za jej pomocą wcale nierzadko się wzajemnie dręczyli. Albo praca, która miała nadawać życiu rytm i sens, a oni za jej pomocą często się niszczyli i pokazywali, kto ważniejszy. Albo śmierć, miętka pocieszycielka, z nią miało być tak, że gdy człowiek się zmęczy, odpocznie, tymczasem oni rękami i nogami się przed wiecznym odpoczynkiem bronili, a przecież inaczej niż w śmierć od pańszczyzny uciec nie mogli.

Hanka Józwiakowa

Gdyśmy wrócili od ekonoma do domu, Antoś podszedł do Janka i Janki, całych w sosnowych i jałowcowych kolkach, bo pewnie świeżo z lasu wrócili, położył im dłonie na głowy, łatwo było, bo akurat przykucnięci przy stodole siedzieli, i tak trwał z nimi, żeby gniew cały go odszedł. I prawie się udało. Wierzył w tych naszych cudaków, odmieńców, jak część wsi o nich mówiła, i wołał ich nazywać aniołami opiekuńczymi, nawet gdy ich za stodołą na sranu przyłapał.

Za to ja w gniewie się zapiekłam. Przez to dużo w domu pyskowałam, dużo złorzeczyłam ekonomowi, dziedziczce, im bardziej Antoś zamykał się w sobie, tym głośniejsze i gęściejsze gadałam.

– A my to według ekonoma wcale nie musimy gruntu mieć! My, w odróżnieniu od pana, kamienie jadamy i wodą z kałuż popijamy! Jak tak dalej pójdzie, przyjdzie zatrudniać się u ludzi za pieniądze albo za plon, póki sił starczy! Kiedyś byliśmy pierwszymi gospodarzami we wsi, teraz zostaniemy się wyrobnikami na

cudzym! Przez tego ekonoma całego, gołowasa przekłętą, który w życiu kłosa nie zżał!

I waliłam garnkami, jakby ekonom miał mnie usłyszeć, stukałam, że aż dwa gary musiał mi Antoś do Izbicy do druciarza zawieźć, żeby je w całość z powrotem pozlepiął.

– No i ciekawe, co jeszcze nam ekonom odbierze! Całe życie harówki na pańskim i tak nam odpłacili! Już nas na śmietnik, na zmarnowanie, na śmierć z głodu przeznaczyci!

Antoś nie mógł już tego słuchać. Spytał zaraz:

– Może w takim razie powinniśmy u Szczepana zamieszkać? Byśmy na dzieciaka swojego ziemi pracowali, a nie na pańskiej.

– I oddać panu ziemię, na której harowaliśmy tyle lat? Gdzieśmy kamienie usuwali, gdzieśmy pielili, gdzieśmy ziemię równali? I kiedy już na pańskim pracować nie będziemy, to i dom przyjdzie nam oddać! I warzywnik, do którego w suszę wiadra wody nosiłam ze strugi! I sadek, gdzieśmy jabłonki sadzili!

– Może byśmy byli szczęśliwsi. Wolni. Bez obowiązku na pańskim.

– A ty co, ekonoma stronę trzymasz? Na starość do ziemi w pokorne drzewo cię zgięło? – krzyczałam.

– Pokora? Nie, Hanuś. Zmęczyłem się i tyle.

Mielibyśmy siedzieć na łaskawym chlebie u synowej i syna? Ta chwila kiedyś nadejdzie, ale dlaczego teraz, zaraz? Co prawda pola mają młodzi mnóstwo, tyle że ludzi do roboty czasem najmują, więc pewnie rodzice by im się do pomocy przydali. Ale nadal wolałam być na swoim, cóż poradzić? U siebie jadłam, co zgromadziłam i ugotowałam, spałam, kiedy chciałam, choć nie leżałam za długo, żeby mnie sąsiadki na języki nie wzięły, tyle było tej mojej wolności. Tymczasem jak się jest u syna na wycugu, trzeba się do zwyczajów

synowej dostosować, jeść, co i ile da, pytać, gdzie pomóc, wstawać, gdy oni wstają, spać, gdy oni śpią, żeby nie przeszkadzać, a i pieniędzy się swoich nie ma, chyba że synowa pozwoli u siebie kurkę czy dwie trzymać w kurniku. To ważne, żeby mieć chociaż parę swoich groszy, żeby wnukom na gwizdawkę czy karmelka dać, żeby samej sobie placek tatarczany czy śledzika na targu kupić, bo dlaczego by nie. Więc ja na żadne wycugi się nie godzę, bo to druga niewola po pańszczyźnie.

Gdy wychodziliśmy z mężem od młodego ekonoma, żałowałam, że nie umiem gradu na niego spuścić, jak to niegdyś Malinicha w Naczachowie zrobiła. A gdybym tak, marzyłam, a marzenia te ulgę niejaką mi dawały, a gdybym tak chociaż zwykłą burzę umiała sprowadzić, a wraz z nią tych kilka piorunów ściągnąć? No dobrze, choćby jeden, żeby uderzył w sam środek kantorka ekonoma, najlepiej w ten stół, gdzie księga z zapisanymi ludźmi leży, tam powinien uderzyć i księgę zniszczyć, a wraz z nią potężnie ekonoma uszkodzić. Taką wściekłość w sobie czułam, tak bym chciała na draniu się zemścić i na jego głupim pisaniu. I z tą myślą któregoś dnia zabrałam się z mężem na jarmark do Lubrańca. Gdy on warzywem handlował, zostawiłam go na targu, a sama postanowiłam do kuchni dworskich uderzyć, do Malinichy.

Zaszłam pod dwór lubrański od kuchni, tak jak żeśmy podczas dożynek wchodzili z żeńcami, bo przecież wiedziałam, że nie wolno mi podejść od tej pięknej bramy, od której rzędy klonów wiodły w głąb posiadłości, a dwór majaczył gdzieś z tyłu, dzisiaj niemal niewidoczny, bo szaro było i mgliście. Brama dla służby i dostawców była mniej zdobna, drzewa nie rosły szpalerem, lecz jak popadło, a i budynki postawiono bliżej wejścia. Bałam się, że nie



uda mi się dostać za bramę, ale akurat wóz z drobiem przyjechał, rozgdakane kury, nieświadome, że zaraz na rosoły i pieczenie pójdą, tłoczyły się przy kratkach. Przez to zamieszanie za wozem się przesmyknęłam i już byłam w środku. Szłam z obawami, bo przecież nikogo nie znałam i nie wiedziałam nawet, czy mi wolno tak na pańskie wchodzić. Z ulgą dotarłam do pierwszego budynku, zdziwiłam się, że wokoło śmierdzi, do drzwi zapukałam, zaskoczyło mnie, że w odpowiedzi chrząkanie słyszę, szybko jednak zorientowałam się, że to nie żadna kuchnia, lecz murowany chlewik, u bogatego nawet chlewiki murują. Rozejrzałam się, budynków było tu więcej, część w rzędach, część osobno, kurniki, składziki, piwniczki, kopczyki, dobrą chwilę zajęło mi odnalezienie właściwego miejsca, a i wtedy nie byłam pewna, czy dobrze trafiłam. Ale może tak, bo wokół kręciły się kobiety, statki pod pompą spłukiwały, z rękawami zakasanyimi, ze strojami dobrymi, niełatanyimi, nie takimi, jakie się do pracy w Naczachowie nosiło, z białymi czepeczkami na głowach, wszystkie zajęte, zabiegane, nawet na mnie nie spojrzwały. Stałam dobrą chwilę, przypatrywałam się, czy gdzieś tam Malinichy nie zobaczę, ale nie, nie widziałam jej, aż się wreszcie odważyłam którąś spytać, tę najstarszą, wiekiem do niej zbliżoną.

– Malinicha? Nie będzie mieć dla was przecież czasu. Ja wam jakieś resztki wyniosę, jak chcecie. Głodna bardzo jesteście? Jeśli bardzo, trzeba poczekać, aż będzie po obiedzie dziedziczki.

– Ja nie o łaskę przyszedłam prosić, ja gospodyni – oburzyłam się, bo chyba na dziadówkę nie wyglądałam. – Sołtysowa z Naczachowa. Sprawę mam, ważną.

Tamta trochę się zmieszała i zaraz zawołała:

– Malinicho! A bywajcie tutaj!

I wtedy z kuchni wyszła szczupła kobieta, ocierając dłonie w fartuch. Ledwie ją poznałam. Bo i twarz się Maliniszce mocno zapadła, zębów pewnie jeszcze miała mniej niż niegdyś, włosy też już całkiem siwe, jak dawniej upięte, mgiełka loczków bokami fryzury wychodziła, ale – tak jak kiedyś – gdyby na twarz i włosy nie patrzeć, to sylwetka cała jak u młodej zdawała się, cienka w pasie, prosta, pełna mocy. Malinicha oczy zmrużyła, patrzyła na mnie niepewnie.

– Witaj – powiedziałam.

I dopiero wtedy czoło z zamyślenia zmarszczone rozprostowała, uśmiechnęła się i zaraz usta zakryła, jako że niewiele zębów już w nich zostało.

– Hanka...

Patrzyłyśmy na siebie, szukałyśmy w sobie śladów czasu, choć też z dużym wysiłkiem szukać nie musiałyśmy, wszystko było widać od razu.

– Przyszłaś. Po tylu latach. Po tylu latach.

– A bo też długo nie wiedziałam, że tutaj trafiłaś, do pańskiej kuchni.

– A potem? Kiedy już się dowiedziałas?

– Nie śmiałam. Ale przecież wiedziałam, że ci tu dobrze.

– Skąd wiedziałas?

– Przy pańskim to ani głodu, ani chłodu przecież nie ma.

Malinicha przestąpiła z nogi na nogę. Nie wiedziałam, co mówić, milczałam, a ona na kuchnię się obejrzała, raz i drugi, widać było, że czasu wiele nie ma.

– A kaczki to już sprawić, Malinicho? – Jakaś dziewczynina wybiegła z kuchni.

– Sprawiaj, tylko na zółć w bebeczach uważaj, bo całe mięso spaprzesz jak wtedy.

– Gdzie tam, już mądrzejsza jestem.

– Mam nadzieję – powiedziała groźnie Malinicha.

– To ty pani naprawdę tutaj jesteś!

– A jakoś tak z czasemostałam się za główną kucharkę.

– Ziółka nadal hodujesz?

– Jeszcze więcej niż wtedy, a niektóre nawet dziedziczka zamawia z dalekich stron. Mam tu ziółek a ziółek.

Z kuchni znowu jakaś dziewczka wybiegła, zobaczyła, że Malinicha rozmową zajęta, głową pokręciła, znowu się w kuchni schowała.

– Daleko macie kuchnię od pałacu – zdziwiłam się.

– Żeby im gotowaniem nie pachniało. No i żeby niechący pałacu nie spalić.

– Ale to zanim do stołu doniesiecie, zimne już przecież jest?

– Takimi donicami przykrywamy, to i nie bardzo wystygnie. – Znowu przestąpiła z nogi na nogę. – Miło cię widzieć, Hanka, ale mnóstwo roboty mamy, bo to i obiad dziedziczki niedługo.

– A co ona na obiad je?

– Głodna jesteś?

– Nie, nie dlatego przyszłam.

Malinicha nie spytała: „A dlaczego?”, ciągle jeszcze pamiętała wiejskie zwyczaje, żeby nie przechodzić od razu do rzeczy. Postanowiłam nie trzymać jej dłużej w niepewności.

– Z prośbą przyszłam.

– Kto chory?

– Nie, nie to. Ja tylko... Może byś mnie umiała nauczyć, jak grad wywoływać? Albo burzę przynajmniej? Z piorunami, taką solidną.

Malinicha aż usta otworzyła ze zdziwienia.

– A skąd ja bym miała takie rzeczy umieć?

– Bo przecież gradem pożegnałaś Naczachowo, przez co połowę zbiorów nam wtedy wytlukło.

Malinicha wpatrywała się we mnie osłupiała.

– Cała wieś pamięta – dorzuciłam, ale było mi coraz bardziej głupio.

A zrobiło mi się jeszcze głupiej, gdy Malinicha śmiać się zaczęła. Tak się śmiała, że aż dziewczki z kuchni wychodzić poczęły, patrzeć, co się stało. A ta się pokładała i zachłystywała, dłońmi po udach waliła, a co na mnie spozrzała, znowu się zanosila.

Aż wreszcie udało jej się wykrztusić:

– To i ty mnie zawsze za czarownicę miałaś, Hanka?

– Ja nie... To znaczy... Ludzi leczysz... Ale taki grad przecież nie zdarza się przypadkiem.

– Pierwszy to był grad w twoim życiu?

Tylko głową pokręciłam, coraz bardziej mi było nieswojo.

– A tamte kto wywołał?

Chciałam stąd iść, nikt przecież nie lubi, jak się z niego natrzasać.

– Ktokolwiek go wywołał, dobrze, że się tamten grad pojawił – powiedziałam tylko. – Zasłużyliśmy na karę, skoro tak za nic, za dobra czynienie wszyscy zaczęli pluć na ciebie. Zasłużyliśmy wszyscy, ja też, skoro obronić cię nie umiałam.

– Ale to nie ja grad zesłałam, Hanuś.

– Czyli Pan Bóg za tobą się ujął? Sprawiedliwy on zaiste, że na nas karę spuścił. Żleśmy wtedy zrobili. Wiesz, że wasza chata do

dziś pusta stoi?

Wzruszyła ramionami. Spytałam:

– Tęsknisz za tamtymi czasami?

Ach, jak chciałam, żeby Malinicha powiedziała, że tęskni za Naczachowem, za swoim warzywnikiem, a już najbardziej za mną. Żeby powiedziała, że nic nie szkodzi, co się stało, i że w końcu na dobre wszystko wyszło. Żeby przebaczyła zdradę, bo tak to teraz widziałam: zdradziłam kiedyś Malinichę, nie obroniłam niewinnej, dopiero Pan Bóg musiał się za nią ująć.

Malinicha jednak patrzyła gdzieś w bok, nie umiałam odczytać jej miny, skrzywionej trochę, ale każdy tak przecież wygląda, gdy zębów nie ma.

– Antoni twój jak się miewa? – spytała wreszcie, a głos miała jakby miłszy, spokojniejszy. Może wybaczyła, pomyślałam. Może to znaczy, że mi wybaczyła.

– Zdrów.

– A Szczepan?

– A dobrze. – Rozpromieniłam się. – Czysz do dworu płaci regularnie. Zaharowany tylko. A twoja Isia jak się miewa?

– Nadal jako pokojowa pracuje.

– Czyli co robi?

– Ubiera panią i rozbiera, czesze, śniadania podaje, takie rzeczy.

– Płacą za to?

– Trochę płacą.

– Zadowolona?

– A bo ona kiedykolwiek z czegoś zadowolona była?

– Męża nie ma?

– Jakoś się nie zdarzyło. No i na tej robocie mężatek nie chcą.

I zamilkłyśmy obie, od tych wszystkich rzeczy niewypowiedzianych, które się między nami kłębiły, a o których nie bardzo dało się rozmawiać na tyłach kuchni, w pośpiechu, na jednej nodze, gdy dziewczki raz po raz na Malinichę niespokojnie zerkały, gdy Antoś pewnie mnie już na jarmarku wyglądał, gdy przyjaźń nasza z Malinichą, niegdyś dobra i głęboka, zmieniła się z czasem w tę niemrawą rozmowę o niczym, za to z mnóstwem trudnych uczuć pod spodem.

Malinicha zaraz się wymówiła, że jeszcze huk roboty przy obiedzie. Dorzuciła, żebym czasem zajrzała w spokojniejszej porze, wtedy pogadamy.

I tak się pożegnałyśmy, pewne, że nieprędko się znowu zobaczymy, jeśli w ogóle.

Gdy wyszłam za dworską bramę, nagle zerwał się wiatr, zaraz potem zachmurzyło się niebo, by po chwili stać się prawie czarnym. Wiatr się wzmaczał, chmury nad głową nabrzmiwały, przyspieszyłam kroku, już prawie biegłam, kiedy lunęło. To nie był deszcz, tylko siekająca nawałnica. Smagały mnie bicze wody, cała spływałam bolesną wilgocią, aż przystanąłam, żeby się skulić pod drzewem, przywarłam do lipowej kory, ale i lipa nie dawała sobie rady z chłostą z nieba. To nie przypadek, zrozumiałam nagle, to nie przypadek, że nawałnica przychodzi właśnie teraz, bo ten deszcz, tę nawałnicę, wywołała Malinicha. Siecze mnie wodą z nieba tuż po tym, jak powiedziała, że nie umie gradu zesłać. Umie i udowadnia mi to, ale nie podzieli się ze mną tą wiedzą, bo nie zasłużyłam, wiedziałam, że nie zasłużyłam, więc wyszłam spod lipy, spuściłam

głowę, niech mnie smaga jak najmocniej. Tyle wody wokół z nieba leciało, że gdyby mnie kto zobaczył, nie wiedziałby, że płacę.

Do Antosia wróciłam mokra i oczyszczona, nie czysta, bo stopy miałam w błocie, ale właśnie taka: oczyszczona. I cały czas myślałam o Malinisze, która za karę wychłostała mnie ulewą, z dawnej sympatii nie zawstydziła mnie publicznie, tylko w samotności, na drodze. Zrozumiałam, Malinicho.

– Co tam szepczesz? – spytał Antoś.

– A nic, do siebie gadam.

– Myślałem, że się modlisz.

– To też. Trochę.

Bo czymże jest modlitwa, jeśli nie rozmową z tymi, których nie widzimy?

Tej nocy przyśniło mi się, że zesłałam na ekonoma grad. Grudami lodu wielkimi jak pięści grzmociłam go po plecach, po ramionach, po twarzy, choć się uchylał i chował, chociaż o litość błagał, a wtedy największa gruda lodu grzmotnęła go w ten jego zarozumiały łeb. W końcu na klęczki się przede mną rzucił, a ja nie wiedziałam, czy już mu odpuścić, czy dalej walić, żeby dobrze nauczkę zapamiętał. Obudziłam się z uśmiechem tak szerokim, że aż się Antoś dziwował, z uśmiechem śniadanie szykowałam, z uśmiechem miskę płukałam, a potem poszłam w pańskie pole z dziwnym poczuciem, że mocna jestem i jeszcze w życiu sobie poradzę, nawet bez wsparcia Malinichy.

Stawiałam się do pracy o czasie, w tłumie innych kobiet, wszystkie z własnymi motykami, a ekonom zapisał w tej swojej księdze, kto przyszedł, zapisał, że i Józwiakowa dziś jest. Pokazał wszystkim, co

robić, a potem zwrócił się do mnie, że jeszcze nam, Józwiakom, trzy dni na ten tydzień zostały do odrobienia, z takim jakimś zadowoleniem, że może mi uwagę zwracać. Stał rozkraczony, kapelusza nie zdjął, patrzył na mnie z góry i uśmiechał się, że rozkazywać może, choć był młodszy od mojego syna. A ja? A ja mu w oczy spojrzałam i też się do niego uśmiechnęłam, bo znowu sen o gradzie mi się przypomniał. Ekonom spojrzał na mnie zdziwiony, chwilę podumał i postanowił jednak popsuć mi tę radość.

– I róbcie dzisiaj porządnie wreszcie, nie po chłopsku.

– A jak jest po chłopsku?

– Leniwie, wolno i byle jak. Postarajcie się raz przyłożyć, z wdzięczności, że dziedziczka pozwala wam tu mieszkać. Zróbcie dziś, żeby już jutro nie trzeba było robić.

– To nam zaraz jutro co innego wynajdziecie.

– To i się lenić gdzie indziej będziecie.

Lenić, myślałam. Lenić. Do popołudnia na pańskim, potem do nocy na swoim. Lenić. Od rana do zmierzchu pracowaliśmy, aż czasem wieczorem w domu nie miałam siły w piecu rozpalać i chleb z serem tylko jedliśmy. Ale co ekonom z tego mógł zrozumieć, jeśli cała jego praca to było gadać i w księdze znaczki stawiać. Nawet się więc nie odezwałam. Po co mu tłumaczyć zwykłą, chłopską prawdę?

Już chwyciłam motykę, już szłam w pole, już rękawy zakasywałam, jak to od lat przed pracą robiłam, gdy nagle przystanąłam, w niebo spojrzałam. Niebo gładziutkie, wczoraj wymyło się do czysta, na nim ledwie kilka strzępiastych chmurek, nie mogłam więc liczyć na żaden grad ani nawet na nawałnicę. Na pewno dziś, po wczorajszej ulewie, będzie jasno i świetliście, co ledwie zauważę, ze wzrokiem w mokrych bruzdach utkwionym,



skupionym na motyce. Na żadną zmianę się nie zapowiadało, ani na niebie, ani w życiu, tak pomyślałam, więc będę tak tyrać, aż słońce zajdzie, przy przygadywaniu bezczelnego młodziaka ekonoma. I następnego dnia znowu i znowu, i znowu, aż do końca mojego życia będą na mnie kolejne gołowasy z księgami obelżywie patrzeć. Zaraz się do roboty pochylę, już zaraz, obiecywałam sobie, ale na razie wspierałam się na motyczce, z głową do góry zadartą, patrzyłam, jak obłoczki suną powoli, i nieoczekiwanie zobaczyłam w nich spokój.

– A wyście już na dziś skończyli, Józwiakowo? – spytał ekonom złośliwie.

Już się miałam pochylać, gdy jednak postanowiłam, że nie. Nie będę dziś w pańskie błoto patrzeć, gdy tyle nieba nade mną.

– Tak, skończyłam – odpowiedziałam po prostu, rękawy do łokci podwinięte opuściłam, motykę na plecy zarzuciłam, aż się ekonom cofnął, i mijając pochylone nad brzdami kobiety, wszystkie we mnie wpatrzone ze zdumieniem, ruszyłam w stronę domu. Ekonom coś wołał za mną, baby wołały, ale się nie przejęłam, nawet się nie odwróciłam. Szłam, gapiłam się w niebo, na obłoki i śpiewałam piosenkę, jaką ci co bardziej nieposłuszni chłopci lubili u nas na wsi:

*Oratbym ja wami  
panowie, panowie,  
Macie moc nad nami,  
żebym ja miał nad was,  
Oratbym ja wami.  
Panem bym ci orał,  
okunomem włóczył,*

*a pisarzem radlił,  
robić bym was uczył.*

I wcale nie dbałam, ile z tego ekonom słyszy i rozumie, bo dawno się tak dobrze nie czułam. Jakby mi skrzydła u ramion wyrosły, a pieśń niosła się po drodze, w pola, na boki, do góry, wypełniała mnie.

– A co złego u syna na starość zamieszkać? – powtarzałam sobie. – Chałupa u niego duża, pola mnóstwo, dzieciak dobry i pracowity, wnukowie takóž, i do synowej przywykłam. Pomożemy dzieciom, ile sił starczy, a potem swoich dni w spokoju dożyjemy. Synuś bogaty się stał, pięćdziesiąt mórg, z czego połowa pola, to nie w kij dmuchał! A my mu pomożemy, najwyższy czas to zrobić. W rodzinie będzie już tylko lepiej, moja w tym głowa.

Czułam się, jakbym przez całe życie nosiła spódnicę kamieniami obciążoną i jakbym nagle je obcięła i zostawiła za sobą, tam właśnie, u stóp ekonomy.

Zastanawiałam się, jak Antkowi powiedzieć, że porzuciłam pańszczyznę. Zdziwi się na pewno, bo przecież to ja najgłośnieję protestowałam, gdy była mowa o pójściu na wycug do Szczepana. Zwlekałam z nowinami do wieczora, ale bałam się, że kiedy Antek jutro na pańskie pójdzie, zaraz dowie się wszystkiego, jeśli już mu ludzie nie donieśli.

Wieczór nadchodził, radość opadała, ale nadzieja trwała, że gdy grzbiet będę schylać, to od dzisiaj dla dobra syna, nie dziedziczki. Jeśli będę plecy w polu prostować, to synowa będzie mi dwojaki z jedzeniem podawać, a nie ekonom pysk drzeć. Jeśli wieczorem nie będę mogła z utrudzenia zasnąć, to przynajmniej ze świadomością,

że przysłużyłam się swojemu dziecku i wnukom, a nie dziedzicze, której i tak niczego nie brakowało.

Czekałam na wieczór, kiedy we dwójkę posiadaliśmy latem na przyzbie, a zimą w chałupie, czasem z Jankiem i Janką. Ja na starość złagodniałam, Antoni rozmowniejszy się trochę zrobił, pogadywaliśmy nieco o gospodarstwie, co gdzie siać, co kiedy zbierać, komu zapłacić, żeby za nas na pańskie poszedł, czy czas już na rżnięcie owsa albo czy ciąć kartofle do sadzenia, czy całe wsadzać w ziemię jak dziedzice, czy już świnkę zarzynać, ile kogutków zostawić, a czasem wcale nie pogadywaliśmy, lecz Antoni, siadłszy obok, głowę mi na kolanach kładł, a ja wtedy cierpliwie przebierałam palcami jego włosy, wszy szukając, a co jakąś znalazłam, do miseczki z wodą wrzucałam, a potem wszystko do pieca szło. Znałam dobrze sztywność jego włosów, już miejscami białawych, ale ciągle gęstych, wiedziałam też, że wszy najwięcej kryje się za uszami i tam szukałam najdokładniej.

Zawsze to jakąś ulgę mężowi przyniosło, łatwiej mu było spać, gdy mniej swędziało, ale najbardziej w tym wszystkim lubiłam ciężar męzowskiej głowy na kolanach i te jego błogie westchnienia ulgi, które dzięki pracy moich palców wydawał. Tak więc siedzieliśmy z Antkiem w izbie przy piecu, dzień już dawno się pożegnał ze słońcem, może powinniśmy jakieś łuczywo zapalić, ale ja lubiłam, gdy jesienią całe światło pochodziło z pieca. Obok Janek z Janką siedzieli, na skopkach, do góry dnami odwróconych, i tylko się w ogień gapili, umieli tak siedzieć godzinami bez żadnego dla rąk zajęcia. A i wszy chyba mniej ich męczyły, bo i iskali się wcale nieczęsto, przez co zawsze miałam wrażenie, że co innego niż zwykli ludzie czują, ale cóż, z nimi wszystko było możliwe. I wtedy,

gdy Antek leżał z głową u mnie na kolanach, właśnie wtedy tak wymierzyłam, że mu powiem o tym, jak dziś ekonomowi przygadałam. I o tym jeszcze, że już nigdy na pańszczyznę nie wrócę.

Powiedziałam wreszcie.

Zamarł, zamilkł.

A potem aż głową rzucił.

– Poszłaś z pańskiego pola?

– A tak!

– Ekonom powie, żeś leniwa.

– Już mu chyba pokazałam, że nie jestem. Nieraz widział mnie przy pracy.

– To nierozważne. Ekonom się będzie mścił.

– Nie na nas. Pójdziemy przecież na wycug do Szczepana, do Sokołowa, a tam już z żadnym ekonomem rozmawiać nie musimy.

– Mogłaś spytać. Czy chcę, mogłaś zapytać. Czy już teraz mamy wszystko zostawić, mogłaś zapytać mnie o to wcześniej.

– Mówiłeś, że chcesz.

– To duża decyzja. Największa w życiu. Chciałem ją dobrze przemyśleć. Przygotować się. A nie tak na łapu-capu, bo się nagle na pańszczyznę pogniewałaś.

I z tymi słowy Antoś podniósł się z moich kolan w pół iskanego kosmyka, nachmurzony kapotę na siebie narzucił i wychodząc z domu, aż drzwiami huknął.

Zostałam więc sama ze swoją świeżo zdobytą wolnością.

Na chwilę, bo zaraz Janek z Janką dosiedli się do mnie na ławę, po obu stronach, i wtulili we mnie, jakby czuli, że teraz najbardziej potrzeba mi ludzkiego ciepła i poczucia, że jednak dobrze zrobiłam,

pod koniec życia wybierając wolność. Że zasłużyłam, by na mnie nikt nie krzychał, teraz, w pięćdziesiątej wiosnie życia. Żeby już nikt nigdy na mnie nie krzychał.

Własny mąż także.

Na drugi dzień, gdy Antoś w pole poszedł, do chałupy zapukał Kostek i zaraz wszedł, w końcu był domownikiem, bratem moim.

Jakim bratem, zaraz sobie uprzytomniłam. Żadnym bratem. Ale i tak wiedział wszystko.

– Oj, Hanka, Hanka, a bo ja słyszałem, żeś ty do buntu podzegała.

– A bój się Boga, Kostek, co ty opowiadasz!

– Wszyscy przecież gadają, żeś w ekonoma motyką rzuciła, że „robić dla pana już nie będę” powiedziałaś, że grubym słowem go potraktowałaś, aż się zestrachał.

– Z tego wszystkiego powiedziałaś tylko, że ja już na pańszczyźnie robić nie będę.

– Czyli jednak prawda. Zbuntowałaś się. Jak ten chłop, co panów wyrzynał gdzieś w Galicji, co ludzie mówią. Co go zwą „Jakub Szela”, tak mówią.

– I takie rzeczy ludziom o mnie opowiadasz?

– Oni sami o tobie gadają. A Szela też od tego zaczął, że na pańszczyźnie robić przestał, a popatrz, gdzie skończył.

– Gdzie?

– W pańskim pałacu, co go panom zabrał, kazali dziedzicowi służyć, fajkę mu pan zapalał.

– Ta, a skąd u chłopca fajka?

– A panu zabrał.

– Nie paliłabym fajki.

– Ale do pałacu byś poszła?

– Żeby zobaczyć te wszystkie bogactwa, tak. Żeby się najeść frykasów, też, pewnie. Ale potem? Co ja bym tam robiła? A co się z tamtym chłopem stało? Obwiesili go pewnie gdzieś?

– A gdzie tam, żyje, cały i zdrowy.

– W to nie uwierzę.

– Ludzie tak prawią.

– A to jak ludzie prawią, to ze wszystkim prawda. Oj, Kostek, Kostek, jak dziecko z ciebie chłop naiwny. Jakby na dziedzica rękę podniósł, długo by już potem nie pożył, ty to wiesz, ja to wiem, wszyscy to wiedzą. Dlatego ja się nie buntowałam, ja tylko z roboty poszłam.

Długo ten bunt trwać nie miał, zrozumiałam wreszcie, bo i mąż mi to codziennie tłumaczył. Odstroiliśmy się więc z Antosiem świątecznie, jak przy niedzieli, z tej złości zasznurowałam serdaczek za mocno, aż oddychać było trudniej. No i co z tego, myślałam, no i co z tego, niech boli! I tak bolało mniej niż to, co miałam zaraz zrobić. Owinęłam głowę chustką, lok czarniawy na czoło wyciągnęłam, chustę najbarwniejszą na plecy narzuciłam. Nie gadałam z Antosiem przy ubieraniu, nie żartowałam, jak to normalnie mieliśmy w zwyczaju, bo zła na niego byłam. Ale chociaż wściekła, o ubiór jego zadbałam, bo przecież wygląd męża o mnie jako żonie i gospodyni świadczy. Wytrzepałam mu długą kamizelę z trzema rzędami świecących guzików, wygładziłam amarantowy pas, uznałam, że jesień już późna i nie za ciepła, więc zamiast spodni płóciennych wyjęłam mu ze skrzyni te sukienne. I obwiązałam mu nową wstążkę na kapeluszu, bo na przekór wszystkiemu mieliśmy się godnie prezentować, skoro mieliśmy się

godności zaraz wyrzec. Gdy się odział, sprawdziłam, czy wszystko jest jak należy, potem już jednak patrzeć na niego w ogóle nie chciałam, bo zmuszał mnie do rzeczy najgorszej.

Ruszyliśmy w drogę, Antoś zły jak księży brytan, ja na męża naburmuszona. Idziemy tak, w ponurym milczeniu, aż tu na drodze kowalczyków spotykamy. Ci się, jak zawsze, we trzech trzymają, obok siebie idą, Ćwiartas tylko trochę z tyłu, jakby tamtym plecy osłaniał, zawsze tak chodzili. Wszyscy trzej weseli, głośni, a gdy się do nich zbliżyliśmy, to poczułam, że i gorzałką mocno pachną, w dzień powszedni, ledwie po południu, a kowalczyki już karczmę zdążyły odwiedzić. Przywitały się jednak grzecznie, zawszeć to powinowaci, i zaraz zaczęły wykrzykiwać, jaka to ze mnie dzielna kobieta, że wszyscy dzisiaj w karczmie o tym opowiadali, jak na ekonoma wrzasnęłam, jak z pola zesłam, jeszcze w jego stronę motykę rzucając. I dobrze, że ktoś nowemu ekonomowi pokazał, gdzie raki zimują! Może teraz zrozumie, że włościan należy szanować. Że tej pańszczyzny już za dużo. Że na niczym się nie zna. Na grzeczności też wcale!

– A cichnijcie już, bo jeszcze usłyszycie.

– A niechże słyszy, to słowa szczerzej prawdy, niech słucha! Dzielna z was kobieta, Hanko! Do słuchu żeście mu powiedzieli! Motykę rzucili!

Już nawet nie wyjaśniałam, że niczym nie rzuciłam, bo ci dalejże się brać do ręki ściskania, a Ćwiartas to nawet mnie i w policzek na mokro pocałował, ziejąc mocno gorzałeczką.

– No, czas nam w drogę – przerwał kowalczykom te czułości Antoni.

– A dokąd to idziecie?

I tu się Antoś zacukał, bo jak po tych wszystkich powinszowaniach powiedzieć, że do ekonoma idziemy, żeby odwracać, co napsułam? Aż mi się śmiać zachciało, gdy patrzyłam na pomieszanie mojego męża.

– A tak jakoś... – zaczął powoli, ale kowalczyki już się przestały interesować, gdyż jeszcze z dziesięć razy musiały powykrzykiwać, że dzielna ze mnie kobieta.

Ruszyliśmy wreszcie dalej. Milczałam, a i Antoś milczał. Szliśmy tak, w tym pomieszeniu, już prawie do kantorka ekonoma dochodziliśmy, gdy mąż mój znieacka przystanął. W niebo spojrzął, potem wreszcie na mnie, po raz pierwszy od wielu godzin. Brwi miał zmarszczone, twarz bladą.

– Wracajmy do domu – powiedział. – Nie będziesz się przed ekonomem korzyć.

– Nie będę?

– Nie. I ja też nie.

Wtedy przygarnęłam tego mojego męża do siebie i pocałowałam mocno, jak za młodych lat. Po czym obróciliśmy się na pięcie i poszliśmy do siebie.

Zośka Józwiakowa

No i rodzice Szczepana mieli u nas zamieszkać. Wiedziałam, że to kiedyś nastąpi, nie spodziewałam się jednak, że tak prędko będziemy ich mieli stale przy sobie. Szczepan przecież niezbyt nawet lubił zapraszać ojca do domu na obiad w niedzielę, bo zawsze bał się jego czujnego spojrzenia.

– Co to? – spytał na przykład ostatnio jego ojciec, biorąc do ręki pudełko obok pieca leżące.



– Zapałki. Popatrzcie, tatulu, jakie sprytne. O ścianę potrzebie drewnienko, o, z tej strony, i już płonie. Nowość światowa, a już u nas w Izbicy kupić można, tatulo sobie wyobrazi.

– A ile kosztują takie cuda?

– Niewiele przecież. I każdą dzielimy na dwie, zanim zapalimy – zaczął się mu od razu tłumaczyć Szczepan, nie miałam pojęcia po co, przecież to nasza chałupa, nasze zapałki i nasze pieniądze.

– Oj, synu. To zupełnie, jakbyście pieniądze palili. A żar z własnego pieca nic nie kosztuje.

– Tyle że często zagaśnie – postawił się Szczepan, który próżno czekał, żeby ojciec pochwalił jego gospodarowanie, zasobność chałupy i porządek w obejściu.

– Czasem palenisko i u nas zagaśnie – przyznał ojciec. – Ale co z tego? Jeśli ostatnie węgielki zgasną, to matka biega z garnkiem po wsi i szuka, od kogo można by żaru wziąć.

– A tak, biegam! – potwierdziła matula.

– I dobrze jest, Hanuś. I dobrze nam z tym jest.

Teściowa jednak postanowiła bronić naszej gospodarki:

– Czasem nawet całkiem długo biegam, bo akurat wszystkie chałupy zawarte albo innym także zagasło.

– Ale zawsze z ludźmi pogadasz, z sąsiadami, potem ty ich poratujesz, jakoś się gromada razem trzyma. A Szczepan woli zapałki, jakby się ludzi bał.

– A co ma się nie bać, Antoś, jak tu same Olędry mieszkają?

– Olędry to dobrzy sąsiedzi, a my dla wygody zapałki kupiliśmy, tatulu.

– Wygoda jest złym doradcą.

– Dajcie chłopakowi spokój, rozsądnie gospodaruje – bronił nas wuj Kostek.

A wtedy teść naprawdę się zdenerwował.

– A ty jakie masz prawo mnie pouczać, o czym z synem rozprawiam, Kościeju przekłety? Co ty się wtrącasz w ogóle? Z synem rozmawiam i nic ci do tego, przybłędo!

Wszyscyśmy na ojca spojrzeli, zadziwieni, skąd w nim tyle gniewu.

– Tatulu, ale przecież wuj to rodzina jest. Dużo nam pomaga. Pracą. Radą – usiłował załagodzić Szczepan.

– Mam nadzieję, że więcej pomoże, niż zje – odparł ojciec.

Wuj nic na to nie odpowiedział, tylko z chałupy wyszedł. Tak już miał, że nigdy się z Antonim kłócić nie chciał. Teść już się podrywał, żeby za nim na podwórze biec, jeszcze mu coś do słuchu powiedzieć, ale żona go za ramię przytrzymała.

– Poniechaj, Antoś. Zaraz jeść siadamy. Wybaczcie, dzieci, ojciec coś dziś na cały świat krzywy.

– Może co ojca boli?

– Marnotrawstwo mnie boli, ot co.

– Staramy się żyć dobrze i oszczędnie. Prawda, że wiele rzeczy inaczej Szczepan robi, niż w domu się robiło, ale to dlatego, żeście go odwagi nauczyli i mądrości, żeby umiał nowych rzeczy szukać, a z nich dobre wybierać – łagodziałam.

Matka Szczepana spojrzała na mnie z wdzięcznością.

– Baby to zawsze ze sobą trzymają – sarknął ojciec, ale zaraz się udobruchał, bo już rosół na stół wносиłam, pachnący i tłusty. – Młodą kurę żeście ubili czy starą?

– Lepiej tobie tego, Antoś, nie wiedzieć, bo zaraz znowu denerwować się zaczniesz – uprzedziła mnie teściowa. – Ubili, którą chcieli, tak czy siak, już nie żyje, a rosół dobrze pachnie. Zośka, poprosisz Kostka z powrotem do stołu?

Wysłałam posłusznie wuja do stołu prosić, ale powiedział, że zje sobie w sadku, bo tam chłodniej. Więc zaraz wróciłam, w miskę mu nalałam rosółu, mięsa dorzuciłam, kartofli i wyniosłam, niech zje gdzie spokojniej. Teściowa tylko głową pokręciła, że człowieka w niedzielę mąż jej z obiadu wygnał, ale już nic nie mówiła, by nie jątrzyć, nade wszystko ceniła bowiem spokój przy stole. Aż podeszłam, by ją z wdzięczności za ramiona objąć. A potem już jedliśmy w milczeniu.

Teraz jakoś będziemy musieli sobie życie poukładać, wszyscy razem, teść u nas w domu dniem i nocą, i łatwo nie będzie, oj, nie.

Hanka Józwiakowa

Pakowaliśmy się, bo dużo się nazbierało przez te wszystkie lata. Gdy szliśmy po raz pierwszy do Naczachowa, wszystkie nasze rzeczy w czterech tobołkach się pomieściły, teraz Szczepan obracał kilka razy, wożąc nasz dobytek do swojej chałupy, gdzie już mieli dla nas izbę w tym swoim wielkim domu wyszykowaną, z meblami, ze wszystkim, bo Szczepan cieszył się, że rodziców będzie miał przy sobie. Jeszcze zwierzęta przepędzić do synowskiej obory należało: krowy, cielaka, wołu.

Ja też się cieszyłam, że idzie nowe, że będę blisko syna i wnuków, sercu mojemu drogich, ale też i smutno mi było, że porzucamy, cośmy zdążyli uznać za swoje. A Antoś? Co przez okno wyjrzał, co na podwórze wyszedł, wzdychał rozdzierająco, dlatego też

chcieliśmy ostatni wieczór, ostatnią noc w domu jednak spędzić, pożegnać się ze wszystkim, co przez trzydzieści lat tutaj sobie wypracowaliśmy, cośmy tutaj ukochali. Bo kochałam tę chałupę, którą nam jako pierwsza we wsi wybrałam, kochałam podwórze tylekroć grabione, stodółkę, cośmy ją z sąsiadami stawiali, warzywnik i moje kwiaty, kochałam to wszystko, co przez lata otaczaliśmy opieką.

Antoś poszedł w obejście, po raz kolejny, jak zawsze to robił pod koniec dnia, świadom, że robi to po raz ostatni. Ja krzątałam się w kuchni, po raz ostatni w swojej własnej, niemal po omacku, jak lubiłam, tylko przy świetle z pieca i resztkach poświaty z dworu. Tarłam kartofle na ostatnią wieczerzę w naszym domu, placki pieczone na kamieniu przy palenisku, Antoś takie lubił, więc chciałam mu dogodzić w nasz ostatni tutaj wieczór. Tarłam, nie mając pojęcia o wielu rzeczach, które działy się właśnie wtedy poza moją ciemną kuchnią. A działy się rzeczy najważniejsze, bo gdy na ostrej drewnianej tarce startam sobie, razem z kartoflem, opuszkę palca i właśnie ssłam krew, by placków nie poplamić, kilka kroków dalej, na podwórku, właśnie umierał mój mąż.

Nigdy więcej pańszczyzny, myślał mój Antoś, obchodząc po raz ostatni obejście, gdzie spędził większość życia. Nigdy więcej! Teraz, u schyłku życia, nie będzie już nigdy musiał na pańskim sił oszczędzać, żeby ich jeszcze na swoje starczyło.

Przecież całe życie chciał wolności. Marzył, że dożyje chwili, gdy pańszczyzna zostanie wreszcie zniesiona, a my będziemy mogli pracować tylko na swoim. Jak stać się to miało? A jakoś. Może pojawi się drugi Kościuszko? Może Pan Bóg zmiłuje się nad swoim

ludem? Może dziedzic dla ludu litościwy nastanie? Tak czy siak, chcieliśmy doczekać chwili, gdy wszystko się zmieni.

No i zmieniało się, nie nagle, lecz powoli, i dobrze, że powoli, bo zawsze na gorsze, skoro przez lata stopniowo pańszczyzny nam dodawano. Gdy Szczepan urósł, a dziedzica zabili, ekonom już w ogóle się nie hamował, często więc się zdarzało, że w czasie sianokosów czy żniw, żytnich, owsianych, gryczanych, rzepakowych, jeździł po chałupach i po polach, by, nie zsiadając nawet z konia, nakazywać, że zaraz do pracy mamy się stawić, żeby na pańskim przed deszczem zdążyć, i w ogóle go nie interesowało, że pańszczyznę już w tym tygodniu odrobiliśmy, że swoje pola mamy do obrobienia, bo na nie też będzie deszcz padał. Ludzie sarkali, burzyli się, narzekali, ale komu było się żalić? Dziedzicze? A co ją to miało obchodzić? A gdyśmy chcieli to godnie z ekonomem załatwić, ziemię nam odebrał, tyle nam przyszło z tej godności.

Na synowskim osiadę, przy Szczepanie wolnością się nasycę, pocieszał się Antoś, odpoczniemy od schylania grzbietu na pańskich polach. Szczepan ma aż pięćdziesiąt mórg, z tego połowę pod łąkami i pastwiskami, więc pracy będzie a pracy, próbował się cieszyć mój mąż, pracy na swoim, na prawie swoim, bo synowskim. Czas na zostawienie starego, czas na zaczęcie nowego, po raz drugi w życiu to zrobimy, tak się pocieszał, tak sobie powtarzał.

Jak zatęsknię, zawsze będę mógł przyjść i popatrzeć na swoje pola, myślał. Na tę ziemię, na której pot latami wylewał, na tę chałupę, gdzie po raz pierwszy poczuł się u siebie, na sad, gdzie połowę drzewek myśmy posadzili. Miał nadzieję, że gospodarze, którzy tu po nas nastaną, ziemi nie skrzywdzą i wstydu gospodarce nie przyniosą.

Ale teraz chciał obejść swoje gospodarstwo po raz ostatni. Najpierw pola. Potem chałupa, w której jutro o świtaniu zawrzemy drzwi na zawsze. Żegnał się z przyzbą i gankiem, z podwórzem i stodołą, z obórką, szopką, nawet z gnojowicą za stodołą się żegnał, z sadkiem i warzywnikiem, z płotem, co go w noc narodzin Szczepana postawił, i z lipką, na której kiedyś zawiesił mu huśtawkę, deskę na sznurach konopnych. Na synowskim teraz będę, powtarzał sobie Antoś, nigdy więcej na pańskie pracować nie pójde. Chciał się tym radować, ale nie szło, smutek mu pierś ścisnął, że z tego przejęcia wcale oddychać nie mógł. Spróbował znowu, ale ciągle nie mógł nabrać tchu. Kamizelę rozpiął, głowę zadarł, ale powietrza ciągle mu było za mało.

A wtedy coś go zabolalo w sercu. Chwycił się za pierś, nie pomogło jednak, bolało tak, że cała lewa strona ciała zaczynała mu drewnieć, jakby w połowie był przez cieśnię wystrugany. Tak jak przez całe życie był w połowie wolny, w połowie pański, pomyślał nagle, taki i teraz jestem, w połowie swój, w połowie nie swój. I nagle poczuł, że przepełniony tym pomieszaniem już na nogach nie ustoi, więc po raz pierwszy w życiu usiadł na podwórzu, które tyle razy przemierzał, i siedział tak, w piersi bolało, a z dołu wszystko inaczej wyglądało. I dom, i stodoła, i obórka, i szopka zdawały się większe, mniej swojskie, ciągnące ku niebu. Aż mu się w głowie zakręciło od patrzenia i przez to chyba właśnie runął w tył. Legł plecami w zimnym piachu podwórza, na którym nigdy jeszcze nie leżał. Teraz już nie patrzył po budynkach, lecz prosto w niebo, w nim szukając pociechy, próżno jednak, bo niebo było dziś szare, ołowiane, nieprzyjazne, jak tamtego dnia, gdy nam słońce znikło. Jak tamtego dnia końca świata, gdy urodził nam się syn, tamtego

dnia, gdy Antoś płot stawiał, by ochronić rodzinę. Leżąc, myślał sobie, że i dziś niebo jakoś szybko ciemnieje, a obok niego, jak dwie gromnice, stali sztywno Janka z Jankiem, ich dwie siwawe główki jaśniały jak światło świec. I na ten widok Antoś wreszcie zrozumiał: odchodzi, to jest ta chwila, gdy żegna się ze światem. Odchodzi w uroczystym momencie, właśnie teraz, gdy słońce znowu od świata się odwraca, świat się kończy, a on się skończy chwilę wcześniej, z Jankiem i Janką po bokach. I nagle zapragnął pożegnać się ze mną, tylko tego brakowało mu do godnej śmierci. Już prawie go tutaj nie było, gdy wybiegłam z domu, gdy zaczęłam płakać i wzywać pomocy. Próbował powiedzieć mi: „Do widzenia”, ale nie słyszałam, bo właśnie krzyczałam, żeby nie umierał. Ale on nie czuł, że umiera, jemu tylko ciało drewniało, ból promieniował, on tylko wpatrywał się w ciemniejące niebo, które nagle zdało mu się całkiem przyjazne, jak nowa ziemia obiecana. Nie umierał, tylko stawał się wreszcie, po tych wszystkich latach, wolny.

I z tym został tam, gdzieś, daleko od Naczachowa. Wyżej. Już nawet mnie nie słyszał, tylko z góry widział dwie zadarte twarze Janki i Janka, którzy patrzyli, czy trafi tam, gdzie przygotowano mu miejsce.

Janek i Janka

Gospodarz nijak nie potrafił z Naczachowa wyjechać, wolał umrzeć, a myśmy to dobrze rozumieli.

Hanka Józwiakowa

Dobrze, że zwyczaj mówił, co robić, kiedy ktoś umrze, bo inaczej tłukłabym się jak mucha o okno w tym bólu. A tak szłam tam, któreśdy stare kobiety, znawczynie obyczaju, Golcowa, Jamiołowa, mnie wiodły, żeby wszystko było jak zawsze, jak trzeba i z uszanowaniem. Ja też już jestem starą kobietą, uświadomiłam sobie, ja też muszę się tego nauczyć. Czy potrafiłabym przez pogrzeb innych zbolełych sąsiadów prowadzić?

Nie, dzisiaj nic bym nie potrafiła, nawet z płakaniem mi nie szło. Siedzieliśmy z Jankiem i Janką, wszyscy wtuleni w siebie, oczy suche jednak, w gospodarza wpatrzone. Wdową jestem, powtarzałam sobie. Wdowa. Tyle nazw człowiek przez całe życie na sobie niesie. Dzieciak, dziewczynka, dziewczyna, panna, żona, baba, gospodyni, matka, babka, a teraz doszła do tego wszystkiego wdowa, wszystko to o mnie jednej, Hance Józwiakowej.

A potem znowu niemożność mnie ścisnęła, bo jak tu żyć bez Antosia? Już nigdy na przyzbie razem nie siądziemy? Już nigdy mi głowy na kolanach nie położy? Już nigdy nie westchniemy, że słońce ładnie dzisiaj zachodzi, bo tyle kolorów na niebie się pojawiło? Już nigdy o czerwonym jabłuszku mi nie zaśpiewa?

Sama go umyłam szmatką, ciało, które tak dobrze znałam, całe było w piachu podwórza od tego umierania. Z pomocą bab przyoblekłam go w koszulę przewiazaną konopnym sznurkiem, na nogi włożyłam spodnie, na stopy – skarpety białe z płótna, szyte specjalnie dla zmarłych, Golcowa przyniosła. W domu płonęła gromnica, wosk z niej pachniałby błogo, słodko, gdyby nie oznaczał śmierci. Antoś leżał i czekał na trumnę, którą kowalczyki obiecały zrobić. Niby Kuba cieśla byłby do tej roboty odpowiedniejszy, ale jakoś wolałam swoich z rodziny o tę ważną czynność poprosić.



Poprosiłam o zwykłą trumnę, prostą, chłopską, sosnową, pachnącą żywicą, mój mąż lubi ten zapach, pomyślałam i nieoczekiwanie mnie to pokrzepiło. Kowalczyki więc zbijały trumnę na podwórzu, Janek z Janką obserwowali każdy ich ruch, a mąż mój, Antoś, spoczywał w domu, na deskach na łóżku ułożonych, i wyglądał trochę swojo, a trochę już obco. Staralam się jednak na niego napatrzeć, bo wiedziałam, że gdy trumnę zabiją kołkami, już nigdy jego twarzy nie zobaczę. Minę miał spokojną, żeby nie powiedzieć, szczęśliwą, umarł więc bez strachu, pocieszałam się. Po wielu było widać, że zmarli w cierpieniu, ale po twarzy Antosia widziałam tylko, że na koniec było mu na świecie dobrze.

Każdy z odwiedzających, sąsiadów z wioski, gdy wszedł, klękał najpierw przy zmarłym, bo tak się teraz mówiło o moim Antosiu, a dopiero po zmówieniu pacierza powstawał i witał wszystkich słowami: „Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus”. Wiadomo, potem należało poczęstować każdego kieliszkiem wódki, na pociechę, że oto dobry gospodarz umarł i że wszyscy śmiertelni jesteśmy. To ja nalewalam i podawalam wódkę, choć Szczepan chciał mnie wyręczyć, ale odpowiedziałam mu, że nie, że chcę sama przy mężu wszystko zrobić, bo to już ostatnie rzeczy, które przy nim robię.

Ludzie grzecznie wypytywali o szczegóły śmierci Antosia, przecież nie chorował, dziwili się, prawda? Nie, jeśli chorował, to dawno, odpowiadałam, i wtedy go Malinicha uleczyła. Nikt nie chciał o Malinisze jednak rozmawiać, woleli o Antosiu. Im częściej opowiadałam, że właśnie mieliśmy dom nasz opuszczać, że właśnie pakować się kończyłam, gdy Antek mój na podwórzu umierał, tym mniej ta historia stawała się moja, a bardziej wspólna jakaś, co nie

do końca mi się podobało, a potem, przy którejś osobie z kolei, słowa się wytarły i przestały cokolwiek znaczyć. Na szczęście wtedy w domu pojawił się Kostek, który zaraz się rozporządził, usadził mnie przy Antosiu, a sam, bez pytania, wziął się do częstowania gorzałką przychodzących. A kiedy już wódkę rozlewał, to zaraz zaczął opowiadać o śmierci Antosia, jakby przy tym był, a w jego ustach opowieść stawała się i piękniejsza, i groźniejsza, i wspanialsza niż moja. Ludzie wzdychali, łzę uronili, nade mną się użalili, a Kostek rozkwitał, rozprawiając o moim mężu. Staralam się nie zastanawiać, co by Antoś na to wszystko powiedział, starałam się tylko na niego patrzeć i tak mijał ostatni wspólny z mężem dzień w naszym domu.

A potem nadeszła ostatnia wspólna noc w naszym domu, noc zwana „pustą”, kiedy wszyscy zebrali się na modlitwę dookoła Antosia, już w trumnie, czekającego na swoją ostatnią podróż nazajutrz rano. Pusta noc, bo gospodarza z chałupy ubyło. Pustą się zwała, choć pusto nie było, przychodziło mnóstwo ludzi pożegnać lubianego sąsiada, sołtysa od lat, i gorzałki popić, po której jeszcze silniej śpiewy żałobne wyciągali, i godzinki, i pieśni nabożne. A najgłośniej śpiewał, a najwięcej pieśni znał, a z każdym łykiem gorzałki jeszcze głośniej zawodził oczywiście Kostek. Najpierw się oburzyłam, że akurat on tak lamentuje, skoro się z Antosiem nigdy dogadać nie mogli, potem ręką machnęłam. Niech płacze, może wreszcie zrozumiał, że jest za kim.

Nazajutrz kowalczyki trumnę zamknęły. Przy wyniesieniu jej z domu Szczepan jeszcze przemówił, krótko, ale dobitnie, choć już, już Kostek się rwał do tego. Ale nie, Szczepan odsunął go zdecydowanym ruchem i sam zaczął mówić, że poleca opiece Bożej

duszę ojca swojego, poleca opiece Bożej swoją matulę, poleca opiece Bożej również wszystkich obecnych żałobników, tak godnie mówił i właściwie, potem jeszcze pożegnał wszystkich w imieniu swojego ojca, i był przy tym bardzo dorosły.

Dopiero wtedy kowalczyki włożyły trumnę nogami do przodu na wóz wyścielony tkanym przeze mnie kilimkiem, żeby Antoniemu miękcej było, Janek z Janką na podwórzu zostali, dwa wiejskie anioły nasze, a myśmy ruszyli w drogę do kościoła na Pustyni. Jeszcze przystanęliśmy przy krzyżu na końcu wsi, tam niedaleko kowalów domu, gdzie Szczepan jeszcze powiedział, że jego ojciec żegna wieś, którą tak mocno ukochał. Potem, śpiewając *Witaj, Królowo nieba i Kto się w opiekę podda Panu swemu*, ruszyliśmy za trumną żałobnym konduktem przez las do Pustyni, którądy tyle razy szłam z Antosiem za rękę.

Nie będzie musiał siedzieć na wycugu u Szczepana, myślałam, nie będzie już nigdy na pańskim pracować, nic już musieć nie będzie. I wtedy zrozumiałam, że to dlatego taki był szczęśliwy po śmierci na twarzy. Uwolnił się.

Aż się zachwiałam, ale zaraz przystąpili do mnie Szczepan i Kostek i z obu stron za ręce powiedli.

Na cmentarzu było zimno. Na cmentarzu zawsze jest zimno, a już podczas pogrzebu szczególnie, o tym wiedziałam, więc specjalnie ubrałam się cieplej, narzuciwszy na siebie dodatkową kapotkę i jeszcze jedną wełnianą chustkę. Co z tego, skoro taka zimnica mną trzęsła, że i tak czułam się, jakbym sopel połknęła, jakbym sama soplem się stała, co może byłoby lepsze, bo sopel nie ma uczuć. I taka lodowata szłam za trumną po cmentarzu, patrzyłam, jak ją do

dołu spuszczać, słuchałam, gdy pierwsze łopaty ziemi na nią padały.

Szczepan stał przy ojcowym grobie kilka kroków ode mnie, ale miał głowę pochylać w modlitwie, patrzył na Isię, która wraz z matką na pogrzeb przyszły. Isia, wysoka, smukła, z nadmiarem kręconych włosów upiętych w węzeł, w szarej sukni, bardziej do dziedziczki niż do chłopki podobna, patrzyła w grób, potem w niebo, potem na Szczepana jak ptak jakiś drapieżny, duszę mojego syna zagarniający.

Zośka też zauważyła napięcie między tymi dwojgiem i zaraz tak się ustawiła, żeby Isię swojemu mężowi przesłonić. Zuchdziejczyna, pomyślałam, broni swego, ale zaraz potem przyszła do mnie inna myśl. Bo jak by wyglądało nasze życie, gdyby zamiast Zośki u boku mojego syna stała ta smukła Isia o twarzy jak nie z tego świata? Jak by wyglądały ich dzieci? Może zamiast Janka i Michała stałaby przy nich dużo większa gromadka z kręconymi włosami, z tymi oczami dziwnymi, dziewczynki podobne do Isi, chłopcy – do Szczepana. Nie jak ci dwaj moi wnukowie, krzepcy, jeden wysoki, prosty, drugi zgarbiony, do starego kowala podobni dziwnie, jak nie nasi, nie Józwiakowi, choć ich kochałam przecież mocno. I tak się zastanawiałam nad tym, co nigdy się nie stało, a choć chwila była tragiczna, to jednak i o tym myślałam w środku swojego lodowego ciała.

Na cmentarzu już ziemię nad trumną Antosia łopatami ubijali, na ten dźwięk straszny zachwiałam się i byłabym upadła, gdyby nie podtrzymało mnie czyjeś mocne ramię, gdyby nie dobiegł mnie zapach słomy i siana. Kostek.

– Nie płacz, siostrzyczko. Masz przecież jeszcze mnie.

On już chyba sam uwierzył, że z jednej matki jesteśmy, pomyślałam trochę zła, a trochę rozbawiona. Ta odrobina uśmiechu była mi dzisiaj potrzebna jak woda w upał, choć kropla, żeby przeżyć.

– Ja cię nigdy nie opuszczę. Aż do śmierci.

Znowu kącik ust mi drgnął na te uroczyste zapewnienia, choć Antoś bardzo by się gniewał, gdyby to usłyszał, ciągle przecież liczył na to, że Kostek w końcu ruszy w swoją dalszą, dziadowską drogę i zostawi nas wszystkich wreszcie w spokoju. Tymczasem Kostek trwał u mego boku, a Antosia już miałam nie zobaczyć. Reszta sił mnie ze szczętem odeszła i nagle usiadłam tam, gdzie stałam, jak lalka z drewna, gdy jej się sznurki poluzuje. Kostek, przerażony, pochylił się do mnie, dopytywał, co się stało, ale nie byłam w stanie wykrztusić z siebie słowa. I wtedy ktoś przykucnął obok mnie, ktoś ciepły. Kobieta, chuda, mocna, z zaciśniętymi ustami. Malinicha?

Przygarnęła mnie do siebie, otuliła swoją chustą, wzięła moje dłonie w swoje, chuchała, żeby je rozgrzać. Siedziałam obok niej jak zepsuta lalka z nogami wyciągniętymi przed siebie. Ludzie zerkali ku mnie niespokojnie, ale że pod opieką już byłam, nie podchodzili. Teraz w grób kościelny wbijał krzyż z podpisem, któregom przeczytać nie umiała, ale pewnie było tam o Antosiu, zamkniętym w tych kilkunastu literkach, jak i w trumnie go zamknięto. Od każdego uderzenia młota aż zamierałam. Dobrze, że Malinicha mocniej przygarnęła mnie do siebie, a potem pomogła wstać, chuda była, a taka silna, i podprowadziła do krzyża, gdzieśmy razem *Wieczne odpoczywanie* zmówiły, to znaczy ona mówiła, a ja głowę pochyliłam, na grób patrząc, w sercu swoim się modląc, nie tymi wargami, co ruszyć się nie umiały.

## Szczepan Józwiak

Grzebaliśmy ojca na Pustyni, na cmentarzu przy naszym kościółku, tak jak wszystkich innych chłopów z okolicy. A że szlachtę nie w ziemi chowano, lecz pod podłogą świątyni w metalowych trumnach, tym sposobem nawet po śmierci chłopstwo i państwo się nie spotykali. Czy w niebie będzie podobnie? – zastanawiałem się. Czy i w niebie państwo i szlachta przy innych stołach siedzą, z całkiem innych miejsc Pana Boga wielbią? Czy i tam tak wszystko urządzone, żebyśmy się ze sobą nie mieszali? I ojciec mój żadnym sposobem zabitego dziedzica nie spotka?

– Śmierć to jedyna pewna rzecz w życiu – powiedziała mi kiedyś Isia. – Dla każdego, chłopą i pana. W śmierci wszyscy są równi. Może nawet w niebie usiądą przy jednym stole i jeść będą to samo. Jeśli panowie idą w ogóle do nieba...

I nagle na cmentarzu zobaczyłem jej szczupłą postać z włosami w węzeł czesanymi, a z tego węzła wiatr je wywiewał i zamiatał nimi w powietrzu. Ubrana prawie po szlachecku, wysmukła jak trzcina, patrzyła na grób, a potem spojrzała na mnie: Isia przyszła pożegnać mojego ojca! Uśmiechnęła się, rozradowana, że mnie widzi, a potem zaraz spoważniała, no bo pogrzeb przecież, śmiać się nie należy. Za obie te rzeczy byłem jej wdzięczny i wpatrywałem się w nią jak w pamiątkę czasów szczęśliwych, i znowu napatrzeć się na nią nie mogłem. Moja żona stała trochę dalej, z sąsiadami rozmawiała, godnie i mądrze przyjmowała wyrazy współczucia, nawet nie słysząc, wiedziałem, co mówi, znaliśmy się przecież tak dobrze. Znałem każdy załomek jej twarzy, każdy ton jej westchnień i głosu, wiedziałem, kiedy westchnie, kiedy zalewajkę na śniadanie poda, kiedy zrobi pranie, a kiedy mi kosmyk nad czołem wygładzi.

Zośka, kiedyś nęcąca zagadka, a dzisiaj – jak własna ziemia – znana na wylot.

Isia ruszyła ku mnie, szła wysoka, dumna, smukła, gibka, zupełnie inna niż mocarna Zośka.

– Bardzo mi przykro, Szczepan, że twój ojciec zmarł tak wcześnie.

– Jak ja tęskniłem za jej głosem, silnym i niskim jak bicie kościelnego dzwonu na Pustyni! – Tak bardzo mi przykro.

– Za wcześnie odszedł – wykrztusiłem, tyle udało mi się wypowiedzieć z tej całej gęstwy uczuć, które się we mnie wtedy kłębiły.

– Tak, prawda. Dobry był z niego człowiek.

Nie dodała: „Mimo wszystko”, a ja byłem jej za to wdzięczny. Rozglądała się, jakby już chciała odejść.

– Jak ci tam we dworze? – spytałem szybko.

– Zwyczajnie. – Wzruszyła ramionami. – A ty? Słyszałam, żeś zamożny i szczęśliwy.

– Tak. I drugi syn mi się urodził, Michał. Obaj to chłopcy na schwał. – Kiwnąłem głową w kierunku moich dzieciaków, Jasiek postawny, piękny, Michał zgarbiony nieco. – A ty?

– Ciągle czekam na tego jedyne.

Zamilkła i znowu zaczęła się rozglądać. Nie chciałem, żeby odchodziła, ale wiedziałem, że powinna odejść, bo ta rozmowa była mi niewygodną, jakbyśmy po bagnie z kępy na kępę skakali. Może więc i dobrze, że zaraz Zośka do nas podeszła, przed Isią lekko głowę skłoniła, mnie w bok stuknęła i odciągnęła na stronę, Isię mi całkiem przesłaniając.

– Ludzie pozałowania chcą złożyć, a ty ciągle z jedną gadasz. Weźże się ogarnij, Szczepan, tak nie wypada.

I wróciłem z żoną do ludzi.

Hanka Józwiakowa

Do domu prowadzić mnie chcieli obaj, i Szczepan, i Kostek, ja zaś nie puszczałam ramienia Malinichy, trzymałam się jej kurczowo, jakby była tą deską, co się ją tonącemu rzuca. I szliśmy tak przez jesienny las, który oddzielał Pustynię od Naczachowa, przez las z góry żółty, czerwony, brązowy, a z dołu mocno błotnisty.

– Śmierć to część życia – powiedziała Malinicha. – Śmierć to ważna część życia. Może najważniejsza, bo jedyna, która nadejdzie na pewno.

A co ty gadasz! Co ty o tym wiesz, nie twój mąż umarł! – chciałam do niej wykrzyknąć, ale nic nie powiedziałam, bo już chyba nie umiałam mówić. Ale za to myślałam, w głowie mi buzowało, nagle zaczęły przychodzić do mnie nowe myśli. Bo tak: liście pączkują, rosną, potem czerwienieją lub żółkną i opadają, szeleszczą pod nogami i pachną butwieniem. Liść, który opadł, nadal jest liściem, innym i smutniejszym, inaczej pachnącym niż ten na drzewie, ale liściem, a jesień byłaby bez niego niepełna, niepełna bez tego umarłego liścia.

– To ja go zabiłam – szepnęłam do Malinichy spod pochylonej głowy albo wydawało mi się, że szepnęłam, bo Malinicha ucho ku mnie przybliżyła i spytała:

– Co mówisz?

– Zabiłam go. – Teraz już udało mi się ułożyć wargi w sporo wyraźniejsze słowa.

– Kogo?!

– Antosia.



– Jak to?!

Głową tylko pokręciłam, takie to było trudne. Ale w końcu zaczęłam opowiadać, cicho, rwanymi zdaniami, w rytmie kroków, w rytmie oddechu, którego mi brakło, opowiadałam może niezbyt składnie, że to przeze mnie, przez mój bunt pańszczyźniany, mieliśmy z domu naszego odejść, przeze mnie więc mąż mój umarł.

Malinicha jednak pokręciła głową.

– Nie. Nie ty go pozbawiłaś życia – stwierdziła z całą mocą.

– A kto?

– Pańszczyzna.

– Ale gdybym...

– Pańszczyzna, słyszysz? Z niej całe zło. Gdyby nie ten ekonom, gdyby nie ten młodziak okrutny, jeszcze długo nie musielibyście się stąd wynosić. Znam zresztą go trochę, nadęty swoją ważnością, wysoko się nosi.

– Tak, taki właśnie jest.

– I dobrze, że rzuciłaś tą motyką.

Zdumiałam się.

– Wiedziałaś o tym?

– Wszyscy mówią.

– Nawet w waszej kuchni?

– Też mówili. Dobrze zrobiłaś.

A ja wtedy poczułam, że lżej mi się oddycha. Dobrze zrobiłam, tak o mnie mówią. Wszyscy tak mówią. Więc może mają rację.

– Dziękuję, że przysłaś – szepnęłam do Malinichy, a ona ścisnęła moje ramię.

Szczepan Józwiak

Matulę wreszcie należało do nas przywieźć, bo choć od pogrzebu już kilka dni minęło, siedziała ciągle w Naczachowie, z sagankiem, z siennikiem, ze wspomnieniami, z Jankiem i Janką, którzy przy niej trwali, dwa pomarszczone kurczęta przy kwoce w czerni, jakby ich klajstrem do klepiska w naszej starej chałupie przylepiono. Namawiałem matulę, żeby nie zwlekała, bo na co tu czekać, Janka z Janką też wreszcie chętnie bym miał przy sobie. Matula odpowiadała, że mam rację, ale jeszcze jedną noc chciałyby u siebie zostać. I następnego dnia znowu to samo, przez co matula ciągle trwała w Naczachowie, a przy niej Morowiaki, stare a malutkie.

Wracając od matuli, postanowiłem przejechać przez Lubraniec, zupełnie nie po drodze, ale chciałem do dworskich kuchni zajść i Malinichę zapytać, co robić, bo siłą matuli przecież nie zgarnę, a po dobroci to będzie siedzieć w Naczachowie, aż ją ekonom z chałupy wyrzuci. Za kuchenną bramę dworu wjechałem i znowu stałem przy dworskich kuchniach, w mur wtulony, niemal niewidzialny, a sam patrzący. A potem się opamiętałem.

Zawróciłem do domu, chciało mi się wrzeszczyć z tego wszystkiego, nie wrzeszczałem jednak, bo mężczyźnie już nie wypada tyle, co chłopcu.

W nocy śniła mi się Isia podróżująca na babim lecie i obudziłem się tęskniący. Ale wtedy obróciłem się w łóżku ku Zośce i dotknąłem jej ręki. Gorąca była. Solidna. Znana. Moja.

Człowiek na babim lecie nie przeżyje, choć może marzyłby o takiej wolności, człowiekowi jednak solidności i podstaw trzeba. Zośka nie była obłoczkiem ani babim latem, była jak ziemia matka.

Hanka Józwiakowa

Po pogrzebie Antosia Malinicha zaczęła przychodzić do Naczachowa. Do ogródka swojego, mówiła, nigdzie takiej szalwii nie ma, jak w moim starym warzywniku, tak powtarzała, ale skoro po szalwię szła, zawsze i do mnie zajrzała, w moją samotność z Jankiem i Janką potrójną weszła, ziółek na cierpienie naparzyła, usiadła. Nie jak Szczepan, który zamiast przysiąc, wołał się kręcić po domu, po obejściu, pakować rzeczy, powtarzać, że już mam się przenieść i nowe życie zaczynać natychmiast, jakby nie wiedział, że i stare, i nowe życie zawsze będzie u mnie pełne Antosia.

A Malinicha? Nie mówiła, że już czas na przeprowadzkę, co sama przecież wiedziałam, lecz ziółka mi gotowała na oddalenie smutku, na spokój, na lepsze spanie, a potem razem ze mną milczała, a obok nas, jak świece dwie w kościele, Janek z Janką siadali, zawsze obecni, zawsze cisi.

Gdy Malinicha szła po wsi, ludzie z Naczachowa nie patrzyli na nią, popatrywali tylko, wilkiem jakoś, z boku, nie w oczy. Że teraz dworska była, żaden nie śmiał nic jej powiedzieć, ale też żaden podejść do czarownicy się nie odważył, więc szła otoczona pustką. Nie lubili jej, może z powodu czarownictwa, może dlatego, że się nikomu pogiębić nie dała, a może jednak dlatego, że gdy ostatnio ją we wsi widzieli, rzucali w nią czym popadło i chcieli ją zabić. Malinicha jednak nie zdawała się wcale dbać o to i codziennie choć na chwilę zachodziła do mnie.

I tak minął tydzień od pogrzebu Antosia, cały długi tydzień, kiedym ani na pańskie, ani na własne, ani na synowskie nie chodziła. Kiedy uświadomiłam to sobie, siódmego dnia otworzywszy oczy, postanowiłam się spakować do końca, bo nagłym aktem odwagi zapragnęłam jutro do Szczepana się przenieść. Jutro, już

jutro, powtarzałam sobie, tylko dziś jeszcze pomodłę się za duszę Antosia, długo, uroczyście, do rana, w izbie, w której tyle nocy razem spędziliśmy.

Składałam rzeczy w płócienne tobołki, z mocnym postanowieniem, że to już, że ostatnia tutaj noc przede mną, i nagle mi się przypomniało, jak bardzo kiedyś lubiłam zmiany. Wtedy akurat weszła Malinicha, więc poszliśmy rzepę z warzywnika do końca wykopać, żeby nie poszła na zmarnowanie.

Gdyśmy z pełnym koszem wracały do domu, usłyszałyśmy klaskanie końskich kopyt, skrzypienie kół bryczki, i zaraz pod płotem przez Antosia dawno temu stawianym pojawił się ktoś, kogo się tu dzisiaj nie spodziewałam. W ogóle się go nie spodziewałam i widzieć go wcale już nigdy nie chciałam.

Dlatego głowę pokornie skłoniłam, gdy otwierał furtkę i podwórzem do nas szedł.

– Józwiakowo, dziwię się, że jeszcze ten dom zajmujecie, gdy już prawa do tego nie macie – powiedział ekonom. – To miejsce dla chłopów pańszczyźnianych, a wyście wszak pańszczyznę porzucili. Macie zaraz opuścić chałupę.

Stał tak nade mną, sporo wyższy, stał dużo za blisko, widziałam jego stopy w przykurzonych, wysokich butach tuż przy moich bosych, więc cofnęłam się o krok, ku chałupie. Postąpił za mną. Już się nie cofałam, nie miałam gdzie, bo Malinicha stanęła zaraz za moimi plecami, chwyciła mnie za ramiona.

– Noc jedną jeszcze chciałam tu zostać, wielmożny panie – wytłumaczyłam tym błagalnym głosem, którego odruchowo w rozmowach z państwem używałam.

– Już dużo spędziliście tu nocy bez mojego pozwolenia. Cieszcie się, że chłostać was nie każę i daję wam jeszcze kilka minut. Kilka pacierzy, jak to mówicie, może tak lepiej zrozumiecie.

– Ja bardzo wielmożnego pana proszę... – zaczęłam znowu, uderzając w ton błagalny, ale zamilkłam w połowie słowa. Bo tak naprawdę nie chciałam go błagać, ale na niego krzyżeć, chciałam na niego wrzeszczeć za to wszystko, a z tej wściekłości niewykrzyczanej aż w oczach mi pociemniało. Malinicha stała za mną, za ramiona mnie ścisnęła, a mnie się wydawało, że powietrze wokół nas gęstnieje, że niebo zasnuwają chmury mojego gniewu, że zaraz pękne z wielkim hukiem, a pół świata ze mną, stałam jednak nieruchomo bez słowa, w ziemię patrząc, w miejsce, gdzie ponad tydzień temu Antoś oddał ducha.

– Zabierajcie wreszcie te śmiecie i wynocha! – krzyknął ekonom, zrzucając garnuszek gliniany z płotu w moją stronę. Garnuszek pękł na pół, a wtedy nagle i we mnie coś pękło i błysnęło, nad nami także błysnęło.

Po chwili z czarnego nieba dodatkowo załomotało, zagrzmiało i wtedy zdziwiłam się, że moc mam aż taką wielką, że dosięgła nieba. Czułam ciepłe dłonie na moich ramionach, słyszałam, w przerwach między grzmotami, że Malinicha coś pod nosem mamrocze, zaraz do mamrotania i pęknięcia szurgot doszedł, bo lunęło, deszcz lunął z tego nieba czarnego od mojego gniewu, i dalej błyskało i grzmiało, niebo nad ziemią drżało. Ekonom zgarbił się, kołnierzyk postawił, a wtedy deszcz zniecka w grad się przerodził, duży jak gołębie jaja. Walił równo w kapelusz ekonomy, w jego plecy, w skorupy garnka na ziemi, w bryczkę, koń się spłoszył, zarżał, ekonom się jeszcze bardziej skulił, do bryczki począł

wycofywać, a grad siekł go po ciele całym, koń szalał, Malinicha mamrotała, i tak stałyśmy w tym wszystkim, i tylko nas grad jakoś oszczędzał, tylko nas z Malinichą grudy lodu nie dosięgały, i tylko Janek z Janką bezpiecznie w stodole trwali.

Wtedy ręce wyciągnęłam ku czarnemu niebu, bo czarne niebo mnie wsparło, gdy sama nie umiałam swojego gniewu wykrzyczeć, ono gniewało się za mnie i ze mną, i tak stałam z rękami ku górze, a Malinicha z głową dumnie odrzuconą w tył. Tylko czasem nas siekło, ale to było jak pieszczota, bo wiedziałyśmy, że dziesięć razy bardziej siecze ekonoma, skulonego i zmykającego. Jeszcze nam pięścią wygrażał z bryczki, ale zaraz musiał lejce ściągać, bo koń chciał go ponieść. Zaśmiałam się tylko, odwróciłam tyłem do niego, bo niewart był nawet spojrzenia, i stałam, stałyśmy z Malinichą, czekając, aż nas wysmaga do kości grad przez nas sprowadzony, aż ekonoma przepłoszy, aż ból zabije.

Ekonom zmykał bryczką, grad walił, koń poniósł a myśmy śmiały się z Malinichą i śmiały, a w śmiechu tym była wielka moc.

A gdy burza w końcu ustała i pęknięte niebo z powrotem się scalało, wzięłam, co jeszcze tu miałam, i ruszyłam na piechtę do Sokołowa, do syna mojego, na wycug. Teraz już mogłam.

## Janek i Janka

Szliśmy z gospodynią kawałek, odprowadziliśmy ją aż do krańców Naczachowa. Ona ruszyła dalej, ale myśmy przecież nie mogli, więc tam właśnie rozpląnęliśmy się w powietrzu, tak przynajmniej myślała gospodyni, gdy rozglądała się dookoła, szukając, gdzieśmy się podzieli. Tymczasem myśmy usiedli pod Bożą Męką na końcu wioski, i tam w ziemię wrośliśmy, korzenie wpuściliśmy głębiej,

jeszcze głębiej, boć przecież nigdy ich żeśmy z Naczachowa wyrwać nie chcieli.

Hanka Józwiakowa

Nigdy potem nie byłam pewna, czy te dwa niewielkie żywotniki przy Bożej Męce w Naczachowie zawsze rosły, czy też dopiero ostatnio się pod krzyżem pojawiły. Pytałam ludzi, ale jedni tak, drudzy tak powiadali. Ale skoro niedawno wyrosły, to jakim cudem już wzrostu Janka i Janki były? Nikt mi powiedzieć nie umiał.

Na Zaduszki przyszedłam pod Bożą Mękę, znowu się za Jankiem i Janką po Naczachowie rozejrzałam, bo postanowiłam ich do Szczepana na stałe zabrać i tam o nich zadbać. Nikt tutaj jednak Morowiaków od dawna nie widział, dlatego też wszyscy pewni byli, że z nami w Sokołowie zamieszkali. Nie było ich jednak ani tam, ani tutaj, zniknęli, a mnie się smutno zrobiło. Głowę przed Panem Jezusem na krzyżu skłoniłam, a przed dwoma żywotnikami woskowe świece płonące ustawiłam. Płomień migotał, dym szedł w niebo, a świece w ziemię się wtapiały i wszystko trwało na swoim miejscu.

Postawszy tam chwilę, szepnąwszy słówko do Maryi Matki, do Pana Jezusa, a potem do Janki i Janka, odeszłam w swoje nowe strony.

## Posłowie

Ta opowieść jest prawdziwa. Na tyle oczywiście, na ile prawdziwe mogą być historie przekazywane ustnie z pokolenia na pokolenie przez dwieście lat. Ich część spisał w latach sześćdziesiątych XX wieku mój dziadek, Mieczysław Józwiak, pierwszy chłop z okolic Izbicy Kujawskiej, który jeszcze przed drugą wojną światową poszedł na studia. Mój ojciec, Wojciech Józwiak, który w okolicach Naczachowa mieszkał aż do matury, latami zbierał kolejne opowieści słyszane od ojca, matki, babek, dziadków, sąsiadów, aż w końcu przekazał je mnie.

Przedstawiona historia rodziny Józwiaków jest więc prawdziwa, wychowywałam się na opowieściach o dumnych chłopach, którzy nie bali się ruszyć w poszukiwaniu ziemi obiecanej, jako jedni z pierwszych w okolicy przeszli z pańszczyzny na czynsz i zawsze byli ciekawi nowego. Do dziś istnieją wieś Naczachowo i kościół na Pustyni, miasta Lubraniec i Izbica Kujawska, w okolicy nadal mieszkają potomkowie Olędrów, sprowadzonych przez dziedzica Augustyna Słubickiego, a potomkowie Józwiaków przechowują traumę pańszczyzny i nie pałają sympatią do szlachty. Prawdziwe są także zaćmienie Słońca, epidemia i dwójka dzieci, które jako jedyne ją przetrwały, chciałabym też, żeby prawdziwe były myśli tych dzieci, ale tego zagwarantować nie mogę, bo przekleństwem i darem naszej rodziny jest również bogata wyobraźnia.

Co znamienne, w opowieściach mojego ojca i dziadka kobiety pojawiają się jak cienie. Ojcowie i synowie mają imiona, matki



i córki nie. Ojcowie i synowie mają losy, matki i córki tylko wychodzą za mąż i rodzą. „Odziedziczył zajęcie po ojcu i ożenił się”. „Ożenił się wcześniej, dosłownie z panną z za płotu, Lewandoszczanką”. „Córki Michałowe powychodziły w okolicy za mąż za rolników lub rzemieślników”. Noszę więc w sobie niewidzialne prababki, o których nikt nie pamięta – tak pomyślałam, kiedy zauważyłam to po raz pierwszy. Tą sagą przywracam im życie i zachęcam je, by mówiły głośno.

## Podziękowania

Dziękuję mojemu tacie, Wojciechowi Józwiakowi, za rozmowy, pamiętniki i maile. Mojej cioci, Wandzie Dramińskiej, i stryjowi, Marcinowi Józwiakowi, za wyprawy i opowieści. Wujowi Józefowi Borkowskiemu za gościnę i barwne historie. Bez Was tej książki by nie było.

Redaktorka inicjująca: Ewa Orzeszek-Szmytko  
Redaktorka prowadząca: Kamila Sypniewska  
Redakcja: Piotr Chojnacki  
Korekta: Hanna Trubicka, Lilianna Mieszczkańska  
Projekt okładki: Urszula Gireń  
Ilustracje wykorzystane na okładce i w środku książki: © Martin Johnson  
Heade/Artvee.com, © Rawpixel, © Moss, Sasi, Ton/Rawpixel, © Envato

Grupa Wydawnicza Foksal Sp. z o.o.  
02-672 Warszawa, ul. Domaniewska 48  
tel. (22) 828 98 08  
[biuro@gwfoksal.pl](mailto:biuro@gwfoksal.pl)  
[www.gwfoksal.pl](http://www.gwfoksal.pl)

ISBN 978-83-8318-844-7

Skład wersji elektronicznej: Michał Olewnik / Grupa Wydawnicza Foksal Sp. z o.o.  
i Michał Latusek